

Joanna Białecka

Czarny leksykon

ÍMÍN

1988

Od wydawcy

„Czarny Leksykon” to autorski, a więc i subiektywny, także w sposobie prezentowania, wybór sylwetek przestępców i ich kryminalnych czynów. Zbeletryzowana encyklopedia zbrodni sprzed stu lat i całkiem współczesnych, zbrodni udowodnionych i do dziś okrytych mgłą tajemnicy – wszystkich jednak, niestety, autentycznych.

Galeria kalekich charakterów i spaczonych osobowości, galeria przestępców i ich wpływ na losy normalnych ludzi, często nawet całych społeczności. Praca policji, służb kryminalnych, rola przypadku w wykryciu morderstw – wszystko to składa się na treść haseł niniejszego Leksykonu. Lektura ta prowadzi w mroczne zakamarki dusz i serc, ukazuje działania haniebne, ohydne.

Gorzka to prawda, ale tacy również bywają ludzie.

Wampiry grasują nocą

John Reginald Halliday CHRISTIE

Dnia 24 marca 1953 roku nowy lokator mieszkania na parterze w domu nr 10 przy Rillington Place (obecnie Rustyn Close) w Londynie, przybysz z Jamajki, z powodów sobie tylko wiadomych zabrał się do opukiwania ścian w kuchni. Wkrótce zastanowił go odgłos wskazujący, że za jedną z nich jest pusta przestrzeń. Odchylił róg tapety, stwierdzając, że papier pokrywa niewielki kredens. Ponieważ w drzwiach tajemniczego mebla znajdowała się pokaźnych rozmiarów dziura, podekscytowany Jamajczyk, zaopatrzony w latarkę, zajrzał do wnętrza. Ujrzał nagie plecy kobiety.

Sprowadzono policję, która wydobyła z kredensu trzy ciała kobiece. Jedne zwłoki były nagie, ubrane tylko w biustonosz i pas do pończoch; pozostałe zawinięte były w koce i obwiązane przewodem elektrycznym. Odór był bardzo nikły, gdyż mała wilgotność powietrza powstrzymywała rozkład.

Policjanci rozpoczęli przeszukiwanie całego domu. Wkrótce zwróciły ich uwagę nierówno ułożone deski podłogi w salonie tegoż parterowego mieszkania. Oderwano podłogę, ujawniając czwarte ciało, również zawinięte w koc. Następnie przekopano maleńki ogródek na tyłach domu, wydobywając dwa dalsze szkielety. Przy okazji stwierdzono, że ludzka kość udowa służyła do podpierania furtki.

Mieszkanie na parterze zajmowane było uprzednio przez niejakiego pana Christie, który wyprowadził się 20 marca, na cztery dni przed znalezieniem zwłok, nie zostawiając adresu.

Podczas gdy rozesłano listy gończe za Christiem, policja przypomniała sobie, że w 1949 roku w tym samym domu znaleziono zwłoki pani Evans i jej maleńkiej córeczki. Obie zostały uduszone, a za zabicie ich powieszono pana Evansa... Obecnie wydało się prawdopodobne, że tamte zabójstwa również były dziełem mordercy sześciu kobiet, którym przypuszczalnie był John Reginald Halliday Christie.

31 marca konstabl Ledger rozpoznał Christiego we włóczędze, błakającym się

wokół Putney Bridge w Londynie. W tym czasie sprawa nabrała już dużego rozgłosu, gazety zamieszczały zdjęcia Johna Christie oraz rozważały z upodobaniem, czy zdąży on popełnić następną zbrodnię, zanim zostanie ujęty.

Jak widać, nie zdążył. Już podczas pierwszego przesłuchania przyznał się do zabicia czterech kobiet, których ciała znaleziono wewnątrz domu, nieco później – również do dwóch poprzednich zabójstw, a wreszcie nawet do zabójstwa pani Evans, choć ta sprawa nadal pozostaje niejasna.

Zgodnie z wersją podaną przez sprawcę, swą żonę, której zwłoki znajdowały się w kredensie, udusił pończochą, chcąc skrócić jej cierpienia. Pani Christie miała bowiem nagle dostać konwulsji, mąż zaś... „nie mógł na to patrzeć”. Pozostałe ofiary znaleziono w domu – Rita Nelson lat 25 (była w szóstym miesiącu ciąży), Kathleen Maloney, lat 26 oraz Hectorina McLennan, lat 26 – były prostytutkami, które Christie udusił, jak twierdził, podczas kłótni o pieniądze. Szkielety znalezione w ogrodzie należały do Austriaczki Kutii Kuerst, również prostytutki, którą Christie miał udusić podczas stosunku oraz do Muriel Eady, jego koleżanki z pracy.

We krwi trzech kobiet, których zwłoki znalezione zostały w domu, wykryto obecność tlenku węgla (nie dotyczyło to pani Christie). Sprawca wyjaśnił wreszcie, że było to wynikiem stosowanej przezeń dość skomplikowanej metody doprowadzania kobiet do nieprzytomności: zaprosiwszy do domu, odurzał je alkoholem, po czym namawiał, by usiadły w fotelu, w pobliżu którego instalował przewód doprowadzający gaz. Gdy kobiety traciły przytomność w wyniku zatrucia gazem, Christie dusił je, a następnie gwałcił. Ponieważ kobiety były prostytutkami, trudno przypuścić, by broniły się przed stosunkiem. Uważa się, że Christie był impotentem i mógł odbyć stosunek wyłącznie z nieprzytomną kobietą. O jego kłopotach w tej dziedzinie świadczy przezwisko, jakie nadała mu w młodości pewna dziewczyna: „Christie – Nic z tego”.

John Reginald Halliday Christie stanął przed Głównym Sądem Kryminalnym w poniedziałek 22 czerwca 1953 roku. Podczas śledztwa dokładnie zbadano jego dotychczasowe życie, a informacje te ujawniono na procesie. Oto one:

55-letni w chwili aresztowania, Christie urodził się w kwietniu 1898 roku w małym miasteczku w hrabstwie Yorkshire. Jego ojciec był człowiekiem surowym, a swym siedmiorgu dzieciom nigdy nie okazywał serdeczności. Christie, od dziecka słabowity, krótkowzroczny i introwertyczny, był przez ojca szczególnie źle traktowany. Już w tamtych czasach miewał kłopoty z policją z powodu drobnych kradzieży.

W wieku 15 lat rozpoczął pracę. Nie warto wymieniać licznych instytucji, w których pracował. Wyrzucano go bowiem zawsze, na ogół już po kilku miesiącach, za drobne kradzieże. Po jednym z takich incydentów ojciec wyгнаł go z domu.

Christie był hipochondrykiem, rozkoszującym się opowiadaniem o swych chorobach i nawet jego przyznanie się do winy, które zachowało się w aktach, zaczyna się szczegółowym opisem słabego zdrowia. W chwili zdenerwowania tracił głos. Gdy na przykład pokłócił się z żoną i ta wyprowadziła się, nie mógł wydobyć z siebie głosu przez trzy miesiące.

Ożenił się w roku 1920. Dzieci nie miał. Twierdził, że przez ostatnie dwa lata przed zamordowaniem żony nie żył z nią, co stanowiłoby dowód na prawdziwość teorii o jego impotencji i nerwicy seksualnej jako podłożu zabójstw.

Wydaje się, że Christie, jeśli chodzi o sprawy zdrowotne, był jednym z pechowców, którzy nawet na prostej drodze potrafią złamać nogę... Prześladowały go też różne wypadki, w których odnosił większe lub mniejsze obrażenia.

Z początkiem II wojny światowej Christie wstąpił do Wojennych Rezerwowych Oddziałów Policji i tam dał się poznać jako służbista, któremu wyraźną przyjemność sprawiało okazywanie swej władzy i bezlitosne karanie winnych najdrobniejszych nawet wykroczeń. W tym czasie zamieszkał wraz z żoną pod numerem 10 na Rillington Place. Jego żona bardzo często odwiedzała swą rodzinę w Sheffield i pierwsze zabójstwo Christiego miało miejsce pod jej nieobecność. Sprowadził mianowicie do domu prostytutkę Ruth Fuerst i najprawdopodobniej przekonał ją, by poddała się „kuracji na katar”. Kazał jej pochylić głowę nad stoikiem, który miał zawierać leczniczy balsam, przykrył jej głowę ręcznikiem, a następnie wsunął niezauważalnie pod ręcznik przewód gazowy. Zalecał przy tym, by wdychała głęboko, gdyż tylko takie postępowanie zapewnia całkowite wyleczenie. Możliwe, że za pierwszym razem chciał tylko doprowadzić dziewczynę do utraty przytomności, by móc odbyć z nią stosunek, a na zabicie zdecydował się dopiero później. Dość, że zwłoki ukrył najpierw pod podłogą w salonie, po czym w nocy wyniósł je do ogrodu i zakopał.

W grudniu 1943 Christie został zwolniony z policji i podjął pracę w fabryce sprzętu radiowego. Tam zaprzyjaźnił się z Muriel Eady, która często odwiedzała państwa Christie na Rillington Place. Pewnego razu przyszła, gdy pani Christie była w Sheffield. Na domiar złego skarżyła się na silny katar. Wkrótce wyładowała obok Ruth Fuerst, zakopana w maleńkim ogródku.

W 1949 roku miało miejsce zabójstwo pani Evans i jej maleńkiej córeczki. Christie twierdził, że kobieta, nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskim, prosiła go o pomoc w popełnieniu samobójstwa, co też uczynił, dusząc ją przy pomocy pończochy. Poinformował następnie o tym męża zamordowanej, który prawdopodobnie zabił wtedy córkę. Możliwe, że nie popełniono zatem pomyłki sądowej skazując pana Evansa na śmierć, zwłaszcza, że nie jest pewne, czy Christie rzeczywiście brał udział w tych morderstwach.

W grudniu 1952 roku miało miejsce zabójstwo żony Christiego. Motyw tego czynu nie jest jasny, lecz wydaje się prawdopodobne, że Christie chciał sobie w ten sposób zapewnić spokój i samotność, by móc zabijać następne kobiety. Jedno jest pewne – kolejne zabójstwo miało miejsce już po kilku tygodniach. Ritę Nelson widziano po raz ostatni żywą 2 stycznia 1953 roku. Jej ciało jako drugie znalazło się w kredensie. Christie twierdził, że dziewczyna zaczepiła go na ulicy i zażądała pieniędzy, a wreszcie siłą dostała się do jego domu i wywołała bójkę. Bardziej jednak jest prawdopodobne, że przyszła zaproszona przez swego mordercę.

Następną ofiarę, Kathleen Maloney, widziano po raz ostatni 12 stycznia. Trzeba przyznać, że Christie, pozbywszy się żony, nie tracił czasu, wyszukując swe ofiary. Utrzymywał, że także i to zabójstwo było wynikiem szamotaniny.

Nie mając pieniędzy, Christie sprzedał meble i obrączkę swej żony. Napisał również do banku w Sheffield, gdzie złożone były oszczędności pani Christie i fałszując jej podpis, zażądał przesłania całej sumy do Londynu. Przed Bożym Narodzeniem natomiast wysłał kartkę z życzeniami do siostry żony, twierdząc, że pisze zamiast niej, ponieważ cierpi ona na silne bóle reumatyczne w palcach i nie może utrzymać pióra.

W lutym Christie poznał dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę, którzy podobno skarżyli się mu, że nie mają gdzie mieszkać. Przyjął ich do siebie na kilka dni, po czym opuścili jego mieszkanie, a wkrótce kobieta powróciła sama. Była to Hectorina McLennan, ostatnia ofiara Christiego. Zabójstwo miało miejsce około 1 marca. Następnie wyprowadził się z Rillington Place, nie płacąc nawet zaległego komornego i – jak twierdził – włóczył się po Londynie, cierpiąc na utratę pamięci. Istotnie, gdy go aresztowano, był nieogolony, obdarty i bez grosza.

Obrona utrzymywała, że Christie jest niepoczytalny. Poddany został kilkakrotnie badaniom psychiatrycznym, w wyniku których stwierdzono jednak, że w pełni odpowiada za swe czyny. Został więc skazany na śmierć. Wyrok wykonano 15 lipca 1953 roku.

Nie ma wątpliwości, że od chwili zamordowania żony, której obecność stanowiła poważną przeszkodę w zaspokajaniu potrzeb seksualnych, był on opanowany jedną myślą. Kierował nim wewnętrzny przymus, i byłby z całą pewnością zabijał nadal, gdyby tylko miał okazję, ponieważ był to jedyny sposób zaspokojenia popędu. I tak na przykład pewna kobieta, która często widywała Christiego w kawiarni w pobliżu jego domu, opowiadała, że dwukrotnie zapraszał ją do siebie, by poddała się „leczeniu kataru”. Na szczęście dla niej, za każdym razem wizytę u Christiego uniemożliwiały jakieś przypadkowe okoliczności...

Z drugiej jednak strony pośpiech, z jakim Christie wybierał kolejne ofiary po śmierci żony, wskazuje wyraźnie, że zdawał sobie sprawę, jak mało czasu ma do

dyspozycji, zanim rodzina żony z Sheffield zainteresuje się jej stanem (należy pamiętać, że bardzo często ich odwiedzała). Nie zakopywał już zwłok w ogrodzie, mając świadomość tego, że w kredensie zostaną szybko odkryte. Następnie, gdy uznał, że nie powinien dłużej pozostawać w domu, uciekł. Wydaje się, że przez te tygodnie żył opanowany jedną myślą – skorzystać jak najwięcej, póki nikt się nim nie zainteresuje...

Martin DUMOLLARD

Młodo owdowiała, bezdzietna córka robotnika, Marie Pichon, nie miała po śmierci męża środków do życia. Została służącą w domu zamożnych mieszczan pod Lyonem, lecz czy to wynagrodzenie było za niskie, czy też chlebodawczyni zbyt wymagająca, dość że kobieta nosiła się z zamiarem szukania innej posady. Dlatego też uznała zapewne za niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności fakt, że na moście w dzielnicy Guillotière zawarła znajomość z sympatycznym wieśniakiem, odzianym w niebieski kombinezon roboczy. Nowy znajomy nie tylko sprawiał wrażenie człowieka solidnego, ale i w pierwszych zdaniach zdradził pani Pichon, że poszukuje właśnie – na polecenie swego chlebodawcy, właściciela zamku w Montluel, gdzie jest ogrodnikiem – wykwalifikowanej pokojówki. Jak zapewniał, pracy będzie mało (na zamku aż roi się od pokojówek), a wynagrodzenie – wręcz królewskie. Marie Pichon zdecydowała się bez wahania, nie chcąc przegapić tak wspaniałej okazji. W towarzystwie nowego znajomego, człowieka mniej więcej 45-letniego, zwałistej budowy, o prostym i ujmującym sposobie bycia, udała się do domu swego dotychczasowego chlebodawcy, spakowała pośpiesznie kuferek i wyruszyła na baśniowy zamek. Zaledwie godzina upłynęła od ich spotkania na moście, a Marie Pichon i zamkowy ogrodnik wsiadali już do pociągu na dworcu Geneve.

O zmierzchu dotarli do Montluel. Orodnik okazał się rozmownym i opiekuńczym towarzyszem podróży, a gdy wysiedli z pociągu, natychmiast odebrał jej kuferek, nie pozwalając, by sama dźwigała taki ciężar. Poprowadził ją drogą przez pola, tłumacząc, że tędy jest znacznie bliżej. W pewnym momencie postawił kuferek w polu a gdy Marie Pichon chciała go zabrać, wyjaśnił, że znajdują się na terenach zamkowych, skąd nikt nie odważy się nic ukraść i że on sam przyniesie jej rzeczy z pola następnego dnia. Kobieta zaczęła wtedy podejrzewać, że nie wszystko, co opowiedział jej sympatyczny ogrodnik, jest prawdą, a po kilku minutach zupełnie już

straciła do niego zaufanie. Oto, idąc, jak twierdził, ciągle w kierunku zamku, po raz drugi przeszli przez tory kolejowe... Wokół nie było żywej duszy i panowały ciemności, gdy kobieta powiedziała swemu towarzyszowi, że przejrzała jego oszustwa i nie ma zamiaru iść dalej. Na to „ogrodnik” odwrócił się ku niej, mówiąc:

– Jesteśmy na miejscu... – po czym usiłował zarzucić jej na szyję pętlę ze sznura. Cofnęła się gwałtownie. Wtedy on rzucił się na nią.

Marie Pichon miała szczęście. W panice, biegnąc na oślep w zupełnych ciemnościach, zdołała uciec. Natrafiła wreszcie na jakąś ścieżkę, która zaprowadziła ją do wioski o nazwie Balan. Drżąc i szlochając ze strachu i wyczerpania, zapukała do drzwi pierwszej z brzegu chałupy. Pozwolono jej spędzić tam noc, a gdy opowiedziała, co się jej przydarzyło, uczynny gospodarz poszedł z nią rano na posterunek policji.

Jeszcze tego samego dnia, tym razem przed południem i w towarzystwie policjantów, Marie Pichon wyruszyła tą samą drogą od stacji kolejowej. Zdołała nawet odtworzyć drogę, jaką szła poprzedniego wieczoru, ale we wskazanym przez nią miejscu nie było ani śladu pozostawionego tam wczoraj kuferka z całym jej dobytkiem. Tegoż dnia, 27 maja 1861 roku, wszczęto śledztwo.

Policja dysponowała wprawdzie opisem sprawcy, ale szukanie go trwałoby pewnie długo, jako że mieszkał dość daleko od Montluel. Policjantom dopomogły jednakże plotki, których pilnie wysłuchiwali, a które mówiły o dziwnych skłonnościach rolnika z dystryktu Dagneux, niejakiego Martina Dumollarda.

Plotek nie wolno było lekceważyć. Policjanci udali się natychmiast do domu Dumollarda, a ujrawszy go, zrozumieli, że oto znaleźli poszukiwanego człowieka. Na pierwszy rzut oka doskonale odpowiadał opisowi podanemu przez Marie Pichon.

Zarówno Dumollardowi, jak i jego żonie, cichej kobiecie o posepnym wyrazie twarzy, zadano obowiązkowe pytanie: jak przebiegał wieczór 26 maja? I oto już podczas pierwszej rozmowy, która nie była nawet formalnym przesłuchaniem, okazało się, że zeznania Dumollarda i jego żony znacznie się różnią. Oboje wprawdzie usiłowali udowodnić, że Dumollard posiada alibi na ten właśnie wieczór, nie uzgodnili jednakże wcześniej, na czym ma ono polegać. Zostali aresztowani i przewiezieni do Trevoux.

W jednym z pomieszczeń komisariatu policji miała miejsce wstrząsająca scena. Dumollarda wprowadzono do pokoju, gdzie oczekiwała Marie Pichon. Nieszczęsna kobieta doznała szoku i uciekła krzycząc przeraźliwie, a gdy uspokoiła się nieco, złożyła zeznanie, iż nie ma żadnych wątpliwości: rozpoznaje napastnika.

Zeznanie to poparli także inni świadkowie, a znalazło się wielu, którzy widzieli Marie Pichon w towarzystwie Dumollarda – czy to w Lyonie, czy też w pociągu. Mimo to Dumollard zaprzeczał wszystkiemu, choć musiał już zdawać sobie sprawę,

że jego alibi zostało bez trudu obalone.

Policja, nie mając już żadnych wątpliwości, przeszukała gospodarstwo Dumollarda, licząc na odnalezienie kuferka Marie Pichon. To, co znaleziono, przeszło jednak najśmielsze oczekiwania. Zamiast jednego znaleziono dziesięć kufrów, wypełnionych po brzegi damską odzieżą i bielizną. Niektóre ubrania nosiły ślady nieudolnego usuwania plam krwi.

Rozpoczęło się żmudne gromadzenie dowodów przeciwko Dumollardowi. Policja badała okoliczności wszystkich tajemniczych zaginięć oraz napadów na kobiety, jakie miały miejsce w ostatnich latach. Oto niektóre wybrane szczegóły; jako że wszystkie wypadki były niemal identyczne, więc nie warto opisywać ich dokładnie.

28 lutego 1855 roku (a więc sześć lat przed przygodą Marie Pichon) grupa myśliwych natknęła się wczesnym rankiem na nagie, zakrwawione zwłoki młodej dziewczyny. Było to w lesie Montaverne w Tramoyes. Stwierdzono, że śmierć nastąpiła pod wpływem ran głowy zadanych ostro zakończonym narzędziem. Z trudem zdołano w końcu zidentyfikować zwłoki: była to Marie Baday, służąca z Lyonu.

Inna służąca, Marie Curt, przeżyła to samo, co Marie Pichon i również zdołała się uratować z rąk napastnika. Nie zeznawała jednak w sądzie, gdyż pod wpływem szoku straciła zmysły i została umieszczona w zakładzie dla psychicznie chorych.

Dwie pokojówki, Josephe Charlety i Jeanne-Marie Bourgois, zeznawały w sądzie przeciwko Dumollardowi. Zeznawała też Julie Farjat, która, zaatakowana, zaczęła krzyczeć, sprowadzając na miejsce przestępstwa jakichś spóźnionych przechodniów. Podobnie jak Marie Pichon, rozpoznała ona w Dumollardzie napastnika.

Wreszcie właściciel gospody w jednej z okolicznych wiosek, którego opowieści przyczyniły się zresztą do tego, że policja zainteresowała się Dumollardem, zeznał, że w lutym 1860 roku oskarżony spędził kilka dni w jego gospodarstwie z młodą dziewczyną, którą przedstawił jako siostrzenicę. Dziewczyna nosiła sukienkę w kratkę, której wzór właściciel gospody zapamiętał i odnalazł później tę suknię w jednym z kufrów zgromadzonych u Dumollarda, o obejrzenie których prosiła go policja. Owej dziewczyny, której zresztą nie udało się zidentyfikować, podobnie jak kilku innych, nigdy już więcej nie widziano w okolicy.

W miarę gromadzenia się tak przytłaczających dowodów jego winy Dumollard postanowił przyznać się do udziału w zabójstwach.. Twierdził mianowicie, że został zmuszony do uczestniczenia w zbrodniczej działalności bliżej nie określonego gangu, i że wyznaczono mu tylko zadanie zwabiania dziewcząt w odludne miejsca. Zabójstw mieli dokonywać inni członkowie gangu, których nazwisk nikt nie znał.

Nie wiadomo, jak długo Dumollard upierałby się przy tej wersji, gdyby nie zeznanie jego żony. Pani Dumollard w pewnym momencie załamała się i złożyła

obszerne wyjaśnienia. Jak twierdziła, nie brała udziału w zabójstwach. Po plecach przesłuchujących ją policjantów przebiegał dreszcz, gdy wyjaśniła cichym, ponurym głosem, co było jej wiadomo o poczynaniach męża.

Otóż Martin przychodził czasami po prostu później do domu i oznajmiaj: „Zabiłem dziewczynę w lasach Montluel (czy gdzie indziej). Muszę teraz pójść ją zakopać”. Następnie znów wychodził z domu, niosąc łopatę, a gdy wracał, dźwigał zwykle ze sobą kuferek zamordowanej, pieniądze (jeśli miała je przy sobie) i zakrwawioną odzież, zdjętą ze zwłok. Zadaniem żony było wypranie tych ubrań.

Pani Dumollard nie wiedziała, gdzie mąż zakopywał zwłoki. Tylko raz, po powrocie, opisał jej dokładnie miejsce, gdzie ukrył swą kolejną ofiarę. Kobieta zdołała zaprowadzić tam policjantów. Po przekopaniu skrawka ziemi na polanie odnaleźli oni istotnie szkielet młodej dziewczyny, zmarłej prawdopodobnie na skutek silnego uderzenia w głowę.

Poinformowany o zeznaniach żony Dumollard przyznał się wreszcie do zabójstw, choć nie był w stanie podać dokładnie, ile dziewcząt padło jego ofiarą. Wskazał miejsca, gdzie zakopał dalsze trzy ciała, twierdząc, że pozostałe wrzucił do rzeki (w okolicy przepływa Rhone). Usiłując ustalić rzeczywistą liczbę ofiar, dokładnie przejrzano zawartość kufców. Zawierały one odzież co najmniej dziesięciu różnych osób, przyjęto więc, że taka właśnie (lub większa) była liczba ofiar Dumollarda. Dziesięciu dziewczętom udało się ująć z życiem, zatem Dumollard miał na sumieniu co najmniej 19 napadów. Proces obojga Dumollardów stał się sensacją na skalę całego kraju. Gdy wydawano wyrok śmierci na mordercę, ogromny tłum przed gmachem sądu domagał się okrzykami wydania Dumollarda, by dokonać na nim linczu. Pani Dumollard skazana została na 20 lat ciężkich robót.

Szkoda, że w czasach, gdy Dumollard popełniał swe zbrodnie, nie prowadzono jeszcze badań osobowości przestępców. Na podstawie akt sprawy wydaje się prawdopodobne, że Dumollard był psychopatą o sadystycznych skłonnościach. Dowodem na to może być fakt, że jedną ze swych ofiar, której zwłoki następnie znaleziono, zakopał żywcem, nie zadając sobie nawet trudu ogłuszenia jej. Wprawdzie okradał swe ofiary, lecz zdarza się to niekiedy także i u innych wampirów. Nie wiemy, czy Dumollard gwałcił swe ofiary. Zawsze natomiast je rozbierał przed zakopaniem zwłok, co zresztą nie dowodzi bynajmniej, że czerpał z tego seksualną przyjemność. Być może żal mu było zakopywać odzież w dobrym stanie, która mogła się przecież jeszcze przydać. Nie sposób stwierdzić dzisiaj, do jakiego stopnia Dumollard kierował się chęcią zysku, mordując swe ofiary. Kronikarze zwracają uwagę na jego niebywałe skąpstwo i pazerność. Stojąc na szafocie, spojrzawszy na żonę, którą przyprowadzono, by patrzyła na jego śmierć i zamiast pożegnania przypomniał jej, że sąsiad jest im winien parę groszy, które należy

odzyskać...

Niejasna jest też rola pani Dumollard. Być może namawiała go do zabójstw, również pragnąc pomnażać majątek. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że pomagała mu tylko w zacieraniu śladów i ze stoickim spokojem akceptowała jego dziwne upodobania.

Po egzekucji głowę Dumollarda przesłano do pewnego instytutu naukowego. Frenolog, który ją badał, stwierdził jednoznacznie, że sądząc po kształcie czaszki, Dumollard był człowiekiem o kryształowym charakterze...

Fritz HAARMANN

Fritz Haarmann – postać nawet jak na encyklopedię morderców wyjątkowo ponura i niesympatyczna – urodził się w Hanowerze 25 października 1879 roku. Jego ojcem był palacz lokomotywy, znany dzięki swemu usposobieniu jako „Posepny Olle”, matką, zaś kobieta kaleka i niezaradna, o 7 lat starsza od swego męża. Fritz, szóste dziecko tej niedobranej pary, był ulubieńcem matki, ojca zaś od dzieciństwa nienawidził, prawdopodobnie dlatego, że ten usiłował wychować go na mężczyznę, nakłaniał do zabaw z innymi chłopcami, zalecał odwagę, a nawet nieco brutalności. Fritz jednak najbardziej lubił przebywać z matką i pod jej okiem bawić się lalkami.

Gdy chłopiec miał 16 lat, ojciec – używając zapewne całego swego autorytetu, by przekonać protestującą żonę – umieścił go w szkole wojskowej w Neu Breisach, gdzie Fritz miał wreszcie nabyć owych męskich cech, których wyraźnie mu brakowało. Rachuby ojca zawiodły. Już po miesiącu Fritz został usunięty ze szkoły jako niezdolny do zajęć z powodu objawów epilepsji. Podjął pracę w fabryce cygar, gdzie jednak wykazał się wkrótce taką nieudolnością i lenistwem, że wyrzucono go, jak się można spodziewać, ku jego ogromnej radości. Nie zdążył nawet wypocząć po trudach pracy, gdy został aresztowany, bo przyłapano go na – jak byśmy dziś powiedzieli – czynach lubieżnych z nieletnimi, dodajmy: nieletnimi chłopcami. Ponieważ jego zachowanie budziło podejrzenia, że może być chory psychicznie, został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Po sześciomiesięcznej obserwacji zbiegł. Zastanawia fakt, że przez owe pół roku lekarze nie zdołali jeszcze postawić diagnozy.

Po ucieczce ze szpitala Haarmann nie usiłował już znaleźć pracy. Zajął się drobnymi przestępstwami, a także tym, co mu niedawno zarzucano – demoralizacją nieletnich chłopców. Nie ulega wątpliwości, że był homoseksualistą. Tym bardziej dziwi fakt, że w roku 1900 przez krótki okres utrzymywał wyłącznie stosunki heteroseksualne. Poznał mianowicie dziewczynę, w której, jak twierdził, zakochał się. Obiecywał jej małżeństwo, gdy jednak zaszła w ciążę, porzucił ją pospiesznie i

uciekając przed odpowiedzialnością wstąpił do pułku strzelców, w którym służył nienagannie do roku 1903. Jego dziecka urodziło się martwe, on jednakże nawet o tym nie wiedział.

Powróciwszy do Hanoweru kontynuował swą karierę przestępczą. Jego zachowanie musiało przysparzać nie lada kłopotów staremu Haarmannowi, skoro podjął próbę ubezwłasnowolnienia syna. Należy żałować, że sąd nie znalazł podstaw do wydania decyzji o ubezwłasnowolnieniu.

Przez następnych 11 lat Fritz Haarmann mniej więcej tyle samo czasu spędził w więzieniu, co na wolności. Skazywano go za włamania, kradzieże kieszonkowe i wyłudzenie pieniędzy. Jego nieszczęsny ojciec, nie tracąc widać nadziei, że syn zmieni swe postępowanie, załatwił dlań – posunięcie wyjątkowo ryzykowne – posadę jednoosobowej obsługi smażalni ryb. Fritz natychmiast ukradł cały utarg, towar i wyposażenie... Wreszcie w 1914 roku skazano go na 5 lat więzienia za kradzież z magazynu większej ilości towarów.

Zwolniono go z więzienia 1918 roku. Było to już po zawieszeniu broni i w Niemczech panował głód. W Hanowerze sytuacja była wyjątkowo zła. W tych właśnie warunkach Fritz Haarmann popełnił serią zbrodni, które stawia się wśród najbardziej zdumiewających przestępstw naszych czasów.

Z początku wydawało się, że Haarmann znalazł wreszcie swoje miejsce w życiu. Przyłączył się mianowicie do bandy przemytników, zajmujących się nielegalnym sprowadzaniem mięsa do głodującego miasta. Dotąd popełniał drobne przestępstwa i prawie natychmiast wpadał w ręce policji. Teraz, gdy zajął się przestępczością na dużą skalę, zaczęło mu się świetnie powodzić. Wynajął mieszkanie na Cellarstrasse 27, gdzie prowadził swe „biuro”. Nie gardził kradzieżami, jeśli tylko mogły one przynieść wystarczająco wysoki zysk.

Przy okazji był też konfidentem policji, co zapewniało mu względną bezkarność i jego kanały przemytnicze uchodziły za najpewniejsze. Jak się miało okazać, również i inna jego działalność trwała dzięki temu znacznie dłużej.

Do Hanoweru przybywały niezliczone pociągi z uciekinierami. Haarmann bywał częstym gościem na dworcu, gdzie rozglądał się uważnie i wśród tłumu zdezorientowanych przybyszów wypatrywał młodych chłopców (jak wyznał później, stawiał też pewne wymagania co do ich wyglądu i urody). Upatrzonym ofiarom proponował nocleg i pomoc w znalezieniu pracy w obcym mieście. Odnosił się do nich tak serdecznie i życzliwie, iż rzadko zdarzało się, by spotkał się z odmową. Co więcej, jeśli taki chłopak przybył do Hanoweru z rodzicami, sami namawiali syna, by skorzystał z nadarzającej się okazji.

Jedną z pierwszych ofiar Haarmanna był 17-letni Friedel Rothe. Jego rodzice nie widzieli Haarmanna na dworcu, lecz zaniepokojeni zniknięciem syna, rozpoczęli

poszukiwania i wkrótce odkryli, że chłopak zaprzyjaźnił się z „detektywem” Haarmannem (ten bowiem chętnie przedstawiał się jako policyjny tajniak). Policja – jak należy sądzić, niezbyt gorliwie – przeszukała nawet mieszkanie Haarmanna, nie znajdując nic podejrzanego. Dopiero podczas procesu wyszło na jaw (opowiedział o tym z dumą sam Haarmann), że podczas przeszukania głowa chłopca, owinięta w gazetę, leżała na piecu.

Z braku dowodów śledztwo w sprawie zniknięcia Friedela Rothe zostało umorzone, lecz niedługo potem Haarmann trafił jednak na 9 miesięcy do więzienia, znów za czyny lubieżne z nieletnimi, przyłapano go bowiem in flagranti z innym chłopcem. Nie wiemy, czy podzieliliby on los nieszczęsnego Friedela Rothe. Jeśli tak, to należy żałować, że Haarmanna przyłapano, zanim przystąpił do dzieła. Uratowałyby to życie wielu następnym ofiarom.

Haarmann powrócił do Hanoweru we wrześniu 1919 roku. Przeprowadził się na Neustrasse i dalej zajmował się przemysłem. Wtedy też poznał innego homoseksualistę, nazwiskiem Hans Grans, drobnego złodziejzaka i stręczyciela. Obaj panowie przypadli sobie widać do gustu, wkrótce bowiem zawiązali osobliwą spółkę. Spotykali się w kawiarni Krdpcke, ulubionym lokalu wszelkiej maści zbrodźców. Tam właśnie powstawały plany ich kolejnych przedsięwzięć.

Metoda była zawsze taka sama. Haarmann i Grans odwiedzali dworzec kolejowy i pilnie przyglądali się wysiadającym. Upatrzoną ofiarę, którą zawsze był młody, przystojny chłopiec, zwabiali do mieszkania przy Neustrasse, obiecując nocleg, wsparcie finansowe, pracę i wszelką pomoc. Tam chłopca zabijano. Haarmann twierdził z całą stanowczością, że czynił to osobiście, przegryzając gardło swej ofiary. Nie sposób jednak sprawdzić jego zeznań, gdyż zwłok nie odnaleziono. Potem dwaj wspólnicy fachowo dzielili ciało. Część zwłok sprzedawano następnie jako mięso tymi samymi kanałami, których Haarmann używał w swej działalności przemysłowej. Odzież sprzedawano na targu, zaś części nieużyteczne (czyli niejadalne) wyrzucano do rzeki.

Podczas procesu oskarżyciel przedstawił listę złożoną z 28 nazwisk przypuszczalnych ofiar Haarmanna. Uważano jednak, że było ich co najmniej 50, czego oczywiście, przy takim sposobie pozbywania się zwłok, nie sposób udowodnić. Zamordowani chłopcy mieli od 13 do 20 lat. Należy przypuszczać, że głównym motywem pary zabójców była chęć zysku. Jeden z nieszczęśników stracił życie tylko dlatego, że Gransowi spodobały się jego spodnie.

Znaleziono ciało tylko jednej ofiary, chłopca nazwiskiem Keimes. Zwłoki wydobyto z kanału. Jak wykazała sekcja, chłopak został uduszony. W związku z tą sprawą miał zresztą miejsce dziwny incydent. Haarmann odwiedził mianowicie rodziców „zaginionego”, przedstawił się jako policyjny detektyw i obiecał państwu

Keimes, że w przeciągu trzech dni odnajdzie ich syna i odprowadzi go do domu. Następnie udał się na policję i złożył poufne doniesienie, iż zabójcą Keimesa jest... Grans. Ponieważ Grans przebywał właśnie wtedy w więzieniu za drobną kradzież (o czym Haarmann doskonale wiedział), śledztwo umorzono. Prawdopodobnie Haarmann chciał tym posunięciem zapewnić sobie zaufanie policji, co najwyraźniej doskonale mu się udało.

Kilkakrotnie bardzo mało brakowało, by działalność Haarmanna została ujawniona. Pewnego razu schodził właśnie po schodach, niosąc przykryte kawałkiem gazety wiadro. Spotkał sąsiada, który nawiązał z nim rozmowę, gdy nagle jakiś przeciąg sprawił, że gazeta sfrunęła z wiaderka, ukazując jego zawartość: krew. Sąsiad doniósł o tym wprawdzie policji, lecz nie wszczęto dochodzenia. Przemysł mięsa, jakim zajmował się konfident Haarmann, stawiał go poza podejrzeniem.

Innym razem Haarmann znalazł się w dużo groźniejszej sytuacji. Mianowicie nabywca mięsa nabrał podejrzeń, że Haarmann sprzedał mu ciało ludzkie. Zaniósł więc cały zakupiony „towar” na policję, ryzykując grzywnę za kupowanie u spekulanta. Mięso przekazano do policyjnego laboratorium, gdzie zostało zbadane przez lekarza. Akta sprawy litościwie przemilczają jego nazwisko: specjalista ten stwierdził bowiem ponad wszelką wątpliwość, że dostarczone mięso jest... wieprzowiną!

W maju 1924 roku na brzegu rzeki znaleziono czaszkę, kilka tygodni później – drugą. Nieustannie napływały zgłoszenia o zaginięciu młodych chłopców, niedawno przybyłych do miasta. Nie ulega wątpliwości, że Haarmann znajdował się wśród podejrzanych: mijały jednak miesiące, on zaś nie niepokojony zabijał dalej.

Hanowerska policja wyznaczyła wreszcie do śledzenia Haarmanna dwóch detektywów, sprowadzonych specjalnie z Berlina (należy przypuszczać, że miejscowych obrotny konfident doskonale znał). Ci wkrótce zdołali przyłapać go na uwodzeniu pewnego chłopca, został więc zatrzymany. Podczas przeszukania znaleziono w jego mieszkaniu setki ubrań, które przeważnie były na niego za małe. Odkryto też, że syn dozorkczyni przy Neustrasse nosi marynarkę, która należała do jednego z zaginionych chłopców, zaś dzieci bawiące się nad rzeką odnalazły worek wypełniony kośćmi. Stwierdzono, że są to szczątki co najmniej 27 osób.

Haarmann został aresztowany i wkrótce postanowił się przyznać. Proces rozpoczął się 4 grudnia 1924 roku. Trwał 14 dni, wystąpiło na nim 130 świadków. Podczas procesu Haarmannowi pozostawiono zdumiewająco dużo swobody i traktowano go wyjątkowo łagodnie. Często przerywał zeznania świadków wesołymi uwagami (w ogóle humor mu dopisywał). Raz spytał sędziego z oburzeniem, dlaczego na sali jest tyle kobiet; otrzymał wyjaśnienie, że wysoki sąd, niestety, nie jest w stanie ich usunąć, a brzmiało to jak usprawiedliwienie się... Gdy roztrzęsione matki

szlochały, opowiadając o swych synach, Haarmann wyraźnie nudził się i prosił sąd o pozwolenie na wypalenie cygara, którego natychmiast skwapliwie mu udzielano.

Nie przyznał się do zabicia niektórych chłopców. Okazano mu na przykład zdjęcie zaginionego Hermanna Wolfa; widać było – wyraźnie, że chłopak był brzydki i źle ubrany. Haarmann stanowczo stwierdził, że interesowały go wyłącznie ładne ofiary.

Haarmann skazany został na śmierć, Grans – na 12 lat więzienia. Oczekując na egzekucję Haarmann opisał szczegółowo swe morderstwa i przyjemność, jaką odczuwał przy ich popełnianiu, co dowodzi, że zbrodnie te miały swe źródło w jego perwersyjnych skłonnościach.

Neville George Clevely HEATH

Gdy o godzinie czternastej 21 czerwca 1946 roku lokator pokoju nr 4 w Pembroke Court Hotel w londyńskiej dzielnicy Notting Hill nadal nie odpowiadał na pukanie pokojówki, zaniepokojona dziewczyna zawiadomiła dyrektora. Pokój, wynajęty tydzień wcześniej przez osobnika, który podał nazwisko „pułkownik Heath”, był zamknięty na klucz. Gdy go otwarto, oczom zaintrygowanego personelu ukazał się koszmarny widok.

Pani Margery Gardner, 32-letnia kobieta o dość liberalnych poglądach, wiodła swobodne życie w Chelsea, otaczając się początkującymi artystami, literatami i niebieskimi ptakami. Żyła w separacji z mężem. Wszystko wskazywało na to, że padła ofiarą maniaka seksualnego. Jej zwłoki, znalezione w pokoju nr 4, nosiły wstrząsające dowody wyjątkowego okrucieństwa sprawcy. Na piersiach, niemal oddzielonych od tułowia, widniały ślady zębów. Na twarzy znajdowało się 17 ran powstałych w wyniku uderzenia batem. Również obrażenia narządów seksualnych dowodziły wyjątkowej brutalności zabójcy. Przyczyną śmierci było uduszenie kneblem czy też poduszką, której sprawca użył, by stłumić krzyk swej ofiary.

Ze zrozumiałych względów policja zainteresowała się przede wszystkim osobnikiem, który wynajął pokój nr 4. Wkrótce stwierdzono, że z nim właśnie Margery Gardner spędziła wieczór 20 czerwca, tańcząc i pijąc w Panama Club. Nikt jej już potem nie widział żywej.

Zebrano informacje na temat „pułkownika Heatha”. W ciągu kilku godzin okazało się, że ten 28-letni były wychowanek zakładu poprawczego nie tylko nigdy nie był pułkownikiem, lecz w 1945 roku został zwolniony ze służby w lotnictwie za niestosowne, niezgodne z regulaminem zachowanie i bezprawne noszenie wysokich odznaczeń wojskowych. Nie mając na razie żadnych dowodów na to, że Heath jest

sprawcą zabójstwa, policja opublikowała w prasie komunikat, w którym wymieniono nazwisko Neville Heatha wraz z apelem, by zgłosił się i udzielił pomocy w prowadzonym śledztwie. Jednocześnie rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę poszukiwania głównego podejrzanego.

W poniedziałek 24 czerwca prowadzący śledztwo nadinspektor Thomas Barratt otrzymał list od Neville'a Heatha ze stemplem miejscowości Worthing w hrabstwie Sussex. W liście tym Heath przyznawał, że wynajął pokój nr 4 w Pembridge Court Hotel tydzień wcześniej (mieszkał tam już w roku 1942 pod nazwiskiem Armstrong), twierdził jednak, że wieczorem 20 czerwca pożyczył klucz do tego pokoju Margery Gardner. „Miała się spotkać z pewnym znajomym, wobec którego miała jakieś zobowiązania i musiała się z nim przespać” – pisał Heath. „O umówionej godzinie wróciłem... znalazłem ją w tym stanie, w jakim pan również ją widział... Zdałem sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazłem... Odszedłem cicho”. Heath podawał również rysopis towarzysza pani Gardner i kończył list następująco: „Jeśli będziecie chcieli się ze mną skontaktować, dajcie ogłoszenie do „Daily Telegraph”. Chwilowo występuję pod innym nazwiskiem”.

Nowe nazwisko Heatha brzmiało Rupert Robert Brooke, pułkownik lotnictwa. 23 czerwca wieczorem „pułkownik Brooke” wynajął pokój w hotelu Tollard Royal w nadmorskim kurorcie Bournemouth. Wkrótce na głowę prowadzącego śledztwo i jego przełożonych miały spaść ostre słowa krytyki, w dodatku całkiem zasłużonej: policja, rozpoczynając poszukiwania Heatha, nie udostępniła prasie żadnego zdjęcia domniemanego zabójcy. Gdyby nie to karygodne zaniedbanie, prawdopodobnie nie doszłoby do następnej tragedii.

5 lipca do dyrektora Tollard Royal Hotel zadzwonił dyrektor innego pensjonatu w Bournemouth, Norfolk Hotel. Niejaka panna Doreen Marshall, 21-letnia mieszkanka Norfolk Hotel, nie powróciła od poprzedniego wieczoru, kiedy to wsiadając do taksówki podała Tollard Royal Hotel jako miejsce, do którego się udaje. Zaniepokojony ojciec dziewczyny skłonił dyrektora do rozpoczęcia poszukiwań.

Dyrektor Tollard Royal Hotel przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru jeden z jego gości, pułkownik Brooke, podejmował młodą kobietę kolacją w restauracji hotelowej. Ujrzawszy o 10.15 wychodzącego z hotelu „pułkownika”, spytał go zatem, czy jego wczorajszy gość nie był przypadkiem panną Marshall. Heath roześmiał się szeroko: to niemożliwe; zna swą towarzyszkę od dawna i z całą pewnością nosi ona inne nazwisko...

Od tej rozmowy z dyrektorem upłynął zaledwie kwadrans, gdy Heath zadzwonił na komendę policji w Bournemouth, informując, że być może zdoła pomóc w odszukaniu dziewczyny. Nadal używał nazwiska Brooke, tak też się przedstawił, gdy o godz. 17.15 przybył osobiście na komendę, gdzie spotkał ojca i siostrę zaginionej

dziewczyny. Przyznał, że poprzedniego dnia wieczorem spotkał się z Doreen Marshall, poznaną wcześniej na plaży. Zjedli kolację i poszli na spacer, po czym „pułkownik” chciał odprowadzić dziewczynę do domu, ta jednakże nie wyraziła na to zgody. Nagle zaczęła się spieszyć i wkrótce zniknęła w ciemnościach. „Brooke” stwierdził, że odniósł wrażenie, iż panna Marshall jest z kimś umówiona nad morzem.

Śmierci Doreen Marshall niewątpliwie można było uniknąć, publikując w prasie fotografie Heatha. Dobrze się jednak stało, że zdjęcie Heatha otrzymali przynajmniej policjanci na terenie całej Anglii. Po kilku minutach przysłuchiwania się relacji „Brooke’a” konstabl Souter zauważył podobieństwo do poszukiwanego Londyńczyka. Pełen dobrych chęci i współczucia dla ojca zaginionej „pułkownik” został natychmiast zatrzymany.

W areszcie „Brooke”, który zapewniał o swej niewinności i prawdomówności, skarżył się na chłód. Przyniesiono mu zatem marynarkę, po którą jeden z funkcjonariuszy udał się do jego pokoju w Tollard Royal Hotel. Trzeba trafić, że zanim marynarka dotarła do aresztowanego, któryś z policjantów z zawodowego nawyku przejrzał jej kieszenie, być może w poszukiwaniu broni lub ostrych przedmiotów. W kieszeniach nie było nic poza biletem powrotnym pierwszej klasy z Bournemouth do Londynu. Jak się okazało, bilet ten był własnością Doreen Marshall.

O godzinie 21.45 inspektor Gates poinformował zatrzymanego, że pozostanie w areszcie do chwili przybycia policji londyńskiej, która przesłucha go w związku z zabójstwem Margery Gardner. „Brooke” nadal utrzymywał, że o niczym nie wie i że nigdy w życiu nie słyszał o człowieku nazwiskiem Neville Heath.

W poniedziałek 8 lipca odnaleziono ciało Doreen Marshall, ukryte w zaroślach rododendronu w wąwozie prowadzącym do morza, na terenie Bournemouth. Miejsce to znajdowało się mniej więcej w połowie drogi między hotelami Heatha i zamordowanej. Pewna dziewczyna, która poszła z psem na spacer właśnie do tego wąwozu, zauważyła ogromną chmarę much, uporczywie krążącą nad jednym z krzaków. Nie odważyła się tam zajrzeć, poinformowała jednakże swego ojca, który znając plotki o zaginionej wczasowiczce, natychmiast wezwał policję.

Zwłoki panny Marshall leżały na prawym boku; były zupełnie nagie, jeśli nie liczyć jednego pantofelka. Czarną sukienkę i żółty płaszcz zamordowanej sprawca rzucił na zwłoki. Perły, które składały się na jej naszyjnik, były rozrzucone dokoła. Jedną z pończoch ofiary znaleziono w odległości 10 metrów od zwłok, wiszącą na drzewie wysoko nad ziemią. Uważa się, że w tym właśnie miejscu panna Marshall została zaatakowana, po czym sprawca zawlókł ją w głąb wąwozu, co nastąpiło po kilku minutach. Dziewczyna została prawdopodobnie zakneblowana i związana (w pokoju Heatha w Tollard Royal Hotel znaleziono zabrudzoną ziemią i krwią chusteczkę), a sprawca przypuszczalnie rozebrał się do naga przed przystąpieniem do

dzieła, bowiem na żadnym z jego ubrań nie było śladów krwi, które musiałyby się tam znaleźć, gdyby był ubrany. Doreen Marshall zginęła w wyniku poderżnięcia gardła, a wszystkie inne poważniejsze obrażenia zadane zostały po śmierci dziewczyny: piersi zostały odcięte (noża, który posłużył do tego celu, nigdy nie znaleziono), jedna z nich nosiła ślady zębów, genitalia były straszliwie zmasakrowane, a jama brzuszna dosłownie rozdarta na całej długości, od pachwiny po mostek.

Heath został przewieziony do Londynu, gdzie nadal odmawiał zeznań. Policja nie miała już teraz wątpliwości, że zamordował nie tylko Doreen Marshall, ale i Margery Gardner. Przystąpiono do ponownego przesłuchiwanie świadków w tamtej sprawie. I tak Heath został rozpoznany jako towarzysz pani Gardner, który spędził z nią wieczór 20 czerwca w Panama Club, a potem udał się taksówką do Pembridge Court Hotel, gdzie następnego dnia znaleziono jej zmasakrowane zwłoki. Wkrótce rozpoznał go też jubiler, który kupił od niego zegarek Doreen Marshall oraz właściciel lombardu, dokąd trafił pierścionek nieszczęsnej dziewczyny.

W Bournemouth odszukano kwit bagażowy. Gdy tamtejsza policja odebrała z przechowalni walizkę Heatha, znaleziono w niej szpicrutę, od której – jak stwierdzono – pochodziły ślady na twarzy pani Gardner...

Proces Heatha rozpoczął się we wrześniu 1946 roku w londyńskim Old Bailey, Najwyższym Sądzie Karnym. Oskarżony nadal twierdził, że jest niewinny, lecz zarówno prokurator, jak i obrońca nie mieli wątpliwości, że popełnił oba czyny (zgodnie z prawem angielskim odpowiadał tylko za jeden z nich, mianowicie za zabójstwo Margery Gardner). Głównym więc problemem, jaki roztrząsano na sali sądowej, nie była wina Heatha, lecz jego stan psychiczny podczas popełniania morderstw. Obrońca usiłował dowieść, że Heath nie odpowiada za swoje czyny, nie zdawał sobie bowiem sprawy z tego, co robi. Wobec przytłaczających dowodów była to jedyna możliwa linia obrony.

Jak to często bywa – w tego rodzaju sprawach, podczas rozprawy rozgorzał spór między biegłymi psychiatrami, powołanymi przez prokuratora z jednej strony i obrońcę z drugiej. Dwaj psychiatrzy więzienni, którzy badali Heatha w czasie, gdy przebywał w areszcie, stwierdzili z całą stanowczością, że zabijając zdawał on sobie w pełni sprawę z potworności swych czynów. Trzeci natomiast specjalista, również pracujący w więzieniu, utrzymywał, że Heath nie widział nic złego w swym postępowaniu, ponieważ tylko ono mogło mu zapewnić osiągnięcie satysfakcji seksualnej. Jak się wydaje, zeznania tego specjalisty, niejakiego doktora Huberta, były dość mętne i nieprzekonywujące.

Ogromne zainteresowanie wzbudziły zeznania 19-letniej Yvonne Symmonds. Poznała ona Heatha na dansingu 15 czerwca i spędziła z nim noc w pokoju nr 4 w Pembridge Court Hotel.

Twierdziła jednak, że Heath był wyjątkowo miły i delikatny, co podważało opinią doktora Huberta, iż tylko akty sadyzmu mogły mu przynieść zadowolenie. Panna Symmonds spotykała się potem jeszcze kilkakrotnie z Heathem, który 22 czerwca wspominał o morderstwie, jakiego dokonano na pani Gardner w tym samym pokoju, w którym kilka dni wcześniej byli razem. Opowiedział dziewczynie, że został przesłuchany w tej sprawie przez inspektora Barratta i zabrany na policję w celu obejrzenia zwłok. Stwierdził, że sprawca użył pogrzebacza i że niewątpliwie był maniakiem seksualnym.

Podczas rozprawy wspomniano często o drugim morderstwie. Zeznawał między innymi dyrektor Tollard Royal Hotel, który opowiedział o swej przypadkowej rozmowie z „pułkownikiem Brooke”, kiedy to – 4 lipca – Heath w żartach wyznał mu, że może wracać niezauważony do swego pokoju nawet w środku nocy, wchodząc po rusztowaniach pozostałych po remoncie elewacji.

Heath nie składał wyjaśnień w sądzie. Jego obrońca wytłumaczył to przysięgłym w sposób dość enigmatyczny, mówiąc:

– I tak nie uwierzylibyście w ani jedno jego słowo...

Przewodniczący rozprawie sędzia Morris, przystępując do podsumowania, które na ogół zawiera też wskazówki dla przysięgłych, powiedział:

– Ustawa o niepczytalności nie może stanowić parawanu dla tych, którzy chcą uniknąć odpowiedzialności za swe czyny.

Przypomniał następnie przysięgłym, że Heath uczynił wiele, by zataić swą winę: ukrył ciało Doreen Marshall, zmienił nazwisko, twierdził, że bilet kolejowy zamordowanej znalazł w hallu hotelowym.

– Czyż wszystkie te posunięcia oskarżonego nie świadczą o tym, że jego umysł działa sprawnie? Że zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jakiej potworności się dopuścił, skoro później usiłował zatrzeć ślady?...

Narada przysięgłych trwała godzinę, co wskazuje na to, że werdykt wymagał jednak pewnych dyskusji. Heath został uznany winnym zabójstwa Margery Gardner. Skazano go na śmierć 26 września. Wyrok został wykonany 6 października 1946 roku w więzieniu w Pentonville.

H. H. HOLMES

Człowiek, o którym teraz będzie mowa, niejaki H. H. Holmes, powinien właściwie znaleźć się pod literą M, gdyż jego prawdziwe nazwisko brzmiało Mudgett. Tak długo jednak występował jako Holmes, że sam chyba zapomniał, jak się naprawdę nazywa. Również w annałach, kryminologii zapisał się pod przybranym

nazwiskiem jako jeden z najbardziej godnych uwagi zbrodniarzy w historii, chociaż, rzecz dziwna, nie zdobył należnej mu sławy. Każdy słyszał choć raz o Kubie Rozpruwaczu, nikt zaś, lub prawie nikt, nie zna zdumiewającej historii Holmesa.

H. H. Holmes urodził się jako Herbert Webster Mudgett 16 maja 1860 roku w Gilmanton w stanie New Hampshire. Jego ojciec był kierownikiem urzędu pocztowego. Syn, po ukończeniu szkoły średniej, pracował przez pewien czas jako nauczyciel, po czym podjął studia medyczne w Ann Arbor. W wieku 24 lat uzyskał dyplom lekarza i praktykował nawet krótko w Nowym Jorku.

W wieku 18 lat Holmes, jeszcze jako Mudgett, ożenił się z Clarą Lovering. Miał z nią jednego syna. W 1886 porzucił rodzinę i zmieniając nazwisko na Holmes, udał się do Chicago. Już w następnym roku zawarł bigamiczny związek małżeński z inną dziewczyną, z którą wkrótce również się rozstał po rodzinnej kłótni, jaka wybuchła, gdy wyszedł na jaw fakt, że Holmes oszukał jednego z jej wujów.

Jak się wydaje, w tym momencie Holmes na serio już zajął się swą karierą przestępczą. Podjął pracę w drogerii w Englewood, południowym przedmieściu Chicago, u niejakiej pani Holden. Wkrótce pani Holden zniknęła i Holmes stał się rzeczywistym właścicielem sklepu. Poinformował sąsiadów, że jego chlebodawczyni wyjechała na dłużej do Kalifornii. W tym samym czasie Holmes, uznawszy widać, że oto zdobył przystań na dłużej, wynajął mieszkanie w okolicy.

W 1890 roku, gdy o pani Holden wszyscy zdążyli już zapomnieć i Holmes uchodził za właściciela drogerii, w Englewood pojawił się pewien jubiler, nazwiskiem Conner, wraz z żoną Julią, 8-letnią córką Pearl i 18-letnią siostrą Gertie. Holmes zaproponował nowemu sąsiadowi otwarcie punktu zegarmistrzowskiego w swej drogerii. Warunki były bardzo korzystne, toteż Conner z radością na to przystał. Przesiadywał też całymi dniami w sklepie, reperując stare zegarki, zaś Holmes zdobył dwie kochanki na raz: Julię i Gertie. Po pewnym czasie Conner spakował swoje manatki i wyjechał w nieznaną, a następnie przeprowadził rozwód z żoną z powodu jej niewierności.

Drogeria prosperowała znakomicie, Holmes postanowił więc zainwestować w nieruchomość. Naprzeciwko sklepu znajdował się pusty plac, na którym wkrótce rozpoczęto budowę. Dom Holmesa miał dziwną konstrukcję: zbudowany został na wzór średniowiecznego zamku, z tajnymi przejściami, zapadniami i kryjówkami.

Julia Conner była kobietą zazdrosną, ale szczerze mówiąc, nie bez powodu. Nie chciała dzielić się mężczyzną ani ze swoją szwagierką Gertie, ani z niejaką Emily Vari Tassell, z którą Holmes nawiązał dość niewinny romans. Pewnego dnia zarówno Gertie Conner, jak i panna Van Tassell zniknęły. Przez krótki okres Julia nie miała rywalek.

Wkrótce jednak na horyzoncie pojawiła się następna blondynka (ulubiony kolor

włosów Holmesa), Emily Cigrand, która została jego sekretarką. Gdy Julia i tym razem urządziła sceny zazdrości, Holmes okazał się nieprzejednany, w wyniku czego zniknęła teraz ona sama wraz z córką. Przez kilka miesięcy Emily królowała na „zamku” Holmesa, aż wreszcie spotkał ją ten sam los, co jej poprzedniczki.

Pod koniec 1892 roku Holmes sprzedał drogerię. W styczniu 1893 poznał kolejną blondynkę, zamożną Minnie Williams rodem z Missisipi. Wkrótce Minnie mieszkała już wraz z nim jako pani na jego „zamku”. Uchodziła za jego żonę. Po pół roku Holmes zaprosił na dłuższy pobyt siostrę Minnie, imieniem Nannie. Obie wreszcie zniknęły, jak poprzednie, ale zastanawia fakt, że Minnie została zabita wiele miesięcy po śmierci Nannie. Czyżby więc współdziałała z Holmsem w zabójstwie siostry?

W maju 1893 roku otwarto wystawę światową w Chicago. Miasto pełne było turystów i Holmes, podobnie jak tysiące innych mieszkańców, wynajmował im pokoje. Każdej nocy jego „zamek” był wypełniony aż po brzegi, nie ulega wątpliwości, że gościnny gospodarz oszukiwał swych gości. Prawdopodobnie też niektórzy, a raczej niektóre z nich „zniknęły”. Zabicie Minnie Holmes pozostawił niewątpliwie na spokojniejsze chwile. Żyłaby może jeszcze dłużej, gdyby nie jej niedyskrecja. W listopadzie spłonął bowiem dach „zamku”, a Minnie wygadała się przed urzędnikiem towarzystwa ubezpieczeniowego, że Holmes sam podłożył ogień. Minnie „zniknęła” pod koniec listopada 1893 roku.

Tuż po jej śmierci Holmes „ożenił się” po raz trzeci. Jego wybranką była oczywiście blondynka, niejaka Georgiana Yoke ze stanu Indiana, która jako przyzwoita panią z dobrego domu nie chciała przystać na romans, lecz zgodziła się na małżeństwo. Wkrótce po ślubie Holmes został po raz pierwszy skazany na karę więzienia za jakieś drobne oszustwo. Georgiana, przekonana o niewinności małżonka, zdołała wykupić go za kaucją – na swoje nieszczęście, podzieliła bowiem los swych poprzedniczek, znikając pewnego dnia bez śladu.

Prawdopodobnie w 1894 roku Holmes prowadził interesy wspólnie z jakimś Benem Pitezelem. Wspólnicy nie darzyli się wzajemnie zbyt wielkim zaufaniem i często wybuchały między nimi kłótnie. Wreszcie Holmes uknuł pewien plan, który doprowadził do ujawnienia jego działalności.

Niejaki pan Perry, który niedawno otworzył biuro patentowe, został znaleziony martwy za swym biurkiem. Wszystko wskazywało na to, że śmierć była wynikiem nieszczęśliwego wypadku, doszło bowiem do wybuchu jakichś chemikaliów, którymi Perry najwyraźniej nieumiejętnie się posługiwał. Śledztwo zostało już umorzone, gdy z miejscową policją skontaktował się adwokat nazwiskiem Howe, który twierdził, iż posiada informacje, że Perry był w rzeczywistości Pitezelem, jego klientem. Wiadomość ta dotarła również do towarzystwa ubezpieczeniowego, które niedawno wydało polisę Pitezelowi. Całe zdarzenie miało miejsce w Filadelfii, wdowa po

Pitezelu wysłała więc z Chicago przyjaciela rodziny, H. H. Holmes, by zidentyfikował zwłoki Perry'ego czy też Pitezela. Holmes przybył na miejsce w towarzystwie córki Pitezela, 15-letniej Alice. Nie miał żadnych wątpliwości; ofiarą nieszczęśliwego wypadku był istotnie Pitezel. Odszkodowanie w wysokości 10 tysięcy dolarów wypłacono wdowie.

Wydawało się już, że sprawa została ostatecznie zakończona, gdy towarzystwo ubezpieczeniowe otrzymało list od więźnia nazwiskiem Hedgspeth. Informował on, że śmierć Pitezela jest ukartowanym specjalnie oszustwem. Hedgspeth poznał Holmesa w więzieniu, gdy ten odsiadywał kilka tygodni, czekając, aż Georgiana załatwi jego zwolnienie. Jak widać, Holmes nie próżnował ani chwili, gdyż właśnie w celi więziennej obmyślił plan wyłudzenia większej sumy od towarzystwa ubezpieczeniowego. Według informacji Hedgspetha, którego rola sprowadzała się do wskazania nieuczciwego adwokata, plan polegał na ubezpieczeniu Pitezela na życie, wyszukaniu zwłok z grubsza do niego podobnych i upozorowaniu wybuchu. Hedgspeth wskazał Holmesowi mecenasa Howe, który później rzeczywiście wystąpił w prawie. Więzień nie otrzymał jednak obiecanej zapłaty za przysługę, dlatego postanowił się zemścić na Holmesie, denuncjując go przed towarzystwem ubezpieczeniowym. Tak oto skąpstwo doprowadziło do ujęcia Holmesa, bo gdyby nie żałował tych paru groszy dla Hedgspetha, ileż jego ukochanych mogłoby jeszcze zniknąć... Towarzystwo ubezpieczeniowe najchętniej zapewne nie uwierzyłoby w informację Hedgspetha, lecz wynajęty detektyw bez trudu ujawnił pewne fakty, które wskazywały, iż jest ona prawdziwa. W miesiąc później Holmesa odnaleziono w domu jego ojca w Gilmanton i aresztowano. W końcu postanowił przyznać się do winy (rzecz jasna, tylko do oszustwa), twierdząc jednakże, iż Pitezel popełnił samobójstwo.

Wdowa po Pitezelu, przekonana, że jej mąż żyje i ukrywa się, po czym pojawi się, by wraz z nią cieszyć się z wyłudzonego odszkodowania, również przyznała się do udziału w oszustwie. Zeznała też, że po „śmierci” męża Holmes wywiózł troje spośród jej pięciorga dzieci, by podczas nieobecności ojca zamieszkały u pewnej wdowy w stanie Kentucky. Nigdy więcej już ich nie zobaczyła.

Wydawało się to zadaniem przekraczającym ludzkie możliwości, lecz pewien detektyw nazwiskiem Geyer podjął się odnaleźć dzieci Pitezela. Po dłuższym czasie poszukiwania dały rezultat, choć nie był on zbyt radosny, zwłaszcza dla pani Pitezel: w Toronto znaleziono ciała dwóch dziewczynek, w Indianapolis zaś chłopca. Nie ulega wątpliwości, że Holmes planował również zabicie pozostałej dwójki dzieci i samej pani Pitezel, by zdobyć pieniądze wypłacone przez towarzystwo ubezpieczeniowe. Przeszkodziło mu w tym aresztowanie.

Policja przeprowadziła rewizję w „zamku” Holmesa, ujawniając jego niezwykle wyposażenie. W pokojach znajdowały się ukryte wizjery oraz rurki gazowe; dopływ

gazu regulowano z biura, dzięki czemu Holmes mógł wypełnić gazem każdy pokój, nie ruszając się z biurka. Niektóre pokoje nie posiadały okien, inne wyłożone były azbestem lub stalowymi płytami. Piętro i parter połączone były z piwnicą przy pomocy szerokich zsypów, w piwnicy zaś znajdowały się różne narzędzia chirurgiczne oraz piec, wystarczająco duży, by można było spalić w nim zwłoki ludzkie.

W sprawie Holmesa najbardziej zdumiewający jest fakt, że wiele osób wiedziało to i owo o jego działalności, nikt jednakże nie poinformował o tym policji. I tak dozorca z sąsiedniego domu zeznał dopiero po aresztowaniu Holmesa, że widział w „zamku” zwłoki Julii Conner. Pewien mechanik nazwiskiem Chopmen również zgłosił się dobrowolnie na wieść o ujawnieniu sprawek Holmesa, by zeznać, że na polecenie tegoż usuwał kiedyś tkanki miękkie ze zwłok trzech osób. Holmes twierdził, że otrzymał ciała z kostnicy akademii medycznej, szkielety zaś zamierza sprzedać studentom medycyny. Chopman otrzymał po 36 dolarów „od sztuki”, jeśli można się tak wyrazić. Jedno ciało należało do mężczyzny, dwa do kobiet. Było to w czasie wystawy światowej, można więc przypuszczać, że owe ofiary po prostu zatrzymały się u Holmesa na nocleg.

Wreszcie pewien znajomy Holmesa, któremu ten się zwierzył, że Gertie Conner zaszła z nim w ciążę, a potem poinformował, iż dziewczyna zmarła przy porodzie w swym rodzinnym mieście, zeznał teraz, że podejrzewał Holmesa o zabicie Gertie. Nie zadał sobie jednak trudu bliższego zbadania sprawy.

30 listopada 1894 roku Holmes został skazany na śmierć za zabójstwo Pitezela. Apelacja została odrzucona. Oczekując na wykonanie wyroku, Holmes pisał pamiętniki na zlecenie jednej z gazet, opisując dokładnie 27 dokonanych przez siebie morderstw, których nigdy mu zresztą nie dowiedziono z powodu zbyt nikłych dowodów. Nie znaleziono zwłok ani jednej spośród tak licznych blondynek, a ponieważ zabójstwo dokonane na Pitezelu wystarczało do skazania, nie objęto aktem oskarżenia morderstw jego dzieci. Później wprawdzie Holmes odwołał wszystko, co napisał, utrzymując, że wymyślił to, „by gazety dostały coś za swoje pieniądze”. Wydaje się jednak, że jego wyznania były prawdziwe.

Holmes został powieszony 7 maja 1895 roku. Tuż przed egzekucją przyznał się do spowodowania śmierci Emily Cigrand i Julii Conner, które miały umrzeć w wyniku nieudanego zabiegu przerwania ciąży.

Peter KÜRTE

Dzięki psychiatrze, doktorowi Karlowi Bergowi, historia wampira z Düsseldorfu,

Petera Kürtena, obfituje w szczegóły dotyczące charakteru zbrodniarza. Dr Berg badał Kürtena zarówno przed rozprawą, jak i po ogłoszeniu wyroku, uznając go za niezwykle ciekawy przypadek. W toku wielogodzinnych rozmów zdołał zgromadzić dane dotyczące całego jego życia.

Peter Kürten urodził się w 1883 roku w Kolonii, w rodzinie formierza, człowieka brutalnego i alkoholika. Był trzecim z trzynastorga dzieci; rodzina żyła w nędzy i przez pewien czas zajmowała tylko jeden pokój.

Atmosfera wychowawcza w rodzinie Kürtena była wyjątkowo niekorzystna. Dzieci często bywały świadkami stosunków seksualnych swych rodziców, zdarzały się też kazirodcze stosunki ojca z córkami i pomiędzy rodzeństwem (pierwszą kobietą w życiu „wampira” była jedna z jego siostr). O ile rodzina matki, potulnej, zahukanej kobiety, składała się ze spokojnych, ciężko pracujących ludzi, o tyle w rodzinie ojca występowały przypadki przestępczości, alkoholizmu, chorób psychicznych i paraliżu.

Według słów samego Kürtena, sadyzm rozbudził w nim sąsiad, z zawodu hycel, który nauczył chłopca torturować i zabijać psy, w czym mały Peter wkrótce zaczął znajdować przyjemność. Twierdził też, że swe pierwsze morderstwo popełnił w wieku 9 lat, spychając dwóch rówieśników z tratwy, którą pływali po rzece.

Gdy Kürten miał 13 lat, rodzina przeprowadziła się do Düsseldorfu. Wkrótce potem Peter uciekł z domu i żył z napadów rabunkowych, na swe ofiary wybierając przeważnie dziewczęta i kobiety. Już wtedy prowadził niezwykle intensywne i po większej części perwersyjne życie seksualne. Wkrótce odkrył, że największą przyjemność sprawia mu widok krwi i pośmiertne drgawki ofiary. Wypróbował to na owcach. Przez pewien czas mieszkał z prostytutką, która pozwalała mu na sadystyczne traktowanie jej podczas stosunku.

W wieku 15 lat został aresztowany za kradzież i wkrótce otrzymał pierwszy z 17 wyroków, jakie miały złożyć się na 27 lat jego życia. Więzienie opuścił w dwa lata później, w 1899 roku, a stwierdziwszy, że jego rodzice rozwiedli się, zamieszkał z kolejną prostytutką; jej także okrucieństwo i tortury sprawiały przyjemność. Była dwa razy starsza od Kürtena.

Jak sam twierdzi, swe pierwsze morderstwo na tle seksualnym popełnił w listopadzie 1899 roku, kiedy to zaczął dusić dziewczynę podczas stosunku w lesie pod miastem i nagle stwierdził, że jego partnerka nie żyje. Pozostawił ją więc w lesie. Gdy jednak później sprawdzono jego wypowiedzi, okazało się, że w tamtym okresie nie znaleziono w okolicy żadnych zwłok. Możliwe zatem, że dziewczyna, odzyskawszy przytomność, po prostu poszła do domu i nikomu nie powiedziała o swej przygodzie.

Do roku 1904 Kürten częściej przebywał w więzieniu niż na wolności. Po odbyciu kolejnego wyroku (a dłuży się czas w celi umiłał sobie podobno marzeniami o zabijaniu kobiet) popełnił pierwsze w swej karierze podpalenie,

stwierdzając, że widok ognia wywołuje u niego podniecenie seksualne, potęgowane dodatkowo przez myśl, że w płonącej stodole czy stogu mógł spać jakiś włóczęga.

W 1905 roku, dokładnie 25 maja, Kürten popełnił swe pierwsze morderstwo, o którym posiadamy wiarygodne dane. Włamał się do gospody pod nieobecność właścicieli i w jednym z pokoi na piętrze natknął się na śpiącą 13-letnią Christine Klein. Udusił ją, po czym poderżnął jej gardło szczyrykiem i spowodował liczne obrażenia narządów seksualnych. Po kilku tygodniach życie innej dziewczyny znalazło się w niebezpieczeństwie, lecz w ostatniej chwili Kürtena spłoszył przechodzień. „Wampir” krążył też czasem z siekierą po pustych ulicach. Napadł i ciężko zranił dwie osoby. Widok ich krwi doprowadzał go do orgazmu. Dokonał też kilku następnych podpaleń, po czym – na szczęście – został przyłapany na kradzieży i następne 8 lat spędził w więzieniu.

Powróciwszy do Düsseldorfu w 1921 roku poznał w domu swej siostry kobietę, która wkrótce została jego żoną. Przyszła pani Kürten, grubokoścista, przedwcześnie postarzała i zdecydowanie brzydka, również spędziła 5 lat w więzieniu za zabójstwo niewiernego kochanka. Trudno powiedzieć, dlaczego Kürten ożenił się z nią – być może jej kryminalna przeszłość sprawiła że ujrzał w niej bratnią duszę. Żona miała w każdym razie do końca pozostać jedyną osobą, wobec której żywił sympatię i przywiązanie. Przez ponad dwa lata po ślubie prowadził nawet dość przyzwoity tryb życia, pracując w fabryce w Altenbergu, lecz wkrótce jego sadystyczne skłonności znów dały znać o sobie.

W 1925 roku Kürten powrócił do Düsseldorfu. Z zachwytem wspominał później, że miasto powitało go czerwona jak krew łuną zachodzącego słońca. Tego też dnia w Düsseldorfie rozpoczęły się rządy strachu.

Początki były jeszcze dość niewinne. W ciągu czterech lat (1925-28) Kürten, jak sam twierdzi, czterokrotnie usiłował udusić kobietę i dokonał 17 podpaleń.

W 1929 roku nastąpił punkt szczytowy w działalności „wampira”. W styczniu miało miejsce 6 podpaleń stodół i stogów. 3 lutego Kürten napadł na niejaką panią Kuhl. Została uderzona nożem 24 razy i fakt, że przeżyła, graniczy z cudem. 13 lutego znaleziono zwłoki 45-letniego mężczyzny nazwiskiem Scheer. Został pchnięty nożem 20 razy. 9 marca robotnicy odkryli na placu budowy zwłoki 8-letniej Rose Ohliger. Miała 13 ran od noża, a zwłoki zostały zbezczeszczone i oblane parafiną.

Te trzy wypadki zaskoczyły policję: wszystkie ofiary miały rany klute na skroniach, co wskazywałoby na tego samego sprawcę. Wydawało się jednak niemożliwe, by maniak seksualny, jakim niewątpliwie był ów sprawca, napadał zarówno na kobiety, jak i na mężczyznę i dziecko.

Po dwóch kolejnych napadach ujęto człowieka, który z początku wydawał się być poszukiwanym „wampirem”. Okazało się jednak, że pierwsze trzy napady nie były

jego dziełem. Kürten zaś w tym czasie zadowalał się romansami ze służącymi, które próbował udusić „dla żartu”. Zastanawiające jest, że żadna z nich nie złożyła o tym doniesienia.

W połowie sierpnia miały miejsce trzy napady, których ofiary, dwie kobiety i mężczyzna, uszły z życiem. Wreszcie 24 sierpnia odkryto podwójne morderstwo, które wstrząsnęło opinią publiczną całego miasta. Na pustym placu znaleziono ciała dwóch dziewczynek, 5-letniej Gertrude Hamacher i 14-letniej Louise Lenzen. Obie zostały uduszone, po czym sprawca poderznął im gardła. Żadna nie została zgwałcona. Tego samego popołudnia miał miejsce jeszcze jeden napad. Jego ofiara, służąca Gertrude Schulte, została jednak tylko lekko ranna i zdołała podać policji opis napastnika. Ów napad, dokonany w dzień po zabójstwie dwóch dziewczynek, utwierdził policję w przekonaniu, że w mieście działa dwóch wampirów. Wydawało się nieprawdopodobne, by ten sam człowiek już następnego dnia po zabiciu dwóch osób wybrał się na poszukiwanie kolejnej ofiary.

We wrześniu miały miejsce trzy napady, których ofiary zdołały się uratować. Natomiast pod koniec września niejaką Idę Reuter znaleziono na łące ze straszliwie zmasakrowaną głową. Została również zgwałcona. Kolejną kobietę, Elizabeth Dorrier, znaleziono 12 października. I tym razem sprawca posłużył się młotkiem.

25 października miały miejsce dwa napady. Oba zakończyły się szczęśliwie dla ofiar. Natomiast 7 listopada znaleziono zwłoki 5-letniej Gertrude Albermann. Dziecko zostało uduszone i 36 razy uderzone nożem.

W połowie listopada Kürten napisał list do jednej z gazet, podając w nim miejsce ukrycia kolejnych zwłok. Dowodzi to, że pilnie studiował sprawę Kuby Rozpruwacza, który również zasłynął z listów do gazet. We wskazanym miejscu znaleziono zwłoki Marii Hahn, która zginęła w sierpniu. Na jej ciele znajdowało się 20 ran klutych.

W Düsseldorfie zapanowała panika. Czego jednak nikt nie mógł przewidzieć, zabójstwa skończyły się już, choć napady miały trwać jeszcze sześć miesięcy. W ciągu minionych 10 miesięcy miało miejsce 8 zabójstw i 14 napadów.

Choć wampir był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całym Düsseldorfie, do ujęcia go doprowadził przypadek. Otóż jedna z napadniętych służących opisała swą przygodę w liście do znajomej. List trafił pod zły adres, a kobieta, która przez pomyłkę go przeczytała, wykazała zdrowy rozsądek, niosąc go na policję. Napadnięta służąca zaprowadziła policję do domu Kürtena. Nie zastali go, lecz on zauważył ich, wracając. Tej samej nocy wyznał wszystko żonie, polecając jej, by zgłosiła się na policję i zapewniła sobie tym samym wysoką nagrodę, jaką wyznaczono za wskazanie wampira. Nieszczęsna kobieta, która dotąd o nic nie podejrzewała męża, po kilkudniowych wahaniach spełniła jego prośbę. 24 maja 1929 roku Peter Kürten został ujęty dzięki informacjom swej żony. Rządy stracha dobiegły końca.

„Wampir” początkowo złożył obszerne zeznanie, w którym opisał wszystkie swe czyny, później jednak wycofał je. Tymczasem zgromadzono już wystarczającą ilość dowodów, by postawić Kürtena przed sądem za 9 morderstw. Większość jego ofiar, które przeżyły napad, zdołała go rozpoznać. Ich zeznania zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach z opowieścią „wampira”. Jeśli chodzi o swe zbrodnie, wykazywał on zdumiewającą pamięć.

Nie tylko żona była zaskoczona, gdy wampirem okazał się Kürten. Jeszcze przez dłuższy czas jego koledzy i znajomi uważali, że nastąpiła jakaś pomyłka. Peter Kürten miał bowiem opinię spokojnego, dobrze wychowanego człowieka i dobrego pracownika. Takie samo wrażenie odniósł też doktor Berg, gdy po raz pierwszy zetknął się z „wampirem”.

Proces Kürtena rozpoczął się 13 kwietnia 1931 roku i trwał 10 dni. Przez ten czas przez salę sądową przetoczył się korowód świadków, przede wszystkim kobiet, które opowiadały o „dziwnych” skłonnościach oskarżonego. Zeznania te najlepiej podsumował sam Kürten w ostatnim słowie. Podkreślił on mianowicie, że jego ofiary bardzo ułatwiały mu zadanie: godziły się pójść obcym mężczyzną do lasu, nie protestowały, gdy „dla żartu” zaczynał je dusić. Niektóre z nich spotykały się z nim nawet kilka razy.

Narada sędziów trwała półtorej godziny. Kürten został (zgodnie z ówczesnym prawem niemieckim) dziewięciokrotnie skazany na śmierć za dziewięć morderstw, które mu udowodniono.

Do ostatniej chwili „wampir” był w doskonałym humorze. Tuż przed szóstą rano dnia 2 lipca 1931 roku jadł z apetytem ostatnie śniadanie, prosząc o dokładkę. Idąc na gilotynę zwierzył się doktorowi Bergowi, że ma nadzieję usłyszeć tuż przed śmiercią, jak jego własna krew spływać będzie do naczynia. „Sprawiłoby mi to ogromną przyjemność... – powiedział.

Peter MANUEL

4 stycznia 1956 roku pewien robotnik, który w drodze do pracy przechodził przez pole golfowe w miejscowości East Kilbride, położonej na południe od Glasgow, znalazł w kotlinie zwłoki młodej dziewczyny. Jej głowa została rozłupana straszliwym ciosem. Choć ciało było częściowo rozebrane, a odzież podarta, okazało się, że sprawca nie dopuścił się gwałtu. Mimo starannych poszukiwań nie udało się odnaleźć w pobliżu miejsca zbrodni pończoch i reform zamordowanej. Była nią 17-letnia Anne Kneilands.

Upłynęło kilka miesięcy, w czasie których rozgłos wokół tajemniczej sprawy

zdażył przycichnąć, gdy we wrześniu tegoż roku w hrabstwie Lancashire zostały popełnione w krótkich odstępach czasu trzy włamania. Dwa z nich – pierwsze w Bothwell i drugie w High Burnside, w pobliżu miejsca, gdzie zginęła Anne Kneilands – były tak podobne, że policja uznała, iż popełnił je ten sam człowiek. Sprawca zabrał mianowicie nieco kosztowności, pozostawiając jednak co najmniej drugie tyle, choć było oczywiste, że nie miał trudności z ich znalezieniem. Z upodobaniem niszczył natomiast wyposażenie okradanych domów: spacerował po pościeli w zabłoconych butach, jakby dla zabawy pociął materace, dobrał się do zapasów żywności, a te, których nie był w stanie zjeść, porzrzucał po pokojach i podeptał. Trzecie włamanie, również w High Burnside, połączone było z potrójnym zabójstwem.

Włamywacz dostał się w nocy do domu niejakiego Williama Watta przy Fennbank Avenue nr 5. Pan domu pojechał właśnie na ryby nad jezioro Lochgilphead, w domu jednak znajdowała się jego żona, 16-letnia córka Vivienne i szwagierka, pani Margaret Brown. Gdy rankiem 17 września, jak co dzień, do domu weszła dochodząca sprzątaczką, ujrzała koszmarny widok: pani Watt i jej siostra leżały martwe w pościeli, zabite strzałem w głowę z bliskiej odległości, a Vivienne, która odniosła podobne obrażenia, żyła jeszcze, lecz zmarła w przeciągu godziny. Podobnie jak w wypadku Anne Kneilands, koszule nocne wszystkich trzech zamordowanych były podarte, lecz i tym razem żadna nie została zgwałcona. 27 września aresztowano Williama Watta, jako oczywistego podejrzanego, choć motyw tej strasznej zbrodni wydawał się niejasny; ponieważ jednak podane przezeń alibi potwierdziło się, zwolniony został z więzienia w Barlinnie 3 grudnia 1955 roku, spędziwszy tam 67 dni. Później dopiero miał się dowiedzieć, że w jednej z sąsiednich cel przebywał w tym czasie również morderca jego rodziny, który jednak – skazany za włamanie – opuścił więzienie dopiero rok później.

Fakt ten tłumaczy, dlaczego następne morderstwo, wykazujące podobieństwo do wcześniejszych, popełnione zostało dopiero pod koniec grudnia 1957 roku. Poprzedziło je „skromne” włamanie w Mount Vernon, gdzie łupem sprawcy padł aparat fotograficzny i para rękawiczek. Był to pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, a już 28 grudnia w tymże Mount Vernon zaginęła bez śladu 17-letnia uczennica, Isabelle Cooke. Wyszła ona z domu swych rodziców przy Carrick Drive, udając się na spotkanie ze swym chłopcem. Młody człowiek czekał jednak na próżno. Przez następne trzy tygodnie nieszczęśni rodzice liczyli jeszcze na jej powrót. Miejsce ukrycia zwłok Isabelle, płytki grób w pobliżu jej domu, wskazać miał bowiem dopiero morderca, którego schwytano wreszcie 14 stycznia.

Ostatnie, znów potrójne morderstwo dokonane zostało w nocy z 5 na 6 stycznia 1958 roku. Rankiem w środę 6 stycznia brygadzysta pewnej firmy budowlanej w Mount Vernon został wysłany do Uddington, gdzie przy Shepburn Road mieszkał

Peter James Smart, pracownik tejże firmy, który z niewiadomych powodów nie stawiał się tego dnia do pracy. Ponieważ brygadzysta nie mógł dostać się do domu Smarta, co wydało mu się podejrzane, wiedział bowiem, że powinna być w nim co najmniej jego żona, zawiadomił policję. W domu znaleziono zwłoki trzech osób: Smart i jego żona leżeli w łóżku, a 10-letni syn Michael w korytarzu. Wszyscy troje zostali zabici strzałem w głowę z przystawienia. Z domu zniknęła większa ilość pieniędzy i kosztowności.

Rozpoczęły się przesłuchania sąsiadów i znajomych państwa Smart. Biorąc pod uwagę podobieństwo tej zbrodni do poprzednich, a zwłaszcza do zabójstwa pani Watt i jej rodziny, policja przyjęła jednak, że sprawca jest osobą spoza kręgu państwa Smart. Zważywszy, że zdobył przy okazji tego morderstwa sporą sumę pieniędzy, należało zwrócić baczną uwagę na osobników, którzy nagle zaczęli wydawać pieniądze. Rozpoczęto więc dyskretną obserwację pobliskich knajp i wkrótce policja zainteresowała się pewnym człowiekiem o nazwisku Peter Manuel, który do niedawna poważnie zadłużony, z dnia na dzień stał się bogaczem, spędzającym całe dnie w towarzystwie kompanów i płacącym za nich wysokie rachunki. Okazało się przy tym, że tenże Manuel był przesłuchiwany na okoliczność zabójstwa Anne Kneilands przed dwoma laty, zwróciły bowiem uwagę liczne zadrapania na jego twarzy, powstałe najwyraźniej tej nocy, gdy dokonano zbrodni. Manuel zdołał wówczas wykazać się alibi, które policja uznała za wystarczające. Cóż, błąd ten miał kosztować życie wiele osób. W związku ze sprawą Anne Kneilands zdjęcie Manuela ukazało się nawet w jednej z gazet.

Podejrzany osobnik mieszkał z ojcem w Birkenshaw, przy Fourth Street nr 32. Przeszukanie domu ujawniło aparat fotograficzny i rękawiczki pochodzące z włamania w dniu Bożego Narodzenia. Stanowiło to podstawę do natychmiastowego zatrzymania Manuela pod zarzutem włamania, a już po dwóch dniach, 14 stycznia, i przedstawiono mu zarzut zamordowania rodziny Smart. Po upływie następnych dwóch dni Peter Manuel przyznał się do zabójstwa Anne Kneilands, pani Watt oraz jej siostry i córki, Isabelle Cooke i rodziny Smart. Wskazał też miejsce, gdzie zakopał ciało Isabelle Cooke. W czasie śledztwa ujawniono sporo danych o dotychczasowym życiu mordercy, które przytoczono następnie na sali sądowej. Peter Manuel urodził się w 1927 r. w Nowym Jorku, dokąd wyemigrowała jego rodzina. Powrócił następnie wraz z rodzicami do Anglii, co miało miejsce w 1932 roku. W październiku 1939 r. po raz pierwszy znalazł się pod dozorem kuratora za włamanie, a po pięciu tygodniach umieszczono go w zakładzie wychowawczym za kolejny czyn tego samego rodzaju. Do roku 1942, kiedy to ukończył 15 lat, zdołał 11 razy zbiec z zakładu. Podczas kolejnych pobytów na wolności, które nie trwały dłużej niż kilka dni, popełniał następne kradzieże i za każdym razem odwożony był do zakładu pod

konwojem policyjnym. Przy jednej okazji dokonał napadu przy pomocy młotka na kobietę, która przyłapała go na kradzieży. Tuż przed Bożym Narodzeniem w 1942 roku popełnił swe pierwsze przestępstwo seksualne: zgwałcił i obrabował żonę jednego z wychowawców w zakładzie. Zbiegł następnie i złapano go tym razem dopiero w marcu 1943 roku. Umieszczony został w zakładzie poprawczym o surowszym rygorze. Zwolniony w 1945 roku, zamieszkał w Szkocji, dokąd przeniosła się jego rodzina.

W sierpniu 1945 roku zarzucano mu włamanie w Blackpool, ale zdołał się jakoś wykręcić. Wkrótce jednak skazano go za 15 włamań popełnionych w Szkocji i w marcu 1946 trafił do więzienia. Już podczas odbywania kary udowodniono mu popełniony wcześniej gwałt, za co został skazany na osiem lat więzienia. Wyszedł na wolność latem 1953 roku. Z początku wydawało się, że nieco się ustatkował, zaręczył się nawet i z dziewczyną z Carluke i wyznaczono już datę ślubu. Jego narzeczona zerwała jednak zaręczyny, otrzymawszy anonimowy list, opisujący szczegółowo wszystkie sprawy jej przyszłego męża. Wszystko wskazuje na to, że autorem listu był... sam Manuel, który w dniu, kiedy miał stanąć na ślubnym kobiercu, zdołał obronić się przed zarzutem gwałtu, dokonanego kilka dni wcześniej w Airdrie.

Podczas rozprawy sądowej, która miała zakończyć się wyrokiem skazującym Manuela na śmierć za wielokrotne morderstwa, nie zdołano ustalić, czy dopuścił się jakichś przestępstw w latach 1953-56. Miało się to okazać dopiero później. Tymczasem przyjęto, że następnym czynem karalnym Manuela było zabójstwo Anne Kneilands w styczniu 1956 roku. We wrześniu tegoż roku zginęła pani Watt i jej rodzina, a 2 października Manuel został skazany na 18 miesięcy więzienia za włamanie w Hamilton i umieszczony w więzieniu w Barlinnie.

Zwolniono go 30 listopada 1957 roku. 28 grudnia zamordował Isabelle Cooke, a w początku stycznia następnego roku – rodzinę Smart.

Takimi danymi dysponowali przysięgli i sąd, który miał wyrokować o losie Manuela. Proces, który rozpoczął się 12 maja 1958 roku, dostarczył kilku niespodzianek, choć największe z nich miały nastąpić już po wyroku skazującym.

Okazało się mianowicie, że Manuel wysłał z więzienia w Barlinnie list do adwokata Williama Watta, proponując mu informacje o zabójcy rodziny jego klienta. Następnie skontaktował się z samym Watterem, później jednak z niewiadomych powodów wycofał się z planowanej transakcji.

Podczas procesu Manuel nieoczekiwanie stwierdził, że sam Watt winien jest zabójstwa swej rodziny, choć uprzednio podpisał przyznanie się do tego czynu. O swe inne morderstwa oskarżał różne fikcyjne osoby, których nie warto tu wymieniać, nieustannie bowiem zmieniał swe wyjaśnienia.

Największą jednak niespodziankę przyniósł dzień 22 maja, kiedy to Manuel

zrezygnował z usług swych obrońców i postanowił bronić się sam. Choć wszystkie dowody, łącznie z jego własnym przyznaniem się do winy, wskazywały na niego jako na sprawcę, twierdził, że wyznanie to wymuszono na nim, grożąc straszliwymi konsekwencjami, jakie miały spotkać jego rodziców, jeśli nie przyzna się do winy (istotnie, w początkach śledztwa, gdy Manuel podpisał przyznanie się do winy, zatrzymano także jego rodziców). Przyjęta przez Manuela linia obrony okazała się jednak nieskuteczna. Po 14-dniowym procesie został uznany winnym wszystkich zarzucanych mu czynów z wyjątkiem zabójstwa Anne Kneilands (w tym przypadku przysięgli uznali dowody za niewystarczające) i skazany na śmierć.

Oczekując na egzekucję, Manuel przyznał się do jeszcze trzech zabójstw: prostytutki Helen Carlin, zwanej Rudą Helką, którą znaleziono uduszoną we wrześniu 1954 roku, Anne Steele, 55-letniej starej panny, której zmasakrowane zwłoki odkryto w jej mieszkaniu w Glasgow 11 stycznia 1956 roku oraz Ellen Petrie, również prostytutki, o pseudonimie Nellie Angielka, która zginęła od noża w czerwcu 1956. Warto wspomnieć, że kilku bogatych obywateli Glasgow wyznaczyło nagrodą w wysokości 900 funtów za informacje, które doprowadziłyby do ujęcia mordercy Anne Kneilands lub Anne Steele, choć nikt wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jest to jeden i ten sam człowiek.

Przyznając się do czynów, Manuel wiedział, że nie ma szans na uniknięcie szubienicy. Został stracony w piątek 11 lipca 1958 roku o godzinie 8.01 rano.

Już po egzekucji zdołano dowieść, że Manuel winny był jeszcze jednego zabójstwa. Zdobyto mianowicie niezbite dowody, że tuż po opuszczeniu więzienia w Barlinnie, 8 grudnia 1957, zamordował Sydneya Dunna, taksówkarza z Newcastle, którego znaleziono z przestrzeloną czaszką i poderżniętym gardłem na wrzosowiskach w Edmondbyers, w pobliżu jego porzuconego wozu. Nie sposób jednakże stwierdzić z całą pewnością, że lista przestępstw Manuela jest kompletna; istnieją podstawy, by w to wątpić.

Earle NELSON

Opis kariery przestępczej osobnika, o którym będzie mowa, sprawił nam nieco kłopotu, nie tyle jednak ze względu na jakiś szczególnie wyszukany sposób dokonywania zabójstw, co z uwagi na ich... ilość. Nelson popełnił bowiem co najmniej 22 morderstwa (a mogło ich być znacznie więcej).

Earle Nelson urodził się 12 maja 1897 roku w Stanach Zjednoczonych. Gdy miał 9 miesięcy, jego 20-letnia matka zmarła w wyniku zaawansowanej choroby wenerycznej, którą prawdopodobnie zaraziła się od ojca swego dziecka (w metryce

Nelsona figuruje on jako NN). Wychowaniem chłopca zajęła się jego ciotka, pani Lillian Fabian.

Od najmłodszych lat Nelson zdradzał objawy niedorozwoju umysłowego. Fotografia wykonana gdy miał 3 lata pokazuje nam dziecko o wyraźnie zdegenerowanych rysach, półotwartych ustach i bezmyślnym wyrazie twarzy. Jak wspominała potem jego ciotka, do 10 roku życia Nelson był cichy i spokojny, lecz chorowity. Jako dziesięcioletek został potrącony przez tramwaj konny, w wyniku czego odniósł obrażenia głowy, wstrząs mózgu i liczne urazy tułowia. Był nieprzytomny przez sześć dni, a później przez całe życie miał cierpieć na bóle i zawroty głowy. Bóle były tak silne, że niekiedy nie był w stanie utrzymać się na nogach. Od czasu wypadku stał się jeszcze bardziej ponury i niekomunikatywny.

Poproszona o jakieś szczegóły z dzieciństwa chłopca, pani Fabian wymieniła jego ulubione zajęcia: chodzenie na rękach, podnoszenie krzeseł zębami i ukrywanie się w piwnicy.

Swe pierwsze przestępstwo popełnił Nelson właśnie w piwnicy. 21 maja 1918 roku dokonał napadu na małą dziewczynkę, którą udało mu się zwabić do piwnic pustego domu. Okazało się wówczas, że komisja lekarska zwolniła go z obowiązku służby wojskowej z powodu niedorozwoju. Został umieszczony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

W ciągu następnych sześciu miesięcy uciekał trzykrotnie. Po ostatniej ucieczce, w grudniu 1918 roku, zdołał uniknąć schwytania przez dwa i pół roku. Wtedy też, w 1919 roku, ożenił się. Jego małżeństwo trwało jednak zaledwie sześć miesięcy. Ponownie umieszczony w zakładzie, uciekł z niego w listopadzie 1923 roku.

Od chwili ucieczki do 1926 roku nie posiadamy żadnych danych o jego życiu. Natomiast od lutego 1926 do chwili ujęcia w czerwcu 1927 zamordował co najmniej 22 osoby.

Pod koniec lutego 1926 roku w San Francisco znaleziono zwłoki panny Clary Newman na strychu jej domu, w którym – jak wskazywał napis wystawiony we frontowym oknie – znajdowały się „pokoje do wynajęcia”. 60-letnia kobieta została uduszona, a następnie zgwałcona.

2 marca w niemal identycznych okolicznościach znaleziono w San Jose również 60-letnią Laurę E. Beale. Dziennikarze ochrzcili tajemniczego sprawcę mianem „Mroczny dusiciel”.

10 czerwca, znów w San Francisco, 63-letnia Lillian St Mary została uduszona i zgwałcona, a zwłoki jej sprawca wepchnął pod łóżko. Dwa tygodnie później jej los podzieliła pani Russel z Santa Barbara, której ciało również znaleziono pod łóżkiem. Dwa miesiące później uduszono i zgwałcono Mary Nesbit z Oakland, również w stanie Kalifornia.

W październiku miały miejsce trzy zabójstwa w Portland w stanie Oregon. Policja tego miasta nie spisala się jednak najlepiej. Otóż 19 października Beata Withers, przystojna 35-letnia rozwódka, znaleziona została przez swego 15-letniego syna nieżywa w sporym kufrze. Policja przypisała jej śmierć... samobójstwu. 20 października zwłoki uduszonej 59-letniej Virginii Grant wydobyto z pieca domu, w którym wynajmowała pokoje sublokatorom. Tym razem uznano, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Wreszcie następnego dnia odkryto zwłoki Mable Fluke. Również i ta kobieta żyła z wynajmowania pokoi, została uduszona i ciało jej znaleziono na strychu. Tym razem wreszcie policja uznała, że ma prawdopodobnie do czynienia z zabójstwem.

Nelson powrócił do San Francisco. 18 listopada udusił i zgwałcił 56-letnią panią Edmunds. 6 dni później zabił swą dziesiątą ofiarę, niejaką Florence Monks w Seattle. Zabrał też nieco znalezionej w jej domu biżuterii. Udawszy się następnie do Oregon City udusił tam 48-letnią Blanche Myers, której zwłoki znaleziono pod jej łóżkiem. Pani Myers oferowała pokoje do wynajęcia.

Policja rozpoczęła poszukiwanie biżuterii, którą „Mroczny dusiciel” często zabierał swym ofiarom. W odpowiedzi na liczne apele w prasie zgłosiły się trzy starsze panie z South Portland, właścicielki pensjonatu, przynosząc biżuterię, którą zakupiły od pewnego młodzieńca. Człowiek ten mieszkał u nich przez pięć dni i wyprowadził się w dniu, w którym zginęła pani Myers. Jak się okazało, była to biżuteria pani Monks. Policja miasta Portland wyznaczyła nagrodę w wysokości 2.500 dolarów za schwytanie wampira. Nelson był już jednak daleko, bo aż w stanie Iowa.

Tam, w miejscowości Council Bluffs, udusił i zgwałcił 49-letnią panią Beard na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia. Następnie udał się do Kansas City, gdzie zabił zaledwie 23-letnią Bonnie Pace. 27 grudnia udusił Germanię Harpin, lat 28, oraz pozbawił życia jej 8-miesięczne niemowlę, wpychając mu do gardła kawałek szmaty.

Minęły cztery miesiące, zanim „Goryl” (tak go teraz nazywano) znów znalazł się na pierwszych stronach gazet. 27 kwietnia 1927 roku 60-letnia Mary McConnell została uduszona w Filadelfii.

Częstotliwość zabójstw Nelsona stała się doprawdy przerażająca. 30 maja w Buffalo jego ofiarą padła 35-letnia Jenny Randolph. Dwa dni później, w Detroit, zginęły dwie kobiety: 53-letnia Minnie May, właścicielka małego pensjonatu oraz jej sublokatorka, pani Atorthy. Po następnych dwóch dniach w Chicago znaleziono zwłoki 27-letniej Mary Sietsema. Kobieta została zgwałcona i uduszona (jedyne wypadek, gdy Nelson dokonał gwałtu na żywej ofierze!).

Po zabiciu pani Sietsema Nelson pojechał do Kanady, co – jak się miało okazać – było wielkim błędem. Do Winnipeg dotarł autostopem dnia 8 czerwca. W sklepie z używaną odzieżą zamienił swe ubranie na inne, prawdopodobnie po to, by uniknąć

identyfikacji. Następnie wynajął pokój w pensjonacie pani Catherine Hill przy Smith Street nr 133. Zapłacił 1 dolara w formie zaliczki, przedstawiając się jako pomocnik majstra budowlanego i twierdząc, że potrzebuje cichego pokoju w celu uprawiania „medytacji religijnych”. Pani Hill uznała go za całkiem normalnego, więcej – zrobił nawet na niej dobre wrażenie; choć zauważyła, że nigdy nie patrzy wprost na swego rozmówcę, przypisała to jednak nieśmiałości.

Tego samego wieczoru Nelson zamordował córkę pary małżeńskiej, która również wynajmowała pokój u pani Hill. 14-letnią Lolę Cown, a raczej jej zmasakrowane zwłoki odnaleziono dopiero po czterech dniach, gdy komuś z domowników wpadło do głowy, by przeszukać niezamieszkałe pokoje pensjonatu. Dziewczynkę wydobyto spod łóżka, a to, co ujrzeli obecni i policja, sprawiło, że szczegóły tej zbrodni nigdy nie ujawniono.

W czwartek, 9 czerwca, o godzinie 18 niejaki William Patterson powrócił z biura do domu przy Riverton Avenue nr 100 w Winnipeg, by stwierdzić niewytłumaczalną nieobecność swej żony. O 22-ej, gdy położył już do łóżek swych dwoje dzieci, zatelefonował na policję pytając, czy żona jego nie została ranna w jakimś wypadku. Policja nie miała jednak żadnych informacji. Pan Patterson raz jeszcze przeszukał dom i teraz dopiero zauważył, że ktoś skradł 7 dolarów z jego biurka i nieco odzieży zimowej z waliz. Coraz bardziej zaniepokojony, klęknął wreszcie przy łóżku, by pomodlić się o odnalezienie żony. Wtedy też zauważył jej zwłoki. Zmasakrowana młotkiem i zgwałcona, pani Patterson została wepchnięta pod łóżko. Lekarz policyjny ustalił godzinę zgonu na 11-tą tegoż przedpołudnia.

Odzież skradzioną u Pattersonów Nelson sprzedał w sklepie z używaną odzieżą, po czym udał się do fryzjera. Ten podczas golenia klienta zauważył krew na jego włosach, nie przywiązywał jednak do tego większej wagi. Następnie Nelson wyjechał z Winnipeg. Podróżując kolejką podmiejską, nawiązał rozmowę z jakimś Hoferem, członkiem sekty religijnej Hutterytów. Wykazywał niezwykle zainteresowanie religią, o sobie zaś powiedział, że jest dobrym katolikiem, lecz zdarza mu się za dużo wypić. Pod Winnipeg zatrzymał samochód, który podwiózł go do Regina. Z kierowcą, jakimś Hugh Ekderein, rozmawiał o innej sekcie, zwanej Mennonitami.

W sobotę, 11 czerwca wynajął pokój w Regina. Przez dłuższą chwilę znajdował się sam na sam z gospodynią, ale widocznie nie miał nastroju na morderstwo. Wieczorem zaczepił małą dziewczynkę na Dwunastej Alei. Zauważyła go jednak ta właśnie gospodyni, pani Rowe i zagadnęła, ratując tym samym życie małej.

Następnego dnia Nelson chciał zamienić swój kapelusz w małym sklepiku z używaną odzieżą (był najwidoczniej przekonany, że wystarczy mu tylko zmienić jakiś szczegół stroju, by nikt go nie rozpoznał, co jak dotąd okazywało się, niestety, prawdą). Właścicielowi sklepu nie spodobał się klient; zadał mu więc kilka pytań,

które tak przerażyły Nelsona, że natychmiast opuścił miasto, pozostawiając u pani Rowe wszystkie swoje rzeczy.

Zatrzymał na szosie samochód niejakiego Isadore Silvermana, któremu tak przypadł do gustu że najbliższą noc spędzili w tym samym hotelu, a następną – nawet w tym samym pokoju. Rozstali się w Boissevain, gdzie miała zakończyć się kariera wampira Nelsona.

Urzędnik pocztowy, niejaki Leslie Morgan, rozpoznał go na podstawie listów gończych, jakie od dawna krążyły już po Kanadzie. Mimo iż wizerunek poszukiwanego sporządzony był na podstawie portretów pamięciowych, okazał się dość wierny. Nelsona zatrzymano na szosie pod Wakopa. Umieszczony w areszcie w Killarney zdołał w nocy otworzyć zamek pilnikiem do paznokci. Gdy rano odkryto jego ucieczkę, w okolicy wybuchła panika. Jego pobyt na wolności trwał jednak niecałe 12 godzin. Złapano go, gdy usiłował ukraść ubranie.

Nelson stanął przed sądem 1 listopada 1927 roku pod zarzutem zabójstwa pani Patterson. Proces trwał cztery dni. Oskarżony, elegancko ubrany, był zupełnie spokojny. Obrona powołała zaledwie dwóch świadków: ciotkę Nelsona, panią Fabian i jego żonę. Chociaż jednak zeznania ich dowodziły niewątpliwej choroby umysłowej oskarżonego, nie dostarczyły podstaw do orzeczenia o jego niepoczytalności. Uznano go winnym zarzucanego mu czynu i powieszono w Winnipeg 13 stycznia 1928 roku.

Prawdopodobnie wymienione wyżej 22 morderstwa nie stanowią pełnej listy zbrodni Nelsona. Spośród wielu podobnych czynów, które mogły być jego dziełem, wymieńmy potrójny mord dokonany w Newark w stanie New Jersey w 1926 roku: Rose Valentine i Margaret Stanton zostały wówczas uduszone, zaś Laura Tidor, która przybiegła słysząc ich jęki, zastrzelona.

Nie dysponujemy, niestety, fotografią Nelsona. Opierając się jednak na dostępnych opisach, można stwierdzić, że miał małą twarz z cofniętym czołem, wywiniętymi wargami i oczami pozbawionymi wyrazu. Przewisko „Goryl”, nadane mu przez prasę, okazało się wyjątkowo trafne.

Joseph VACHER

Joseph Vacher był francuskim odpowiednikiem słynnego Kuby Rozpruwacza. Między tymi dwoma przypadkami istnieje zasadnicza różnica: otóż Vachera zdołano ująć (miał wtedy na swym koncie 14 ofiar), osadzić i zgilotynować. Grasował on w południowo-wschodnich rejonach Francji w latach 1894-1897.

Joseph Vacher urodził się w 1869 roku. Już w dzieciństwie zachowywał się dziwnie, lecz skłonności do agresji wystąpiły u niego dopiero w 1890 roku, kiedy

to został wcielony do armii. Z początku po prostu w bardziej niż inni poborowi lubił wdawać się w bójkę. Pierwszy wyczyn, który zwrócił na niego baczniejszą uwagę przełożonych, związany był z doznany przez niego zawodem. Otóż Vacher liczył na awans na kaprala. Gdy ogłoszono listę awansowanych, a jego nazwisko nie zostało wymienione, z rozpaczy poderżnął sobie gardło brzytwą. Ponieważ uczynił to na oczach kolegów, bez trudu go odratowano. Osiągnął przy tym swój cel: skoro bowiem wykazał się tak wielkim zapałem bojowym, wkrótce uzyskał upragniony stopień.

Niedługo potem zauważono, że kapral Vacher ze szczególnym zainteresowaniem przygląda się szyjom swych kolegów, coś przy tym mamrocząc. Słowa były niewyraźne, gdy jednak zrozumiano wreszcie, że Vacher mówi o „potokach krwi”, pospiesznie umieszczono go w szpitalu. Po pewnym czasie lekarze uznali, że stan jego znacznie się poprawił, Vacher zaczął więc otrzymywać przepustki do miasta.

Podczas takich właśnie przepustek zajmował się zaczepianiem dziewcząt i młodych kobiet. Nie szło mu to najlepiej. Nie dysponujemy, niestety, podobizną Vachera, kronikarze zapewniają nas jednak, że Adonise nie był. Miał też – jak się później okazało – pewne skłonności homoseksualne, lecz w tamtych czasach interesowały go wyłącznie osoby płci przeciwnej.

Jak więc wspomnieliśmy, kobiety na ogół odrzucały jego nieudolne zaloty. Wreszcie jednak trafił na dziewczynę, która – jako pierwsza – potraktowała go życzliwiej. Miała na imię Louise (nazwisko, niestety, zaginęło gdzieś w aktach) i pochodziła z Baume-des-Dames. Prawdopodobnie nieszczęsna panna Louise również nie była piękną, skoro zgodziła się spotykać z Vacherem. Ich kontakty trudno nawet nazwać romanssem: po trzech spotkaniach, na które składały się nieudolne próby podtrzymania rozmowy, Vacher wpadł nagle w niczym nie uzasadniony szał zazdrości i postrzelił dziewczynę trzema strzałami ze swej broni służbowej (należy się dziwić, że nie odebrano mu jej, gdy trafił do szpitala). Czwarty strzał oddał do siebie samego, celując w twarz.

Można tylko żałować, że Vacher przeżył. Uszkodził sobie prawe oko i doprowadził do paraliżu prawej połowy twarzy, co w połączeniu z ogromną blizną na szyi z pewnością nie dodawało mu uroku. Stał przed sądem za postrzelenie panny Louise, jednak jego niepoczytalność nie ulegała już wtedy wątpliwości. Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym w Saint-Ylle. Jego ataki szału przewyższały wszystko, co wyprawiali nawet najbardziej obłąkani pacjenci.

W 1893 roku Vacher przeniesiony został do innego szpitala w Saint-Roberts. I oto znów nasuwa się smutna refleksja o karygodnym braku odpowiedzialności zajmujących się nim lekarzy. Otóż 1 kwietnia (dość makabryczny „prima aprilis”, jak się miało później okazać) 1894 roku Vacher opuścił szpital jako „całkowicie wyleczony”. Może jednak niesłusznie oskarżamy psychiatrów? Może istotnie jego

objawy całkowicie ustąpiły? Przeczytajmy zachowaną w historii choroby listę przedmiotów, jakie był pacjent zabrał ze sobą na wolność (pod spodem figuruje zamaszty podpis lekarza, który przedmioty te widział).

Otóż opuszczając szpital Vacher miał ze sobą okazałych rozmiarów worek, a w nim: komplet map, parasol, potężną pałkę z wyrzeźbioną sentencją: „Kto czyni dobro, znajduje dobro”, akordeon, duże nożyczki krawieckie oraz... kolekcję 123 noży. „Wyleczony” pacjent z nożami pobrzękującymi w worku udał się w niewiadomym kierunku.

Już wkrótce dowiedziano się, dokąd poszedł. Oto w połowie maja na mało uczęszczanej wiejskiej drodze pod Vienne znaleziono 21-letnią robotnicę z pobliskiej fabryki, Eugenie Delhomme. Dziewczyna została zadźgana nożem (zapewne należącym do kolekcji), następnie sprawca rozpruł jej brzuch i wreszcie zgwałcił zwłoki.

Rozpoczęto poszukiwania mordercy. Nie ulegało wątpliwości, że zbrodnia jest dziełem szaleńca, przez pewien czas podejrzewano jednak narzeczonego zabitej, z którym miała się podobno pokłócić tuż przed śmiercią. Nieszczęsny chłopak został natychmiast zwolniony, gdy w okolicy znaleziono następne zwłoki, zmasakrowane w identyczny sposób.

Jak wiemy, zbrodni tych było w sumie czternaście. Już po trzeciej ofierze okazało się, że płeć nie ma dla sprawcy znaczenia: młody robotnik rolny, na którego zwłoki natknęto się pewnego ranka, został zadźgany nożem w identyczny sposób jak poprzednie ofiary, kobiety. Miał też identycznie rozpruty brzuch, wreszcie jego zwłoki również nosiły ślady zgwałcenia po śmierci. Ofiarami byli głównie młodzi robotnicy rolni (8 kobiet, 6 mężczyzn): wszyscy zostali zmasakrowani i zgwałceni po śmierci, a na ciałach niektórych widniały ślady ludzkich zębów.

Nietrudno wyobrazić sobie panikę, jaka wkrótce ogarnęła okolice. Miało to trwać, jak pamiętamy, aż trzy lata i nigdy nie było wiadomo, kiedy tajemniczy, nieuchwytny szaleńiec uderzy znowu. Trzeba przy tym przyznać, że Vacher zadowalał się niewielką w sumie ilością morderstw rocznie, jeśli wziąć pod uwagę, że przez trzy lata zabił 14 osób (a w naszym leksykonie zdarzają się osobnicy, którzy zabijali nawet i dwa razy dziennie). Fakt, że zabójstwa następowały w tak dużych odstępach, wpłynął też niewątpliwie na postępy śledztwa.

W zeznaniach świadków zaczęły od pewnego czasu pojawiać się informacje o czarnobrodym włóczędze o rzekomo strasznym wyglądzie. Ponieważ z początku opowieści te żywo przypominały bajki o „czarnym ludzie”, policja potraktowała je jako wytwór ludowej wyobraźni. Gdy jednak taki sam opis tajemniczego nieznanego podawali mieszkańcy wiosek bardzo od siebie oddalonych, prowadzący śledztwo uznali taki zbieg okoliczności za wyjątkowo nieprawdopodobny.

Tymczasem do opisu włóczęgi dodawano coraz to nowe szczegóły, w miarę jak widziało go więcej osób. Miał to więc być zwalisty mężczyzna w nieokreślonym wieku, z ogromną, potarganą, kruczoczną brodą, lekko przygarbiony i dźwigający worek (a w nim zapewne swą kolekcję). Najstraszniejsza była jednak twarz nieznajomego: pokryta ona była bliznami, dziwnie nieruchoma, zaś w miejscu jednego oka znajdowała się otwarta ropiejąca rana.

Trzeba przyznać, że człowieka o takiej powierzchowności trudno nie zapamiętać. Ponieważ zaś nie ulegało wątpliwości, że nieznajomy – jeśli istotnie on jest sprawcą – to szaleniec, postanowiono więc zbadać losy byłych pacjentów szpitali psychiatrycznych, którzy zbiegli, czy też wyszli na wolność na krótko przed pierwszym zabójstwem. Wkrótce okazało się, że jeden tylko osobnik o takiej powierzchowności opuścił przed trzema laty szpital. Był nim Joseph Vacher. Gdy policja zbadała jego historię choroby oraz przeczytała wzmiankę o kolekcji noży, tożsamość sprawcy stała się znana. Teraz należało go jeszcze pochwycić, zanim dokona następnego czynu.

Nie było to łatwe. Teren działania szaleńca był dość duży, a on sam nigdy – o ile można było się zorientować – nie korzystał ze środków komunikacji, ani nie zaglądał do sklepów. Policja czekała więc na kolejny sygnał o pojawieniu się czarnobrodego „Rozpruwacza”.

Okazało się jednak, że Vacher podjął kolejną próbę zabójstwa, zanim ktokolwiek zdążył go zauważyć w okolicy. Tym razem miał pecha. Rzeczą działa się w Bois des Pelleries, dokąd Vacher zawędrował zapewne zupełnie przypadkowo (jak i we wszystkie inne miejsca).

W środku lasu natrafił na kobietę zbierającą szyszki. Dookoła było zupełnie pusto. Był 4 sierpień 1897 roku.

Vacher trafił fatalnie. Zaatakowana przezeń kobieta miała bowiem posturę i głos Amazonki, zdołała więc nie tylko wyrwać mu się i powalić go prawym sierpowym, ale i potężnym krzykiem wezwała na ratunek swego męża i dzieci, którzy w pobliżu zajmowali się również zbieraniem szyszek. Vacher usiłował uciec, lecz mąż zaatakowanej niewiasty był równie słusznego wzrostu i siły, co ona sama i we dwoje bez trudu przytrzymali rozpaczliwie wrywającego się szaleńca. Ich krzyki wezwały z pola pracujących tam okolicznych chłopów. Gdy jednak nadbiegli, okazało się, że schwyty nagle złagodniał i uśmiechnął się promiennie. Mimo że nie stawiał oporu, został dość brutalnie zawleczony do gospody w pobliskiej wiosce. Przed linczem uchroniło go chyba dziwaczne zachowanie: usiadł za stołem, ze swego przepastnego worka wydobyl akordeon i szeroko uśmiechnięty wygrywał skoczne melodyjki aż do chwili przybycia policji. Możemy sądzić, że zdezorientowani chłopcy zaczęli już się zastanawiać, czy rzeczywiście ujeli groźnego szaleńca, który prześladował ich przez

trzy lata.

Przewieziony na posterunek policji, Vacher nadal zachowywał się spokojnie. Pilnowano go mimo to bez przerwy, pamiętając o jego zwyczaju wpadania w szał bez powodu. Istotnie wkrótce okazało się, że przejawiana dotąd łagodność nie była spowodowana chęcią ukazania się w jak najlepszym świetle czy wręcz uniknięcia kary. W pewnej chwili Vacherowi coś się nie spodobało i oto łagodny baranek zmienił się w rozjuszona tura. Mimo że przytrzymało go trzech krzepkich żandarmów, zdołał potłuc kilka sprzętów w pokoju przesłuchań.

Vacher odpowiadał przed sądem za zabójstwo tylko jednej ze swych ofiar, kilkunastoletniego pastuszka, Victora Portalier. W tej właśnie sprawie zgromadzono bowiem najwięcej dowodów. Mówiono jednak obszernie również i o innych zabójstwach, a także o zdrowiu psychicznym oskarżonego w związku ze zrozumiałymi wątpliwościami co do stopnia, w jakim odpowiada on za swe czyny. Potworność zbrodni sprawiła jednak, że przysięgli niechętnie słuchali uczonych wywodów o niepoczytalności Vachera. On sam w obszernych wyjaśnieniach (złożonych w dniu, kiedy był w lepszym humorze, gdyż niekiedy trzeba było przywiązywać go do lawy oskarżonych) jako przyczynę swego obłędu podawał ugryzienie go przez wściekłego psa jeszcze w dzieciństwie. Cóż, dzisiaj wiemy, że ukąszenie wściekłego zwierzęcia kończy się nie obłędem, lecz śmiercią. Może szkoda jednak, że pies, który ugryzł małego Josepha Vachera, nie był wściekły.

Vacher został uznany winnym morderstwa i stracony 31 grudnia 1897 roku.

Człowiek z siekierą

W nocy z 23 na 24 maja 1918 roku w Nowym Orleanie nieznany osobnik wyważył drzwi do sklepiku spożywczego prowadzonego przez niejakiego Josepha Maggio, po czym przedostał się na zaplecze, gdzie państwo Maggio zajmowali dwa pokoje. Napastnik zadał śpiącym małżonkom straszliwe ciosy siekierą, po czym – choć oboje już nie żyli – poderznął im gardła brzytwą, niemal oddzielając głowy od tułowia. Wezwana następnego dnia rano policja odkryła pod przesiąkniętą krwią poduszką pana Maggio sporą jak na owe czasy sumę ponad stu dolarów. Stało się więc jasne, że motywem działania sprawcy nie był rabunek, tym bardziej że z mieszkania, ani ze sklepu nie zginął żaden, najmniejszy nawet przedmiot. Na miejscu zbrodni pozostała natomiast brzytwa, seryjny wyrób bez żadnych znaków szczególnych. Siekierę sprawca zabrał ze sobą.

Było to pierwsze morderstwo popełnione przez osobnika, który wkrótce ochrzczony został przez prasę mianem „Człowieka z siekierą”; w każdym razie

pierwsze z serii morderstw popełnionych w 1918 roku, bo jak się miało wkrótce okazać, tajemniczy zbrodniarz działał już na długo przedtem.

Otóż w odległości kilkudziesięciu metrów od sklepiku państwa Maggio okoliczni mieszkańcy zauważyli dziwny napis, wykonany kredą na chodniku tej właśnie nocy, gdy o kilka domów dalej rozgrywała się tragedia. Nierównymi, drukowanymi literami ktoś nabazgrał następujące słowa:

„Pani Maggio nie położy się dziś spać, podobnie jak pani Toney”...

O napisie spiesznie poinformowano policję. Pierwsza myśl, jaka nasunęła się prowadzącym śledztwo, nie potwierdziła się: otóż ani tej samej, ani żadnej z poprzednich nocy w Nowym Orleanie nie zdarzyło się podobne morderstwo dokonane na osobie o nazwisku czy imieniu Toney. Dopiero żmudne przeszukiwanie kartotek policyjnych ujawniło prawdopodobne znaczenie napisu na chodniku: w 1911 roku, a więc siedem lat wcześniej, w mieście popełniono trzy podobne zabójstwa przy użyciu siekiery. Wszystkie ofiary były pochodzenia włoskiego (jak państwo Maggio); co więcej, wszystkie prowadziły sklepiki spożywcze. W dwóch wypadkach zamordowani byli wdowcami, ich nazwiska brzmiały Cruti i Rosetti. Za trzecim razem sprawca włamał się do mieszkania niejakiego Schiambrasa i pozbawił życia również żonę sklepikarza. Nieszczęsny Schiambras miał na imię Tony. Przyjęto zatem, że to właśnie do pani Schiambras odnosi się napis na chodniku w pobliżu sklepu państwa Maggio, tym bardziej że mord popełniony w maju 1918 roku przypominał w najdrobniejszych szczegółach wydarzenia sprzed siedmiu lat. Oznaczało to, że niebezpieczny szaleniec, którego wówczas nie udało się schwycić, podjął na nowo swą zbrodniczą działalność.

Mimo to w początkowej fazie śledztwa aresztowano dwóch braci Josepha Maggio, którzy dziedziczyli po nim sklep i niewielki majątek. Po paru dniach zostali jednak zwolnieni.

Przez kilka tygodni panował spokój. Akta sprawy odnotowują jeden tylko fakt, który – choć niewątpliwie tragiczny – nie miał nic wspólnego z „Człowiekiem z siekierą”. Otóż detektyw Theodore Obitz, któremu powierzono sprawę zabójstwa państwa Maggio, zginął ugodzony śmiertelnie nożem przez murzyńskiego włamywacza w chwili, gdy aresztował go za kolejne włamanie.

Tuż po północy 28 czerwca „Człowiek z siekierą” znów uderzył. Wyważywszy drzwi do sklepiku spożywczego niejakiego Louisa Besumera, zaatakował właściciela i jego żonę. Wydaje się, że tym razem nie miał ze sobą siekiery, użył bowiem narzędzia znalezione w sklepie. Może wydało mu się ono bardziej poręczne?

Napastnika spłoszył prawdopodobnie jakiś hałas na ulicy, nie dokończył bowiem dzieła. Besumer zdołał przeżyć, lecz jego żona (a właściwie konkubina, jak się później okazało) zmarła od ran kilka dni później. Po mieście krążyły plotki, że

Besumer jest niemieckim szpiegiem. Być może przyczyniły się one do aresztowania go pod zarzutem zabójstwa żony w dniu 5 sierpnia. Wypuszczono go jednak już następnego dnia. Tej samej bowiem nocy, która dla Besumera miała być pierwszą nocą aresztu, „Człowiek z siekierą” zaatakował ponownie.

Tym razem włamał się do mieszkania państwa Scheider, gdzie zastał tylko panią domu w zaawansowanej ciąży. Zadał jej kilka ciosów siekierą, nie zdołał jej jednak zabić. Wróciwszy późno z pracy, mąż znalazł nieszczęsną kobietę w kałuży krwi. Dzięki natychmiastowej pomocy pani Scheider nie tylko wyzdrowiała, ale i w tydzień po napadzie urodziła zupełnie zdrową córeczkę.

10 sierpnia „Człowiek z siekierą” dostał się do domu Josepha Romano, jak zwykle wyważając drzwi. Gdy dwie siostrzenice ofiary, zajmujące pokój na piętrze, zbiegły na dół usłyszawszy hałas w pokoju stryja, ujrzały tylko wysokiego białego mężczyznę, wyskakującego przez okno. Romano zmarł w wyniku ran głowy. Możliwe, że tym razem „Człowiek z siekierą” pomylił się w doborze ofiary, bowiem Romano, jako jedyny z zamordowanych, był fryzjerem, nie zaś sklepikarzem.

Zapanował spokój. Policja przypuszczała, że tajemniczy szalenciec zmarł, znalazł się w więzieniu za inne przestępstwa lub opuścił Nowy Orlean, a sklepikarze odetchnęli z ulgą. Niestety, na krótko.

10 marca 1919 „Człowiek z siekierą” wyważył drzwi mieszkania Charlesa Cortimiglia. Oboje państwo Cortimiglia odnieśli rany, przeżyli jednak napad. Jediną ofiarą było ich półroczne dziecko. Pani Cortimiglia oskarżyła o napad włoską rodzinę z sąsiedztwa, niejakich Jordano, chociaż Charles Cortimiglia z całą stanowczością twierdził, że napastnikiem nie był nikt spośród członków tej rodziny. Frank Jordano i jego ojciec zostali jednak aresztowani pod zarzutem dokonania napadu.

„Człowiek z siekierą” stał się postacią popularną w całym Nowym Orleanie. Zastanawiające jest jednak, że jego zbrodnie nie wywołały zrozumiałej w takiej sytuacji paniki, jak to miało miejsce chociażby w przypadku Kuby Rozpruwacza. O tajemniczym mordercy śpiewano piosenki. Cóż, widać mieszkańcy Nowego Orleanu to wyjątkowi optymiści, obdarzeni dodatkowo stalowymi nerwami.

Należy jednakże sądzić, że wystraszył ich nieco list, jaki nadszedł do redakcji „Times Picayune” i wydrukowany został 13 marca 1919 roku. List datowany był z „Piekle” i niezłym stylem oznajmiał, że piszący go jest demonem. Zapowiadał następną wizytę „Człowieka z siekierą” w mieście na najbliższy wtorek, 19 marca. Autor dodawał jednak, że jest wielkim miłośnikiem jazzu, ominie więc wszystkie domy, w których grać będzie orkiestra jazzowa. 19 marca to noc świętego Józefa, kiedy to w Nowym Orleanie na ogół odbywa się wiele zabaw: tym razem jednak dosłownie całe miasto aż trzęsło się od jazzu. Mimo to, a może właśnie dlatego „Człowiek z siekierą” nie pojawił się.

21 maja 1919 nieszczęsny Frank Jordano i jego ojciec, oskarżeni przez panią Cortimiglia o napad i zabójstwo, stanęli przed sądem. Rozprawa trwała pięć dni i zakończyła się – ku zdumieniu i oburzeniu opinii publicznej – wyrokiem skazującym. Publiczność na sali sądowej protestowała głośnymi okrzykami, a sędziowie musieli pospiesznie schronić się do innego pokoju przed gradem przedmiotów, jakimi ich obrzucono. Frank Jordano skazany został na śmierć przez powieszenie, jego ojciec zaś na dożywocie.

10 sierpnia „Człowiek z siekierą” dokonał napadu na kolejnego włoskiego sklepikarza, działając w swój zwykły sposób. Jednakże i tym razem ofiara, niejaki Steve Boca, przeżyła napad. O usiłowanie zabójstwa oskarżono tym razem jednego ze znajomych pana Boca, Franka Genusę. Poszkodowany osobiście występował przed sądem w obronie swego przyjaciela. Genusa został uniewinniony.

2 września pewien aptekarz, Wiliam Carlson, nie dopuścił do wyważenia drzwi przez „Człowieka z siekierą”. Zbudzony dziwnymi odgłosami, strzelił po prostu przez drzwi, mierząc na wysokość klatki piersiowej dorosłego mężczyzny. Nie wiadomo, czy napastnik został ranny: zbiegł, nie pozostawiając śladów. Następnego dnia, 3 września, zaatakował natomiast 19-letnią dziewczynę, Sarah Laumann. Mimo odniesionych poważnych obrażeń głowy, także i ona przeżyła napad. Nie potrafiła jednak podać rysopisu sprawcy, który zaatakował ją podczas snu.

Ostatni napad miał miejsce 27 października 1919 roku. Tym razem ofiarą był sklepikarz nazwiskiem Mike Pepitone. Jego żona, usłyszawszy hałas, wbiegła do pokoju, by ujrzeć mężczyznę, uciekającego przez okno a własnego męża martwego, w zakrwawionej pościeli. Drzwi zostały wyważone w identyczny jak poprzednio sposób.

Wkrótce po tym zabójstwie na pierwsze strony gazet powróciło nazwisko Cortimiglia. Otóż Rosie Cortimiglia, która pół roku wcześniej oskarżyła o napad dwóch sąsiadów, zjawiła się teraz zapłakana w redakcji „Times Picayune”. Skruszona wyznała, iż rzucone przez nią wówczas oskarżenie było zupełnie fałszywe: państwo Jordano prowadzili konkurencyjny sklep i kobieta uznała, że w ten sposób pozbędzie się rywali.

Teraz mówiła, szlochając:

– Bóg mnie za to pokarał. Straciłam wszystko: moje drugie dziecko umarło, chorowałam na ospę, mąż mnie porzucił...

Na szczęście nie wykonano jeszcze wyroku śmierci na Franku Jordano. Został on natychmiast zwolniony z więzienia, podobnie jak jego ojciec. Obaj otrzymali wysokie odszkodowanie.

Jak wspomnieliśmy, zabójstwo sklepikarza Pepitone było ostatnim z serii napadów „Człowieka z siekierą”. Nasuwa się zatem pytanie, dlaczego tajemniczy szaleniec przestał zabijać?

Sprawa „Człowieka z siekierą” ma interesujące zakończenie. Oto 2 grudnia 1920 roku, na jednej z ulic Los Angeles, w biały dzień popełniono zabójstwo. Sprawczynią była kobieta, która zastrzeliła mieszkańca Nowego Orleanu nazwiskiem Joseph Mumfre. Zginął na miejscu, kobieta zaś, nie stawiając oporu, oddała się w ręce policji. Była to pani Pepitone, żona ostatniej ofiary „Człowieka z siekierą”. Utrzymywała, że w przypadkowo spotkanym, nieznanym jej mężczyźnie rozpoznała napastnika sprzed ponad roku. Skazano ją na 10 lat więzienia za zabójstwo, została jednak zwolniona po trzech latach.

Ponieważ Mumfre zginął natychmiast, nie można było uzyskać od niego wyjaśnień. Zbadano za to dokładnie jego życiorys, z którego wyraźnie wynikało, iż pani Pepitone najprawdopodobniej nie myliła się.

Mumfre był wielokrotnie karany. Daty jego pobytów w więzieniu dokładnie pokrywały się z okresami przerw w napadach. W 1911 roku opuścił więzienie na kilka dni przed zabójstwem Crutiego, Rosettiego i państwa Schiambras. W parę dni później aresztowano go znów za włamanie, a jako recydywista otrzymał wysoki wyrok. Został zwolniony w 1918 roku, a w kilka tygodni później dokonano napadu na państwa Maggio. Przerwa w napadach między sierpniem 1918 i marcem 1919 to kolejny wyrok Mumfre’go za usiłowanie włamania.

Mumfre był więc najprawdopodobniej „Człowiekiem z siekierą”, jednakże, jak w wielu sprawach tego rodzaju, zabójstwa zakończyły się nagle i tożsamość mordercy pozostaje zagadką.

Księżycowy Morderca

Sprawa ta jest jedna, z wielu podobnych, nigdy nie rozwiązanych zagadek kryminalnych, w których policja ma do czynienia z maniakiem seksualnym. Doświadczenie uczy bowiem, że o ile osobnik taki zaprzestanie dostatecznie szybko swej zbrodniczej działalności, szansę pochwycenia go są minimalne.

Późnym wieczorem 20 lutego 1946 roku na polanie, w pewnym oddaleniu od drogi wiodącej do miasta Texarkana w stanie Teksas, stał samochód z wygaszonymi światłami. Z wnętrza dobiegała muzyka i stłumione odgłosy rozmowy. W taki właśnie sposób spędzało czas dwoje młodych ludzi, którzy niebawem mieli się pobrać. Nazwiska ich nigdy nie przedostały się do prasy.

W pewnej chwili siedzący w samochodzie usłyszeli jakiś szelest i nagle drzwi od strony kierowcy otworzyły się gwałtownie. Do wnętrza zajrzał jakiś mężczyzna. W następnym momencie chłopak siedzący za kierownicą otrzymał straszliwy cios w głowę, zadany kolbą rewolweru. Gdy bezwładnie osuwał się na podłogę, jego

towarzyszka podjęła próbę ucieczki. Wskoczyła z samochodu i zaczęła biec na oślep, byle dalej od napastnika. Nie zdołała jednak uciec daleko. Po chwili również i ją pozbawiono przytomności ciosem w tył głowy. W pewnym sensie miała szczęście, bo nie zdawała sobie sprawy, co się z nią dzieje. Została zgwałcona w wyjątkowo brutalny sposób.

Było już jasno, gdy chłopak w samochodzie odzyskał przytomność. Uświadomiwszy sobie, co się stało, rozpoczął poszukiwania narzeczonej, po czym przeniósł ją do samochodu i koncentrując uwagę z największym wysiłkiem, zdołał dojechać do najbliższych zabudowań.

O napadzie zawiadomiono policję. Sporządzono portret pamięciowy napastnika na podstawie rysopisów podanych przez ofiary. Niemal natychmiast nastąpiły aresztowania. Zatrzymano w sumie aż sześciu zamieszkałych w okolicy podejrzanych mężczyzn, których wygląd mógł odpowiadać rysopisowi gwałciciela. Badano też dokładnie opony samochodów, w pobliżu miejsca napadu zauważono bowiem ślady kół na tyle świeże, iż można było z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że pozostawiły je koła samochodu napastnika.

Okazało się jednak, że nie można potwierdzić winy żadnego z zatrzymanych. Niektórzy mieli alibi, inni nie zostali rozpoznani przez ofiary napadu podczas konfrontacji, żaden zaś nie miał samochodu, którego opony miałyby taki właśnie bieżnik. Wszyscy zostali zatem zwolnieni. Policji w Texarkana pozostało zaś tylko zawiadomić kolegów w miastach położonych w promieniu 200 mil od miejsca napadu, by zwracali uwagę na podejrzanych osobników mogących odpowiadać portretowi pamięciowemu. Zaalarmowano więc policję dwóch stanów: Texas i Arkansas, jako że napad miał miejsce niemal na granicy pomiędzy tymi stanami.

Upłynął ponad miesiąc, gdy wieczorem 24 marca inni młodzi ludzie, 24-letni komiwojażer Richard Griffin i jego 19-letnia dziewczyna, Polly Anne Moore, zaparkowali samochód w odległości zaledwie kilometra od miejsca poprzedniego napadu. Tym razem gwałciciel posunął się znacznie dalej.

Griffin został zabity strzałem w głowę. Sekcja wykazała, że zginął pierwszy, mniej więcej na dwie godziny przed swą towarzyszką, która przed śmiercią przeżyła prawdziwy koszmar.

Ciało dziewczyny nosiło ślady dwóch strzałów: pierwszy miał prawdopodobnie zapobiec jej ucieczce – rana znajdowała się na udzie – drugi zaś pozbawił ją wreszcie życia po dwugodzinnej makabrycznej „zabawie” mordercy. Ślady tej zabawy znaleźć można było na całym ciele nieszczęsnej ofiary. Tym razem szalenciec posługiwał się długim, ostrym nożem. Oszczędzimy Czytelnikom dokładniejszego opisu. Dość stwierdzić, że nie było miejsca na ciele dziewczyny, którego nie dotknąłby nóż mordercy. Została też zgwałcona z identycznym okrucieństwem, jak to miało miejsce

podczas poprzedniego napadu.

Nie ulegało wątpliwości, że zbrodnia jest dziełem tego samego człowieka. Poza podobieństwem śladów na ciele obu dziewcząt, w pobliżu miejsca zabójstwa znaleziono odciski opon. Były identyczne z gipsowymi odlewami śladów odkrytych miesiąc wcześniej. Kule pochodziły z rewolweru kaliber 32.

Zauważono ponadto jeden jeszcze przerażający szczegół, rzucający szczególne światło na psychikę zabójcy: w obu wypadkach noc była księżycowa, co ułatwiało mu poszukiwanie ofiar. Co więcej, w obu wypadkach księżyc był właśnie w pełni.

Wszyscy chyba pamiętamy z dzieciństwa przerażające opowieści o wilkołakach, wyruszających na polowanie właśnie w czasie pełni. Nie ulega wątpliwości, że pełnia księżyca ma ogromny wpływ na ludzką wyobraźnię. Znane są też wypadki, że w szczególny sposób wpływa na budzenie się morderczych instynktów.

Jeżeli nawet policjantom ciarki przechodziły po plecach, nie zaniechali śledztwa tylko dlatego, że w sprawę wmieszały się siły, powszechnie uważane za nieczyste. I znów, jak poprzednim razem, aresztowano wiele osób, które następnie zostały zwolnione.

Nadszedł dzień kolejnej pełni księżyca. 13 kwietnia 15-letnia dziewczyna, Betty Jo Booker, członkini dziewczęcej orkiestry tanecznej z Texarkana, przygrywała do tańca na saksofonie podczas zabawy. Trwało to aż do północy, po czym młoda muzykantka opuściła salę w towarzystwie swego chłopca, 17-letniego Paula Martina.

Rankiem znaleziono ich zwłoki. Chłopak odwoził Betty Jo do domu samochodem ojca. Najpierw natrafiono na pusty samochód z szeroko otwartymi drzwiami. Ciało obojga nastolatków znaleziono w odległości ponad kilometra od samochodu. Chłopak otrzymał trzy strzały w plecy, sekcja zaś wykazała, że podobnie jak w poprzednim wypadku, zginął jako pierwszy. Tym razem makabryczna „zabawa” mordercy z ofiarą trwała dłużej, bo dziewczyna zginęła w cztery godziny później. Strzał w głowę był właściwie w tym przypadku aktem miłosierdzia. Tortury, jakim szaleniec poddał nieszczęsną piętnastolatkę, były bowiem, choć wydawało się to niemożliwe, znacznie bardziej okrutne niż w wypadku jej poprzedniczki. Również została zgwałcona, a jej zwłoki były zmasakrowane nie do opisania. W pobliżu miejsca zbrodni odkryto znajome ślady opon, a kule wydobyte z ciał ofiar pochodziły z tego samego rewolweru kaliber 32, co poprzednio.

Do sprawy tej skierowano praktycznie całe siły policyjne stanów Teksas i Arkansas. Przesłuchano setki osób i znów zatrzymano kilku podejrzanych. O tajemniczym szaleńcu krzyczały nagłówki gazet. W okolicy rozpoczęły się „rządy terroru”, jak to określiła jedna z popołudniówek. Młodzi ludzie zrezygnowali z „samochodowych randek” w lasach.

Jak się miało okazać, niewiele to pomogło. Już podczas następnej pełni księżyca,

3 maja, policja przekonała się, że szaleniec dostosował się do nowej sytuacji. Tym razem nie szukał parok w samochodach.

Wieczorem 3 maja zamożny farmer Virgil Starks odpoczywał po dniu ciężkiej pracy, czytając gazetę w swym saloniku. Okna nie były zasłonięte i jasno oświetlone wewnątrz pokoju widoczne było z daleka. Około godziny 22.30 w domu rozległ się huk wystrzału. Usłyszawszy go, młoda żona Starksa wpadła do salonu, by ujrzeć swego męża leżącego w kałuży krwi na podłodze. Padł drugi strzał, starannie wycelowany, mający pozbawić kobietę możliwości ucieczki, lecz tym razem zabójcę zawiodła chyba ręka. Zdołał lekko jedynie zranić panią Starks i gdy wszedł do domu – a ślady jego stóp znaleziono we wszystkich, pokojach – kobieta wybiegła kuchennymi drzwiami. Szaleniec szukał nadaremnie swej drugiej, właściwej ofiary. W tym czasie kobieta, oszalała ze strachu, stuknęła już do drzwi domu sąsiada, niejakiego Pratera. Wszczęto alarm, który jednakże nie doprowadził do ujęcia sprawcy. Najprawdopodobniej zorientował się on, że żona zabitego zdołała uciec, i sam pospiesznie opuścił dom. Odjechał samochodem, którego opony zostawiły ślady na drodze. Nie trzeba chyba wspominać, że były to ciągle te same ślady.

Rana odniesiona przez panią Starks nie była poważna. Już po tygodniu kobietę wypisano ze szpitala jako wyleczoną.

Tym razem zabójca posłużył się innym typem broni, strzelbą kaliber 2.2. Dlatego też przez pewien czas podejrzewano, że ktoś pragnący się pozbyć państwa Starks po prostu podszył się pod Księżycowego Mordercę. Człowieka takiego nie zdołano jednak odnaleźć; poza tym była przecież pełnia, a w okolicy nie popełniono tej nocy żadnego innego napadu, który nosiłby cechy charakterystyczne dla zbrodni wampira. Przyjęto więc, najprawdopodobniej słusznie, że zabójca z niewiadomych powodów zmienił rodzaj broni.

Jak zwykle bywa w takich wypadkach, zaangażowano ogromne siły policyjne i zastosowano wszystkie możliwe środki. Przesłuchano tysiące mężczyzn we wszystkich miastach w promieniu 100 mil od miejsca napadów, w tym wszystkich żołnierzy z jednostek stacjonujących w okolicy (Księżycowy Morderca pojawił się na tym terenie nagle i przypuszczano, że mógł wtedy właśnie rozpocząć służbę wojskową). Zastosowano też metodę znaną nam dobrze ze sprawy „wampira z Sosnowca”. Pamiętamy, że funkcjonariuszki milicji spacerowały wieczorami po okolicy odwiedzanej przez wampira w charakterze przynęty, bezskutecznie zresztą, gdyż jak twierdził później ujęty „wampir”, bez trudu można było poznać po ich zachowaniu, że spodziewają się napadu. Czyżby w tym wypadku szaleniec również przeczuwał, że oto zastawia się nań pułapkę? Przez wiele nocy policjant w towarzystwie manekina przebranego za kobietę przesiadywał w samochodzie w lesie pod Texarkana. Lecz zabójca nie dał się złapać na tę przynętę.

Z lękiem oczekiwano następnej pełni. I oto, ku zaskoczeniu przemęczonych policjantów, nie wydarzyło się nic. Początkowo traktowano to z niedowierzaniem, czekano na następną i jeszcze następną noc, gdy księżyc będzie w pełni, nadal jednak panował spokój. Virgil Starks był, jak się miało okazać, ostatnią ofiarą Księżycowego Mordercy.

I znów powstaje pytanie, dlaczego szaleniec przestał zabijać? Zmarł, wyjechał, znalazł się w więzieniu za inne przestępstwa? W 1954 roku pewien człowiek przyznał się do zbrodni, dowiedziono jednak, iż było to wytworem jego wyobraźni.

Istnieje jedno prawdopodobne wytłumaczenie. Otóż w kilka dni po zabójstwie Virgila Starksa niezidentyfikowany osobnik popełnił samobójstwo, rzucając się pod pociąg w pobliżu Texarkana. Sądząc z wyglądu, mógł odpowiadać rysopisowi Księżycowego Mordercy. Nie był typem włóczęgi, raczej wprost przeciwnie, lecz w okolicy nie znaleziono ludzi, którzy by go znali. W tym samym czasie, gdy on rzucał się pod koła, w gęstym lesie w pobliżu miejsca napadów natrafiono na płonący samochód. Niewielki pojazd został z całą pewnością podpalony umyślnie. Co jednak ciekawe, opony samochodu zostały zupełnie zniszczone, jakby sprawca podpalenia podłożył ogień właśnie pod nie. Droga w okolicy była za mocno utwardzona, by odbiły się na niej ślady tych opon.

Jest zatem prawdopodobne, że Księżycowy Morderca był osobnikiem w rodzaju doktora Jekylla i Mr Hyde'a, i że popełnił samobójstwo w przypływie wyrzutów sumienia.

Kuba Rozpruwacz

O słynnym londyńskim Kubie Rozpruwaczu słyszeli chyba wszyscy, sprawa ta bowiem po dziś dzień budzi ogromne zainteresowanie, spowodowane czy to dość niezwykłymi upodobaniami tego osobnika, czy też faktem, że nigdy nie został schwytany. Mało kto jednak zna prawdziwą historię zbrodni Rozpruwacza, który wbrew temu, co o nim często słyszymy, nie jest bynajmniej rekordzistą w naszym Leksykonie. Zamordował pięć, a najwyżej siedem kobiet, działał zaś zaledwie przez kilka miesięcy, a nie – jak chcą tego niektórzy – wiele lat. Przytoczmy zatem fakty.

W największym skrócie historia zbrodni Kuby Rozpruwacza przedstawia się następująco: od 31 sierpnia do 8 listopada 1888 roku miało miejsce pięć zabójstw kobiet w Whitechapel na londyńskim East Endzie. Wszystkie ofiary zostały zmasakrowane nożem, a w kilku przypadkach sprawca usunął i zabrał ze sobą niektóre narządy wewnętrzne. Po ósmym listopada zabójstwa nagle ustały, by nie powtórzyć się już nigdy.

W pierwszej połowie 1888 roku miały miejsce dwa zabójstwa kobiet, które niekiedy przypisuje się Rozpruwaczowi. Oto 3 kwietnia wczesnym rankiem 45-letnia Emma Elizabeth Smith została napadnięta przez – jak później twierdziła – czterech mężczyzn, których nie potrafiła opisać. Zmarła w 24 godziny później na zapalenie otrzewnej, gdyż brzuch jej został w kilku miejscach przecięty ostrym narzędziem w rodzaju szpikulca. Ten właśnie fakt sprawił, że później przypisywano to zabójstwo Rozpruwaczowi.

Kolejna zbrodnia, znacznie powszechniej uważana za pierwszy mord Rozpruwacza, wydarzyła się 7 sierpnia, również wczesnym rankiem. Na schodach pewnej kamienicy przy George Yard, która obecnie nosi nazwę Gunthorpe Street, znaleziono zwłoki prostytutki Marthy Tabram. Jeszcze kilka godzin wcześniej widziano ją w pubie z jakimś żołnierzem, a o piątej rano nie żyła już, straszliwie zmasakrowana nożem. Sprawca zadał jej 39 ciosów, przy czym wszystko wskazywało na to, że posługiwał się na przemian dwoma narzędziami: bagnetem i skalpelem chirurgicznym. Zdołano odnaleźć żołnierza, przygodnego towarzysza zamordowanej, wykazał się on jednak niezbitym alibi.

O godzinie 2.30 rano w piątek 31 sierpnia 1888 prostytutka Mary Anne Nichols wciąż stała na rogu Osborn Street. Przechodzącej przyjaciółce poskarżyła się nawet, że jak dotąd „nie miała szczęścia”. Trzy kwadranse później furman nazwiskiem Cross natrafił na jej zwłoki na Bucks Row (obecnie Durward Street). Sekcja wykazała, że śmierć nastąpiła na skutek przecięcia tchawicy; ponadto ze zwłok usunięto wnętrzności. Kobieta miała 42 lata i znana była jako nałogowa pijaczka. Jej mąż, z którym od siedmiu lat żyła w separacji, ujrawszy jej zwłoki, miał podobno powiedzieć: „Wybaczam jej wszystko, widząc ją w takim stanie”. Ujawniono, że nieszczęsną kobietę poprzedniego dnia wyrzucono z domu noclegowego, nie miała bowiem 4 pensów na opłacenie łóżka.

Następne morderstwo miało miejsce 8 września. Ofiara, 47-letnia prostytutka nazwiskiem Annie Chapman, również została wyrzucona z domu noclegowego. Znaleziono ją krótko po szóstej rano na podwórzu domu przy Hanbury Street nr 29. Sprawca niemal odciął jej głowę, następnie zadał sobie sporo trudu, przywiązując ją do tułowia przy pomocy chustki do nosa. Brzuch ofiary został rozcięty, a wśród narządów wewnętrznych brakowało jednej nerki i jajników. Podobnie jak w przypadku Mary Nichols, z jamy ustnej ofiary sprawca usunął fachowo dwa przednie zęby. I znów nikt z okolicznych mieszkańców nie słyszał krzyku czy odgłosów szamotania.

28 września agencja prasowa Central News Agency otrzymała list, podpisany „Kuba Rozpruwacz”, w którym autor zapowiadał następne zbrodnie. „Zabrałem się za dziwki i będę je rozpruwał, dopóki mnie nie złapiecie” – pisał nieznany korespondent.

Bez względu na to, czy list istotnie pochodził od zabójcy, określenie „Kuba Rozpruwacz” natychmiast podchwyciły gazety. W mieście zapanowała panika.

Rankiem 30 września popełnione zostały dwa morderstwa. Pierwszą ofiarą była Szwedka z pochodzenia, Elizabeth Stride. Jej zwłoki zauważył przy Berner Street pewien straganiarz nazwiskiem Deimschutz. Wbiegł natychmiast do sąsiedniego budynku, aby sprowadzić pomoc. Jak się później okazało, ten właśnie moment wykorzystał prawdopodobnie Rozpruwacz, by zbiec z miejsca zbrodni. Kobieta miała bowiem „zaledwie” poderżnięte gardło i zmarła dosłownie na kilka minut przed przybyciem policji. Była godzina pierwsza w nocy.

O tej właśnie godzinie z aresztu przy Bishopsgate zwolniono 43-letnią prostytutkę nazwiskiem Catherine Eddowes, zatrzymaną poprzedniego dnia za pijackie awantury. Rozpruwacz prawdopodobnie zaczepił ją i zaprowadził na wąską alejkę pomiędzy Mitre Square i Duke Street. Konstabl policji, Watkins, który przechodził tamtędy o 1.30, nie zauważył niczego podejrzanego. W kwadrans później, przemierzając ponownie tę samą trasę, natknął się na zwłoki. Twarz kobiety była zmasakrowana, co mogło mieć na celu opóźnienie identyfikacji, brzuch zaś rozcięty w typowy sposób. Ze zwłok usunięto lewą nerkę oraz jelita. Jedno ucho ofiary zostało niemal całkowicie odcięte.

Z tym zabójstwem wiąże się pewien interesujący zbieg okoliczności. Identyfikacja ofiary istotnie przedłużała się, lecz zanim stwierdzono, że zamordowana nazywała się Eddowes, jedna z gazet podała, iż nazwisko ofiary brzmi „Mary Anne Kelly”. Następna ofiara Rozpruwacza, która miała zginąć 8 listopada, nazywała się Mary Jeannette Kelly.

Na adres Central News Agency nadszedł następny list ze złowieszczym podpisem „Kuba Rozpruwacz”. Autor ubolewał w nim, iż przerwano mu „pracę”, co uniemożliwiło mu przesłanie policji w prezencie uszu ofiary. Wspominał też, że „numer jeden trochę piszczał”, co potwierdził pewien świadek: słyszał on krzyk na Berner Street. Wszystko wskazywało więc na to, że listy istotnie pochodzą od Rozpruwacza. Drugi z nich został nadany zaledwie w kilka godzin po zabójstwach; napisano go czerwonym atramentem.

Panika nasilała się, a obywatele organizowali patrole. Gdy jednak przez kilka tygodni w Whitechapel panował spokój, podniecenie zaczęło opadać. Wtedy, w nocy z 8 na 9 listopada, Rozpruwacz uderzył po raz ostatni.

Rano 9 listopada, właściciel domu przy Millers Court zastukał do pokoiku swej lokatorki, 24-letniej Mary Jeannette Kelly, by odebrać zaległy czynsz. Nie słysząc odpowiedzi, zajrzał przez okno z wybitą szybą.

To, co pozostało z Mary Kelly, leżało na łóżku. Głowa była niemal oddzielona od tułowia, serce leżało na poduszce, zaś jelita sprawca udrapował na ramie obrazu... Na

kominku znaleziono zwęglone szczątki szmat i przyjęto, że Rozpruwacz w ten sposób oświetlał sobie miejsce „pracy”.

Odnotujmy jeszcze trzy zbrodnie, przypisywane niekiedy Rozpruwaczowi. Oto w czerwcu 1889 roku z Tamizy wyłowiono fragmenty zwłok kobiety. Charakterystyczna blizna pozwoliła zidentyfikować ją jako Elizabeth Jackson, prostytutkę. Ciało innej przedstawicielki najstarszego zawodu świata znaleziono 17 lipca tegoż roku w Whitechapel. Była to Alice McKenzie, która straciła życie w wyniku poderżnięcia gardła. Na jej brzuchu widniały płytkie rany cięte. Wreszcie 13 lutego 1891 roku, również w Whitechapel, odkryto zwłoki 25-letniej prostytutki nazwiskiem Frances Coles; sprawca pozbawił ją życia w taki sam sposób, zadając jej też ciosy w brzuch. Ponieważ jednak w obu tych przypadkach obrażenia brzucha były dość płytkie, uważa się na ogół, że prawdziwi zabójcy po prostu „podszyli się” pod swego sławnego „kolegę”. Istnieją nawet pewne przypuszczenia co do tożsamości zabójcy Frances Coles: generał Booth miał ponoć słyszeć, jak jego sekretarz mówił do siebie „następna będzie Ruda Nell” (pseudonim dziewczyny). Po zabójstwie sekretarz zniknął bez śladu. Wątpliwe jest jednak, by on właśnie był Kubą Rozpruwaczem, choć najprawdopodobniej zamordował nieszczęsną Rudą Nell.

Przedstawimy teraz – w dużym skrócie – teorie co do tożsamości Rozpruwacza, których stworzono i tworzy się do dziś niezliczone ilości. Co najmniej niektóre z tych teorii wydają się całkiem absurdalne, inne jednak posiadają dość prawdopodobne elementy.

Najczęściej powtarza się twierdzenie, że Rozpruwacz był lekarzem, ściślej – chirurgiem. Wydaje się to o tyle prawdopodobne, że owe szczególne „sekcje zwłok” swych ofiar morderca wykonywał fachowo. Musiał więc mieć jakiś związek z medycyną. W tej grupie teorii mamy rzekomo „absolutnie prawdziwą” opowieść o jakimś „Doktorze Stanleyu”, wziętym chirurgu z londyńskiej Harley Street, gdzie tradycyjnie przyjmują wysokiej klasy specjaliści. Inny autor przytacza wspomnienia pewnej kobiety z East Endu, u której miał wynajmować pokój pewien młody student medycyny, najwyraźniej ukrywający się przed rodziną. Odnaleziony przez zamożnego papę, powędrował jakoby prosto do prywatnego zakładu dla psychicznie chorych. Kolejnym kandydatem na Rozpruwacza był znany nam Polak występujący pod nazwiskiem Chapman, który zanim przybył do Anglii i zajął się balwierstwem, pracował jako felczer. Wreszcie dość popularna jest teoria głosząca, że Rozpruwaczem był rosyjski lekarz położnik, przysłany do Anglii przez carską tajną policję specjalnie po to, by swymi osobliwymi skłonnościami wprowadzić nieco zamieszania w rutynową pracę Scotland Yardu.

Nie wszyscy przypisywali Rozpruwaczowi zawodową znajomość anatomii. Pewna teoria głosi, że londyński „wampir” był sobowtórem znanego truciciela

nazwiskiem Neill Cream, który stojąc już na szafocie, zdążył zawołać: „To ja jestem Kuba Roz...”, zanim stracił grunt pod nogami, a tym samym i możliwość mówienia. Sam Cream, zapewne ku zmartwieniu wyznawców tej teorii, nie mógł być Rozpruwaczem, bowiem w 1888 roku siedział w więzieniu w Kanadzie. Uważa się, że Cream poznał prawdziwego Rozpruwacza w więzieniu i ustalił z nim, iż będą sobie wzajemnie dostarczać alibi. Wiedząc, że nic go już nie uratuje od stryczka, zdobył się na ładny gest wobec sobowtóra.

Znalazł się nawet autor, który całkiem poważnie dowodzi, iż Rozpruwacz był... kobietą. Lecz tak poważne źródło, jak pewien pan Lees, zawodowe medium, utrzymuje, iż zidentyfikował Rozpruwacza jako zamożnego lekarza, który dzięki niemu został ujęty i w celu uniknięcia skandalu umieszczony w prywatnym zakładzie zamkniętym.

Motyw zatuszowania sprawy często powtarza się w teoriach o Rozpruwaczu. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, by policja zrezygnowała z pochwalenia się sporym przecież sukcesem. Chyba że... I oto ostatnia już plotka o Rozpruwaczu, jaką przytoczymy: twierdzono mianowicie, że był on ni mniej, ni więcej, tylko członkiem rodziny królewskiej. Tłumaczy to konieczność uniknięcia skandalu, lecz na poparcie tej tezy również nie ma żadnych dowodów.

Nie ulega wątpliwości, że Kuba Rozpruwacz, kimkolwiek był, przejawiał skłonności skrajnie sadystyczne, jak znany nam „Wampir z Düsseldorfu”, Peter Kürten. Nagłe zaprzestanie działalności spowodowane było najpewniej jedną z dwóch przyczyn: śmiercią Rozpruwacza lub umieszczeniem go w zakładzie zamkniętym, co zresztą wcale nie musiało być wynikiem zatuszowania sprawy. Lekarze, którzy uznali go za niebezpiecznego dla otoczenia, mogli po prostu nie skojarzyć zbrodni osławionego „wampira” ze swym pacjentem.

Tożsamość Kuby Rozpruwacza pozostanie więc na zawsze tajemnicą.

Bez motywów

Margaret ALLEN

Zmasakrowane zwłoki pani Nancy Ellen Chadwick, 68-letniej niesympatycznej dziwaczki o nie najlepszej opinii w okolicy, znalezione zostały 29 sierpnia 1949 roku przy głównej ulicy w Rawtenstall w hrabstwie Lancashire. Początkowo policja przypuszczała, że ma do czynienia z ofiarą potrącenia, wydano nawet stosowny komunikat, mający na celu zatrzymanie zbiegłego z miejsca wypadku kierowcy: „Ktokolwiek widział...” Wersja ta szybko jednak upadła.

Gdy tylko zwłoki znalazły się na stole sekcyjnym, lekarz sądowy stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że rany na głowie starszej pani oraz wgniecenia czaszki powstały w wyniku uderzeń młotkiem.

W pobliżu miejsca znalezienia zwłok stał mały, zaniedbany domek. Mieszkała w nim Margaret Allen, osoba znana ze swych skłonności lesbijskich i – jakbyśmy dziś powiedzieli – zdecydowanie nieprzystosowana społecznie. Pracowała kiedyś jako konduktorka autobusowa, rzuciła jednak pracę, by przesiadywać w miejscowym pubie. Z czego żyła, tego nawet wścibskie okoliczne gospodynie nie wiedziały. Pani Allen miała 42 lata, nosiła krótko, po męsku obcięte włosy i męskie garnitury, twierdząc, iż poddała się operacji zmiany płci. Jak ujawniono w czasie rozprawy, nie było to prawdą.

Zapewne i bez udziału samej Margaret Allen podejrzania padłyby właśnie na nią, bowiem panią Chadwick widziano ostatni raz idącą w kierunku jej domku. Trzeba jednak stwierdzić, że pani Allen robiła wszystko, co tylko mogła, by prowadzący, dochodzenie zwrócili na nią uwagę. Tego typu przestępcy znani są policji wszystkich krajów. Jakby nie mogli zadowolić się popełnieniem czynu karalnego, starają się uczestniczyć w dochodzeniu, wysuwają coraz to nowe teorie, nie przejmując się, że niektóre z nich obciążają ich samych; nie odchodzą ani na krok od prowadzących śledztwo.

Tak właśnie zachowywała się Margaret Allen. Siedziała w gospodzie, udzielając z wyraźną lubością niekończących się wywiadów tłumom reporterów, piła dużo (i to za własne pieniądze) oraz dzieliła się teoriami na temat zbrodni z każdym, kto tylko zechciał ją wysłuchać, w tym również z policją.

– Ta stara wariatka siedziała na ławeczce przy drodze i liczyła pieniądze – mówiła. – Jak ktoś jest tak nieostrożny, nie powinien spodziewać się lepszego losu – powtarzała z mściwą satysfakcją.

Zamordowana znana była istotnie ze swego dziwaczego zwyczaju: będąc osobą zamożną, nosiła duże sumy przy sobie i od czasu do czasu przeliczała pieniądze publicznie, jakby nie mogąc się nimi dość nacieszyć lub też sprawdzając, czy ani jeden banknot nie zginął. Należy podziwiać uczciwość mieszkańców Rawtenstall, wśród których przez długie lata nie znalazł się nikt, kto połakomiłby się na łatwy zarobek.

Margaret Allen nie zadowoliliła się rozmowami w gospodzie. W pewnym momencie, w dwa dni po zabójstwie, przybiegła podniecona na posterunek policji, zawiadamiając, że „znalazła” torebkę zamordowanej. Zaprowadziła konstabla na brzeg rzeki Irwell, przepływającej tuż za jej domkiem, i długo wskazywała miejsce, nim ten wreszcie je zauważył. Torebka była praktycznie niewidoczna, leżała przy brzegu na dnie, przysłonięta szuwarami. Wydobyta z wody, okazała się pusta, wyjaśniając tym samym prawdopodobny motyw zabójstwa pani Chadwick – rabunek.

Dziwne zainteresowanie przestępstwem, okazywane przez Margaret Allen, wzbudzało coraz większe podejrzenia policji. Wzrosły one jeszcze po znalezieniu torebki: po pierwsze, leżała ona tuż za domkiem pani Allen, po drugie zaś, tak trudno było ją znaleźć, że policja słusznie uznała, iż tylko człowiek, który ją tam wrzucił i w związku z tym wiedział, gdzie jej szukać, mógłby ją zauważyć wśród szuwarów.

31 sierpnia Margaret Allen została przesłuchana w charakterze świadka. Funkcjonariusze liczyli może, że sama się przyzna. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Oprócz niezdrowego zainteresowania sprawą, kobieta nie ujawniła żadnych nowych szczegółów. Następnego dnia, 1 września, wydano nakaz rewizji jej domku.

Podczas przeszukania odkryto, czy może raczej zauważono, gdyż Margaret Allen nie uczyniła nic, by je ukryć, świeże plamy krwi w pobliżu drzwi do piwnicy. Gdy policjanci skierowali się w dół, kobieta nagle krzyknęła:

– Słuchajcie, zaraz wam wszystko opowiem! Tam ją schowałam... – i wskazała ręką na piwnicę, gdzie przechowywany był węgiel. Czy jej przyznanie się było wynikiem tej samej brawury, jaką i wcześniej było widać w jej postępowaniu, czy też przekonania, że nie zdoła już umknąć sprawiedliwości – nie wiadomo.

W piwnicy znaleziono dalsze plamy krwi. Po zbadaniu okazało się, że pochodzą one od dwóch osób, najprawdopodobniej zarówno Margaret Allen, jak i jej ofiary,

sądząc po grupach krwi. Policja zabezpieczyła też włos pani Chadwick, znaleziony w węglu.

Bezpośrednio po tym Margaret Allen złożyła wyczerpujące zeznanie, opowiadając szczegółowo i jakby z satysfakcją przebieg zajścia.

Wracając do domu z pubu spotkała w pobliżu panią Chadwick. Rozmawiając, doszły aż do domu sprawczyni.

– Ona uparła się, żeby wejść do środka – opowiadała Margaret Allen, zachłystując się słowami z pośpiechu. – Byłam w takim dziwnym nastroju, nie chciałam jej wpuścić, czułam, że może się wydarzyć coś złego. Ale nie mogłam jej odwieść od tego zamiaru. Weszła do kuchni. Przypadkiem spojrzałam wokoło i nagle zobaczyłam młotek...

Morderczyni twierdziła, że pierwszy cios zadała ulegając „nastrojowi chwili”, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni.

– Ona krzyknęła i to mnie jeszcze bardziej zdenerwowało. Uderzyłam jeszcze kilka razy; nie pamiętam już, ile...

Następnie ukryła zwłoki w piwnicy pod warstwą węgla, nie dbając nawet o to, by były całkowicie przykryte. Wyjawszy pieniądze z torebki, wyszła na brzeg rzeki, nie zadając sobie trudu, by odejść nieco dalej od własnego domu, i wyrzuciła torebkę. Gdy zapadł zmrok, miała już gotowy plan pozbycia się zwłok. Wyciągnęła je spod węgla, wyniosła na ulicę i tam zostawiła. Była kobietą silną, niemal męskiej budowy, więc nie sprawiło jej to zbyt wielkiego trudu. Mogła ciało przenieść dalej od swego domu, ale, jak powiedziała, „nie pomyślała o tym”.

Podczas rozprawy powszechne zainteresowanie wzbudziły zeznania niejkiej Annie Cook, uważanej za jedyną przyjaciółkę morderczyni. Rodzina państwa Cook uchodziła za „przyzwoitą” i kontakty jej z Margaret Allen budziły zdumienie w okolicy. Wydaje się jednak, że pani Cook rzeczywiście lubiła Margaret. Spytana o niedawny urlop, który spędziły razem, pani Cook wyznała ze wstydem, że przyjaciółka poczyniła jej „pewne propozycje”, które zostały natychmiast odrzucone. Nie zmieniło to jednak serdecznego wzajemnego stosunku obu kobiet do siebie.

Pani Cook, zgodnie z linią obrony, która usiłowała dowieść niepoczytalności oskarżonej, mówiła o częstych stanach depresji, bólach głowy i próbie otrucia się gazem, podjętej niedawno przez Margaret Allen. Ława przysięgłych odrzuciła jednak sugestie obrony. Wydany został wyrok śmierci przez powieszenie.

O prawdziwej sympatii, jaką darzyła rodzina Cook morderczynię, świadczą może dodatkowo fakt zorganizowania przez nią akcji zbierania podpisów pod petycją o uniewinnienie, która następnie została wystosowana do sądu. Można przypuszczać, że zbierając podpisy, pani Cook naraziła się w imię przyjaźni na niepochlebne reakcje opinii publicznej, skoro na 28 tysięcy mieszkańców Rawtenstall petycję podpisało

zaledwie sto osób. Petycja została jednakże odrzucona, a wyrok utrzymany w mocy. Margaret Allen miała być pierwszą od dwunastu lat kobietą, wobec której wykonano w Anglii wyrok śmierci.

W aktach sprawy znajduje się notatka naczelnika więzienia o przebiegu wykonania wyroku. Z odcieniem oburzenia stwierdza się w niej, że skazana do ostatniej chwili nie okazała należytej skruchy i nawet w obliczu śmierci zachowywała się w sposób wskazujący na jej zły charakter. Przewróciła mianowicie kopniakiem tacę z ostatnim śniadaniem (na które, co zresztą zrozumiałe, nie miała specjalnej ochoty), mruknawszy:

– Przynajmniej nikt inny nie będzie mógł już tego zjeść...

Nathan LEOPOLD i Richard LOEB

Nathan Leopold, 19-letni student prawa na uniwersytecie w Chicago i ornitolog-amator, podobnie jak o rok młodszy jego przyjaciel, Richard Loeb, również student prawa, a ponadto niezwykle czarujący młody człowiek, uważani byli przez przyjaciół i nauczycieli za cudowne dzieci, a można by ich także określić dziećmi szczęścia. Obaj pochodzili z bardzo zamożnych, chicagowskich rodzin i od najmłodszych lat niczego im nie brakowało. Odebrali niezwykle staranne wychowanie, opiekowały się nimi doskonałe guwernantki, a gdy nieco podrośli, uzyskali całkowitą swobodę i pieniądze na zaspokojenie najbardziej nawet wyrafinowanych zachcianek.

Obaj uchodzili wśród przyjaciół za osoby niezwykle, nikt więc nie dziwił się, że właśnie ci dwaj chłopcy zostali najlepszymi przyjaciółmi. Leopold był wyjątkowo inteligentny i zdolny, a jego osiągnięcia w dziedzinie ornitologii były wysoko cenione przez wybitnych ówczesnych specjalistów. Loeb zaś, choć nie dorównywał swemu przyjacielowi intelektem, był uroczym, pełnym wdzięku kompanem i Leopold znajdował się niewątpliwie pod jego urokiem. Uważał go zresztą za znacznie bardziej inteligentnego od siebie i jak się wydaje, młodszy o rok Loeb stanął w tym związku stroną dominującą.

Jak wspomniano wyżej, obaj chłopcy nie mieli ani kłopotów finansowych, ani obaw o przyszłość, ani też trudności z nauką. Dzięki temu dysponowali ogromną ilością wolnego czasu, który na ogół spędzali razem. Poza zwykłymi rozrywkami bogatych młodych ludzi w tamtych czasach – przejażdżkami samochodem w towarzystwie dziewcząt, piciem alkoholu (od którego obaj nie stronili), Leopold i Loeb wiele czasu poświęcali dyskusjom. Obaj interesowali się filozofią, a największe wrażenie wywarły na nich prace Nietzschego, jego teoria „nadczłowieka”, ta sama, którą zajmował się kochanek Denice Labbe, innej bohaterki naszego leksykonu.

Trudno to chyba uznać za zbieg okoliczności.

Obaj chłopcy bez wahania uznali siebie za takich właśnie „nadludzi”, stawiając się ponad wszelkim ludzkim prawem i etyką. Istotnie, całe dotychczasowe życie uczyło ich, że są lepsi od innych... Ale przy tym wszystkim dwaj synowie bardzo zamożnych rodziców śmiertelnie się nudzili. Mimo młodego wieku poznali już wszystkie dozwolone i zakazane uciechy życia i zdążyli znudzić się nimi. Ten fakt, w połączeniu ze wspomnianą wyżej „ideologią” czyniącą z nich „nadludzi”, sprawił, że postanowili spróbować swych sił w dziedzinie przestępczości. Była to jedyna, jak uznali, sfera życia, której jeszcze nie poznali.

Z nudów, dla zabawy, dokonali więc najpierw wspólnie kilku drobnych kradzieży. Dostarczyły im one nieco emocji, zwłaszcza że kilkakrotnie cudem uniknęli złapania. Wkrótce jednak tak drobne przestępstwa przestały im wystarczać. Opracowali zatem plan „morderstwa doskonałego”.

Wybór ich padł na porwanie dla okupu. Choć oczywiście pieniądze ich nie interesowały, uznali, że żądanie okupu jest nieodłączną częścią tego typu zbrodni i nie chcieli „wypaść z roli”. Początkowo nie dokonywali wyboru ofiary porwania; nie było to istotne. List z żądaniem okupu napisali na długo przed wytypowaniem odpowiedniej ofiary, a ponieważ zdecydowali się na porwanie dziecka, syna któregoś z okolicznych bogaczy, w liście zwracali się do ojca swej przyszłej ofiary „szanowny panie”, nie wymieniając jego nazwiska.

Gdy cały plan został starannie opracowany, przystąpili do poszukiwania ofiary. Doskonale zorientowani w sytuacji finansowej swych sąsiadów w bogatej dzielnicy Chicago, w ostatniej chwili zdecydowali się na porwanie 14-letniego Bobby’ego Franksa, przyjaciela młodszego brata Loeba.

21 maja 1924 krążyli po okolicy w wynajętym samochodzie, gdy ujrzeni chłopca opuszczającego boisko. Loeb, którego Bobby znał, wysiadł z samochodu i zaproponował małemu przejażdżkę. Gdy tylko Franks wszedł do samochodu, został zakneblowany i otrzymał cztery straszliwe ciosy w głowę, zadane łomem najprawdopodobniej przez Loeba (zabójcy usiłowali później zrzucić winę jeden na drugiego i do końca nie ustalono, który z nich uderzył małego Franksa). Dalej wszystko przebiegało zgodnie z planem. Zabójcy wykorzystali znajomość okolic Chicago, jaką zdobył Leopold podczas swych badań ornitologicznych. Zwłoki zawieziono w odludne zarośla, gdzie znajdowała się doskonała – w mniemaniu zabójców – kryjówka. By upewnić się, że chłopiec nie żyje, zabójcy najpierw włożyli jego głowę do pobliskiej kałuży. Następnie, po upływie kilku minut polali twarz swej ofiary kwasem chlorowodorowym, by utrudnić identyfikację. Opracowany uprzednio plan był tak szczegółowy, że przewidywał nawet zniszczenie w ten sposób wszelkich ewentualnych znamion i blizn na ciele ofiary. Bobby Franks miał bliznę po operacji

wyrostka robaczkowego, którą Leopold i Loeb również oblali kwasem. Następnie zwłoki zostały wepchnięte głową w dół do znajdującej się w pobliżu, a dobrze znanej Leopoldowi, studzienki odpływowej, częściowo zarośniętej chwastami. Zabójcy mieli nieco trudności z dostatecznie głębokim umieszczeniem zwłok, uznali jednak, że w miejscu tak mało uczęszczanym szanse odnalezienia ich są i tak bardzo niewielkie, a zatarcia reszty śladów dokona czas. Już wkrótce mieli się przekonać, że jeśli nawet możliwe jest popełnienie morderstwa doskonałego, to im się ono nie udało.

Po zjedzeniu obiadu w przydrożnym barze, zabójcy udali się do domu Leopolda, gdzie przy sporej porcji whisky grali w karty i zmywali plamy krwi z wynajętego samochodu. Wieczorem zadzwonili do państwa Franks. Powiadomili przerażonych rodziców swej ofiary, że ich syn został porwany, zakazali wszelkich kontaktów z policją i uprzedzili, iż instrukcje w sprawie zapłaty okupu nadejdą pocztą. Jednakże pan Franks już wcześniej powiadomił policję o zniknięciu syna. Teraz, usłyszawszy żądania porywaczy, odczuł nawet pewną ulgę, bo okup był śmiesznie niski w porównaniu z jego zarobkami (Leopold i Loeb zażądali tylko 10.000 dolarów), a przy tym rozmówca, który przedstawił się jako „Johnson”, zapewniał, że mały Bobby jest cały i zdrowy. Opracowując plan swej zbrodni, Leopold i Loeb od razu jednak przyjęli, że ofiara porwania musi zginąć natychmiast, bez względu na wynik pertraktacji w sprawie okupu. Miało to uniemożliwić ewentualne rozpoznanie sprawców.

Następnego dnia, 22 maja rano, pan Franks otrzymał zapowiadany list ze skomplikowanymi instrukcjami w sprawie przekazania okupu. List pisany był na maszynie, a styl zdradzał, że sprawca jest człowiekiem wykształconym, o pewnym zasobie wiedzy prawniczej. Ojciec porwanego chłopca był całkowicie zdecydowany przystać na żądania porywaczy i nie zawiadamiać policji o dalszym rozwoju wypadków, gdy nagle powiadomiono go telefonicznie o znalezieniu zwłok chłopca, który mógłby być jego synem. Pan Franks, przekonany, że Bobby żyje, wysłał na miejsce wraz z policjantami swego szwagra, sam zaś przygotowywał się do przekazania okupu. Nie minęła nawet godzina, gdy w słuchawce usłyszał urywany, przerażony głos: odnaleziony chłopiec był istotnie jego synem.

Tak oto zawiodło podstawowe założenie „genialnych” zabójców: że zwłoki, ukryte w mało uczęszczanym miejscu, nie zostaną nigdy znalezione, albo też, że czas, jaki upłynie do ich znalezienia, zatrze wszelkie ślady. Tak się bowiem złożyło, że właśnie 22 maja grupa robotników przybyła na miejsce, gdzie ciało zostało ukryte, z zamiarem wykarczowania tych terenów. Wystająca ze studzienki stopa chłopca natychmiast zwróciła ich uwagę.

Miejsce znalezienia zwłok zostało bardzo starannie przeszukane i to nie bez rezultatów. Oto w pobliżu studzienki znaleziono okulary. Tydzień zaledwie trwało

szukanie ich właściciela, którym okazał się Nathan Leopold. Były to okulary, których używał rzadko i nie zdawał sobie sprawy, że znajdowały się w kieszeni płaszcza. Płaszcz ten włożył w dniu zabójstwa, nie przeszukawszy uprzednio kieszeni. Nie poczuł też, że lekki przedmiot wypadł mu z kieszeni podczas przenoszenia ciała Bobby'ego.

Spytany o okulary, Leopold miał jednak gotową odpowiedź, która brzmiała całkiem prawdopodobnie. Otóż często obserwował ptaki w tych właśnie okolicach, najpewniej zgubił więc okulary przy takiej okazji kilka tygodni wcześniej. Jednak policja nie zadowolila się takim wyjaśnieniem, bo okulary nie nosiły żadnych śladów niedawnej ulewy. Przy tym alibi podane przez Leopolda (przejażdżka z dwiema nieznanymi dziewczynami) okazało się niesprawdzalne, choć przyniosło też pewne korzyści śledztwu. Wciągnęło mianowicie do sprawy Loeba, którego Leopold wymienił jako swego towarzysza tamtego popołudnia. Udział Loeba w tak strasznej zbrodni wydawał się wszystkim niemożliwy (taki uroczy, sympatyczny chłopak...). Gdy zaś ten przyznał się do zabicia Bobby'ego, uważano powszechnie, że uległ wpływom Leopolda. Wszystko wskazuje jednak na to, że było odwrotnie.

Dwaj reporterzy „Chicago Daily News”, dawni koledzy ze studiów zatrzymanych już wtedy zabójców, nieoczekiwanie pomogli policji, dostarczając próbki pisma maszynowego. Były one identyczne z pismem w liście z żądaniem okupu, a maszynę, na której zostały napisane, reporterzy niedawno jeszcze widzieli w domu Leopolda. Odnaleziono ją wkrótce, porzuconą w zaroślach pobliskiego wąwozu. Okazało się, że stanowiła łup jednej ze złodziejskich wypraw Leopolda i Loeba.

Mimo protestów zamożnych i wpływowych rodziców, chłopcy byli teraz przesłuchiвани niemal bez przerwy. Pierwszy załamał się Richard Loeb. Leopold, wysłuchawszy jego zeznań, przyznał się jako drugi. Każdy z nich oskarżał drugiego o zadanie śmiertelnych ciosów łomem i wyglądało na to, że w obliczu niebezpieczeństwa ich wielka przyjaźń przestała istnieć. Jednak załamanie się trwało krótko. Podczas procesu, który rozpoczął się 21 lipca 1924 roku w Chicago, obaj chłopcy znów stanowili jednolity front i konsekwentnie nie przyznawali się do winy. Ich obecne zeznania były tak przekonywujące, że wielka część opinii publicznej uważała ich za ofiary brutalności policji („Biedacy, tak ich męczono, że woleli się przyznać, żeby mieć wreszcie spokój...”). Gdy jednak szturmująca salę rozpraw publiczność ujrzała obu oskarżonych, którzy robili wrażenie, jakby świetnie się bawili, a niekiedy wyglądali na znudzonych, gdy świadkowie opisywali straszne obrażenia małego Franksa, opinia publiczna zwróciła się przeciwko nim. Mimo powszechnych żądań kary śmierci, znakomity obrońca Clarence Darrow zdołał uzyskać niższy wyrok: dożywotnie więzienie za zabójstwo i 99 lat za porwanie (zgodnie z prawem amerykańskim, przewidującym kary w nieograniczonej

wysokości).

Zabójcy umieszczeni zostali w więzieniu Joliet, gdzie Loeb zginął w bójce w 1936 roku. Leopold zaś został zwolniony warunkowo w roku 1958. O jego dalszych losach brak wiadomości.

Louisa Jane TAYLOR

Pani Louisa Jane Taylor, z zawodu modystka, miała 37 lat, gdy zmarł jej mąż. Wkrótce potem złożyła niespodziewaną wizytę jednemu z jego przyjaciół, Pan William Tregillis, osiemdziesięcioletni starzec, mieszkał ze swą niewiele młodszą żoną w dwóch wynajętych pokojach na piętrze małego domku w Plumstead. Oboje ucieszyli się zapewne z wizyty znacznie młodszej kobiety, bo wprowadziła ona urozmaicenie w ich jednostajne życie. Gdyby wiedzieli, co nastąpi wkrótce, prawdopodobnie nie wpuściliby jej do mieszkania.

Jak wspomnieliśmy, mieszkanie Tregillisów składało się z dwóch maleńkich, zagraconych pokojów. Trudno zatem pojąć, dlaczego Louisa Taylor wyraziła chęć zamieszkania razem z parą staruszków. Mało prawdopodobne wydaje się, by zwabił ją niski czynsz, była bowiem nieźle sytuowana i otrzymywała rentę po mężu. Wynajmowała też spory pokój, gdzie mieszkała sama i mogła czuć się swobodnie. Za to Tregillisowie szczerze ucieszyli się z propozycji pani Taylor, że nie tylko będzie ona dzielić z nimi opłaty za mieszkanie (dla ubogich staruszków miało to ogromne znaczenie), ale i pomoże w razie potrzeby. W sierpniu 1882 roku Louisa Taylor wprowadziła się do państwa Tregillis. Ustalono, że zajmie pokój od podwórka, który dzielić będzie z panią Tregillis, podczas gdy William Tregillis zamieszka w pokoju frontowym.

We wrześniu pani Tregillis poważnie podupała na zdrowiu. W jej wieku nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie dość nietypowe objawy. Cierpiała mianowicie na nieustanne dreszcze i wymioty, a zęby jej, jak zeznawał później jej mąż, „zrobiły się czarne jak węgiel”. Wezwano lekarza, niejakiego doktora Smitha, który określił chorobę starszej pani jako malarię. Przebieg choroby wydał mu się jednak nietypowy, poprosił więc panią Taylor, która z poświęceniem opiekowała się chorą, o dostarczenie mu próbki wymiocin w celu przeprowadzenia analizy. Prośbę tę ponawiał wielokrotnie, kobieta jednak wyraźnie ociągała się z jej spełnieniem. Tłumaczyła to później obrzydzeniem. Wyjaśnienie to, choć brzmi całkiem prawdopodobnie, wydaje się jednak dość naciągane, jeśli wziąć pod uwagę, że pani Taylor codziennie opiekowała się panią Tregillis i bezustannie musiała sprzątać wokół jej łóżka.

William Tregillis był bardzo zdenerwowany chorobą żony, zwłaszcza że bez niej czuł się bezradny. Był on bowiem ociężały umysłowo, spędził nawet kilka lat w zakładzie dla upośledzonych i żona stanowiła dlań jedyną podporę w znacznie szerszym znaczeniu niż w wypadku człowieka w pełni sprawnego. Ociężałość umysłowa pana Tregillis tłumaczy, dlaczego nie skojarzył przedłużającej się, niespodziewanej choroby żony z przybyciem i działalnością Louisy Taylor.

Nieszczęsny starzec nabrał jednak w końcu podejrzeń, a stało się to za sprawą niezwyklej propozycji, jaką uczyniła mu pani Taylor. Oto pewnego wieczoru zaproponowała mu, że... zamieszka wraz z nim we frontowym pokoiku i zostanie jego kochanką. Zważywszy na wiek i stan umysłowy pana Tregillis należy sądzić, że kobieta chciała sobie w ten sposób zapewnić przychylność starca i zapobiec jakimkolwiek podejrzeniom. Osiągnęła przeciwny skutek, nie tylko nie zyskała bowiem współnika, ale wywołała święte oburzenie starca, który później relacjonował z przejęciem:

– Powiedziałem jej: „Moja żona jeszcze nie umarła. Jak mógłbym żyć z panią, skoro ona leży tam chora!” A zresztą – dodał po namyśle – takie rzeczy robi się dopiero po ślubie...

Owa dziwaczna propozycja pani Taylor budzi tym większe zdumienie, że kobieta miała kochanka, niejakiego Edwarda Martina, który był do niej znacznie bardziej zbliżony wiekiem. Był także zamożniejszy od Tregillisa, jako że z powodzeniem trudnił się handlem warzywami. Mimo to Louisa Taylor nie zrezygnowała. Oznajmiła mianowicie zupełnie zdezorientowanemu starcowi, że w dowód swej wielkiej miłości dla niego zapisała mu w testamencie 500 funtów. Pokazała mu nawet kopertę z urzędowym nadrukiem, w której znajdowało się zawiadomienie następującej treści: „Szanowna Pani, otrzymała Pani w spadku 500 funtów. Pieniądze może Pani odebrać natychmiast”. Pismo to miało stanowić dowód, że pani Taylor istotnie posiada ową sumę. Zostało sfalszowane, gdyż kobieta nie otrzymała żadnego spadku.

Nie wiemy, czy Tregillis uwierzył w testament Louisy Taylor. Jeżeli tak, to z pewnością na krótko. Pani Taylor, mimo czekającego na nią rzekomego spadku, zdołała bowiem przechwycić 10 funtów, które nieszczęsny starzec odebrał właśnie od listonosza. Była to jego renta. Louisa stwierdziła, że jego żona życzy sobie mieć te pieniądze pod poduszką, by nikt ich nie ukradł i po prostu wyjęła je z rąk osłupiałemu starcowi. Nie trzeba dodawać, że suma ta nigdy nie trafiła pod poduszkę pani Tregillis, która nawet nie zobaczyła tych pieniędzy. Starzec nie wiedział pewno, co o tym wszystkim sądzić, gdy wreszcie sąsiadka z parteru, niejaka pani Ellis, poinformowała go, że widziała, jak Louisa Taylor wkładała te pieniądze do własnej torebki.

Ta informacja rozgniewała wreszcie starca. Zgłosił się na policję, gdzie cierpliwie

wysłuchano jego nieskładnej opowieści, po czym – po przesłuchaniu pani Ellis – aresztowano Louisę Taylor pod zarzutem kradzieży 10 funtów. Miało to miejsce 6 października, było jednak za późno, by uratować życie pani Tregillis, której tajemnicza choroba trwała już ponad miesiąc.

Wiadomość o aresztowaniu Louisy Taylor jako złodziejki dotarła także i do doktora Smitha, który bezskutecznie usiłował leczyć chorą. Dotąd znał lokatorkę Tregillisów jako sumienną pielęgniarkę, która poza niedostarczeniem wspomnianej próbki do badań wykonywała przeciw wszystkim jego zaleceniom. Skoro jednak okazała się złodziejką, doktor Smith zaczął z niepokojem zastanawiać się nad dużymi ilościami zasyпки zawierającej ołów, jaką ostatnio przepisywał pani Taylor, cierpiącej rzekomo na chorobę skóry. Z rosnącym przerażeniem zdał sobie sprawę, że objawy występujące u pani Tregillis, a zwłaszcza przebarwienie zębów i dziąseł, mogą wskazywać na zatrucie ołowiem. 9 października poprosił o zbadanie chorej przez lekarza policyjnego, który potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że pani Tregillis, która teraz była już umierająca, cierpiała w wyniku systematycznego podtruwania ołowiem.

Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami przesłuchanie podejrzanej odbyło się w pokoju ofiary. Obecni urzędnicy miejscy przeżyli wstrząsające chwile, gdy śmiertelnie chora kobieta składała słabym głosem zeznania obciążające jej lokatorkę. Pani Tregillis wskazała oskarżycielsko na swą lokatorkę jako sprawczynię swej choroby. Mówiła o tym, że stan jej zdrowia pogorszył się dopiero wtedy, gdy Louisa Taylor zamieszkała razem z nią. Opowiadała też, jak pewnego razu zauważyła, że lokatorka wysypuje biały proszek do butelki z lekarstwem. Nieszczęsna kobieta od dawna bała się Louisy Taylor, jednak nie zdołała podzielić się z innymi swym podejrzeniem, ponieważ pani Taylor nigdy nie wychodziła z pokoju podczas wizyt lekarza (któremu starszka nie ufała zresztą, sądząc, że jest w zмовie z trucicielką), a od pewnego czasu nie pozwalała na odwiedziny w jej pokoju nawet panu Tregillis.

Pani Tregillis zmarła 23 października, chociaż bowiem przerwano zbrodniczą działalność Louisy Taylor, starszki nie można już było uratować.

Mimo koronnego dowodu, jakim były zeznania umierającej, przesłuchiowano innych świadków, by potwierdzić tę wstrząsającą relację. Drżący i łkający William Tregillis mówił:

– Chciała po śmierci mojej żony odebrać mi rentę i wpakować mnie do domu wariatów.

Przesłuchano też kochankę Louisy Taylor, handlarza warzywami, Martina. Był wyraźnie oburzony, że „miesza się go do tej sprawy” i gwałtownie, wbrew faktom zaprzeczał, jakoby odwiedzał kiedykolwiek doktora Smitha w celu odebrania owej fatalnej zasyпки, przeznaczonej dla pani Taylor, a systematycznie podawanej

nieszczęsnej staruszce. Martin postępował wyjątkowo nierozsądnie, wypierając się tego pośrednictwa, które samo w sobie nie było przecież niczym występny i bynajmniej nie świadczyło o współudziale w zbrodni. Mało brakowało, a stanąłby przed sądem jako współlnik swej kochanki tylko dlatego, że zupełnie niepotrzebnie kłamał. W końcu jednak pozostawiono go w spokoju, zwłaszcza że policja nie dysponowała innymi dowodami jego winy.

Proces Louisy Taylor odbył się w Old Bailey w grudniu 1882 roku. Rozprawie przewodniczył sędzia Stephen, który miał później orzekać w wielu innych sławnych procesach o otruciu; nie wiemy jednak, czy był to przypadek, czy też swoista „specjalizacja”. Oskarżona nie odezwała się ani słowem podczas rozprawy, nie przyznała się też do winy. W toku procesu sugerowano, że otrucie pani Tregillis nie było pierwszym tego typu czynem oskarżonej (a trzeba wiedzieć, że wśród trucicieli, obok „wampirów”, najwięcej jest zabójców wielokrotnych). Oczywiście jest, że podejrzewano, iż pierwszą ofiarą Louisy Taylor był jej własny mąż. Prokurator wnosił nawet o ekshumację jego zwłok, sąd zadowolił się jednak przesłuchaniem lekarza, który wystawił świadectwo zgonu. Medyk ten z całą stanowczością stwierdził, że zmarły nigdy nie wykazywał objawów podobnych do tych, jakie stwierdzono u pani Tregillis, zmarł zaś w wyniku zapalenia płuc. Cóż, dowodzi to jedynie, że pan Taylor nie został otruty ołowiem. Ponieważ jednak dla sprawy zabójstwa pani Tregillis przyczyna zgonu męża oskarżonej była nieistotna, sąd oddalił wreszcie wniosek o ekshumację. Louisa Taylor została uznana winną zabójstwa i skazana na śmierć. Wyrok wykonano 2 stycznia 1883 roku.

Milczenie oskarżonej podczas całego procesu sprawiło, że nie znamy motywu jej czynu. Rozważano tu różne możliwości, żadna z nich jednak nie wydaje się całkowicie przekonująca. Pomińmy tu miłość do Williama Tregillisa i chęć pozbycia się jego żony jako przeszkody na drodze do wspólnego szczęścia, bo takie tłumaczenie byłoby po prostu humorystyczne. Sugerowano też, że Louisą Taylor powodowała chęć zysku. Wydaje się to bardziej prawdopodobne. Należy jednak wziąć pod uwagę, że renta pana Tregillis była znacznie niższa od sumy otrzymywanej przez morderczynię po mężu. Całkiem jeszcze młoda, niebrzydka i jak się okazało, przedsiębiorcza kobieta mogła chyba bez uciekania się do zabójstwa zdobyć znacznie większy łup, niż renta Tregillisów i ich skromne dwa pokoiki.

Nasuwa się jeszcze jedno wytłumaczenie zabójstwa popełnionego przez Louise Taylor, na pewno równie prawdopodobne, jak poprzednie. Może po prostu zasmakowała ona w tego typu działalności i zajmowała się truciem dla samej przyjemności?...

Jak pozbyć się ukochanej

Joe BALL

Czterdziestoletni Joe Ball, właściciel „Gospody Towarzyskiej” obok Elmendorf w stanie Teksas, miał w życiu dwie pasje: kobiety i aligatory. Jak się miało okazać, potrafił tak łączyć te zainteresowania, że nie kolidowały ze sobą, a wręcz się uzupełniały.

Ball znany był ze swego temperamentu seksualnego. Dla nikogo w okolicy nie było tajemnicą, że kolejne barmanki w jego gospodzie były jego kochankami. Czy jednak źle je traktował, czy też nudził się nimi szybko, dość że żadna nie zagrzała miejsca dłużej niż kilka miesięcy, po czym wszystkie zniknęły bez śladu. Ball był też trzykrotnie żonaty, przy czym również druga i trzecia żona zniknęły w ciągu jednej nocy.

Drugą pasją Balla były, jak się rzekło, aligatory. Hodował ich aż pięć w basenie na skraju swej posiadłości. Słyszano często, jak do nich przemawiał, a w takich chwilach w jego głosie pobrzmiwała dziwna czułość, nie spotykana na co dzień. Ball był człowiekiem raczej niesympatycznym i agresywnym. Ponieważ jednak jego gospoda była jedyna w okolicy, sąsiedzi nie mieli wyboru, dzięki czemu Ball całkiem nieźle prosperował.

Ostatnio właściciel knajpy stał się dla sąsiadów niezwykle uciążliwy. Przy najmniejszym nieporozumieniu wyciągał rewolwer i groził nim rozmówcy. A okazji do nieporozumień było sporo, Ball nie pozwalał bowiem nikomu zbliżyć się do basenu z aligatorami, ani nawet zaglądać przez ogrodzenie w głąb swego terenu.

Sąsiedzi nie mieli odwagi jawnie wystąpić przeciwko właścicielowi gospody o jakże niestosownej nazwie. Skarżyli się natomiast coraz częściej na jego zachowanie zastępcy miejscowego szeryfa, Johnowi Klevenhagenowi. Do niego też dotarła poufna informacja, że jeden z zamieszkałych w okolicy farmerów, który w ciągu jednej nocy wyprowadził się ze swego domu i jak mówiono, osiedlił się aż w sąsiednim stanie,

uczynił tak z obawy przed Ballem, który zagroził mu śmiercią. Szeryf zapamiętał dobrze tę historię, lecz nie przywiązywał do niej większej wagi, wiedząc, do jakich rozmiarów może urosnąć plotka.

We wrześniu roku 1937 w „Gospodzie Towarzyskiej” odbyła się kolejna „zmiana warty”. Zniknęła następna z długiego, zmieniającego się jak w kalejdoskopie korowodu barmanek Balla. Tym razem była to 22-letnia Hazel Brown, która odchodząc, podobnie jak poprzednie, z niewyjaśnionych powodów nie zabrała z sobą ani ubrań, ani innych rzeczy, będących jej własnością. Poprzedniczki Hazel Brown pochodziły jednak z innych stron i najczęściej nie utrzymywały kontaktów z rodzinami, jeśli je w ogóle miały, nikt więc nie upominał się o nie. Inaczej było w przypadku Hazel. Jej rodzina mieszkała w okolicy, słyszała też opinie sąsiadów na temat Balla i gorąco odradzała dziewczynie pracę w gospodzie. Hazel jednak była uparta, przyjęła posadę i prawdopodobnie, zgodnie z regułą, została kolejną kochanką Balla. Kiedy jednakże zniknęła nagle, tak jak stała, nie pozostawiając wiadomości, matka jej, której o tym doniesiono, zaczęła się poważnie niepokoić. Udała się do zastępcy szeryfa, Klevenhagena i poinformowała go o swych obawach.

Klevenhagen przypomniał sobie natychmiast wszystko, co dotąd słyszał o Ballu. Obiecał pani Brown, że zajmie się odnalezieniem Hazel, lecz zamiast szukać dziewczyny w okolicznych miasteczkach, raz jeszcze dyskretnie przepytął sąsiadów Balla. I oto jeden z jego podwładnych, policjant Elton Cude, opowiedział dość niepokojącą historię.

Pole Cude’a przylegało do posiadłości Balla i to od tej właśnie strony, gdzie znajdował się basen z aligatorami. Policjant wiedział wprawdzie doskonale, podobnie jak inni okoliczni mieszkańcy, że Ball nie życzy sobie, by zaglądano na jego posesję, lecz pewnego popołudnia, zaledwie przed trzema dniami, poczuł stamtąd tak odrażający smród, że zbliżył się, by spojrzeć w tamtym kierunku. Miał pecha, bo hodowca aligatorów zbliżał się właśnie do basenu. Cude, przypomniawszy sobie, że jest przedstawicielem porządku publicznego, nie uląkł się jednak groźnego wyrazu twarzy sąsiada i poskarżył się, że nie może wytrzymać we własnym ogrodzie, ponieważ od strony basenu strasznie cuchnie. Ball, jak to było w jego zwyczaju, natychmiast wyciągnął z zanadru rewolwer i wymachując nim nakazał policjantowi, by ten natychmiast oddalił się z tego miejsca, grożąc, że za chwilę go zastrzeli. Cude z właściwym mu rozsądkiem wycofał się za stajnię, lecz potworny smród dobiegający z basenu nie dawał mu spokoju. Postanowił po kryjomu sprawdzić jego źródło.

Następnego ranka policjant ujrzał, że Ball wyjeżdża do pobliskiego Elmendorf. Pobiegł natychmiast do ogrodzenia, dzielącego jego ogród od posesji właściciela gospody, zgrabnie je przeskoczył i ostrożnie zbliżył się do basenu. Pięć par gadzich oczu rzuciło mu zaciekawione, łakome spojrzenie. Cude nie był człowiekiem

wrażliwym, wzdrygnął się jednak, tym bardziej że w pobliżu basenu smród był już nie do wytrzymania. Wkrótce stwierdził, skąd dobiega: w zbiorniku na wodę deszczową, jaki znajdował się tuż obok basenu aligatorów, pływało coś, co wyglądało na kawały zepsutego mięsa. Cude wycofał się pospiesznie, a spytany potem przez zastępcę szeryfa, opowiedział mu wszystko szczegółowo, dodając, że miał właśnie donieść o tym zwierzchnikowi, nie zdążył jednak, gdyż nie miał służby przez dwa ostatnie dni.

Zastępca szeryfa nabierał coraz większych podejrzeń, choć nie mieściło mu się w głowie, że coś tak strasznego mogło się wydarzyć w spokojnej okolicy. Kiedy jednak policja ujawniła, że na dwa dni przed zniknięciem Hazel Brown założyła sobie konto w oddziale banku w Elmendorf i opuszczając nagle okolicę nie podjęła zeń ani centa, postanowił porozmawiać z Ballem.

Spytał najpierw o przyczynę smrodu, w pobliżu basenu aligatorów, powołując się na przepisy zabraniające przechowywania przedmiotów cuchnących w miejscach, w których mogłyby być uciążliwe dla otoczenia. Ball wyjaśnił swym zwykłym, opryskliwym tonem, że smród pochodził z gnijącego mięsa, które udało się tanio zakupić i które przeznaczył na pokarm dla swych pięciu pupilków. Zdobył się nawet na łaskawe stwierdzenie, że ulubieńcy spożyli już to mięso, więc sąsiedzi nie będą mieli powodu do dalszych skarg. Klevenhagenowi nie pozostało nic innego, jak odwrócić się na pięcie i odejść. Nie miał żadnych podstaw, by oskarżać Balla, zdawał sobie też sprawę, że to, co jest mu wiadome, to przede wszystkim domysły niezyczliwych sąsiadów i jego własne, niejasne przypuszczenia. Nie dał jednak za wygraną.

Po kilku dniach zastępca szeryfa powrócił do gospody, tym razem z innym pytaniem. Postanowił tak długo dręczyć Bella wypytywaniem, aż ten zdradzi się z czymś. Spytał więc, czy właściciel „Gospody Towarzyskiej” nie wie nic o miejscu pobytu Hazel Brown. Ball wrzucił tylko ramionami. Nic go to nie obchodzi, ma już następną barmankę, a tamta była niechlujna i leciwa. I znów Klevenhagen odszedł bez słowa.

Gdy powrócił następnego dnia, miał już więcej pytań. Skoro pan Ball nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Hazel Brown, to może wie coś o losach swoich poprzednich barmanek? Nie? A zatem może orientuje się, gdzie przebywają jego dwie kolejne małżonki, druga i trzecia (pierwsza spoczywała już od wielu lat na miejscowym cmentarzu, zmarła na zapalenie płuc)? Również nie? No, cóż, szeryf czuje się w takim razie w obowiązku przeprosić pana Balla za najście.

Takich wizyt było kilka, zanim Klevenhagen zorientował się, że nic nie wskóra. Postanowił użyć podstępny, gdyż tylko w ten sposób mógł przyłapać Balla na kłamstwie. Zauważywszy, że pomocnik hodowcy, osobnik lojalny i oddany swemu panu, choć przyglupi, wyjeżdża do miasta, odczekał pół godziny i wkroczył do

gospody z triumfującym wyrazem twarzy.

– No, panie Ball, dziś inaczej sobie porozmawiamy – zawołał stając w drzwiach.
– Mamy tego pańskiego głupka, wszystko nam wyśpiewał. Coś mi się zdaje, panie Ball, że będzie pan wisiał.

Ball wyraźnie zbladł i stał bez słowa. Wreszcie zdołał wykrztusić, że pomocnik pojechał do miasta, nie zaś na policję.

– Przyłapaliśmy go w drodze, drogi panie – zaśmiał się Klevenhagen. – No i puścił farbę. I o dziewczynach, i o tych pańskich aligatorach... Wiemy już, co się stało z Hazel Brown! – bluffował dalej.

Nagle Ball, który stał dotąd jak skamieniały wśród stolików – właśnie przecierał je morką szmatą – odwrócił się i dwoma susami znalazł się za barem. Schylił się tylko nieznacznie, sięgając pod ladę, wyciągnął rewolwer, przyłożył go sobie do głowy i nacisnął spust. Zginął na miejscu, dostarczając tym samym policji ostatecznego dowodu swej winy. Prawdopodobnie tym samym rewolwerem pozbawił życia także swoje ofiary.

Ogromną ulgę przyniosła okolicznym mieszkańcom wieść o samobójstwie Balla. Dotarła też do sąsiedniego stanu, gdzie osiedlił się ów sąsiad, który rok wcześniej tak się wystraszył Balla, że w ciągu jednej nocy zebrał całą rodzinę i dobytek, a rano nie został już po nim żaden ślad. Powrócił teraz do Elmendorf, by złożyć zeznania.

Pewnej nocy, jeszcze w roku 1936, skracał sobie drogę z miasteczka do domu, przechodząc przez posesję policjanta Cude'a, tuż obok basenu z aligatorami, od którego dzieliło go tylko ogrodzenie. Zaciekawiony dochodzącymi stamtąd odgłosami, w przekonaniu, że Ball na pewno już śpi, przelazł przez płot i zbliżył się. Nagle w świetle księżyca, który wyłonił się właśnie spoza chmur, ujrzał przerażający widok: Ball, klęcząc nad basenem, kroił ogromnym rzeźnickim nożem zwłoki kobiety, a kawałki ciała wrzucał do basenu. To właśnie odgłos chrupania tak go zaniepokoił...

Nie zdążył się już wycofać. Ball zauważył go i już po chwili nieszczęsny sąsiad patrzył w wycelowany weń wylot lufy rewolweru.

– Puszczę cię wolno, bo masz dużą rodzinę – powiedział Ball. – Ale masz natychmiast stąd zniknąć, a jeśli kiedyś piśniesz chociaż słówko, zabiję twoje dzieci jak psy.

Jak widać, groźba poskutkowała.

Z kronikarskiego obowiązku dodać należy, że pięć osieroconych aligatorów znalazło schronienie w ogrodzie zoologicznym w San Antonio. Nie wiemy, czy nowa dieta odpowiadała im bardziej...

Robert JAMES

Mary James, młoda i ładna żona 39-letniego fryzjera z Los Angeles, Roberta Jamesa, znaleziona została pewnego letniego dnia w 1955 roku w porośniętej liliami sadzawce na terenie posiadłości Jamesów, luksusowego bungalowu o nazwie La Crescenta. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta utopiła się. Jej małżonek, wezwany pośpiesznie, dał wyraz ogromnej rozpaczycy i stwierdził, że jego żona prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Wydawało się to istotnie całkiem możliwe, gdyż na ciele nie znaleziono żadnych śladów walki, przypadkowe utonięcie w sadzawce nie wchodziło w grę, a kobieta ostatnio była przygnębiona. Lekarz policyjny, który zbadał zwłoki, stwierdził ponadto, że zmarła była w trzecim miesiącu ciąży. Uznano więc, że istotnie popełniła samobójstwo pod wpływem chwilowej depresji, wywołanej odmiennym stanem. Ponieważ sprawa przedstawiała się całkiem jasno, pogrążonego w żałobie małżonka pozostawiono w spokoju i śledztwo zostało umorzone.

Minęło 8 miesięcy i Robert James zdołał już pogodzić się ze śmiercią żony, widywano go bowiem niemal codziennie w najlepszych lokalach Los Angeles, gdy policja otrzymała list anonimowy. Autor tego listu, wyrażając oburzenie z powodu nieudolności policji, która pozwala, by zabójca przebywał na wolności, sugerował, że Mary James została zamordowana przez własnego męża, a czyn ten został starannie przemyślany i przygotowany. Motywem tej zbrodni według tajemniczego informatora miał być romans, jaki James nawiązał ze swą bratanicą. Mary James miała stać mężowi na drodze do pełnego szczęścia w nowym, niemoralnym i nielegalnym związku; nielegalnym, gdyż prawo amerykańskie uważa stosunki seksualne między osobami w tym stopniu pokrewieństwa za przestępstwo kryminalne.

Pewne dane, zawarte w anonimowym liście, wskazywały, że informator dobrze orientuje się w sprawach Jamesa. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że przynajmniej niektóre z zarzutów są prawdziwe. Krótkie dochodzenie potwierdziło romans Jamesa z bratanicą, co jeszcze bardziej wzmocniło podejrzenia policji, że i drugi zarzut nie jest wyssany z palca. Postanowiono zatem działać szybko, ale ostrożnie.

Przede wszystkim zajęto się Jamesem, by zapobiec jego ulotnieniu się, gdy zauważy, że policja depte mu po piętach. Było to bardzo łatwe. Po prostu został aresztowany pod zarzutem utrzymywania nielegalnych stosunków z bratanicą, czego dowody zostały już zgromadzone. Stanął przed sądem i wkrótce znalazł się w więzieniu.

Tymczasem policja, pewna już, że podejrzany nie ucieknie, spokojnie przystąpiła do ponownego zbadania sprawy śmierci Mary James. Przede wszystkim dokonano

ekshumacji jej zwłok i przeprowadzono następne, tym razem bardzo dokładne badania anatomopatologiczne. Upływ czasu w poważnym stopniu utrudniał wykrycie konkretnych dowodów na to, że Mary James nie zmarła śmiercią samobójczą, lecz w końcu znaleziono pewien punkt zaczepienia.

Ponowna sekcja potwierdziła, że przyczyną śmierci było utopienie. Gdy jednakże lekarze przystąpili do dokładnego badania całej powierzchni ciała zmarłej, natrafili na dwa położone blisko siebie ślady ukłucia na lewej stopie. Pozornie tak drobne skaleczenia wydawały się nieistotne, postanowiono jednak pobrać wycinek, który przesłano do laboratorium. Okazało się, że w miejscu, gdzie znajdowały się owe ranki oraz w całej lewej stopie zmarłej znajduje się jad grzechotnika.

Odkrycie to nie stanowiło jeszcze dowodu przeciwko mężowi zmarłej. Teoretycznie było przecież możliwe, że Mary James podczas przechadzki po ogrodzie została ukąszona przez grzechotnika i to akurat nad sadzawką, do której następnie wpadła, tracąc przytomność pod wpływem działania jadu. Wprawdzie obecność jadowitego grzechotnika w prywatnym ogrodzie na przedmieściu Los Angeles, wśród setek innych zabudowań, wydawała się mało prawdopodobna (gdyby uciekł jakiemuś hodowcy, byłby pozbawiony jadu), lecz nie można było wykluczyć takiej wersji wydarzeń.

Policja zajęła się badaniem przeszłości Roberta Jamesa. Okazało się, że Mary była jego piątą żoną. Z jednym wyjątkiem poprzednie małżeństwa kończyły się rozwodem; tylko trzecia żona Jamesa również zmarła, rzekomo topiąc się w wannie podczas kąpieli. Niepocieszony małżonek otrzymał wówczas 5000 dolarów odszkodowania, bowiem przezornie ubezpieczył swą żonę na życie na kilka miesięcy przed „nieszczęśliwym wypadkiem.”

Od tamtej sprawy upłynęło już zbyt wiele czasu, by można było liczyć na to, że ekshumacja owej trzeciej żony przyniesie jakieś dowody. Podobieństwo obu wypadków dało jednak do myślenia prowadzącym śledztwo.

Przystąpiono do badania kontaktów i znajomości Jamesa. Wkrótce okazało się, że jednym z jego najbliższych przyjaciół był niejaki Hope, znany pod pieszczotliwym przydomkiem „Chuck”. Był on właścicielem sporego baru tuż przy jednej z licznych plaż nadmorskich. Jak zeznali sąsiedzi, „Chuck” bywał często w La Crescenta w ciągu kilku tygodni poprzedzających śmierć Mary James. Postanowiono zatem go przesłuchać.

Prowadzący śledztwo zastanawiali się długo nad sposobem zdobycia informacji od „Chucka”. Ponieważ było pewne, że zapytany wprost, nie przyzna się do niczego, zdecydowano się na działanie z zaskoczenia.

Dwaj funkcjonariusze, którzy udali się pewnego przedpołudnia do baru „Chucka”, zostali dokładnie poinstruowani. Gdy oparli się niedbale o kontuar, a sam

szeff spytał ich, co zamawiają, jeden odpowiedział: Grzechotniki...

Ujrawszy zdumienie i przerażenie na twarzy „Chuck’a”, policjanci zrozumieli, że bluff dał rezultaty. Nie tracąc czasu, zarzucili Hope’a pytaniami dotyczącymi jego znajomego, fryzjera Jamesa. Oszołomiony „Chuck” przyznał, że był jego przyjacielem, lecz na inne pytania udzielał mętnych odpowiedzi. Widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

Uznano zatem, że należy zastosować jeszcze jeden wstrząs. „Chuck” został przewieziony do La Crescenta. Policjanci wolno obeszl z nim cały dom.

Nieszczęśnik trzął się coraz bardziej, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy z tego, że policja bluffuje. Załamał się wreszcie ostatecznie w łazience. Siedząc na zamkniętej klapie sedesu, ponurym głosem wyznał policjantom całą prawdę.

Otóż wkrótce po ślubie z Mary, Robert James opowiedział swemu przyjacielowi wzruszającą historię pewnego znajomego, który rzekomo pragnie pozbyć się żony. Historyjka była odpowiednio ubarwiona, owa żona miała być uosobieniem odrażającej megieri, a nieszczęsny „znajomy” Jamesa poznał właśnie jakąś niezwyklej urody dziewczynę, zakochał się w niej i chciałby zbudować dla niej i dla siebie nowe gniazdko za pieniądze żony. Ponieważ jednak, gdy umiera w tajemniczych okolicznościach kobieta zamężna, a przy tym bogata i nieatrakcyjna, policja zawsze podejrzewa jej męża, ów „znajomy” Jamesa postanowił posłużyć się... grzechotnikami. Uznał, że nikt nie będzie podejrzewał, iż maczał palce w tak nietypowym „nieszczęśliwym wypadku”. Poprosił więc Jamesa, by ten zdobył dlań parę jadowitych grzechotników. Teraz oto James zwraca się z tą prośbą do „Chuck’a”, sam bowiem nie ma pojęcia, skąd wytrzasnąć te węże.

„Chuck” opowiadał drżącym głosem, że został przez Jamesa zahipnotyzowany: „Widziałem tylko te jego oczy, wpatrujące się we mnie i nie mogłem mu odmówić...”. Nie dowiedziono jednak, by James miał jakieś szczególne zdolności hipnotyzerskie. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że Hope’a zahipnotyzowała perspektywa zarobienia 100 dolarów, które miał otrzymać za parę jadowitych grzechotników.

„Chuck” rozpoczął zatem poszukiwania. Obszedł okolicznych handlarzy węży (jak się wydaje, hodowla grzechotników była w tamtych stronach ulubionym hobby), lecz zdołał zakupić jedynie okazy pozbawione jadu, co wyszło na jaw, gdy James wypróbował skuteczność ich ukąszeń na kilku królikach i kurczętach. Powtórzyło się to kilka razy. „Chuck” przynosił Jamesowi nowe, okazale prezentujące się węże, króliki i kurczęta wprost kwitły, regularnie kąsane przez zdobycze Hope’a, zaś James wpadał w coraz to większą wściekłość. Wreszcie polecił swemu przyjacielowi, by ten udał się do niejakiego „Joe-Węża”, znanego i renomowanego handlarza z Pasadeny. Wkrótce nowa para grzechotników w drewnianej skrzynce została dostarczona do La Crescenta.

„Chuck” przypatrywał się z lękiem kolejnemu eksperymentowi Jamesa. Węże zakupione w Pasadenie okazały się bardziej żywotne i ukąszone kurczęta wkrótce padły. James był zachwycony, zapłacił „Chuckowi” obiecane 100 dolarów, uprzedził go jednak, że jego pomoc będzie jeszcze potrzebna. Gdy „Chuck” z niepokojem spytał, do czego mógłby się jeszcze przydać „znajomemu” Jamesa, ten przyznał się wreszcie, że to on planuje zabicie żony. I znów „Chuck” mówi o swej bezradności w obliczu hipnotyzerskich zdolności przyjaciela, lecz bardziej prawdopodobne wydaje się, że tym razem James posłużył się szantażem.

Mary James, przytomna, umieszczona została na stole kuchennym i przywiązana doń sznurem od bielizny.

Zaklejono jej następnie usta plastrem i przewiązano oczy. Ktoś mógłby zapytać, czy nieszczęsna kobieta nie protestowała, nie usiłowała się wyrwać. – Wprost przeciwnie, sama ułożyła się na stole, bo mąż poinformował ją, że za chwilę zostanie poddana zabiegowi przerwania ciąży (której Mary zamierzała się pozbyć, nie chcąc urodzić dziecka) i przedstawił „Chucka” jako ginekologa.

Gdy przygotowania zostały ukończone, James wepchnął lewą stopę swej całkowicie teraz bezradnej żony do skrzynki z grzechotnikami. „Widziałem, jak co najmniej jeden z nich wbił w nią zęby” powiedział potem „Chuck”. Wkrótce Mary straciła przytomność, zaś mąż z przyjacielem udali się do garażu, by w oczekiwaniu na jej śmierć posilić się kanapkami i wzmocnić łykiem żytniówki.

Gdy powrócili do kuchni, czekała ich przykra niespodzianka. Mary żyła jeszcze, choć była nieprzytomna. James uznał, że nie ma sensu czekać dłużej. Zawłókł żonę do łazienki i na oczach „Chucka” utopił ją w wannie (ten sposób mordowania żon miał widać starannie opracowany, sądząc po tragicznym końcu pani James nr 3). Następnie z pomocą „Chucka” zwłoki Mary umieszczono w sadzawce, pozorując samobójstwo.

Robert James, gdy doprowadzono go z więzienia na konfrontację z „Chuckiem”, oskarżył przyjaciela o autorstwo planu tej zbrodni. Zdołano jednakże udowodnić, że rola Hope’a sprowadzała się do udzielenia pomocy. Zgodnie z tymi ustaleniami „Chuck” skazany został na dożywotnie więzienie, a Robert James na karę śmierci.

Odszukano autora anonimowego listu, który doprowadził do ujęcia przestępców. Była nim kobieta, przyjaciółka Jamesa, której najpierw przechwalał się swym sprytem, opisując przebieg zbrodni dość dokładnie, potem zaś porzucił ją. Była to, trzeba przyznać, wielka nieostrożność ze strony tego rzeczywiście sprytnego mordercy.

Anthony HAYDEN

Mary Stannard, córka robotnika rolnego z wioski Rockland pod Madison w stanie Connecticut, miała 22 lata i pięcioletnie nieślubne dziecko, oddane gdzieś na wychowanie. Miała też tak zwane „powodzenie” u mężczyzn, czego pośrednim dowodem było owo niefortunne macierzyństwo.

Mary była zawodową służącą, co jej rodzina uważała za doskonałą karierę, ścieranie bowiem kurzu i zamiatanie wydawało się ciężko pracującym na roli ludziom zajęciem wyjątkowo lekkim. W czasach, których dotyczy nasza opowieść, zatrudniona była u państwa Hayden w Rockland, a więc w jednym z „najlepszych” domów w okolicy: jej chlebodawca, Anthony Hayden, był miejscowym pastorem.

W lipcu 1878 roku, pewnej niedzieli Mary Stannard otrzymała wychodne, co wówczas było dla służących wielkim wydarzeniem, jako że wolne dni trafiały się rzadko. Dziewczyna zabawiła czas jakiś w domu swego ojca, po czym wyszła – jak mówiła – na spacer. Gdy jej nieobecność przedłużała się ponad miarę, jej ojciec udał się na poszukiwania.

Mieszkańcy Rockland chadzali na spacer w ściśle określone miejsce, na wzgórze zwane Whippoorwill Rock. Tam też skierował swe kroki ojciec Mary, który prawdopodobnie spodziewał się przyłapać dziewczynę na gorącym uczynku z jakimś wioskowym osiłkiem.

Troskliwy ojciec odetchnął zapewne z ulgą, gdy z oddali zauważył leżącą w trawie Mary. Dziewczyna robiła wrażenie pogrążonej we śnie, a co najważniejsze – była sama. Ręce miała skrzyżowane na piersi, a fałdy sukni starannie ułożone wkoło nóg. Trzeba było jeszcze kilkunastu kroków, by nieszczęsny ojciec przekonał się, co naprawdę stało się jego córce.

Wezwana policja odniosła wrażenie, że morderca Mary Stannard chciał mieć pewność, że dziewczyna nie odżyje. Mary miała bowiem poderżnięte gardło, zdruzgotaną czaszkę i potężną dawkę 50 gramów arszeniku w żołądku. Każdy z tych trzech sposobów byłby zupełnie wystarczający, by pozbawić dziewczynę życia. Dlaczego sprawca zastosował wszystkie jednocześnie, pozostawało tajemnicą.

Rozpoczęto śledztwo, polegające głównie na przepytywaniu okolicznych mieszkańców. Już podczas pierwszych przesłuchań wyszły na jaw pewne fakty, które można było określić jako sensacyjne i to nie tylko dlatego, że wyraźnie wskazywały na osobę sprawcy.

Otóż na kilka dni przed śmiercią Mary Stannard wdała się w dłuższą pogawędkę ze służącą z sąsiedniego domu. Nietrudno się domyślić, że obie panienki wymieniały uwagi na temat swych chlebodawców, nie pozostawiając na nich suchej nitki. Wtedy to Mary „w największej tajemnicy” zwierzyła się koleżance, że pastor Hayden „nie daje jej spokoju”. Wielebny miał odwiedzać ją co noc w izdebce przy kuchni i grozić kompromitacją w wypadku odmowy świadczenia miłosnych usług. Mary była zresztą

jak najlepszego zdania o walorach pastora jako mężczyzny, choć wyznała, że ostatnio jest na niego wściekła. Nie mówiła wprost, o co chodzi. Jej rozmówczyni domyśliła się jednak bez trudu, że oto stało się kolejne nieszczęście: Mary zaszła w ciążę z pastorem. O ile rodzina dziewczyny i cała wioska zaakceptowała jakoś jej poprzednią ciążę, owoc przelotnego romansu z wędrownym robotnikiem sezonowym, o tyle w tym przypadku sprawa była znacznie trudniejsza. Wielebnemu Haydenowi groziła wręcz katastrofą. 33-letni pastor był bowiem żonaty i miał troje dzieci z żoną, nie mówiąc już o tym, że jako duchowny nie powinien był w ogóle wdawać się w pozamałżeńskie romanse ze służącymi.

Mimo chmur, jakie zawisły nad jej głową, Mary była jednak dobrej myśli. Takie przynajmniej wrażenie odniosła jej koleżanka. Pastor – twierdziła dziewczyna – zna bowiem doskonale, pewne i szybko działające „lekarstwo” na takie rzeczy. Załatwi dla niej porcyjkę i po kłopotcie. W tym celu jest nawet umówiona ze swym chlebobawcą w pierwszy wolny dzień na Whippoorwill Rock. Cóż, jeśli rzeczywiście tak było, to „lekarstwo” wielebnego Haydena było istotnie „doskonałe, pewne i szybko działające”...

Policja nie miała jednak pewności, czy podekscytowana zabójstwem koleżanka Mary nie zmyśla albo nie ubarwia nieco rzeczywistości. Owo planowane spotkanie na Whippoorwill Rock właśnie w pierwszy wolny dzień – był to przecież koronny dowód przeciwko pastorowi. Gdy jednak sekcja wykazała, że Mary Stannard istotnie była w pierwszych tygodniach ciąży, wielebnego Haydena przesłuchano ponownie, tym razem wypytując go o alibi na dzień śmierci jego służącej.

Pastor plątał się w zeznaniach, nie mogąc podać choćby w ogólnym zarysie, co robił owego lipcowego dnia. Po kilkugodzinnym przesłuchaniu został więc aresztowany, a dalsze śledztwo skoncentrowało się na zdobywaniu dowodów jego winy.

Dowodów tych, czy może raczej poszlak wskazujących na Haydena jako na prawdopodobnego sprawcę, było sporo. Pomijając już brak alibi, wykryto, że pastor zakupił uncję arszeniku w dniu śmierci Mary Stannard. Trucizna miała, jak twierdził, posłużyć do rozprawienia się ze szczurami, które tego lata wyjątkowo licznie odwiedzały jego stodołę.

Ponieważ arszenik stanowił ważny czynnik tej sprawy, poświęcono mu wiele uwagi. My też musimy to uczynić, tym bardziej że wyniki śledztwa były dość zawikłane. Nie zdołano, mimo starannych przeszukiwań, odnaleźć owej uncji trucizny zakupionej przez Haydena. Policja domniemywała zatem, że zużył on część, by otruć dziewczynę, resztę zaś zdołał jakoś wyrzucić czy wręcz potraktował nią szczury. Pastor utrzymywał natomiast, że zawartość całej paczuski natychmiast wysypał w stodołę. Ani jednak śladów arszeniku, ani też martwych szczurów, które stanowiłyby

potwierdzenie zeznań pastora, w stodole nie znaleziono. I oto w kilka dni po policyjnej rewizji jakiś wierny parafianin zabrał się do myszkowania po obejściu. Po godzinie przybiegł na policję z triumfującym wyrazem twarzy, niosąc paczuszkę zawierającą arsenik, znaleziony rzekomo w stodole, tam gdzie uprzednio policja nie znalazła nic! Pastor w tym czasie przebywał już w areszcie, a więc odkrycie gorliwego wieśniaka wzbudziło sporo wątpliwości. Czyżby parafianie zapalali taką niechęcią do swego duchowego przywódcy, że postanowili pomóc policji w gromadzeniu dowodów przeciwko niemu?

Problemy z arsenikiem wcale się jeszcze nie zakończyły. Choć znalezienie paczuski z uncją tej trucizny już po rewizji i aresztowaniu pastora budziło wątpliwości, postanowiono jednak przeprowadzić badania laboratoryjne owego znaleziska, by porównać je z arsenikiem znalezionym w żołądku Mary Stannard. Było wątpliwe, by podana zamordowanej trucizna pochodziła z tej samej paczki, bo w takim przypadku zawartość opakowania ważyłaby przecież mniej. Tymczasem policja miała do czynienia z pełną, nie rozpieczętowaną jeszcze paczuszką. Ponieważ był to jedyny materiał do badań porównawczych, zwrócono się do profesora Edwarda S. Dany, wykładowcy na uniwersytecie Yale, z prośbą o przeprowadzenie takich badań.

Profesor Dana okazał się naukowcem niezwykle sumiennym. Dzięki owemu ekspertowi wielebny Hayden spędził w areszcie prawie rok, podczas gdy profesor Dana dwukrotnie udał się do... Anglii, by zbadać sprawę na miejscu, w fabryce trutek na szczury. Okazało się bowiem, że specyfik znaleziony w stodole był importowany.

Prowadzących śledztwo ogarniało już całkiem zrozumiałe zniecierpliwienie, gdy wreszcie profesor Dana nadesłał wielostronicowy elaborat, zawierający wyniki badań. Stwierdzał w nim, iż kryształki trucizny odkryte w stodole różnią się od arseniku znalezionego w żołądku Mary Stannard. Co więcej, arsenik ze stodoły nie pochodził ze sklepu, w którym pastor Hayden miał zakupić truciznę. Podobnie jednak miała się sprawa z kryształkami arseniku znalezionymi w żołądku zamordowanej. Zdaniem prof. Dany był to jeszcze inny specyfik, a więc nie ten, którego zakupienie pastorowi udowodniono. Ekspert istotnie wykonał mrówczą pracę, porównał bowiem wszystkie trutki na szczury sprzedawane w najbliższym mieście Madison i stwierdził, że trucizna, której użyto do zabicia Mary Stannard, pochodzi ze sklepu w drugim końcu miasta, gdzie zresztą nikt nie przypominał sobie pastora Haydena jako klienta. W tym momencie policjanci zaczęli prawdopodobnie żałować, że w ogóle przekazali arsenik do badań. Zamiast zdobyć przekonujące dowody, otrzymali od eksperta dokument dodatkowo zaciemniający sprawę.

Proces Haydena rozpoczął się wreszcie w październiku 1879 roku, a więc po upływie z górą roku od zabójstwa Mary Stannard i trwał aż trzy miesiące. Największą sensację wywołała żona oskarżonego, która nagle dostarczyła mężowi alibi.

Dotychczas, przesłuchiwana wielokrotnie przez policję, utrzymywała, że nie pamięta, co robił jej mąż w dniu zabójstwa, a na ponawiane pytania reagowała omdleniem.

I oto teraz, na sali sądowej, pani Hayden wyraźnie i głośno, z podniesioną głową oznajmiła, że po południu w dniu zabójstwa Mary Stannard jej mąż spędził cztery godziny w drewni, zajęty układaniem zapasu drzewa na zimę. Zapewniła, że nie mógł oddalić się nie zauważony przez nią, sama bowiem wykonywała jakąś pracę na podwórzu.

Pani Hayden odmówiła odpowiedzi na pytanie, dlaczego wcześniej nie poinformowała policji o alibi męża. Sugerowano, a jest to wytłumaczenie całkiem prawdopodobne, że pragnęła po prostu zemścić się na niewiernym małżonku, nie chciała jednak, by otrzymał on karę śmierci, czy spędził resztę życia w więzieniu.

W zupełnej ciszy padło pytanie prokuratora:

– Pani Hayden, czy powiedziałaaby pani prawdę, nawet gdyby ta prawda miała obciążyć pani męża?...

Kobieta nie musiała udzielać odpowiedzi na to niewątpliwie kłopotliwe pytanie. Gwałtowny protest obrońcy spowodował bowiem jego uchylenie.

Narada przysięgłych trwała dwa dni. Wydaje się, że zawikłane wyniki badań profesora Dany, zawarte w przydługim elaboracie, nie zrobiły na przysięgłych większego wrażenia. Deliberowali głównie nad wiarygodnością zeznań pani Hayden, a przede wszystkim nad tym, jak długo może trwać układanie drzewa w największej choćby drewni. Szczegóły narady przeniknęły później do prasy. Otóż pani Hayden zdołała przekonać większość przysięgłych. Do wydania wyroku konieczna była jednak jednomyślność. Nie zdołano jej osiągnąć. Mała grupka, dowodzona przez 30-letniego farmera, Davida B. Hotchkissa, uparcie twierdziła, że zeznania pani Hayden są wierutną bzdurą. Wreszcie przysięgli poinformowali sąd o niemożności wydania jednomyślnego wyroku. Ława przysięgłych została rozwiązana.

Zgodnie z prawem powinno było dojść do następnej rozprawy, z udziałem nowych przysięgłych. Jednakże w dziesięć dni po niefortunnym zakończeniu procesu pastor Hayden został zwolniony za kaucją. Nie stanął już przed sądem.

Patrick MAHON

Niektóre panie obarczone niewiernymi małżonkami przypisują sobie coś na kształt szóstego zmysłu, który pozwala im jakoby wyczuć istnienie „tej trzeciej”. Żona Patricka Mahona opierała się na bardziej konkretnych podstawach, gdy postanowiła przeszukać mężowskie kieszenie. Mahon bowiem coraz częściej zniknął z

domu na kilka dni i nie potrafił podać wyjaśnienia swej nieobecności, które zadowoliloby żonę. Najlepsze i najczęściej chyba stosowane tłumaczenie, podróż służbowa, nie wchodziło w grę, jako że 33-letni Mahon był sprzedawcą wody sodowej w Richmond w hrabstwie Surrey, gdzie mieszkał przy Pagoda Avenue, nie miał więc powodu wyjeżdżać w interesach. Poza tym uważał sam siebie za „złotego młodzieńca” i prowadził stosowne do tego określenia życie towarzyskie, do którego jednak pani Mahon zdążyła już przywyknąć w ciągu 12 lat małżeństwa. Dopiero częste i tajemnicze wyjazdy męża sprawiły, że wbrew swoim zasadom przetrząsnęła kieszenie marynarki, w której Mahon dopiero co powrócił z jednej z owych podróży.

Wśród mnóstwa całkiem niewinnych drobiazgów znalazła coś, co nie stanowiło wprawdzie dowodu zdrady, lecz wydało się jej intrygujące. Był to mianowicie kwit bagażowy ze stacji Waterloo w Londynie. W normalnych warunkach pani Mahon nie miałaby żadnych szans sprawdzenia, co też jej mąż oddał na przechowanie w Londynie, nie ujawniając przed nim swej małej rewizji. Tak się jednak złożyło, że wśród swych znajomych miała byłego policjanta kolejowego, do którego zwróciła się z prośbą o pomoc.

Emerytowany funkcjonariusz potraktował prośbę pani Mahon bardzo poważnie. Przyjął od niej karteczkę z wynotowanym numerem kwitu (sam kwit podejrzliwa żona włożyła do tej samej kieszeni, w której go znalazła, by mąż, który mógł przecież okazać się całkiem niewinny, nie dowiedział się o jej postępkach) i tego samego dnia, a było to 1 maja 1924 roku, udał się do Londynu. Odszukał jednego ze swych byłych kolegów ze służby i przedstawivszy mu sprawę, poprosił o pozwolenie obejrzenia tajemniczego bagażu. Była to spora walizka, którą – ponieważ nie miała zamka – dwaj przyjaciele otworzyli. Zawartość wydała im się w najwyższym stopniu podejrzana, zawiadomili więc policję. W walizce znajdowało się przesiąknięte krwią ubranie – koszula, spodnie, kurtka oraz nóż kuchenny okazałych rozmiarów i futerał na raketę tenisową, ozdobiony inicjałami E. B. K. Nikt z otoczenia Mahona nie miał takich inicjałów.

Wezwani policjanci przejrzeni raz jeszcze zawartość walizki, pobrali próbki krwi z brudnej odzieży i polecili całość umieścić z powrotem w przechowalni, gdzie miała oczekiwać na prawowitego właściciela kwitu. Nie trzeba dodawać, że wraz z walizką czekał też funkcjonariusz w cywilu.

Mahon pojawił się na dworcu Waterloo już następnego dnia. Gdy usiłował odebrać walizkę, został zatrzymany i przewieziony na komisariat przy Kensington Road. Nie znaczy to bynajmniej, że każdy właściciel walizek i z zakrwawioną odzieżą jest tak traktowany. Po prostu policja otrzymała już wyniki badań laboratoryjnych. Kiedy zatem Mahon pewnym siebie tonem wyjaśnił, że w walizce przewoził mięso dla psa, owinięte w stare szmaty, policjanci poinformowali go spokojnie, że krew

znaleziona na ubraniu jest krwią ludzką.

W tym momencie Mahon stracił, rzecz jasna, wszelkie szanse wytłumaczenia się. Policja z oczywistych powodów nie dała wiary jego wyjaśnieniom, że owo mięso dla psa zawinał w odzież, którą miał na sobie, gdy poważnie zranił się w rękę podczas rąbania drzewa.

Przesłuchanie trwało już kilka godzin, a im bardziej Mahon plątał się w zeznaniach, tym bardziej stanowczo policja żądała odpowiedzi. Jedno z pytań, które zadano chyba co najmniej sto razy, dotyczyło inicjałów na futerałach. Kto to jest E. B. K.?

Freszcie Mahon załamał się. Wyjaśnił, że futerał jest własnością jego kochanki, Emily Beilby Kaye, z którą nawiązał romans przed kilkoma miesiącami. Udzieliwszy tej informacji, o nic nie pytany mówił dalej.

Wyjaśnił, że spotykał się z Emily Kaye w domku stojącym na kamienistym wybrzeżu, zwanym Crumbles, pod Eastbourne w hrabstwie Sussex. Tej właśnie informacji poszukiwała bezskutecznie w kieszeniach męża pani Mahon, miała ją jednak usłyszeć dopiero na procesie. Tymczasem nie wiedziała nawet jeszcze, że jej mąż został aresztowany.

Mahon mówił dalej. Otóż w nocy z 12 na 13 kwietnia (był to weekend, który spędzał z Emily Kaye) miało dojść między kochankami do gwałtownej sprzeczki i szamotaniny, podczas której kobieta potknęła się i upadła, uderzając głową w ostrą krawędź stojącego opodal wiadra na węgiel. Mahon przysięgał, że robił wszystko, by przywrócić jej życie (co w świetle późniejszych odkryć policji brzmi dość makabrycznie), lecz kobieta zmarła jakoby natychmiast. Bojąc się ujawnienia swego romansu i podejrzeń o zabicie Emily Kaye, Mahon opuścił domek, pozostawiając jej szczątki. W drugiej części owego budynku mieściła się stacja straży przybrzeżnej, wydawało się zatem dość dziwne, że żaden ze strażników nie zwrócił na nic uwagi. Nie wiemy, czy policjanci przesłuchujący Mahona uwierzyli w jego historyjkę. My w każdym razie możemy mieć pewność, że była ona wyssana z palca, gdyż słynny anatomopatolog, Sir Bernard Spilsbury, który występował jako biegły w procesie Mahona, stwierdził z całą stanowczością, że przyczyną zgonu nie mógł być przypadkowy uraz głowy, tym bardziej że wiadro, o które rzekomo miała uderzyć się Emily Kaye, nie nosiło żadnych śladów.

Skoro wspomnieliśmy już Sir Spilsbury'ego, wypada wyrazić najwyższe uznanie dla nauki. Wybitny specjalista zdołał również ustalić, że Emily Kaye była zupełnie zdrowa w chwili śmierci, nie mogła więc umrzeć z przyczyn naturalnych, a także, że była w ciąży. Wydawałoby się, że dla anatomopatologa wyciągnięcie takich wniosków na podstawie badania zwłok nie jest zbyt trudnym zadaniem. Dlaczego więc wyrażamy uznanie Bernardowi Spilsbury'emu?

Policja udała się do wskazanego przez Mahona nadmorskiego domku. Wbrew oczekiwaniom, policjanci nie znaleźli w nim nic, co można by zidentyfikować jako zwłoki Emily Kaye. Na to, co Mahon elegancko określił jako „szczątki”, składała się następująca kolekcja, która w dość osobliwym świetle stawia osobowość „złotego młodzieńca”: pewna ilość rondli z gotowanym mięsem (czy może należałoby powiedzieć: ciałem) ludzkim, talerze i słoje wypełnione zestalonym ludzkim tłuszczem, kawałki surowego mięsa ludzkiego w pudle na kapelusze, kufrze i puszkach po herbatnikach, przesiąknięty krwią dywan i tysiące małych odłamków kości ludzkich, jakie wydobyto z paleniska w kuchni i z kosza na śmieci. Właśnie na podstawie takich „szczątek” sir Bernard Spilsbury wyciągnął wnioski co do zdrowia i ciąży zamordowanej...

Mahon był uprzednio karany. W 1916 roku skazano go na 5 lat więzienia za napad rabunkowy, podczas którego zadał swej ofierze poważne obrażenia przy pomocy młotka. W czasie procesu mówiono wówczas o jego gwałtownym charakterze.

W lipcu 1924 Mahon stanął przed sądem, oskarżony o zabójstwo z premedytacją dokonane na osobie kochanki. Wśród licznych dowodów na to, że Mahon planował zabójstwo Emily Kaye, najważniejsze dotyczyły piły i noża kuchennego, które – jak twierdził oskarżony – nabyte zostały 17 kwietnia, a więc już po zabójstwie. Dowiedziano jednak, że Mahon kupił te przedmioty 12 kwietnia, tuż przed wyjazdem do Crumbles na umówione spotkanie z Emily.

Jasny był też motyw morderstwa. Otóż Emily Kaye, choć wiedziała, że jej kochanek jest żonaty, miała nadzieję, że zgodzi się on porzucić żonę i córeczkę, by osiedlić się wraz z nią w Południowej Afryce. Mahon z pozoru odnosił się do jej projektu wręcz entuzjastycznie i w krótkim czasie zdołał zawładnąć całym sporym majątkiem kochanki. Pieniądzy potrzebował rzekomo na przygotowanie ich wspólnego wyjazdu, a zużył je w rzeczywistości na uciechy stosowne dla „złotego młodzieńca”.

Kiedy Emily Kaye nie miała już ani grosza, przestała być atrakcyjna dla Mahona. Sytuacja stawała się niewygodna, tym bardziej że Emily była coraz bardziej zainteresowana sposobem, w jaki Mahon ulokował w Południowej Afryce ich przyszły wspólny kapitał. Wyrok śmierci nieszczęsna kobieta podpisała na sobie w dniu, gdy zawiadomiła kochankę o swej ciąży. Zaproponowała też, że sama zawiadomi o tym jego żonę, by oszczędzić mu trudnej sytuacji i przykrości. Cóż, przed następnym spotkaniem z kochanką, podczas którego miały być omawiane szczegóły jej rozmowy z żoną Mahona, ten ostatni zakupił piłkę i nóż...

Jedna tylko sprawa pozostała niewyjaśniona do końca. Nie znaleziono głowy ofiary, która powinna była nosić ślady śmiertelnego ciosu, zadanego

najprawdopodobniej siekierą. Narzędzie zbrodni znajdowało się w domku, a o sile ciosu świadczyć może fakt, że siekiera była pęknięta. Sir Bernard Spilsbury z całą stanowczością stwierdził, że wśród szczątków, które przekazano mu do zbadania, nie ma kości czaszki ani też mózgu. Gdy wścibscy reporterzy dowiedzieli się o tym i we wszystkich gazetach na pierwszych stronach tłustym, drukiem zadawano pytanie, gdzie jest głowa Emily Kaye, wybrzeże Crumbles zaludniło się makabrycznymi poszukiwaczami. Ludzie przybywali z całej Anglii, wyposażeni w łopaty i grabie, by rozgrzebywać kamienie w nadziei osobistego odnalezienia głowy. Należy przypuszczać, że kierowali się nie tyle chęcią wspomnienia policji w dochodzeniu, co koszmarnym pragnieniem ujrzania na własne oczy czegoś tak makabrycznego.

Poszukiwacze opuścili Crumbles po pewnym czasie mocno rozczarowani. Głowy nie odnaleziono nigdy, zaś Mahon, oczekując na proces w więzieniu Brixton, opowiedział wreszcie, jak pozbył się głowy swej ofiary. Był to prawdopodobnie jedyny moment całej zbrodni, który zrobił na nim większe wrażenie, drżał bowiem na całym ciele, mówiąc o swych próbach spalenia w kuchennym piecu tej części zwłok, najłatwiejszej do identyfikacji. Gdy umieścił głowę na rozżarzonych węglach, pod wpływem wysokiej temperatury powieki nagle uniosły się, ukazując oczy. Tylko w tym momencie Mahon zdenerwował się do tego stopnia, że musiał wyjść przed dom. Gdy wrócił, po głowie nie pozostał już żaden ślad.

W pamięci zabójcy utkwiał jeszcze jeden szczegół, również związany z paleniem głowy Emily Kaye. Otóż w momencie, gdy nagle spojrział wprost w jej otwarte oczy, usłyszał straszliwy grzmot, a trwała właśnie gwałtowna burza. I oto w chwili, gdy podczas procesu zapytano go o głowę ofiary, z dala dał się także słyszeć odgłos grzmotu... Sąd musiał zarządzić piętnastominutową przerwę, by oskarżony uspokoił się i mógł zeznawać dalej.

Chociaż motywy zbrodni Patricka Mahona były całkiem przyziemne, to jednak sposób jej dokonania musi budzić pewne wątpliwości co do zdrowia psychicznego mordercy. Zastanawia zatem fakt, że Mahon nie został poddany badaniom psychiatrycznym. Być może sprawiło to powszechne oburzenie, przekonanie, że sprawca tak ohydneho czynu powinien wisieć...

Patrick Mahon został uznany winnym morderstwa i stracony 9 września 1924 roku.

Bertie MANTON

Dnia 19 listopada 1943 roku wczesnym rankiem kilku przechodniów zauważyło sporych rozmiarów wypchany worek leżący w strumieniu, który przepływa przez

przedmieścia Luton. Wzdłuż tego strumienia wiedzie jedna z najbardziej uczęszczanych ścieżek tego miasta, tędy bowiem co rano setki pracowników zdążają do fabryki samochodów Vauxhall. Jednak nikt z owych rannych przechodniów nie zszedł do strumienia, by sprawdzić zawartość worka – czas naglił, za chwilę rozpoczynała pracę pierwsza zmiana.

Znacznie więcej uwagi poświęcili tajemniczemu workowi dwaj ludzie, pracownicy rady miejskiej, którzy i tak musieli zejść nad sam brzeg strumienia. Jak co dzień, o godzinie 14.15 mierzyli bowiem poziom wody. Strumień przepływający przez Luton jest dość płytki i worek wystawał z wody tuż obok miejsca, w którym mieli dokonać pomiarów. Trudno zatem dziwić się, że szturchnąwszy najpierw kilkakrotnie końcem buta tajemniczy pakunek, postanowili zajrzeć do środka. Nie wiemy, co spodziewali się znaleźć. Być może, pasjonowali się powieściami przygodowymi i liczyli na jakiś skarb. Z drugiej strony jest również możliwe, że byli wielbicielami powieści kryminalnych i tajemniczy worek nasunął im natychmiast myśl o zmasakrowanych zwłokach. Cóż, jeśli tak było, to można powiedzieć, że nie zawiedli się.

Worek związany był kawałkiem drutu i z otwarciem go nie było specjalnych kłopotów. Zawartość stanowiły nagie zwłoki.

Przybyły na miejsce wraz z policją lekarz sądowy, dr Keith Simpson, stwierdził, co następuje: w worku znajdują się zwłoki dość młodej kobiety, całkowicie obnażone i związane sznurem przeprowadzonym wokół talii w pozycji embrionu, to jest z kolanami przyciśniętymi do brzucha. Ponadto nogi zmarłej związane były w kostkach. Twarz nosiła ślady brutalnego pobicia, rysów nie sposób było odróżnić.

Gdy zwłoki przewieziono do kostnicy szpitala miejskiego, dr Simpson przeprowadził dalsze badania. Policja sądziła, że na podstawie jego informacji bez trudu zidentyfikuje kobietę: wiek około 35 lat, ogólny stan zdrowia dobry, szósty miesiąc ciąży (przy czym, jak określił anatomopatolog, nie miało to być jej pierwsze dziecko), w jamie ustnej znaczne braki w uzębieniu i ślady po stałym noszeniu sztucznej szczęki, której przy zwłokach nie znaleziono. Sądząc po rękach, zmarła była gospodynią domową (na podstawie charakterystycznych, blizn i zabrudzeń można czasem ustalić zawód). Przyczyną zgonu były urazy czaszki w wyniku pobicia ciężkim, kanciastym przedmiotem. Na szyi widniały też ślady duszenia.

Zadanie wydawało się proste. Należy przejrzeć meldunki o zaginionych kobietach po trzydziestce, gospodyniach domowych wychowujących potomstwo i używających sztucznej szczęki. Policja przystąpiła do pracy. Mimo pomocy Scotland Yardu policja w Luton przez trzy miesiące biedziła się nad problemem identyfikacji zwłok. Spośród meldunków o osobach zaginionych wybrano 404, które informowały o poszukiwaniu kobiet choć w przybliżeniu odpowiadających danym o tajemniczej zmarłej. Jak

gigantyczną pracę wykonała policja, świadczyć może fakt, że wszystkie te 404 kobiety odnaleziono! Poprawiwszy w ten sposób wydatnie statystykę osób zaginionych, funkcjonariusze prowadzący sprawę o kryptonimie „Worek” nadal nie wiedzieli nic o znalezionych w strumieniu zwłokach.

Jak wspomniano, w pobliżu znajdowała się fabryka Vauxhall. Przesłuchano zatem kilka tysięcy jej pracowników, podobnie jak niemal wszystkich mieszkańców sporego przecież Luton, a także 250 kierowców ciężarówek, którzy w ciągu kilku dni poprzedzających znalezienie worka przyjechali do fabryki, wioząc surowce i części. W tym wypadku chodziło nie tylko o identyfikację zwłok, lecz i o sprawdzenie hipotezy, mówiącej, że zarówno sprawca, jak i jego ofiara byli przyjezdni. Jednak ku rozczarowaniu policji żaden z przesłuchanych kierowców nie okazał się w najmniejszym nawet stopniu podejrzany, choć kilku udowodniono „przy okazji” jakieś drobne wykroczenia.

Na długo przedtem, zanim stało się jasne, że konieczna będzie szeroka akcja poszukiwawcza z udziałem społeczeństwa Luton, sporządzono rutynowe zdjęcia twarzy zamordowanej. Początkowo miały one zostać rozproszone po okolicznych komisariatach i posterunkach policji, jak to się zwykle czyni w przypadku zwłok N.N. Ponieważ zdjęcie tak zmasakrowanej twarzy nie mogło pomóc w identyfikacji, postarano się, na ile to było możliwe, „odtworzyć” prawdziwą twarz nieznaną. Zadanie to powierzono doktorowi Simpsonowi, zaś do pomocy sprowadzono wybitnego policyjnego specjalistę w dziedzinie antropometrii z Londynu. Wynik ich starań, choć nie budził już przerażenia i można go było pokazywać nawet osobom bardzo wrażliwym, nie był jednak, jak się miało okazać, wiernym odbiciem rzeczywistej twarzy zamordowanej.

W miarę upływu czasu, gdy prowadzący śledztwo zaczęli zdawać sobie sprawę, że identyfikacja zwłok będzie najtrudniejszym chyba problemem w tej sprawie, zdecydowano się udostępnić zdjęcia „odtworzonej” twarzy zamordowanej szerszej publiczności. Wraz z odpowiednim wezwaniem do obywateli pojawiły się one na wystawach sklepowych, pokazywano je też przed seansem na ekranach kin. Ludność, proszona przez policję o pomoc, posłusznie przyglądała się zdjęciom, rozważana różne możliwości – bez rezultatu.

Wśród mieszkańców Luton była też pewna 17-letnia dziewczyna i jej bracia w wieku 14 i 15 lat. Jak wszystkie dzieci, bywali oni często w kinie, a w drodze do szkoły czy na spotkanie z kolegami codziennie przechodzili obok co najmniej kilku sklepów, z wystaw których spoglądały na nich oczy z twarzy, która nigdy w rzeczywistości nie istniała. Były to dzieci zamordowanej. Żadnemu z nich nie zaświtał nawet cień podejrzenia, że zdjęcie może przedstawiać ich matkę. Ojciec powiedział im, że matka wyjechała do krewnych. Nie miały powodu, by mu nie wierzyć.

Gdy apele do ludności o pomoc w śledztwie nie dały żadnych rezultatów, policja postanowiła odszukać odzież zamordowanej. Była to naprawdę ostatnia szansa identyfikacji zwłok, przy tym szansa niewielka. Nikt nie był w stanie zaręczyć, że jej odzież nie leży po prostu w szafie w jej miejscu zamieszkania. Przystępując do poszukiwań, nie liczone więc na sukces. Jak się jednak miało okazać, dopiero ta metoda dała efekty.

Praca, jaką wykonała policja w tej sprawie, była zaiste ogromna. Przesłuchania setek osób, żmudne poszukiwania ogromnej liczby zaginionych i wreszcie przejrzenie śmietników miejskich, miejsc wywózki odpadków i zaniedbanych terenów, które okoliczni mieszkańcy powoli zamieniali w śmietniska. Brzmi to niewiarygodnie, lecz ekipy funkcjonariuszy przeszukały wszystkie takie miejsca w Luton i okolicy, wydobyły ze stosów odpadków całą odzież, jaka się tam znajdowała (a także szmaty, co do których istniał choćby cień podejrzenia, że kiedykolwiek służyły jako ludzkie odzienie) i dostarczyły na komisariat. Tam badano każdy kawałek tkaniny, starając się ustalić, skąd pochodzi i czy mógł być noszony przez zamordowaną kobietę. Stopień zniszczenia nie grał żadnej roli. Całkiem słusznie przyjęto, że jeśli sprawca postanowił pozbyć się odzieży swej ofiary, najpewniej pociął ją na kawałki, by nie mogła zostać później rozpoznana, jeśli znajdzie ją i włoży jakiś włóczęga.

Wydawać by się mogło, że po trzech miesiącach od znalezienia zwłok wyszukanie i identyfikacja odzieży zamordowanej jest zadaniem niewykonalnym i jeśli w ogóle kiedykolwiek policja ustali, kim była tajemnicza kobieta, to na pewno nie tą drogą. Tymczasem ta żmudna i uciążliwa praca przyniosła upragnione rozwiązanie.

Na podmiejskim śmietniku znaleziono pocięte kawałki czarnego, damskiego płaszcza. Policjanci zwrócili na nie uwagę właśnie ze względu na to, że tkanina – zupełnie jeszcze nie zniszczona, bo płaszcz był stosunkowo nowy – została pocięta nożyczkami. Któżaż kobieta zniszczy całkiem dobry płaszcz i to w niepewnych, wojennych czasach?! Pozbierano wszystkie kawałki, rozrzucone po całym śmietniku i na jednym z nich odkryto metkę z pralni chemicznej. Takich zakładów usługowych było w Luton kilka, w całej Anglii – trudno zliczyć. Spróbowano najpierw w miejscowych pralniach i oto już właścicielka drugiej, do której udali się funkcjonariusze, stwierdziła, że właśnie w jej zakładzie używa się takiego stempla. Numer na metce dotyczył niejkiej pani Rene Manton zamieszkałej przy Regent Street w Luton. Gdy policjanci udali się pod ten adres i wpuszczono ich do salonu, jeden rzut oka na fotografię pani domu, stojącą na kominku, powiedział im, że oto poszukiwania zostały zakończone. Ponadto pani Manton opuściła dom 18 listopada, na dzień przed znalezieniem worka z koszmarną zawartością. Dlaczego nikt z najbliższych i sąsiadów nie rozpoznał kobiety na zdjęciach, choć policja nie miała z

tym trudności? Cóż, zadziałał tu zapewne pewien mechanizm psychologiczny. Rodzina i znajomi zamordowanej byli przekonani, że udała się ona w dłuższe odwiedziny do swych krewnych, nie przyszło im zatem do głowy, że zdjęcia (istotnie niezbyt podobne) mogą ją przedstawiać. Nastawienie policjantów było natomiast zupełnie inne i podobieństwa dopatrzyli się bez trudu.

Pan domu, Bertrie Manton, poinformował policję, podobnie jak przedtem własne dzieci i sąsiadów, że jego żona pojechała do swego brata do Grantham. Dodał jeszcze, że ich pozycie nie układało się ostatnio najlepiej z powodu rzekomej skłonności pani Manton do przelotnych romansów z żołnierzami z pobliskich koszar i że opuściła ona dom po kłótni, jaka wybuchła z tego właśnie powodu.

Bez trudu stwierdzono, że pani Manton w ogóle do Grantham nie dotarła. Położna z Luton, która opiekowała się nią podczas ciąży, otrzymała pod koniec listopada list napisany rzekomo przez zmarłą, informujący ją, że zamierza spędzić w Grantham czas pozostały do rozwiązania. Matka pani Manton otrzymała natomiast trzy listy z adresem zwrotnym w Hampstead. Nazwa ta pisana była błędnie: „Hamstead”, gdy zapytano Mantona o pisownię tego wyrazu, popełnił ten sam błąd.

Wkrótce potwierdzono identyfikację pani Manton na podstawie dokumentacji znalezionej u jej dentysty oraz odcisku palca, który znajdował się w domu przy Regent Street na słoiku z marynatą, a który był identyczny z odciskiem jednego z palców zamordowanej.

Bertie Manton, pracownik Straży Pożarnej, został aresztowany pod zarzutem zabójstwa żony. Wkrótce przyznał się, że zabił ją w afekcie, podczas sceny zazdrości o jej kontakty z żołnierzami. Płatał się jednak w zeznaniach, w wyniku czego afekt wydawał się wątpliwy. Manton najpierw próbował dusić żonę, po czym, gdy straciła przytomność – zmasakrował jej twarz ciężkim taborettem. Zapakował ciało w worek i zawiózł nad strumień pod osłoną ciemności.

Uznany winnym, Bertie Manton został skazany na śmierć. Wyrok wykonano.

Buck RUXTON

Lekarz, znany pod nazwiskiem Buck Ruxton, jest postacią dość egzotyczną. Naprawdę nazywał się Bikhtyar Rustonii Ratanji Hakim, urodził się i wychował w zamożnej rodzinie hinduskiej w Bombaju, był też Parsem, czyli wyznawcą religii Zaratustry.

Studia medyczne Ruxton ukończył w Bombaju, po czym przybył do Londynu, zapewne w celu pogłębienia swej wiedzy. Po kilku latach tytuł lekarza przyznano mu także na Uniwersytecie Londyńskim, dzięki czemu zyskał prawo wykonywania

zawodu w Wielkiej Brytanii. Sprawilo to, ze zdecydowal sie pozostac tu na stale, choc pierwotnie planowal powrot do Indii. Na jego decyzje wplynal zapewne fakt, ze od pewnego juz czasu mieszkal z kochanka, niejaka Isabelle Van Ess, z pochodzenia Szkotka, ktora dla niego porzucila swego meza, Holendra. Ze wzgledow wyznaniowych Ruxton nigdy nie ozenil sie z Isabelle, choc uchodzila ona powszechnie za jego legalnie poslubiona malzonke. W 1930 roku (Ruxton, urodzony w 1899, mial wtedy 31 lat) Isabelle spodziewala sie ich pierwszego dziecka. Wtedy to swiezo upieczony lekarz postaral sie o praktyke prywatna i zamieszkal przy Dalton Square nr 2 w Lancaster, gdzie zaczal przyjmowac pacjentow. Uzywal juz swego przybranego nazwiska, gdyz prawdziwe bylo po prostu niewymawialne w angielskich warunkach, a przy znanej ksenofobii wyspiarzy z pewnoscia nie przysparzaloby mu pacjentow.

Zarowno doktor, jak i jego mloda „zona” mieli dosc porywcze usposobienie. W domu Ruxtonow czesto wiec wybuchaly klótnie. Ruxton byl bardzo zazdrosny o swa ladna, zalotna kochanka i nieustannie zarzucał jej jakies romanse. Piękna Isabelle dwukrotnie musiala zwrócic sie do policji o przydzielenie jej ochrony, tak bardzo obawiala sie gniewu meza. Przy tym, jak sie wydaje, podejrzenia Ruxtona nie mialy zadnych podstaw. Isabelle byla wierna zona, a jesli czasem myslala o porzuceniu meza, bylo to spowodowane wylacznie jego gwaltownoscia.

W 1935 roku panstwo Ruxton mieli juz troje dzieci i byliby zapewne bardzo szczesliwi, gdyby nie owe nieustanne klótnie na tle wymaginowanych zdrad Isabelle. Ostatnia sprzeczka malzenska, o jakiej posiadamy wiadomosci, miala miejsce dnia 7 wrzesnia 1935 roku. Pani Ruxton wrócila wlasnie z krótkich wakacji, spedzonych w Edynburgu wraz z zona i dziecmi pewnego mlodego urzednika rady miejskiej Lancaster. Ledwo wrócila, maz oskarzyl ja o romans z owym urzednikiem, tylko dlatego, ze przyjaznila sie z jego zona i wyjechala wraz z nia. Trzeba przyznac, ze zarzuty te nie byly zbyt logiczne, a jak pózniej dowiedziono, nie mialy nic wspólnego z prawda. Jak wiekszosc malzenskich klótni, tak i ta skonczyla sie nastaniem tzw. „cichych dni”. Panstwo Ruxton niemal nie rozmawiali ze soba.

Tydzien pózniej, 14 wrzesnia, Isabelle Ruxton pojechala sama do Blackpool, by spotkac sie ze swymi dwiema siostrami. Podrozowala samochodem swego meza, Hillmanem. Miala powrocic jeszcze tego samego wieczoru. O godzinie 23.30 pozegnala sie z siostrami i wsiadla do samochodu, by nieco spózniona wyruszyc w droge, powrotna. Jak sie mialo okazac, wtedy wlasnie po raz ostatni widziano ja zywa.

Nastepnego dnia, 15 wrzesnia, o godzinie 6.30 rano, doktor Ruxtan odwiedzil niejaka Agnes Oxley, sprzataczke, ktora przychodzila do jego domu codziennie okolo 7.15. Pewne zdumienie budzi fakt, ze zjawiala sie takze w niedziele, 15 wrzesnia byla

bowiem niedziela. Doktor zawiadomił panią Oxley, by nie fatygowała się na Dalton Square tego ranka. „Pani Ruxton i Mary wyjechały na krótkie wakacje do Edynburga” – wyjaśnił, prosząc, by pani Oxley przyszła jednak w poniedziałek o zwykłej porze. Mary Rogerson była pokojówką i opiekunką dzieci Ruxtonów.

Tego ranka do domu przy Dalton Square zapukało kilku dostawców. Wszystkich doktor informował przez uchylone drzwi, iż pani domu wraz z pokojówką wyjechała do Edynburga, on zaś nie potrzebuje żadnych towarów. Zjawił się też pacjent, umówiony wcześniej na drobny zabieg chirurgiczny. On także nie został wpuszczony do środka, a doktor wystawił tylko przez drzwi bardzo brudną rękę. „Zwijamy właśnie dywany przed malowaniem domu. Widzi pan, jakie mam brudne ręce. Proszę przyjść jutro”.

O godzinie 11.30 Ruxton odwiózł dzieci do znajomej żony, prosząc ją o opiekę nad malcami podczas nieobecności Isabelle. Kobieta zauważyła, że Ruxton ma zabandażowaną rękę, a gdy spytała go o powód, wspomniał coś o zepsutym otwieraczu do konserw. Nie powiedział natomiast ani słowa o planowanym malowaniu domu.

Trzeba przyznać, że doktor spędził pracowity dzień. Pozbywszy się dzieci, udał się do rodziców Mary Rogerson, która – jak wiedział – miała zwyczaj odwiedzać Ich w niedzielę. Zawiadomił, że Mary wraz ze swą panią wyjechała na tydzień lub dwa do Edynburga, a ponieważ decyzja o wyjeździe podjęta została w ostatniej chwili, nie zdążyła powiadomić rodziny. Następnie, choć przedtem sam zrezygnował z usług pani Oxley, udał się do jednej ze swych pacjentek, niejakiej pani Hampshire, która również była sprzątaczką i poprosił ją, by zechciała przyjść na Dalton Square i wyszorować porządnie schody przed przybyciem malarzy, on bowiem nie daje sobie z tym rady. Jeżeli nawet pani Hampshire zdziwiła się, że doktor chce myć podłogę przed malowaniem, nic nie powiedziała. Wymyła schody, po czym przystąpiła do mycia wyjątkowo zabrudzonej wanny. Jak zeznawała później, brudno-żółte plamy nie znikwały mimo kilkakrotnego szorowania gorącą wodą z proszkiem.

Ruxton serdecznie dziękował pani Hampshire za przysługę, ofiarował jej też jeden ze swych garniturów. Ubranie było wprawdzie mocno poplamione, kobieta przyjęła jednak dar z wdzięcznością, postanawiając oddać zaraz porządny jeszcze garnitur do pralni. Ku swej radości dostała jeszcze kilka zrolowanych dywanów.

Następnego dnia Ruxton znów odwiedził panią Hampshire i usiłował odebrać jej te hojne prezenty. Okazało się to jednak niemożliwe, bo garnitur został już oddany do pralni chemicznej, dywany natomiast schły na podwórku. Pani Hampshire, ujrawszy na nich ciemne plamy, natychmiast polała je wodą. Mówiła później w sądzie, że woda, która spływała z dywanów, miała wyraźnie czerwone zabarwienie.

Od poniedziałku, 16 września, Ruxton zatrudnił dwie kolejne sprzątaczkę, panią

Smith i panią Curwen. Nie było już mowy o malarzach, kobiety otrzymały tylko zadanie gruntownego sprzątnięcia całego domu. Pracowały przez 4 dni, do 20 września, znajdując w tym czasie ogromną ilość plam przypominających krew, a rozsianych niemal po wszystkich pokojach. Ponadto w domu panował wyjątkowo nieprzyjemny zapach. Wreszcie Ruxton wysłał panią Curwen po wodę kolońską i rozpylacz i osobiście skropił obficie dom tym niezbyt odpowiednim pachnidłem.

Także w poniedziałek wieczorem Ruxton wynajął samochód, Austina, którym wyjechał z Lancaster. Gdy następnego dnia rano, wracając do domu, potrącił rowerzystę, powiedział policjantowi spisującemu protokół niegroźnego na szczęście wypadku, że wraca z podróży służbowej. Efekty owej „podróży” nie kazały na siebie długo czekać.

29 września w wąwozie pod Moffat w Szkocji znaleziono rozkawałkowane szczątki dwóch osób. Początkowo policja przypuszczała, że chodzi o zwłoki kobiety i mężczyzny. Stan szczątków był taki, że istotnie wymagały dłuższych badań, by ustalić płeć ofiar. Doktor Ruxton, jak wszyscy, interesował się tą sprawą i czytał pilnie coraz to nowe notatki w prasie. Pewnego dnia odczytał na głos artykuł w „Daily Express”, donoszący o przypuszczeniach, iż chodzi o kobietę i mężczyznę, po czym mruknął do swej słuchaczki (była nią pani Oxley):

– No, widzi pani, to znaczy, że to nie są nasze dwie zaginione.

Plotki o zniknięciu pani Ruxton i Mary Rogerson krążyły po okolicy. Ruxton utrzymywał, że żona uciekła do kochanka, zabierając ze sobą pokojówkę, która miała być współniczką swej pani w oszukiwaniu męża. Kilka dni później podsunął w rozmowie z pacjentką sugestię, że Mary Rogerson była w ciąży i jej zniknięcie nastąpiło w ostatniej chwili, zanim dowiedziała się o jej stanie cała okolica. (Udowodniono później, że było to wysrane z palca.)

Wreszcie 9 września, pod wpływem przedłużającej się nieobecności córki, a także pod wpływem plotek, pani Rogerson złożyła na policji doniesienie o zaginięciu Mary. Dowiedziawszy się o tym, doktor Ruxton uznał, za stosowne postąpić podobnie: następnego dnia zgłosił się na komisariat, prosząc o „dyskretne dochodzenie” w celu odnalezienia jego żony.

Tymczasem policja w Moffat nadal badała tajemnicze zwłoki. Odkryto, że czaszka jednej z ofiar owinięta była w gazetę. Druk był już w znacznym stopniu zatarty, zdołano jednak ustalić, że chodzi tu o dość szczególny dziennik. Było to bowiem wydanie lokalne, o bardzo małym nakładzie, pochodziło zaś z Lancaster. Prowadzący śledztwo szkoccy policjanci skontaktowali się więc ze swymi kolegami z Lancaster.

Do tego czasu specjaliści medycyny sądowej zdołali już ustalić, że odnalezione szczątki należą do dwóch kobiet, starszej i młodszej. Na komisariat policji dotarły zaś

nie tylko zgłoszenia o zaginięciu pani Ruxton i Mary Rogerson, ale i plotki o udziale doktora Ruxtona w tej tajemniczej sprawie. Gdy więc szkocka policja przesała do Lancaster bluzkę i dziecięcy kombinezon, które również służyły jako opakowanie zwłok, bez wahania okazano je osobie, która najlepiej znała garderobę państwa Ruxton – Agnes Oxley. Natychmiast rozpoznała ona te przedmioty, gdyż często widywała je w domu przy Dalton Square.

Prasa pisała już otwarcie, że prawdopodobnie ofiary mordu, znalezione w lesie w Szkocji, to żona doktora Ruxtona i jej pokojówka. Ruxton zaś, oburzony, protestował zawzięcie przeciwko tej – jak twierdził – nagonce. Odwiedził nawet komisarza policji w Lancaster, wykrzykując: „Ten rozgłos rujnuje moją praktykę!” (co zresztą niewątpliwie było prawdą). Nic to nie pomogło. 13 października Ruxton został oskarżony o zabójstwo Mary Rogerson, 5 listopada zaś – Isabelle Ruxton. Proces rozpoczął się 2 marca 1936 roku.

Podjęto próbę zidentyfikowania znalezionych szczątków. Zabrali się do tego trzej znakomici anatomopatolodzy. Wkrótce jednak okazało się, że wszystkie cechy, mogące ułatwić identyfikację zostały usunięte ze zwłok.

I tak na przykład Mary Rogerson miała zęza, ale z głowy jednej z ofiar, młodszej, sprawca starannie usunął oczy. Pani Ruxton miała bliznę na nodze, ale tkanka miękka z nogi drugiej ofiary również została usunięta. Ogółem biegli dysponowali dwiema czaszkami, dwiema klatkami piersiowymi, siedemnastoma kawałkami kończyn i czterdziestoma trzema kawałkami tkanek miękkich. Zdjęcia zaginionych kobiet powiększono do naturalnej wielkości i nałożono na nie zdjęcia znalezionych czaszek. Biegli stwierdzili, że czaszki niewątpliwie należały do osób przedstawionych na zdjęciach. Ofiara numer 2 (dla wygody zostały ponumerowane i numer drugi przypadł starszej kobiecie) została uduszona. Oba ciała zostały rozkawałkowane tuż po śmierci.

Chociaż doktor Ruxton do końca nie przyznawał się do winy, przysięgli nie mieli wątpliwości, że w szale zazdrości udusił on żonę tuż po jej powrocie z Blackpool, po czym za mordercę też pokojówkę, która prawdopodobnie stała się mimowolnym świadkiem tego czynu. Zwłoki pociął następnie u siebie w domu (stąd liczne plamy krwi) i wywiózł wynajętym Austinem do Szkocji.

Uznany winnym 13 marca 1936, powieszony został 12 maja.

Norman THORNE

Panna Elsie Cameron, 23-letnia maszynistka zamieszkała na Kensal Green w

Londynie, była osobą niezbyt interesującą: wątła, o nieciekawej urodzie, nosiła okulary w wyjątkowo niegustownej oprawce. Mimo to, a może właśnie dlatego walczyła jak lwica o swego narzeczonego, przeczuwając widać, że niewielkie ma szanse na następnego kandydata do ręki. Wszystko wskazywało bowiem na to, że i ten jedyny zaczyna tracić ochotę na małżeństwo, choć przedtem obiecywał jej miłość aż po grób. Narzeczoney mieszkał na wsi. Dziewczyna uznała widać, że stygnie w zapałach, nie widując jej dość często. Udała się więc do Crowborough w hrabstwie Sussex, gdzie jej ukochany prowadził bez większego powodzenia niewielką fermę kurzą. Był 5 grudnia 1924 roku.

10 grudnia ojciec Elsie, który wiedział, dokąd wybiera się córka, wysłał telegram do Normana Thorne (tak nazywał się niezdecydowany kandydat do jej ręki), prosząc o wiadomości. Elsie nie zjawiała się bowiem w pracy i groziła jej utrata posady. Thorne odtelegrafował natychmiast: „Tu jej nie ma. Nic nie rozumiem”. Pan Cameron zawiadomił policję.

Przesłuchano Thorne'a i mieszkańców Crowborough. Okazało się wkrótce, że dwóch robotników rolnych zauważyło Elsie Cameron, idącą polną ścieżką w kierunku fermy Thorne'a. Zeznania ich wydały się prawdopodobne, opisali bowiem dokładnie ubranie dziewczyny i walizeczkę, jaką miała w ręku. Szczegóły te potwierdził ojciec zaginionej, a świadkowie mogli je znać tylko na podstawie tego, co zobaczyli. Norman Thorne wyrażał jednak najwyższe zdumienie ich zeznaniami. Nie wiedział nawet, że Elsie wybiera się doń w odwiedzin, a już z całą pewnością nie dotarła do jego domu wieczorem 5 grudnia. Thorne robił wrażenie bardzo zaniepokojonego zaginięciem narzeczonej i chętnie rozmawiał o całej sprawie z każdym, kto tylko zadał mu jakieś pytanie, z policją, sąsiadami i dziennikarzami. Deklarował gotowość udzielenia wszelkiej pomocy w poszukiwaniach: „Zrobię, co tylko będzie trzeba, żeby ją znaleźć” – zapewniał. Bez żadnych oporów zgodził się na przeszukanie fermy i zrujnowanej chałupy, w której mieszkał. Jak można się domyśleć, nie przyniosło ono żadnych efektów. Chętnie pozował też do zdjęć dziennikarzom. Poprosił nawet jednego z nich o sfilmowanie go podczas karmienia kurcząt dokładnie w tym miejscu, które wskazał.

Z niezrozumiałych powodów poruszenie, jakie zaginięcie Elsie Cameron wywołało w okolicy, ominęło domek jednej z sąsiadek Thorne'a. Czyżby kobieta ta liczyła na ewentualne zyski z szantażu? Nie wydaje się bowiem prawdopodobne, by przez cały miesiąc nie kontaktowała się w ogóle z sąsiadkami. Zgłosiła się jednak w końcu na policję w Crowborough, gdzie złożyła sensacyjne zeznanie. Otóż – widziała Elsie Cameron wchodzącą na teren fermy Thorne'a wieczorem dnia 5 grudnia. Miejskowa policja powiadomiła o tym Scotland Yard 11 stycznia 1925 roku. Z nowym zapałem zabrano się więc do przekopywania terenu fermy, nie uległo

bowiem wątpliwości, że zwłoki nie mogą być ukryte w chacie. 15 stycznia znaleziono wreszcie ciało dziewczyny. Nogi i głowa zostały odcięte i spoczywały obok tułowia. Jak się okazało, zwłoki znajdowały się w tym właśnie miejscu, w którym Thorne kazał się sfotografować podczas prac gospodarskich.

W tej sytuacji Thorne zmuszony był zmienić zeznania. Przyznał więc, że Elsie Cameron istotnie odwiedziła go wieczorem 5 grudnia. Jak twierdził, pokłócili się wkrótce o jego kontakty z inną dziewczyną, którą Elsie uważała za swą rywalkę. Thorne, nie mogąc znieść krzyków i wyzwisk Elsie, wybiegł z chaty. Gdy wrócił tuż przed północą, pragnąc pogodzić się z dziewczyną, zastał jej ciało zwisające na sznurze od bielizny z belki stropowej. Wpadł w panikę, przekonany, że nie uniknie aresztowania:

– Wziąłem piłę do metalu – mówił. – Odpiłowałem nogi i głowę przy świetle świecy. Rano, ledwo zaświtało, zakopałem zwłoki na wybiegu dla leghornów; to jest ten pierwszy na prawo od bramy.

Podczas rozprawy na sali sądowej rozegrał się fascynujący spór pomiędzy biegłymi z zakresu medycyny sądowej. Jednym z nich był słynny Bernard Spilsbury, który wielokrotnie występuje w naszym Leksykonie, drugim zaś – niejaki Robert Bronte, wezwany przez obronę. Spilsbury badał zwłoki Elsie Cameron 17 stycznia i stwierdził obecność licznych obrażeń głowy, twarzy, ramion, nóg i stóp. Wygłosił opinię, że choć żadne z tych obrażeń nie było śmiertelne, mogły one spowodować wstrząs prowadzący do zgonu, biorąc zwłaszcza pod uwagę ich ilość. W protokole sekcji, dokonanej przez słynnego anatomopatologa, nie było natomiast żadnej wzmianki o jakichkolwiek obrażeniach szyi, mogących sugerować śmierć przez powieszenie. Innego zdania był doktor Bronte, który badał zwłoki dopiero po upływie miesiąca od ich wydobycia z ziemi. Zgodnie z przyjętą przez Thorne'a linią obrony doszukał się on bruzd i zmarszczek na szyi ofiary. Jego zdaniem były to wyraźne ślady pętli wisielczej. Spilsbury – grzecznie, acz ironicznie – wyjaśnił „szanownemu koledze”, że tego typu „bruzdy i zmarszczki” można znaleźć na szyi prawie każdej zdrowej, żywej kobiety i bynajmniej nie świadczą one o powieszeniu. Zwrócił przy tym uwagę, że posunięty rozkład zwłok w momencie, gdy badał je doktor Bronte, mógł wpłynąć na pogłębienie się tych załamań skórnych, co zapewne przyczyniło się do uznania ich za bruzdę wisielczą.

Wersji Thorne'a nie zdołała również potwierdzić policja. Aresztowany wskazał mianowicie miejsce na belce stropowej, z którego jego zdaniem miał zwieszać się sznur. Chociaż jednak zbadano dokładnie nie tylko tę, ale i wszystkie pozostałe belki, nie znaleziono najmniejszego nawet śladu otarcia, jaki musiałby pozostawić obciążony sznur. Wszystkie belki pokryte były jednakową, dość grubą warstwą kurzu.

Thorne uznany został winnym i skazany na śmierć. Apelację odrzucono wraz z

wnioskiem obrony o powołanie nowych biegłych z zakresu medycyny sądowej. Wyrok został wykonany.

Dla pełniejszego obrazu sprawy warto jednak dodać jeszcze kilka informacji tak o mordercy, jak i o jego ofierze. Thorne, jak się wydaje, był w gruncie rzeczy poczciwcem. Nie wiodło mu się najlepiej w hodowli drobiu, przez co cierpiał ubóstwo. Był natomiast bardzo popularny w okolicy, gdyż – jak byśmy to dziś nazwali – miał zacięcie do pracy społecznej. Działał aktywnie w miejscowej organizacji religijnej, wykładał w szkółce niedzielnej i z pasją oddawał się całkowicie bezpłatnej pracy w klubach chłopięcych. Cóż zatem pchnęło go do zabójstwa?

Przyjrzyjmy się osobie ofiary. Elsie Cameron była neurotyczką o wyjątkowo zmiennych nastrojach. Pracowała kiedyś jako stenotypistka, musiała jednak zrezygnować z pracy i pozostawała na utrzymaniu rodziców przez ponad pół roku z powodu złego stanu nerwowego. W początkach 1924 roku była przez kilka miesięcy pod stałą obserwacją lekarza, który stwierdził u niej neurastenię i postępującą depresję psychiczną. Później jej stan nieco się poprawił i mogła wrócić do pracy. Trudniła się teraz tylko maszynopisaniem, gdyż nie była już w stanie skupić uwagi na tyle, by stenografować.

W czasach, gdy jeszcze Norman Thorne deklarował chęć poślubienia jej, Elsie Cameron złożyła wizytę w domu jego rodziców. Nie można powiedzieć, by pokazała się tam od najlepszej strony, bo z całkiem błahego powodu wpadła w histerię i przez cały pobyt sprawiała – jak to później delikatnie wyraził starszy pan Thorne – „kłopoty”. Rodzice odradzali więc Normanowi ten związek, a i on sam stwierdził, że nie dokonał najlepszego wyboru.

Nieszczęsna dziewczyna wykazywała też inne zaburzenia zdrowia psychicznego. Otóż, co było związane z jej poważną nerwicą, co pewien czas nabierała przekonania, że jest w ciąży. Za każdym razem radośnie informowała o tym Normana, który z początku zapewne jej wierzył, choć nie wiemy, czy podzielał radość narzeczonej. Gdy jednak po raz piąty czy szósty słyszał to samo, nie zwracał już na to uwagi. Sama Elsie była przy tym dogłębnie przekonana o swym odmiennym stanie. Na kilka dni przed przyjazdem do Crowborough po raz kolejny zawiadomiła Thorne'a, że jest w ciąży. Mówiła z takim przekonaniem, że nietrudno było jej uwierzyć. Thorne znał ją jednak zbyt dobrze i tą jeszcze jedną „radosną nowinę” skwitował wzruszeniem ramion. Nie zniechęciło to Elsie, o czym świadczyć może zawartość jej walizeczki, z którą wybrała się do narzeczonego owego fatalnego 5 grudnia. Choć planowała spędzić u niego weekend, nie zabrała ze sobą zmiany bielizny, spakowała natomiast ubranko niemowlęce. Nieszczęsna dziewczyna budzić może tym większe współczucie, że – jak wykazała sekcja – nie była w ciąży ani w chwili śmierci, ani też nigdy przedtem.

Jak wiadomo, fatalny stan nerwów i zmienność nastrojów Elsie były dobrze znane tak jej rodzicom, jak i opiekującemu się nią lekarzowi. Nie ulega też wątpliwości, że nie była osobą łatwą we współżyciu i z pewnością musiała sprawiać Thorne'owi wiele kłopotów. Nie dziwi też jego chęć wykręcenia się od ślubu, choć oczywiście sposób, jaki w końcu zastosował, jest całkowicie nieusprawiedliwiony. Należy zresztą sądzić, że w jego działaniu nie było premedytacji. Prawdopodobnie, tak jak sam przyznawał, doszło między nim a Elsie do gwałtownej sprzeczki, podczas której dziewczyna wpadła w histerię. Doprowadzony do ostateczności Thorne uderzył ją po raz pierwszy, po czym w chwilowym ataku szału bił dalej tak długo, dopóki dziewczyna nie padła martwa.

Jeśli się nie mylimy i taki był rzeczywisty przebieg wypadków, żaden sąd nie skazałby Normana Thorne na karę śmierci za zabicie narzeczonej. Przestępstwo zostałooby prawdopodobnie uznane za zabójstwo w afekcie, za które, jak wiadomo, przewiduje się na ogół i orzeka znacznie niższe kary. Thorne w swej linii obrony popełnił dwa błędy, które kosztować go miały życie. Przede wszystkim, gdyby miał dość zdrowego rozsądku, by natychmiast po pobiciu Elsie pójść do lekarza i próbować ratować dziewczynę, mógłby najprawdopodobniej liczyć na stosunkowo niski wyrok. On jednak przez całą noc zajmował się piłowaniem zwłok przy świeczce, co można by określić jako niezawodny sposób uprzedzenia do siebie ławy przysięgłych. Skoro jednak wpadłszy w panikę po zabiciu Elsie zajął się ukryciem jej ciała w ten makabryczny sposób, powinien był – po ujawnieniu zbrodni – szczerze przyznać się do zabójstwa w afekcie. Dobry obrońca potrafiłby w takiej sytuacji pokierować zeznaniami różnych świadków tak, by przysięgli uznali ofiarę za współwinną czynu oskarżonego. W tym wypadku o takie zeznania nie było trudno. Thorne jednak z uporem maniaka trzymał się wersji o samobójstwie Elsie, która została całkowicie obalona w postępowaniu dowodowym. W rezultacie trafił na szafot, gdyż przysięgli skoncentrowali uwagę na jego kręactwach. Nie wiemy, niestety, czy jego obrońca usiłował namówić swego klienta do mówienia prawdy.

Henry WAINWRIGHT

Oto kolejny sposób pozbycia się niewygodnej kochanki. Nie jesteśmy, niestety, w stanie zagwarantować bezkarności, skoro bowiem nawet Henry Wainwright został wreszcie ujęty, perspektywy dla innych panów, planujących tego typu zbrodnie, są dość ponure.

Ojciec Wainwrighta miał wytwórnię szczotek i pędzli na londyńskim East Endzie. Doskonale mu się wiodło, o czym świadczyć może wysokość spadku, jaki pozostawił

umierając w 1864 roku swym pięciorgu dzieciom: 11 tysięcy funtów. W owych czasach była to poważna fortuna.

Henry był już wtedy od dwóch lat żonaty. Poszedł w ślady ojca i prowadził świetnie prosperujący warsztat i sklep szcztokarski przy Whitechapel Road w sąsiedztwie Pavillion Theatre. Miał też dom na Tredegar Square. Brylował w towarzystwie, z pasją i talentem oddawał się recytacji, czytywał głośno Dickensa w organizacji kościelnej, a nawet wygłosił serię wykładów na tematy literackie w pewnej szkole wyższej. Jego ulubionym wierszem był „Sen Eugene Arama” Thomasa Hooda, poetycka opowieść o innym naszym znajomym z Leksykonu.

W 1871 roku Henry poznał 20-letnią Harriet Lane, ładną modystkę; starannie wykształconą córkę kierownika przedsiębiorstwa gazowego w Waltham Abbey. Spotkali się w Broxbourne Gardens, modnym wówczas odpowiedniku dzisiejszych „parków kultury i wypoczynku”. Harriet wkrótce została kochanką Wainwrighta. Wynajął dla niej mieszkanie przy St Peter’s Street, gdzie 22 sierpnia 1872 roku urodziła mu córkę. W grudniu następnego roku urodziła się druga córeczka. Niedługo po tym wydarzeniu w lokalnej gazecie w miejscu zamieszkania ojca Harriet, „Waltham Abbey Weekly”, ukazało się zawiadomienie o ślubie dziewczyny z niejakim Percy Kingiem z Chelsea. Pod nazwiskiem tym ukrywał się, oczywiście, Henry Wainwright.

Harriet miała serdeczną przyjaciółkę i powiernicę, także modystkę, nazwiskiem Ellen Wilmore. Jej to właśnie opowiadała o swym szczęściu u boku Wainwrighta.

Kochanek traktował ją podobno jak damę, obsypywał prezentami, ubierał od stóp do głów w najdroższe rzeczy i dawał 5 funtów tygodniowo „na życie”. Wkrótce jednak sytuacja ta miała się zmienić.

Podwójne życie zaczęło przysparzać Wainwrightowi coraz liczniejszych kłopotów. Pomijając malejące zasoby gotówki, co było wynikiem prowadzenia dwóch domów, spotkała go inna, znacznie poważniejsza przykreść. Jego brat, William, dowiedział się o romansie z Harriet i oburzony niemoralnością Henry’ego odstąpił od spółki (sklep i warsztat bracia prowadzili we dwóch, dzieląc się zyskiem). William wycofał z interesu swój wkład. Henry znalazł wprawdzie nowego współnika, lecz został przez niego oszukany. W rezultacie doskonale dotąd prosperujący sklep obciążony został długiem w wysokości 3000 funtów.

Wainwright uznał, że skoro jego „legalna” żona musi teraz żyć oszczędniej, powinna się tego uczyć także Harriet. Skończyły się prezenty, zmniejszona została także tygodniowa wypłata gotówki. Jak się można domyślać, przyzwyczajona do luksusu Harriet nie była zadowolona z nowej sytuacji. Stała się kłótliva, a także zaczęła coraz więcej popijać. Mieszkanko przy St Peter’s Street przestało być przytulnym gniazdkiem, w którym Wainwright odpoczywał po trudach pracy i

zapominał o domowych kłopotach. Co więcej, Harriet wynajęła jeden z pokoiów swej przyjaciółce, Ellen Wilmore.

Wtedy to Henry Wainwright uznał, że jedynym wyjściem jest zamordowanie uciążliwej i ciągle jeszcze zbyt kosztownej kochanki. Ułożył szczegółowy plan działania, który – trzeba to przyznać – był istotnie doskonały.

Henry poprosił o pomoc drugiego swego brata, Thomasa, który pozbawiony był widać przesadnie surowych zasad moralnych, jakie cechowały Williama. Przystał chętnie na udział w spisku. Na jego korzyść należy jednak zapisać, że najprawdopodobniej nie znał prawdziwego celu gry, w jaką się wdawał.

Henry począł przywodzić ze sobą Thomasa, ilekroć odwiedzał Harriet. Przedstawił go jej jako Edwarda Frieake (człowiek o tym nazwisku rzeczywiście istniał, był licytатorem i przyjacielem Henry'ego). „Frieake” był dla Harriet bardzo miły i dziewczyna nabrała przekonania, że celem owych odwiedzin jest „odstąpienie” jej przez Henry'ego nowemu „sponsorowi”. Pomysł ten spodobał się jej nawet, bo zmniejszenie apanaży i zmiana stosunku do niej Henry'ego Wainwrighta sprawiły, że dziewczyna miała go tak samo dosyć, jak i on jej.

„Frieake” od pewnego już czasu bywał przy St Peter's Street, gdy Henry jakby się zawahał i chciał zrezygnować ze swego planu. Był sierpień 1874 roku, kiedy to w obecności Harriet i sprzedawcy ze swego sklepu, niejakiego Rogersa, napisał list do swej „legalnej” żony. Przyznawał się w nim do swych nieprawości i oznajmiał, że zdecydował się odejść do kochanki. List został następnie oddany Rogersowi, który miał odnieść go pani Wainwright. Sprzedawca nie uczynił tego jednak i zniszczył list w przekonaniu, że wyświadcza swemu chlebodawcy przysługę. Po namyśle Wainwright zgodził się z nim i powrócił do swego pierwotnego planu. Na początku września w mieszkaniu przy St Peter's Street odbyła się libacja. Tego właśnie wieczoru przypieczętowana została „transakcja” między Wainwrightem i „Frieakem”, której przedmiotem miała być Harriet. Dziewczyna bardzo dużo wypijała, a wieczorem, gdy odprowadzała swych gości do drzwi, zaczęła wyprawiać takie brewerie, że wokół zgromadził się spory tłum spóźnionych przechodniów. W wyniku tego zajścia właściciel domu kazał Harriet opuścić mieszkanie w ciągu kilku dni.

Harriet nie przejmowała się tym zbytnio. Była podniecona i szczęśliwa. Opowiadała Ellen Wilmore, która miała pozostać przy St Peter's Street jako główna lokatorka, że już wkrótce przeprowadzi się do „Frieake'a”. 11 września 1874 roku poświęciła cały ranek na różne zabiegi upiększające, po czym zabrała z mieszkania swe rzeczy, by przenieść się do nowego kochanka. Tego dnia Ellen Wilmore widziała ją po raz ostatni.

Trzy tygodnie później panna Wilmore otrzymała list od swej przyjaciółki. Harriet pisała w nim, że „Frieake” zgodził się ją poślubić pod warunkiem, że zerwie z całym

swym dotychczasowym życiem. Harriet miała więc nie widywać się z przyjaciółmi, a zakaz ten obejmował również pannę Wilmore. W liście zawarta była także informacja, że zaraz po ślubie państwo „Frieake” zamierzają wyjechać na kontynent. Potwierdziły to następnie telegramy o treści: „Dziś wyjeżdżamy. Żegnajcie. Frieake”, jakie otrzymała panna Wilmore i sam Henry Wainwright. Była to ostatnia wiadomość od Harriet, po czym wszelki ślad po niej zaginął.

Ellen Wilmore czuła jednak pewien niepokój, bo takie nagłe zerwanie zupełnie nie pasowało do charakteru jej przyjaciółki. Podzieliła się swymi obawami z siostrą Harriet, panią Taylor. Zaangażowały one prywatnego detektywa, który zdołał wszakże ustalić jeden tylko niezbity, a podejrzany fakt: Edward Frieake, licytator i przyjaciel Wainwrighta, nie był tym, który miał rzekomo „poślubić” Harriet Lane. Nieszczęsny ojciec dziewczyny odwiedził nawet Wainwrighta i błagał go o informacje o miejscu pobytu córki, żywej czy martwej. Henry, zdziwiony wizytą, zapewnił pana Lane, iż nie ma pojęcia, co się z nią stało.

W skład magazynu obok sklepu Wainwrighta wchodziło małe pomieszczenie, gdzie przechowywano farby. Wkrótce ohydny zapach, dobiegający z tego pomieszczenia, dotarł aż do mieszkanek na piętrze, które zajmował znany nam już sprzedawca Rogers wraz z żoną. Oboje skarżyli się pryncypałowi na uciążliwy smród, ten jednak zlekceważył ich skargi i państwo Rogers nie widzieli innego wyjścia, jak tylko wyprowadzić się z zapowietrzonego lokalu.

W czerwcu 1875 roku Wainwright zbankrutował, a jego magazyn miał przejść w posiadanie niejakiego Behrenda. Wtedy to Henry stwierdził, że pora przenieść szczątki Harriet Lane do nowego pomieszczenia w innej dzielnicy Londynu.

11 września 1875 roku, prawdopodobnie w rocznicę morderstwa, Wainwright odkopał zwłoki Harriet, ukryte pod podłogą w magazynie farb. Zostały one następnie zawinięte w ceratę, po czym Henry Wainwright popełnił niewybaczalny i wyjątkowo głupi błąd, który kosztował go życie.

Starannie opakowane ceratowe tobołki czekały na środku magazynu. Trudno było jednak z takim – dość ciężkim – ładunkiem spacerować po mieście. Wainwright postanowił więc wezwać dorożkę. Nie chcąc zostawiać swego szczególnego bagażu bez nadzoru, wezwał pewnego wyrostka z sąsiedztwa nazwiskiem Stokes i... polecił mu pilnowanie paczek, dopóki on sam nie powróci z dorożką. Powinien był, rzecz jasna, wysłać po dorożkę chłopaka...

Zostawszy sam na sam z paczkami, Stokes – jak można było przewidzieć – natychmiast do nich zajrzał. Nie domyślał się, oczywiście, co ujrzy; powodowała nim zwykła ciekawość, a może liczył, że zdoła zwędzić coś byłemu sąsiadowi. Gdy tylko odchylił ceratę, na podłogę magazynu wypadła ludzka dłoń. Stokes uciekł w stanie skrajnego przerażenia, czemu doprawdy trudno się dziwić.

Zanim Wainwright sprowadził dorożkę, chłopak uspokoił się nieco i usiłował nawet gonić odjeżdżający pojazd. Gdy mu się to nie udało, zatrzymał dwóch policjantów patrolujących ulicę i opowiedział im o swym makabrycznym odkryciu. „Bobbies” nie uwierzyli jednak Stokesowi i wyśmiali go, podejrzewając, że mały ulicznik robi im zwykły „kawał”.

Tymczasem Wainwright oddalił się już znacznie. W pewnej chwili zauważył idącą ulicą swą znajomą, tancerkę kabaretową Alice Day, którą zaprosił do swej dorożki. Prowadził z nią swobodną rozmowę. Pasażerka miała najpewniej służyć właśnie za świadka, że podczas jazdy Wainwright nie był w najmniejszym stopniu zdenerwowany. Gdy przejeżdżali obok sklepu z artykułami żelaznymi, Henry zatrzymał dorożkę i wysiadł, by zakupić łopatę.

Biedny Stokes, przegoniony przez policjantów, nie zrezygnował jednak z zamiaru powiadomienia stróży porządku o swym odkryciu. Biegając co sił w kierunku, w którym odjechała dorożka z makabrycznym bagażem, zdołał wreszcie natrafić na następny patrol. Tym razem uwierzono mu. Gdy Wainwright z nowiutką łopatą w dłoni wsiadał właśnie do dorożki, policjant poprosił go o pozwolenie zajrzenia do wiezionych przezeń paczek.

Nie pomogła próba przekupstwa: oferta 50 funtów na głowę umocniła jeszcze policjantów w ich podejrzaniach. Po chwili odkryto w paczkach szczątki Harriet. Jak się okazało, dziewczyna otrzymała dwa strzały w głowę, po czym poderżnięto jej gardło.

Henry Wainwright i jego brat Thomas stanęli przed sądem 27 listopada 1875 roku. Nie przyznawali się do winy, lecz dowody przeciwko nim były przytłaczające. Henry został stracony w Newgate 21 grudnia 1875; Thomas spędził 7 lat w więzieniu za pomoc w ukrywaniu zbrodni.

Tajemnica kufra z Brighton

Osobnik, który w grudniu 1934 roku stanął przed sądem w Brighton oskarżony o zabójstwo swej kochanki, znany był pod co najmniej trzema nazwiskami, z których każde było równie fałszywe. O fakcie, że naprawdę nazywał się Cecil Louis England, zapomnieli już wszyscy, łącznie z samym oskarżonym, który – sądzony pod prawdziwym nazwiskiem – często nie reagował na nie, gdy wysoki sąd zwracał się do niego z pytaniem. Dlatego też i my nie będziemy nazywać go England. W prasie podczas procesu występował jako Tony Mancini, tym też nazwiskiem posługiwał się najchętniej. Z kronikarskiego obowiązku wspomnieć należy, że niekiedy nazywał się Hyman Gold lub Jack Notyre.

Takie bogactwo nazwisk u jednego człowieka wskazuje, iż zdarzało mu się być na bakier z prawem. Tak też było w rzeczywistości. Tony Mancini był zawodowym złodziejaskiem na drobną skalę, ponadto po trosze sutenerem i paserem, jak to zwykle bywa w tych sferach. W każdym razie należał z całą pewnością do tak zwanego marginesu społecznego.

Od pewnego czasu Mancini był, jak się to elegancko określa, przyjacielem niejakiej Violette Kaye, która zresztą w rzeczywistości nazywała się znacznie mniej poetycko, Joan Watson. Pseudonim Violette Kaye przybrała kilka lat wcześniej, gdy zaczęła występować jako tancerka w podrzędnych teatrzykach rewiowych. Kariera artystyczna Violette nie trwała, niestety, długo. Widać dziewczyna nie miała prawdziwego talentu, a może nie zdołała znaleźć dostatecznie możnego protektora, gdyż po dwóch latach podzieliła los wielu podobnych artystek, została prostytutką.

Nie wiemy dokładnie, kiedy Violette Kaye związała się z Tonym Mancini, w każdym razie na początku 1934 roku mieszkała wraz z nim przy Park Crescent nr 44 w Brighton, dokąd też przyprowadzała swych spotkanych na ulicy klientów. Po pewnym czasie, około 10 maja, dziewczyna zniknęła z mieszkania Manciniego, który opowiadał kumplom od kieliszka, że po jakiejś ostrzejszej kłótni Violette po prostu „ulotniła się”, z czego zresztą on sam – jak twierdził – jest bardzo zadowolony, gdyż Violette zupełnie mu się już znudziła. Tuż po zniknięciu panny Kaye, Mancini postanowił zmienić mieszkanie. Brzmi to dumnie, chodziło jednak o zamianę jednej nory w suterenie na inną, w której czynsz był nieco niższy. Rzeczy należące do Manciniego zostały więc zapakowane w kilka kufrów i przywiezione na Kemp Street nr 52 w Brighton.

Przez dwa miesiące panował pozorny spokój. Mancini jak mógł, tak zarabiał drobnymi kradzieżami i oszustwami, zaś o Violette Kaye wszelki śluch zaginął. Widocznie jednak w sferach, w których obracał się Mancini, krążyły jakieś plotki i podejrzenia, skoro w lipcu dotarły one do uszu policji. Jak wiadomo, w każdym kraju policjanci wywiadowcy penetrują środowiska przestępcze i zbierają nawet najdziwniejsze pogłoski, które często zawierają sporo prawdy.

Zasłyszawszy więc, że Mancini ma coś wspólnego z tajemniczym zniknięciem Violette Kaye, policja rozpoczęła poszukiwania dziewczyny. Nie trwały one długo. Violette, a raczej to, co z niej pozostało, znalazło się już podczas pierwszej, niemal kurtuazyjnej wizyty funkcjonariuszy w nowym mieszkaniu Manciniego. Miała ona miejsce 15 lipca, a zakończyła się aresztowaniem pana domu.

Policjanci zauważyli w korytarzyku nie rozpakowany jeszcze kufer. Ponieważ Mancini wprowadził się do swego nowego locum już dość dawno, kufer ten wzbudził zrozumiałe zainteresowanie funkcjonariuszy. W dodatku Mancini wzbraniał się przed jego otwarciem, co mogło zresztą równie dobrze oznaczać, że przechowywał tam

jakiś „trefny” towar. Tak jednak nie było, a gdy policjanci otworzyli kufer, buchnął zeń odrażający odór. Wewnątrz znajdowało się ciało Violette Kaye w stanie daleko posuniętego rozkładu. Sekcja wykazała, że dziewczyna zginęła około 10 maja.

Warto wspomnieć na marginesie, że początek lata 1934 roku był dla Brighton okresem wyjątkowym. 17 czerwca w przechowalni bagażu na dworcu w tymże mieście odnaleziono korpus kobiety w innym kufrze, na który uwagę personelu zwrócił słodki, mdlący odór. Nie udało się jednak w tym wypadku ustalić nawet tożsamości ofiary, nie mówiąc już o wykryciu mordercy. I oto po niespełna miesiącu w Brighton odkryto drugi kufer z makabryczną zawartością. Był to zaiste niezwykle zbieg okoliczności, lecz wydawało się, że w tym przypadku przynajmniej wszystko jest jasne.

Poza przypuszczalnym terminem zgonu, sekcja zwłok Violette Kaye wykazała złamanie czaszki i inne, mniejsze obrażenia głowy. Nie zdołano jednak ustalić, czy ten właśnie uraz był przyczyną zgonu, zwłaszcza że odkryto inne jeszcze okoliczności, o których będzie mowa za chwilę.

Proces Manciniego rozpoczął się w grudniu. Dodatkowym dowodem przeciwko oskarżonemu był młotek, a właściwie żelazna jego część, pozbawiona trzonka, którą znaleziono w dawnym mieszkaniu Manciniego przy Park Crescent. Prokurator utrzymywał, że ten młotek był narzędziem zbrodni, a ponieważ trzonek ułamał się, morderca pozostawił go w dawnym mieszkaniu. Było to, rzecz jasna, możliwe, ale równie prawdopodobne było tłumaczenie Manciniego, iż młotek po prostu, poniewierał się po domu od dłuższego czasu.

Mancini nie przyznawał się do winy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nikt inny, tylko on umieścił zwłoki Violette Kaye w kufrze, po czym przewiózł ten osobliwy bagaż do swego nowego mieszkania, jakby nie mogąc się z nim rozstać. Postępowanie takie wydawało się zaiste dziwaczne, nic więc zaskakującego, że sąd zażądał wyjaśnień.

Oskarżony opowiedział szczegółowo swoją wersję wydarzeń. Oto wieczorem ósmego maja miał powrócić do domu z kawiarni Skylark, gdzie od niedawna pracował jako kelner (na ogół Mancini nie hańbił się pracą, ale posada kelnera stwarzała widocznie jakieś dodatkowe możliwości). Przypuszczając, że Violette może przyjmować klienta, posiedział chwilę w kuchni, gdy jednak z sąsiedniego pokoju nie dobiegały żadne odgłosy, zajrzał do środka.

– To było straszne... – mówił. – Violette leżała na łóżku bezwładna jak szmaciana lalka. Na prześcieradle było tyle krwi, że w ogóle nie było widać koloru materiału. Poduszka była cała mokra od krwi. Wystraszyłem się i postanowiłem ukryć zwłoki.

Mancini miał szczęście, bo bronił go Norman Birkett, doskonały adwokat, specjalista od tak zwanych „spraw beznadziejnych”. A sprawa Manciniego, biorąc

pod uwagę jego dotychczasowy życiorys, istotnie wyglądała beznadziejnie. Birkett oparł obronę na odkryciu eksperta medycyny sądowej, doktora Lyncha, który stwierdził w zwłokach Violette Kaye obecność morfiny. Nie był jednak w stanie ustalić, czy dawka była śmiertelna. W każdym razie ilość morfiny wskazywała, że kobieta mogła być nieco zamroczona.

Następnie Birkett przystąpił do dokładnego wypytywania inspektora policji, który poszukiwał śladów zbrodni przy Park Crescent 44. Zadając mu serię dociekliwych pytań, zdołał ustalić, że schody prowadzące do suterenu były „wytarte, strome i wąskie”, zaś podłoga na dole zrobiona z kamienia.

Kolejnym krokiem Birketta było zadanie starannie dobranych pytań drugiemu ekspertowi medycyny sądowej występującemu w sprawie, tym razem z ramienia oskarżenia, słynnemu Sir Bernardowi Spilsbury. Jak zanotowano w sprawozdaniach z procesu, słynny anatomopatolog musiał niechętnie przyznać, że złamanie czaszki, jakie stwierdzono u Violette Kaye, mogło też powstać w wyniku upadku z owych stromych, nierównych schodów na kamienną podłogę. W tym momencie wszyscy zgromadzeni na sali sądowej zrozumieli, do czego prowadzi znakomity obrońca. Wkrótce on sam, wznosząc się na szczyty sądowej retoryki, sprecyzował swą teorię.

– Panowie! – zwracał się do przysięgłych.. – Oto powraca do domu, z klientem lub bez, osoba conajmniej lekko pijana, a przy tym zamroczona narkotykiem. Czyż nie jest możliwe, by osoba taka potknęła się na schodach, które, jak słyszeliśmy na tej sali, są strome i nierówne?! I czy osoba taka nie może do tego stopnia zatracić instynktu samoobrony, by nie próbować nawet chronić się przed skutkami upadku? Zdarzyło się wam już z pewnością, panowie, ujrzeć ten smutny i jakże powszedni widok: człowiek pijany, ledwo trzymający się na nogach, nagle potyka się i pada. Jak pada? Zupełnie bezwładnie, nie wyciąga nawet rąk, by zamortyzować upadek, co my uczynilibyśmy automatycznie. A teraz wyobraźmy sobie, że kobieta, o której zabójstwo pan prokurator oskarża mojego klienta, była nie tylko pijana, ale zażyła morfinę i że nie upadła po prostu na ziemię. Spadała z wysokości kilku stromych schodów na kamienną posadzkę.

Birkett zapytał swego klienta, dlaczego ten, znalazłszy Violette Kaye martwą, nie wezwał policji. Odpowiedź była znamienna:

– Policja, wysoki sądzie? – spytał bezbrzeżnie zdumiony Mancini. – Przy mojej przeszłości? A któż by mi uwierzył?!

Cóż, ten argument niewątpliwie trafił do przekonania przysięgłym, podobnie jak wydaje się całkiem rozsądny i dzisiaj. To prawda, Mancini nie mógł liczyć na to, że jego opowieść zostanie przyjęta za dobrą monetę. Z tego powodu, jak twierdził, ukrył zwłoki w najbardziej szczelnym kufrze, jaki zdołał znaleźć. Planował wywiezienie kufra do rzeki, co jednak nie było takie proste. W sądzie mówił, że rozważał

wrzucenie ciała do rzeki zaraz po odkryciu zabójstwa. Uznał jednak, że jeśli zostanie znalezione, to i tak on właśnie będzie głównym podejrzanym. Cóż, trzeba mieć zaiste stalowe nerwy, by przez dwa miesiące mieszkać w lokalu, gdzie stoi kufer z rozkładającymi się zwłokami przyjaciółki. Mancini uważał, że innego wyjścia po prostu nie było. W swej mowie obrończej Norman Birkett wysunął jeszcze jedną teorię. Mówił mianowicie obszernie o życiu prostytutek, o niebezpieczeństwach, na jakie kobiety te nieustannie są narażone. Jakież szanse obrony ma prostytutka, gdy znajdzie się sam na sam z sadystą czy wręcz szaleńcem o zbrodniczych skłonnościach, wampirem?

– Nie to jest istotne w tej chwili – mówił obrońca – czy Violette Kaye spadła ze schodów, raniąc się śmiertelnie, czy też padła ofiarą szaleńca. Ważne powinno być dla nas, panowie, tylko to, że ktoś przy tym był, ktoś, kto przeniósł zwłoki na łóżko, albo na tym łóżku dokonał swego straszliwego czynu. Ale człowiekiem tym, panowie, nie był mój klient!

Birkett wspomniał na zakończenie, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo przestępcza przeszłość Manciniego obciąża go w oczach opinii publicznej. Ale Mancini to przecież drobny złodziejaszek, nie zaś szaleniec-morderca.

– Nie ugnijcie się przed schematami, panowie! – wzywał.

Po dwugodzinnej naradzie – Mancini został uniewinniony.

Niebezpieczne ogłoszenia

Raymond FERNANDEZ i Martha BECK

Sprawa Raymonda Fernandez a i jego wspólniczki Marthy Beck zyskała ogromny rozgłos w Stanach Zjednoczonych, a parę morderców obwołano „najbardziej zniechędzonymi przestępcami Ameryki”. Ponieważ śledztwo ograniczyło się do trzech zabójstw, do których popełnienia się przyznali, nie wiemy, ile kobiet mieli na sumieniu. Specjalizowali się bowiem w zabójstwach samotnych kobiet, szukających męża.

Raymond Fernandez, urodzony na Hawajach Amerykanin pochodzenia hiszpańskiego, specjalizował się w oszustwach matrymonialnych, wykorzystując niedobór mężczyzn w latach czterdziestych w Stanach Zjednoczonych, gdzie na przykład w roku 1947 kobiet było o 1,25 miliona więcej niż mężczyzn. Dziesiątki, a może setki tysięcy samotnych pań w średnim wieku poszukiwały mężów. Wtedy też powstały tak zwane „Kluby Samotnych Serc” – agencje, które za odpowiednią opłatą kontaktowały klientki ze zgłaszającymi się samotnymi mężczyznami, a więc po prostu biura matrymonialne.

Fernandez prowadził bardzo ożywione życie towarzyskie i był jednym z najpoważniejszych klientów owych klubów. Bardzo dbał o swą powierzchowność, która widać robiła wrażenie na jego kolejnych „narzeczonych”. Nosił perukę, by ukryć łysinę, wyraźnie już widoczną w wieku 31 lat, a także przy każdej okazji błyskał wspaniałym uśmiechem, tym wspanialszym, że najwyraźniej lokował pieniądze, zarobione na kolejnych oszustwach, w złotych zębach. Miał ich już niemal cały komplet, gdy poznał Marthę Beck. To spotkanie stanowiło moment przełomowy w jego życiu. Dotąd wyłudzał od swych ofiar pieniądze, obiecując im małżeństwo, teraz zaczął zabijać.

Martha Beck miała zaledwie 26 lat, gdy poznała Fernandez a. W swym krótkim życiu zdążyła trzykrotnie wyjść za mąż i trzykrotnie się rozwieść oraz urodzić czworo

dzieci. Władzę rodzicielską nad nimi odebrano jej jednak, gdyż sąd uznał ją za niezdolną do wychowywania i utrzymania ich. Z zawodu była pielęgniarką, co w świetle późniejszej działalności u boku Fernandeza wydaje się dziwne. Ponadto była otyła, niezgrabna i zdecydowanie nieatrakcyjna.

Z powodów, których można się jedynie domyślać, para ta przypadła sobie do gustu i wkrótce zostali kochankami. Fernandez miał widać do Marthy bezgraniczne zaufanie, gdyż szybko zdradził jej, jakiego rodzaju „interesami” się zajmuje. Wtedy to Martha Beck podsunęła mu nowy pomysł. Że był to jej pomysł, nie ulega wątpliwości, bo oboje złożyli na ten temat jednobrzmiące zeznania. Pani Beck namówiła Fernandeza, by nie poprzestawał na wyłudzeniu od naiwnych kobiet ostatniego grosza, lecz mordował je. Zapewniła go również, że zawsze może aa nią liczyć.

Zaczęli działać wspólnie. Martha Beck występowała jako siostra Fernandeza i z dużym talentem pomagała mu obdzierać ze skóry nieszczęsne kandydatki na żony. Potrafiła zachowywać się bardzo sympatycznie, a przy tym jej tusza i brzydota wzbudzały w kobietach zaufanie, bo żadna nie przypuszczała, że owa „siostra” może być w rzeczywistości kochanką przystojnego epuzera.

Zastanawiano się w trakcie śledztwa, dlaczego pani Beck wykazywała takie mordercze skłonności wobec ofiar swego współnika. Możliwe są tu dwa wytłumaczenia: mogła być sadystką wobec przedstawicielek własnej płci, a może po prostu była zazdrosna o kobiety, które zanim straciły zarówno pieniądze, jak i złudzenia, spędzały jednak kilka upojnych chwil w ramionach jej kochanka.

Fernandez i Beck w ciągu dwu lat wspólnej działalności zabili co najmniej dwadzieścia kobiet, a mogło ich być znacznie więcej. Jak wspomniano, policja ograniczyła się do zbadania trzech przypadków, w których zatrzymani przyznali się do winy, gdyż owe trzy zabójstwa wystarczały, by zaprowadzić ich na krzesło elektryczne. Liczba 20 kobiet nie została jednak wyssana z palca, bo tyle ich właśnie zniknęło w tajemniczych okolicznościach tuż przed ślubem z narzeczonym poznanym w „Klubie Samotnych Serc”.

Wreszcie w grudniu 1948 roku Fernandez i Martha Beck zamieszkali w domu niejakiej Delphine Dowling, 28-letniej wdowy. Mąż pani Dowling zginął w katastrofie kolejowej, ona zaś odziedziczyła po nim sporą sumę pieniędzy oraz dom na Grand Rapids, gdzie mieszkała z dwuletnią córeczką Rainelle. Fernandez poznał ją przypadkowo, wkrótce przedstawił jej swą „siostrę” i oboje zdołali ją tak omotać, że poprosiła ich, by zamieszkali wraz z nią, tym bardziej że niedługo miała zostać panią Fernandez.

W lutym 1949 roku pani Dowling zniknęła. Donieśli o tym policji jej przyjaciele, zaniepokojeni tym, że od pewnego czasu nie mogli się z nią skontaktować. Policjanci udali się więc do jej domu. Nie zastali nikogo, lecz gdy mieli już odjeżdżać przed

domem pojawił się Fernandez w towarzystwie Marthy Beck. „Brat i siostra” wyjaśnili, że spędzili wieczór w kinie, po czym zaprosili policjantów do środka. Zachowywali się przyjaźnie, wręcz serdecznie. Spytany o miejsce pobytu pani Dowling, Fernandez wyjaśnił z troskanym głosem, że sam niepokoi się o nią, gdyż przed tygodniem wyszła córka, mając zamiar odwiedzić pewnych przyjaciół i od tej chwili nie miał od niej żadnych wiadomości. „Narzeczony” wyjaśnił, że planował poinformować policję o zaginięciu pani Dowling następnego dnia rano. Policjanci odnieśli się widać sceptycznie do historii opowiedzianej przez Fernandez, skoro – by udowodnić swą niewinność – zaproponował im on po krótkiej rozmowie, by przeszukali dom, dzięki czemu przekonają się, że mówi prawdę. Poparła go Martha Beck, czynnińie otwierając drzwi do sąsiednich pokoi.

– Obejrzyjcie wszystko dokładnie, panowie – powiedziała, a w jej głosie nie sposób było doszukać się niepokoju.

Fernandez i Beck liczyli prawdopodobnie, że po tak szczerym i serdecznym zaproszeniu do rewizji policja zrezygnuje ze swego zamiaru. Zawiedli się jednak, gdyż funkcjonariusze z zapałem przystąpili do przeszukiwania niewielkiego domku. Dobrane „rodzeństwo” towarzyszyło im w tych czynnościach, a nawet pomagało, wskazując miejsca dotąd nie przeszukane.

W ten sposób policja dotarła do piwnicy. Fernandez i Beck czuli się widać niezwykle pewnie, gdyż bez oporów wprowadzili tam rewidujących. Pośrodku piwnicy widniała jednakże plama. W tym miejscu cement był mokry, świeżo położony. Zbrodniarze przyglądali się spokojnie, jak policjanci odkuwali cement przy pomocy młotka i kilofa znalezionego w piwnicy. Należy podziwiać funkcjonariuszy policji w Grand Rapids, którzy mimo tak oczywistej demonstrowanej na każdym kroku niewinności „brata i siostry”, jednak zdecydowali się zniszczyć fragment piwnicznej podłogi. Kierowali się chyba instynktem i tym razem przecucie ich nie zawiodło.

Wkrótce, pod cienką warstwą świeżo położonego cementu, znaleziono zwłoki pani Dowling i małej Rainelle.

Fernandez i Martha Beck zostali natychmiast aresztowani, a przewiezieni do siedziby policji bez żadnych oporów złożyli obszerne wyjaśnienia. Przyznali się do zastrzelenia pani Dowling. Początkowo mieli zamiar wychowywać Rainelle jako swoje dziecko, gdy jednak mała po dwóch dniach od śmierci matki nie przestawała płakać i wołać „mamo”, zdenerwowali się „nieposłuszeństwem” dziecka i utopili je w wannie. Następnie ułożyli zwłoki w płytkim wykopie w piwnicy i pokryli je świeżą warstwą cementu.

Policjanci przesłuchujący Fernandez i Marthę Beck nie pytali o nic więcej, bo nie zdawali sobie sprawy z tego, że zatrzymali wielokrotnych morderców. Lecz oto

Martha Beck z własnej inicjatywy przyznała się do zamordowania pod koniec 1948 roku, a więc na krótko przed poznaniem pani Dowling, innej wdowy, którą omotał jej wspólnik i kochanek, niejaki Janet Fay. Gdy wyłudziła od niej pieniądze, Martha Beck rozbiła nieszczęsnej kobiecie głowę młotkiem. Jako motyw tego czynu podała zazdrość o Fernandez, który by wyłudzić od pani Fay jej oszczędności, musiał zostać jej kochankiem. Zwłoki zakopano w piwnicy jednego z domów w Nowym Jorku, gdzie teraz bez trudu je odnaleziono.

Martha Beck, z równie niewytłumaczalnych powodów, przyznała się do jeszcze jednego zabójstwa. Otóż na początku 1948 roku Fernandez poznał, znów za pośrednictwem „Klubu Samotnych Serc”, jeszcze inną kobietę, również wdowę, Myrtle Young. Razem udali się pociągiem do Chicago, by dopełnić formalności związanych z planowanym ślubem. W drodze Martha Beck niemal siłą wymogła na narzeczonej „brata”, by ta pozwoliła jej spać razem z nią w jednym przedziale. Miało to zapobiec nocnym odwiedzinom Fernandez u narzeczonej.

Myrtle Young została następnie otruta środkami nasennymi, a jej zwłoki znalazły się w kolejnej piwnicy, tym razem w Chicago.

Przyznając się dobrowolnie do dwóch zbrodni, o których policja nie wiedziała, Martha Beck nie zdawała sobie zapewne sprawy z tego, że kręci stryczek na własną szyję. W stanie Michigan, gdzie zginęła pani Dowling, uniesiono karę śmierci, a więc za to zabójstwo Fernandez i Beck zostaliby skazani najwyżej na dożywotnie więzienie. Inne przepisy obowiązywały jednak w stanie Nowy Jork. Dlatego też policja postanowiła przenieść śledztwo do Nowego Jorku, gdzie można było postawić dobraną parę przed sądem za zabójstwo Janet Fay. Doprowadzając do procesu w Nowym Jorku, można było mieć pewność, że oboje trafią na krzesło elektryczne.

Zabójcy, zorientowawszy się szybko w zamierzeniach policji i prokuratury, protestowali, rzecz jasna, gwałtownie przeciwko przewiezieniu ich do Nowego Jorku. Wynajęci przez nich adwokaci nic jednakże nie wskórali i wkrótce Fernandez i Beck stanęli przed nowojorskim sądem pod zarzutem zabójstwa Janet Fay.

Ku rozpaczce reporterów i tłumnie zgromadzonej publiczności większa część rozprawy odbyła się przy drzwiach zamkniętych. Jak szeptano w kuluarach sądowych, na sali ujawnione zostały szczegóły pożycia seksualnego Fernandez i Marthy Beck, które okazały się tak drastyczne, że nie zostały nigdy podane do wiadomości publicznej. Można jedynie snuć domysły co do ich charakteru, skoro rzecz działa się w kraju, gdzie – jak wiadomo – w pogoni za sensacją gazety dostarczają codziennie wielu opisów najbardziej nawet okrutnych zbrodni.

Podano tylko, iż oskarżeni byli zupełnymi degeneratami. Tym też można tłumaczyć fakt, iż od pierwszego spotkania ta niedobrana pod względem wyglądu zewnętrzny para tak bardzo przypadła sobie do gustu.

22 sierpnia 1949 roku Raymond Fernandez i Martha Beck zostali skazani na śmierć. Wyrok wywołał powszechny aplauz w oburzonym społeczeństwie.

Egzekucja miała miejsce 7 marca 1951 roku. Zanim do niej doszło, Fernandez i Beck wprowadzili nieco zamieszania w uregulowane życie więzienia Sing Sing. Bez przerwy opowiadali o swej ogromnej wzajemnej miłości i wykorzystywali każdą okazję, by móc choć spojrzeć na siebie z daleka. Gdy złośliwi współwięźniowie opowiedzieli Fernandezowi zmyśloną historię romansu Marthy Beck z pewną więźniarką z kobiecego bloku, ten niemal oszalał z gniewu i zazdrości. Prowadzeni na śmierć, wymieniali czułe spojrzenia.

Max GUFLE

Sinobrody z uroczej bajki, jakby żywcem wyjętej z jakiegoś pitawalu, zabijał swe kolejne żony. Niejaki Max Gufler uznał zapewne, że mordowanie żon wymaga zbyt wiele zachodu i wydatków związanych ze ślubem. Zabijał więc swe kolejne narzeczone, pozbawiwszy je uprzednio wszystkich oszczędności.

Trzeba też przyznać, że mimo swych skłonności Gufler nie wyglądał na Sinobrodego, raczej na pocziwca. Urodził się w Austrii, w małej wiosce tyrolskiej, w 1910 roku. Był nieślubnym dzieckiem, co z pewnością nie ułatwiało mu życia, a przy tym wyraźnie nie miał szczęścia w dzieciństwie i młodości. Już jako dziewięciolatek dostał kamieniem w głowę i od tego czasu miewał napady szału, a w czasie II wojny światowej, gdy służył w Wehrmachcie jako kierowca ambulansu, znów został ranny w głowę, tym razem odłamkiem.

W latach 1945-52 Gufler handlował książkami w swym rodzinnym Tyrolu. W 1951 poznał niejaką Herthę Junn, córkę właściciela sklepu tytoniowego w Wiedniu. Dziewczyna została jego kochanką, obiecywał jej małżeństwo. W rok później, by móc częściej spotykać się z ukochaną, przeprowadził się do miasta Sankt Poelten pod Wiedniem, gdzie zamieszkał na stałe. Ojciec Herthy Junn najwyraźniej akceptował ich związek, skoro zaproponował Guflerowi udział w interesie. Ten przystąpił do pracy w trafice z ogromnym zapalem, rozszerzył nawet asortyment sprzedawanych towarów o... zdjęcia pornograficzne. Należy przypuszczać, że szły one jak woda, ale trwało to, niestety, krótko, po czym Gufler, Hertha i jej ojciec spędzili kilka miesięcy w więzieniu, a dochodowy sklepik został zlikwidowany. Nie wiemy, jak odniósł się do tej sprawy starszy pan Junn, któremu narzeczony córki zrujnował życie. W każdym razie Hertha pozostała wierna Guflerowi przez wiele lat, a nawet wiedziała to i owo o jego późniejszej działalności. Wygląda na to, że po opuszczeniu więzienia Gufler podjął decyzję zostania „Sinobrodym”. Pilnie czytywał ogłoszenia matrymonialne i

wybierając samotne wdowy, prowadził z nimi ożywioną korespondencję. Nie wiemy, kiedy popełnił pierwsze zabójstwo. Wydaje się jednak niemal pewne, że rozpoczął swą karierę pozbawiając życia 50-letnią wiedeńską prostytutkę, niejaką Emilie Meyrstrzik. Postanowiła ona wycofać się z pracy i rozpocząć uczciwe życie i w tym celu zamieściła ogłoszenie matrymonialne w jednej z gazet. Pod koniec 1952 roku znaleziono ją martwą w wiedeńskiej dzielnicy domów publicznych, gdzie zajmowała skromny pokoik. Zabójca zadał jej szereg ran ciętych. Zmarła z upływu krwi, a jej pokój został splądrowany.

Owo – jak należy sądzić – pierwsze z serii zabójstw Guflera nosi jeszcze znamiona amatorstwa. Później opracował sobie znacznie lepszą, a przy tym przyjemniejszą metodę. Po dłuższej korespondencji z upatrzoną ofiarą, którą zapewniał o swojej miłości i poważnych zamiarach, spotykał się z nią kilka lub kilkanaście razy, zależnie od tego, jak bardzo była łatwowierna i przekonywał, by podjęła z banku oszczędności – na przykład, by pomóc w zakupie gniazdka na wspólne szczęśliwe życie. Nie trzeba chyba wspominać, że w czasie wstępnych zabiegów dowiadywał się szczegółowo o stan majątkowy wybranki swego serca i jeśli nie była ona dostatecznie zamożna, rezygnował.

Gdy już nieszczęsna kobieta przekazała Guflerowi wszystko, co miała, informował ją, że oto ślub odbędzie się – powiedzmy – za dwa tygodnie. Trzeba przyznać, że do końca dbał o to, by jego ofiara była szczęśliwa i nie zaczęła niczego podejrzewać. Częstoował ją kawą, do której dosypywał środek nasenny. Nie była to jednak dawka śmiertelna, chodziło tylko o to, by kobieta zasnęła wystarczająco mocno, żeby Gufler mógł przystąpić do działania. Rozbierał następnie ofiarę do naga, by utrudnić jej identyfikację, po czym – nadal głęboko uspioną – wrzucał do rzeki, stawu czy jeziora, aby po ewentualnym odnalezieniu zwłok można było stwierdzić, że żyła jeszcze, gdy znalazła się w wodzie, co mogło sugerować samobójstwo.

Upłynęło 6 lat ożywionej działalności Guflera na tym polu, gdy wreszcie – po zabójstwie Marii Robas – powinięła mu się noga. Było to w roku 1958.

Maria Robas była rozwódką zamieszkałą w Reifnitz, na północy Austrii. Gufler odpowiedział na jej ogłoszenie matrymonialne i przez całe lato prowadził z nią korespondencję. Wreszcie na początku września odwiedził ją i tak widocznie oczarował, że kobieta po kilku godzinach zgodziła się pojechać z nim do Sankt Poelten, by natychmiast wziąć ślub, choć dotąd – jak można sądzić z jej listów – ciągle jeszcze się wahała. Po upływie kilku godzin od wyjazdu z Reifnitz Maria Robas została uspiona, rozebrana i wrzucona do stawu pod Pernegg, gdzie zatrzymali się na noc. Gufler powrócił do pokoju, który zajmowała w hotelu, i splądrował go doszczętnie, zabierając pieniądze, które „narzeczona” podjęła przed wyjazdem z Reifnitz oraz biżuterię.

Jak się wydaje, Gufler popełnił w tym przypadku błąd, który w końcu doprowadził do schwytania go. Nie wiemy, co nim powodowało. Napisał mianowicie list do byłego męża pani Robas, informując go, że jego eks-żona zginęła w wypadku samochodowym pod Innsbruckiem. Podał się za naocznego świadka tego wypadku, a list podpisał nazwiskiem Edesharter. Pan Robas, któremu widocznie los byłej żony nie był całkiem obojętny, pojechał do Innsbrucku, gdzie odszukał pewnego sędziego pokoju nazwiskiem Edesharter i powołując się na list, zarzucił go pytaniami o szczegóły tragicznego wypadku. Gdy Edesharter zdawał się nie rozumieć, o co chodzi, Robas wyciągnął list z kieszeni. Natychmiast wyjaśniło się, że list jest sfałszowany, to zaś wzbudziło podejrzenia pana Robasa, który powiadomił o całej sprawie policję.

Okoliczności zniknięcia pani Robas, w połączeniu z tajemniczym listem, były istotnie niejasne, dlatego też policja rozpoczęła intensywne poszukiwania. Wkrótce natrafiono na konkretny ślad. Otóż portier w hotelu w Pernegg, któremu nagłe zniknięcie Marii Robas wydało się dziwne, zdołał zanotować numer samochodu jej towarzysza, gdy ten odjeżdżał samotnie, zapłaciwszy rachunek za oba pokoje. Wkrótce Gufler został aresztowany w swym mieszkaniu w Sankt Poelten.

Rezultaty przeszukania zajmowanych przezeń pokoi przeszły najśmielsze oczekiwania. Znalaziono tam taki skład towarów, że wystarczyłby on na wyposażenie sporego sklepu. Gufler najwidoczniej gromadził wszystko, co zdobył i nawet nie usiłował się tego pozbyć. Możliwe, że traktował te rzeczy jako zabezpieczenie na stare lata. W mieszkaniu znajdowały się sterty damskiej odzieży, biżuteria, walizkowe maszyny do pisania, odbiorniki radiowe, artykuły gospodarstwa domowego i wiele innych przedmiotów. W garażu natomiast znalaziono dwie maszyny do szycia, aparat do masażu, telewizor, jeszcze kilka maszyn do pisania oraz... psią budę.

Ponadto w mieszkaniu Guflera natrafiono na niezwykle starannie prowadzoną kartotekę kobiet, z którymi Gufler korespondował, obiecując im małżeństwo. Były tam ich listy do niego, a także kopie jego odpowiedzi, co dowodzi, że Gufler był człowiekiem rozsądnym i przezornym, gdyż dzięki temu wiedział zawsze, co do której z „narzeczonych” napisał.

Jak wynikało z kartoteki, Gufler szykował się właśnie do „ślubu” z niejaką Marlene Buchler z Wiednia. Nie mając pewności, czy kobieta jeszcze żyje, policja udała się pospiesznie do jej mieszkania. Pani Buchler otworzyła drzwi osobiście, cała we łzach. Przeżywała właśnie dramat porzuconej, gdyż Gufler nie pojawił się w dniu planowanego załatwienia formalności przedślubnych (które zapewne zakończyłoby się zaproszeniem na kawę).

Policja aresztowała kochankę Guflera, znaną nam już Herthę Junn. Wtedy „Sinobrody” postanowił przyznać się do trzech zabójstw – Josephine Kammleitner,

Marii Robas i Juliany Nass. Te trzy narzeczone przyniosły mu około 100 tysięcy szylingów zarobku.

Trudno stwierdzić, ile ofiar miał Gufler na sumieniu. Policja zgromadziła dowody w ośmiu przypadkach, zaś co do następnych dziesięciu powzięła mocne podejrzenia.

Zacznijmy od kobiet, do których zabicia Gufler sam się przyznał. Josephine Kammleitner, lat 45, była kucharką w jednej z wiedeńskich restauracji. Samotność zaczęła jej doskwierać, zamieściła więc ogłoszenie matrymonialne. 3 czerwca 1958 roku, gdy Gufler nawiązał już korespondencję z Marią Robas, została uśpiona i wrzucona do Dunaju. We wrześniu nastąpiło zabójstwo Marii Robas, a 15 października, na krótko przed aresztowaniem, Gufler zdążył jeszcze utopić w Dunaju w identyczny sposób Julianę Nass, 50-letnią wdowę po żołnierzu zabitym na wojnie, właścicielkę sklepu tytoniowego w Fohnsdorf, z którą korespondował od lipca 1958. Gufler przyznał się zatem do trzech ostatnich morderstw, a z faktu, że kolejne czyny następowały tuż po sobie, zaś każdy poprzedzony był kilkumiesięczną wymianą listów, wnioskujemy, że „Sinobrody” był człowiekiem bardzo zajęтым i że istotnie potrzebował kartoteki, aby poszczególne kandydatki na żony nie pomyliły mu się w tym zamieszaniu.

Nieco później Gufler przyznał się jeszcze do wspomnianego zabójstwa Emilie Meyrstrik, prostytutki, w jej mieszkaniu na wiedeńskim Praterze.

Gufler zaprzeczał natomiast stanowczo, jakoby miał zabić niejaką Augustę Lindebner, 49-letnią kobietę, która była jego kochanką tuż po wojnie. Mieszkała w Schwatz w Tyrolu i zmarła nagle, na „atak serca” – jak stwierdzili lekarze – po wypiciu kawy w towarzystwie Guflera. Może więc jednak Emilie Meyrstrik nie była pierwszą ofiarą?

Dowody wystarczające do skazania zdobyła policja również w sprawie śmierci niejakiej Theresy Wesely w maju 1957 roku, a także Juliany Emsenhuber i prostytutki Josephine Dangl. Udowodniono mu również napad rabunkowy i postrzelenie wiedeńskiego jubilerza nazwiskiem Karl Kovaricek w jego sklepie przy Schulgasse w Wigilię 1951 roku. Na szczęście rana okazała się powierzchowna i jubiler wyzdrowiał.

Guflera podejrzewano także o zabicie 10 kobiet w latach 1946-1958. Na przykład we wrześniu 1955 roku w rzece pod Hollenbrunn znaleziono zwłoki 53-letniej salowej, Theresy Offen. Okoliczności jej śmierci wskazywały na to, że zabójcą mógł być Gufler. W październiku 1957 wdowa Theresa Anderl, osoba samotna i dobrze sytuowana, zniknęła ze swego domu w wiedeńskiej dzielnicy Floridsdorf. Jej zwłoki wyłowiono następnie z Dunaju w niewielkiej odległości od jej domu. Jak wykazała sekcja, także i ona utopiła się po zażyciu dużej dawki barbituratów, a przed śmiercią podejmowała z banku duże sumy. Pozostałe osiem kobiet, które zginęły w

tajemniczych okolicznościach do 1958 roku, a ich śmierć sugerowała, że mogły być ofiarami austriackiego „Sinobrodego”, to: Anni Melchert, Christine Sindl, Maria Eckschlager, Hedwig Eichorn, Caroline Trating, Leopoldine Schwanzer, Alosia Scrabos i Anna Meyer. Sądząc jednakże po tym, że od czerwca do października 1958 roku Gufler zabił aż trzy kobiety, całkiem możliwe jest, że ofiar było znacznie więcej.

W Austrii kara śmierci została zniesiona. Dlatego też Maxa Guflera skazano w maju 1961 roku na dożywotnie więzienie.

Bella GUNNESS

Pani Bella Guinness, z domu Poulsdatter, primo voto Sorensen, zasługuje na uwagę jako jeden z rzadkich żeńskich odpowiedników Raymonda Fernandez czy Maxa Guflera, na jakie natrafić może pilny badacz annałów kryminologii. Tak się bowiem składa, że wśród kobiet niewiele jest oszustek matrymonialnych, a i te nieliczne, które żerują na męskiej łatwowości, na ogół nie posuwają się aż do mordowania swych ofiar.

Bella urodziła się w 1859 roku w miejscowości Trondheim w Norwegii. W 1876 roku wyemigrowała do Ameryki, gdzie wkrótce wyszła za swego rodaka, Maxa Sorensena, zamieszkałego w Chicago. Państwo Sorensen osiedlili się w miasteczku Austin w stanie Illinois. Bella urodziła troje dzieci, które bardzo kochała. Wydaje się, że w ogóle przez całe życie niezwykle lubiła dzieci. Nauczała w szkołach niedzielnych, systematycznie odwiedzała i wspierała finansowo sierocińce, a w jej domu zawsze rozbrzmiewały wesołe głosy dziecięce. Zapraszała też często swych podopiecznych na dłuższe i krótsze wakacje.

Pani Sorensen bardzo szybko (niektórzy uważają, że nieco przedwcześnie, choć nie ma na to dowodów) została młodą wdową. Cały majątek zmarłego Sorensena wydała na zakup pensjonatu w Chicago. Zanim jednak wprowadzili się doń pierwsi lokatorzy, budynek został doszczętnie zniszczony w wyniku pożaru. Wypłacono odszkodowanie, które pozwoliło Belli z kolei kupić piekarnię. Nie zdążyła jednak nawet zdobyć sobie stałej klienteli, gdy piekarnia również spłonęła aż do fundamentów. Ze zrozumiałych względów zirytowane towarzystwo ubezpieczeniowe niechętnie wypłaciło kolejne odszkodowanie. Mimo pewnych podejrzeń nie zdołano zdobyć dowodów na to, że Bella maczała palce w tych następujących tuż po sobie nieszczęśliwych wypadkach. Dano jednak delikatnie, acz stanowczo do zrozumienia pani Sorensen, by swe dalsze interesy zechciała prowadzić w jakimś innym mieście.

Bella posłuchała rady i z trójką dzieci osiadła w maleńkim gospodarstwie rolnym w wiosce La Porte w stanie Indiana. Poznała tam zamożnego gospodarza nazwiskiem

Gunness i wkrótce została jego żoną, a następnie wdową po nim – też w błyskawicznym tempie. Pan Gunness zmarł od rany głowy, powstałej w dość tajemniczych okolicznościach, a mianowicie zadanej siekierą. Przyodziana w ciężką żałobę i szlochająca rozpaczliwie wdowa wyjaśniła przysłuchującym się ze współczuciem policjantom, że siekiera „zsunęła się z półki” wprost na głowę pana Gunnessa. Warto wspomnieć, że podobnie jak pensjonat i piekarnia, pan Gunness był również ubezpieczony. Odszkodowanie zostało wypłacone.

Wówczas, jak się wydaje, wdowa Gunness postanowiła zerwać swe kontakty z towarzystwami ubezpieczeniowymi, uznawszy widać, że do trzech razy sztuka. Opracowała zatem nowy plan, pozwalający zdobywać gotówkę metodami bardziej bezpośrednimi.

Oto w większych gazetach w całej Ameryce ukazało się ogłoszenie następującej treści:

„Zamożna, przystojna wdowa z trojgiem dzieci, młoda, właścicielka dużej farmy, pozna niezależnego materialnie pana o kulturalnych upodobaniach. Cel matrymonialny.”

Spośród wielu odpowiedzi Bella najpierw wybrała pewnego komiwojżera, który szczęśliwym, zbiegiem okoliczności nie posiadał rodziny, ani bliskich przyjaciół, o czym nieopatrznie poinformował ją w swym pierwszym liście. Wdowa Gunness starannie ułożyła odpowiedź:

„Serce mi mówi, że jesteśmy dla siebie stworzeni... Czuję, że uszczęśliwi pan mnie i moje kochane maleństwa i że bez obaw mogę powierzyć panu wszystko, co mam... Potrzebny mi partner, któremu będę mogła całkowicie zaufać... Ponieważ nie znam tu nikogo, postanowiłam, by kandydat, którego uznam za odpowiedniego, złożył pewną ilość gotówki lub akcji jako gwarancję swej uczciwości. Sądzę, że jest to najlepszy sposób odstraszenia oszustów, którzy czyhają na takie okazje. Sama mam ponad 20 tysięcy dolarów, gdyby pan mógł zatem przywieźć ze sobą choćby 500 na dowód, że ma pan poważne zamiary, moglibyśmy wszystko omówić szczegółowo...”

Nic dziwnego, że adresat tak subtelnie sformułowanego wezwania pospiesznie stawił się w La Porte, przywożąc ze sobą zapewne (na co Bella liczyła) znacznie więcej niż owe 500 dolarów, które miało stanowić wruszającą gwarancję uczciwości. Widziano go nawet na stacji kolejowej w La Porte, jak wysiadał z pociągu, dźwigając okazałych rozmiarów walizę. Nikt natomiast nie widział, by wyjeżdżał. Potem w La Porte pojawili się następni kandydaci do ręki Belli, z których żaden, podobnie jak pierwszy, nie opuścił już wioski.

Bella czasami zmieniała styl swych listów, dostosowując go zapewne do swej oceny charakteru adresata. Do jednego z nieszczęśników pisała:

„Jesteś moim królem... Wiem z Twych listów, że Twoje serce pragnie miłości.

Przybądź do mnie. Twoja ukochana oczekuje Cię. Będziemy tu szczęśliwi jak para królewska, w najpiękniejszym domu w całej Północnej Indianie...”

Kolejni kandydaci na króla przybywali tłumnie, a każdy z nich dzierżył w dłoni finansowy dowód swej dobrej woli. Bella dokładnie przeszukiwała potem ich ubranie i bagaż, i skrzętnie zabierała każdego centa, zanim zakopała kolejnego kandydata na męża. Na ogół trafiali oni w najmniej romantyczne miejsce na całej „najpiękniejszej farmie Północnej Indiany”, mianowicie do chlewika. Przypuszcza się, że Bella zabijała swe ofiary, gdy spały zmęczone trudami podróży, używając do tego celu siekiery. Wszystko wskazuje na to, że była to ta sama siekiera, która ongi tak nieszczęśliwie ześlizgnęła się z półki prosto na głowę pechowego Gunnessa.

Interes kwitł i Bella systematycznie powiększała swój majątek, wydając pieniądze tylko na zamieszczanie nowych ofert matrymonialnych w gazetach. Wreszcie w roku 1908 jedno z jej ogłoszeń przeczytał niejaki Andrew Holdgren. Napisał do niej i otrzymał odpowiedź, z której wynikało, że wdowa uważa go za odpowiedniego kandydata. Podjął więc z banku większą sumę jako dowód poważnych zamiarów i udał się do La Porte na spotkanie swego szczęścia.

W 5 miesięcy później Bella Gunness otrzymała list, który musiał ją poważnie zdenerwować. Pisał brat Andrew Holdgrena, o którego istnieniu nie miała oczywiście, pojęcia. Na ogół starała się przecież wybierać kandydatów zupełnie samotnych. Tym razem jednak zbyt poważnie potraktowała liryczne sformułowanie z listu kandydata: „Żyję sam jak palec na tym bożym świecie. Nie mam nikogo, komu mógłbym powierzyć swe troski...”

Być może bracia nie żyli ze sobą najlepiej, gdy jednak Andrew przez tak długi czas nie dawał znaku życia, jego brat zaniepokoił się poważnie. Znał nazwisko i adres kobiety, którą Andrew miał poślubić, zdecydował się więc napisać do niej, by zasięgnąć informacji. W odpowiedzi otrzymał list zalany łzami:

„Oddałabym wszystko, co mam, by go odnaleźć. Wyjechał stąd już dawno temu. Wydawał się zadowolony, miał wkrótce wrócić i zostać ze mną już na zawsze. Od tamtego styczniowego dnia więcej go nie widziałam. Pójdę na koniec świata, by go odnaleźć...”

W rzeczywistości, o czym Bella dobrze wiedziała, podróż na koniec świata była zupełnie niepotrzebna. Wystarczyłaby znacznie krótsza podróż na koniec ogrodu, by znaleźć Andrew Holdgrena, tam bowiem, w chlewiku, dość płytko pogrzebany, leżał wraz z innymi kandydatami do ręki Belli.

Wymiana listów trwała dalej. W następnym liście Bella zaproponowała bratu swej ofiary, by wspólnie zorganizowali zakrojone na szeroką skalę poszukiwania zaginionego człowieka, który dla nich obojga jest przecież „najdroższą na tym świecie istotą”. W tym momencie Bella, otrząsnąwszy się z szoku, jakim niewątpliwie był dla

niej fakt, że Andrew Holdgren miał brata, ułożyła już pewien plan. Dla Holdgrena-brata owa akcja poszukiwawcza rozpoczęłaby się zapewne i zakończyła ostatecznie w La Porte, gdzie być może zostałby nawet umieszczony w pobliżu poszukiwanego.

Przypadek sprawił jednak, że Holdgren-brat i morderczyni nigdy się nie spotkali. Miał przybyć do La Porte, by omówić szczegóły poszukiwania Andrew Holdgrena, dnia 29 kwietnia 1908 roku wczesnym rankiem. Na kilka godzin przed umówionym terminem „najpiękniejszy dom w Północnej Indianie” spalił się doszczętnie. Znajac Bellę, podejrzewamy od razu, że był ubezpieczony. Być może, lecz tym razem w domu spłonęła także ona sama i jej troje dzieci. Zwęglone ciała znaleziono wśród zgliszczy.

Policja przeprowadziła dochodzenie, w wyniku którego pod zarzutem podpalenia został aresztowany niejaki Roy Lamphere, robotnik, którego od czasu do czasu zatrudniała wdowa Guinness do różnych prac na swej farmie. Jeśli to istotnie on był sprawcą podpalenia, możliwe, że wiedział coś o zbrodniczej działalności swej chlebodawczyni i postanowił zemścić się na niej w imieniu nieszczęsnych ofiar. Może Bella szantażowała go, by milczał? Nie dowiemy się tego już nigdy, podczas swego procesu konsekwentnie odmawiał bowiem zeznań.

Tymczasem Holdgren, który zamiast kwitnącej farmy i zatroskanej narzeczonej swego brata zastał w La Porte dopalające się zgliszcza, postanowił działać dalej. Sądził, że być może Andrew znajdował się jednak w La Porte i z jakichś niezrozumiałych powodów ukrywał się przed nim. Tak długo nachodził miejscowe władze, aż wreszcie wydały one nakaz dokładnego przeszukania tego, co pozostało z posiadłości pani Guinness.

Holdgren odetchnął już z ulgą, bowiem przeszukanie zgliszczy nie ujawniło żadnych nowych zwłok. Zastanawiał się właśnie, gdzie w takim razie powinien szukać brata, gdy robotnicy natrafili na ludzkie kości w pobliżu chlewu. Wezwana policja nadzorowała rozkopywanie gruntu. Z płytkich grobów wydobyto 28 zmasakrowanych ciał, z czego połowa znajdowała się w samym chlewiku, między innymi również nieszczęsny zaginiony Andrew Holdgren. Byli to wyłącznie mężczyźni, wszyscy zginęli od ciosu w głowę, zadanego przy pomocy siekiery. Zwłoki zostały zidentyfikowane, Bella nie wyjmowała bowiem z kieszeni swych ofiar dokumentów, co pozwoliło na skreślenie sporej liczby osób z list zaginionych.

Nie ulega wątpliwości, że Bella Guinness popełniała swe czyny wyłącznie z chęci zysku. Trzeba jednak przyznać, że w przeciwieństwie do swych licznych poprzedników płci męskiej nie wydawała zdobytych tą drogą pieniędzy na rozpustę. Na krótko przed swą śmiercią ofiarowała mianowicie większą część swego majątku pewnemu sierocińcowi w Chicago.

George Joseph SMITH

Sprawa George'a Josepha Smitha, którą gazety ochrzciły „sprawą panien młodych w kąpielach”, zyskała w swoim czasie ogromny rozgłos i znana była również w Polsce. Ponieważ jednak, jak sądzimy, niewiele osób pamięta szczegóły działalności owego dżentelmena, przedstawiamy dokładny jej opis.

Historia życia Smitha może stanowić jeden z najsilniejszych argumentów przeciwko surowości wyroków wobec nieletnich. Któż bowiem wie, jak mogłyby się potoczyć jego losy, gdyby nie fakt, że jako 9-Letni chłopiec (urodził się w Bow w 1872 roku) został skazany na 8 lat pobytu w zakładzie poprawczym za kradzież. Możemy sobie wyobrazić, jak straszną instytucją był taki zakład w 1880 roku i jaki mógł mieć wpływ na dziewięciolatka. Smith opuścił go jako zdeklarowany wróg społeczeństwa, co wkrótce ujawniło się w jego działalności.

W 1896 roku spędził rok w więzieniu za paserstwo. Współoskarżoną była pewna służąca, która okradała swych chlebodawców na zlecenie Smitha. Wychodząc z więzienia, miał 25 lat, a w rok później ożenił się z niejaką Caroline Thornhill i osiadł w jej rodzinnym mieście Leicester, gdzie prowadził piekarnię. Używał wtedy nazwiska George Oliver Love. Małżeństwo trwało zaledwie dwa lata, były to jednak lata bogate w wydarzenia. Mniej więcej w pół roku po ślubie Smith wyjechał bowiem w interesach do Londynu, gdzie... „ożenił się” z właścicielką pensjonatu, kobietą w średnim wieku, od której systematycznie wyłudzał pewne sumy pieniędzy. Choć wydaje się to nieprawdopodobne, sprowadził następnie do Londynu swoją autentyczną żonę (która jednak nic nie wiedziała o „rywalce”) i namówił ją do podjęcia pracy w charakterze służącej w bogatym domu po to tylko, oczywiście, aby mogła okradać chlebodawców. Wkrótce została aresztowana i bez wahania poinformowała policję o współudziale Smitha. Jako recydywista otrzymał on tym razem maksymalny wymiar kary za paserstwo – dwa lata więzienia. Jego żona została skazana zaledwie na parę miesięcy, po czym wyjechała do Kanady, nie interesując się dalszymi losami męża. Rozwód nie został jednak przeprowadzony, a więc wszystkie następne „żony” Smitha nie były nimi w obliczu prawa.

Zwolniony z więzienia w 1902 roku Smith powrócił do właścicielki pensjonatu. Gdy zdołał wydać wszystkie wyłudzone od niej pieniądze, porzucił ją.

Przez następne sześć lat, jak można przypuszczać, zajmował się ulepszaniem swej metody oszustw matrymonialnych. Nie wiemy, ile kobiet „poślubił”, a następnie porzucił. Jak to zwykle bywa w takich sprawach, oszukane wolały nie zgłaszać się na policję. Można jednak przypuszczać, że technika, jaką stosował Smith, była zawsze taka sama: gdy tylko odbył się „ślub”, a nieszczęsna panna młoda przekazała

małżonkowi swe pieniądze, ten znikął jak w starym dowcipie, wychodził na przykład po gazetę.

W 1908 r. Smith „poślubił” niejaką Edith Mabel Pegler, do której żywił chyba prawdziwe uczucie. Panna Pegler odpowiedziała na jego ogłoszenie i zaczęła pracować u Smitha jako gospodyni. Wkrótce została jego kolejną żoną (ślub odbył się 30 lipca 1908, a Smith po raz pierwszy wystąpił pod własnym nazwiskiem). Zajmował się teraz handlem antykami w Bristolu, a konieczność licznych wyjazdów tłumaczył interesami. Nie zaprzestał bowiem działalności oszusta matrymonialnego, o której – jak należy sądzić – panna Pegler nie miała pojęcia.

W 1909 roku, a więc w rok po ślubie z panną Pegler, Smith poznał w Londynie kolejną ofiarę. „Ożenił się” z nią pospiesznie (nigdy nie tracił czasu na długie zaręczyny), ukraść jej 350 funtów i co kosztowniejsze ubrania, po czym zniknął podczas niedzielnej wizyty w National Gallery. Dzięki temu łupowi zdołał kupić dom, gdzie zamieszkała panna Pegler (nazywamy ją tak, ponieważ określenie „pani Smith” nie stanowi w tym wypadku cechy wyróżniającej ją spośród innych). W rok później, w sierpniu 1910, odbył się kolejny „ślub” Smitha, występującego tym razem pod nazwiskiem Henry Williams, z 31-letnią Bessie Constance Annie Munday. Okres narzeczeństwa trwał zaledwie tydzień, a kobieta stanowiła niewątpliwie cenny łup jako posiadaczka 2500 funtów. Wkrótce jednak Smitha spotkał srogi zawód, bo majątek „żony” okazał się niedostępny, „pan młody” musiał się więc zadowolić skromną sumą 135 funtów. Pozostawił „żonie” list, prosząc ją, by nie ujawniała nikomu faktu zabrania przezeń pieniędzy.

Nie wiemy nic o następnych dwóch latach życia Smitha. Możliwe, że spokojnie żył w Bristolu z panną Pegler, choć wydaje się to mało prawdopodobne. Natomiast w marcu 1912 roku przypadkiem spotkał na ulicy porzuconą przed dwoma laty pannę Munday. Smith miał prawdopodobnie wiele uroku osobistego, gdyż kobieta bez wahania wybaczyła mu i przyjęła do swego domu. Okazało się jednak, że owe 2500 funtów nadal pozostaje niedostępne. Smith spróbował więc po raz pierwszy nowego sposobu.

Małżonkowie sporządzili testamenty, zapisując sobie wzajemnie cały majątek. Wkrótce potem Smith zakupił wannę z blachy cynkowej, płacąc za nią 1 funt 17 szylingów i 6 pensów (rachunek zachował się w sklepie żelaznym, a później miało wyjść na jaw, że Smith zdołał obniżyć cenę wanny, która pierwotnie wynosiła 2 funty...). 13 lipca 1912 roku pannę Munday znaleziono utopioną w tej wannie w domu, jaki zajmowała wraz z „mężem” przy High Street w miejscowości Herne Bay. Nieszczęśliwy wypadek nie wzbudził niczyich podejrzeń: Smith odebrał spadek, po czym powrócił do panny Pegler, tłumacząc dłuższą nieobecność korzystną podróżą w interesach. Pieniądze panny Munday przeznaczył na zakup 7 domów w Bristolu za

2180 funtów.

Następną ofiarą Smitha była poznana w Southsea Alice Burnham, pielęgniarka. „Mąż” zdobył jej gotówkę – 100 funtów, po czym ubezpieczył ją na życie na sumę 500 funtów. „Pobrali się” 31 października 1913 roku, a już 12 grudnia „pannę młodą” znaleziono utopioną w wannie. Jak poprzednio, tak i tym razem śmierć tę uznano za nieszczęśliwy wypadek. Smith zarobił więc w sumie 600 funtów. Właścicielka domu przy Regents Road w Blackpool, gdzie wydarzył się „wypadek”, była oburzona zachowaniem się Smitha po śmierci żony. Wzruszył tylko ramionami i powiedział: „Umarła, i tyle”. Kazano mu natychmiast opuścić dom, co też uczynił. Powrócił znów do panny Pegler, by spędzić z nią rok jako przykładowy małżonek.

We wrześniu 1914 r. powtórzył raz jeszcze swój stary sposób: „poślubił” Alice Reavil, służącą z Bournemouth i zniknął zaraz potem zabierając 100 funtów, odzież i biżuterię „żony”. Technika ta przestała mu jednak odpowiadać, bo już w grudniu tego samego roku Smith kupił następną wannę.

Poznał mianowicie niejaką Margaret Elizabeth Lofty, córkę pastora. Była ona damą do towarzystwa, a ponadto przeżywała właśnie załamanie po stracie ukochanego. Smith bardzo szybko zdołał wyleczyć złamane serce swej wybranki. Poznali się 3 grudnia, a już 17 grudnia panna Lofty została jego kolejną „żoną”. Ceremonia odbyła się w miejscowości Bath (trudno nie podejrzewać tu Smitha o koszmarny dowcip, skoro „bath” w języku angielskim oznacza „kąpiel”). Państwo Lloyd (takiego nazwiska używał Smith przy tej okazji) zamieszkali przy Bismarck Road w Highgate tuż po ślubie, a panna Lofty sporządziła testament, zapisując wszystko świeżo poślubionemu mężowi. Jeszcze tego samego dnia Smith zakupił wannę, która została natychmiast dostarczona do domu i zainstalowana w łazience wynajętego mieszkania.

W dzień po tym, jak młoda para zajęła owo mieszkanie właścicielka domu usłyszała odgłosy szarpaniny w łazience. „Jakby ktoś uderzał dłońmi o brzeg wanny...” – opowiadała potem. Wreszcie wszystko ucichło, a następnie dała się słyszeć melodia nieudolnie wygrywana na organach w salonie na piętrze.

Upłynęło jeszcze kilkanaście minut, organy ucichły, a właścicielka domu zauważyła z przerażeniem, że na suficie jej parterowego pokoju pojawia się rosnąca z każdą chwilą mokra plama. Woda zaczęła właśnie kapać na dywan i kobieta miała już biec na górę, gdy nagle frontowymi drzwiami do domu wkroczył Smith z papierową torbą w dłoni.

– Kupiłem trochę pomidorów na kolację – wyjaśnił.

Należy wspomnieć, że wychodzenie po zakupy dla tworzenia sobie alibi stanowiło nieodłączny element metody stosowanej przez Smitha. Zanim znaleziono ciało i panny Munday, Smith kupował na targu ryby; w przypadku panny Burnham

były to jajka.

Pannę Lofty znaleziono utopioną w wannie, z której woda przelewała się, ściekając aż na parter. Śledztwo zakończyło się, jak zwykle, werdyktem o nieszczęśliwym wypadku. Sposób opracowany przez Smitha okazał się więc raz jeszcze niezawodny. Błąd tkwił tylko w zbyt częstym jego powtarzaniu bez żadnych modyfikacji.

O śmierci panny Lofty doniosły gazety. W opisach tragicznego wypadku było zapewne sporo szczegółów, skoro przeczytawszy je, krewny panny Munday, zdumiony podobieństwem obu przypadków, zwrócił się do policji w Aylesbury, zaś właścicielka domu w Blackpool, która była tak oburzona postawą Smitha po śmierci żony (panny Burnham), napisała do Scotland Yardu. Policja działała tym razem bardzo szybko. Ostrzeżono przede wszystkim adwokata Smitha, by nie wypłacał swemu klientowi sumy ubezpieczenia i spadku po panie Lofty. Następnie Smith, którego prawdziwe personalia ustalono bez trudu, został aresztowany pod zarzutem bigamii, co miało zapobiec ucieczce podejrzanego przed zdobyciem wystarczających dowodów jego przestępstwa. Aresztowanie miało miejsce 15 stycznia 1915 roku, a już w lutym Smithowi przedstawiono zarzut potrójnego morderstwa.

Proces rozpoczął się 22 czerwca w Old Bailey i trwał 6 dni. Smith do końca nie przyznawał się do winy, przysięgli nie mieli jednak żadnych wątpliwości. Uznany za winnego Smith został skazany na śmierć. Stracono go 13 sierpnia 1915 roku. Prowadzony na szafot zemdłał i został tam zanieiony przez pomocników kata.

Truczna dobra na wszystkich

Herbert Rowse ARMSTRONG

Katherine Mary i Herbert Rowse Armstrongowie pobrali się w 1907 roku. Przez trzynaście lat, do roku 1920, ich życie upływało spokojnie, jeśli nie liczyć lat wojny 1914-1918, kiedy to pan Armstrong dosłużył się stopnia majora, a pani Armstrong czekała nań z trójką dzieci i z lękiem wyglądała listonosza. Mąż powrócił jednak cały i zdrowy i nic już nie zakłócało małżeńskiego szczęścia. Żyli w dostatku. Armstrong, absolwent Cambridge, adwokat, był urzędnikiem sądu pokoju w walijskim miasteczku Hay, mieszkał zaś z rodziną w domu o nazwie Mayfield w dolinie Cusop Dingle, na granicy Anglii i Walii. W roku 1920 Armstrong ukończył 50 lat. Małżeństwo uważane było za udane, z pewnymi jednak zastrzeżeniami.

Otóż, jak twierdzili liczni znajomi Armstrongów, pani Armstrong miała szczególną skłonność do tyranizowania męża. Przyglądano się temu z rozbawieniem, gdyż pan Armstrong był wyjątkowo drobnej budowy, znacznie niższy od żony i strofowany przez nią, przedstawiał istotnie komiczny widok. A strofowany bywał publicznie za najbłahsze nawet wykroczenia, jak palenie cygar czy też wypicie kieliszka koniaku z innych powodów niż „dla zdrowia”. Major (z uporem trzymał się bowiem swego wojskowego stopnia) znosił jednak żonine reprimendy z uśmiechem i dostosowywał się do jej żądań. (Później okazało się, że miał na sumieniu znacznie więcej niż drobne grzeszki).

Uważano zatem, że major kocha żonę, a nawet, że jest pantoflarzem. Mimo to jednak 1 lipca 1920 roku Armstrong zdołał nakłonić swą srogą małżonkę, by sporządziła testament, czyniąc go jedynym spadkobiercą. Nie jest jasne, czy sporządzenie testamentu takiej właśnie treści można uważać za pierwszą oznakę pogarszającego się stanu psychicznego pani Armstrong, ale już w miesiąc później umieszczona została w szpitalu psychiatrycznym z powodu halucynacji.

Teraz major mógł popijać do woli, często też wyjeżdżał na weekend do Londynu i

można się domyślać, jak spędzał czas. Ponadto oddawał się zachłannie swemu oryginalnemu hobby, którym było tępienie chwastów. Używał w tym celu własnoręcznie sporządzonej mieszanki, zawierającej czysty arszenik.

W styczniu 1921 roku stan psychiczny pani Armstrong uległ tak znacznej poprawie, że mogła powrócić do domu. Przebywała tam aż do dnia śmierci, która nastąpiła 22 lutego. Za przyczynę zgonu uznano chorobę serca. Pewne objawy wskazywały jednak na niedyspozycję żołądkową.

W kondukcje pogrzebowym szedł major Armstrong, złamany nieszczęściem, w ciężkiej żałobie. Okazywał tak wielką rozpacz, że otaczało go powszechne współczucie, zaś przyjaciele niepokoiли się nawet, czy nie zamierza popełnić samobójstwa. Po pewnym czasie uznali jednak, że czas leczy rany i major odzyskuje równowagę psychiczną.

We wrześniu tego samego roku niejaki Oswald Norman Martin, szef konkurencyjnej firmy adwokackiej w Hay, otrzymał pocztą bombonierkę od anonimowego nadawcy. Sam Martin nie lubił czekoladek, zabrał jednak bombonierkę do domu, przekonany, że jest ona dowodem wdzięczności jakiegoś nieśmiałego klienta. Ponieważ Martin tego właśnie wieczoru podejmował obiadem jednego ze swych znajomych, podsunął mu czekoladki. Gość zjadł kilka. W trzy godziny później rozchorował się nagle i cudem powrócił do zdrowia. Jak stwierdzono potem, do niektórych czekoladek wstrzyknięto arszenik.

26 października Martin otrzymał zaproszenie od majora Armstronga na popołudniową herbatkę. W pewnym momencie gospodarz wybrał z talerza jedną z kanapek i podał ją gościowi, przepaszając przy tym, że obsługuje go ręką. Martin zdziwił się nieco, przyjął jednak kanapkę. Twierdził później, że nie wypadało odmówić.

Po kilku godzinach, tuż po powrocie z wizyty u Armstronga, Martin rozchorował się nagle. Natychmiast wezwano miejscowego lekarza, nazwiskiem Thomas Hincks. Wszystko wskazywało na zwykłą niedyspozycję żołądkową, doktora zdumiał jednak nieregularny puls, nie spotykany w takich przypadkach. Wysłał zatem próbkę moczu pacjenta do laboratorium Klinicznego Towarzystwa Naukowego. Stwierdzono obecność w moczu 1/33 grama arszeniku.

Doktor Hincks usiłował przed pół rokiem ratować życie umierającej pani Armstrong. Miał widocznie pewne wątpliwości, czy właściwie rozpoznał przyczyną zgonu, bo niektóre objawy pani Armstrong były podobne do tych, jakie stwierdził teraz u Martina. Dowiedziawszy się, że Martin zachorował po wizycie u majora, zdecydował się zawiadomić o tym policję.

Tak oto rozpoczął się najgorszy miesiąc w życiu nieszczęsnego pana Martina. Prokurator wszczął bowiem śledztwo, zarządził jednak, by prowadzono je w zupełnej

tajemnicy. Martina poproszono oficjalnie – a on, jako adwokat, nie mógł się na pewno zdobyć na odmowę, choć w tym przypadku współpraca z policją absolutnie mu nie odpowiadała – by w żaden sposób nie zdradził się ze swymi podejrzeniami przed majorem Armstrongiem. Armstrong zaś, jak na złość, zaczął dosłownie zarzucać szefa konkurencyjnej firmy niezwykle uprzejmymi, wręcz serdecznymi zaproszeniami – raz na herbatkę, kiedy indziej na obiad. Pan Martin wił się jak piskorz, usiłując wykręcić się od tych wizyt tak, by nie wzbudzić podejrzeń, majora. Armstrong zaczął przychodzić do biura Martina, przynosząc ze sobą zawsze jakieś smakołyki, którymi częstował go natrętnie, domagając się, by Martin towarzyszył mu przy spożywaniu posiłków podczas tych uroczych przerw w ciężkiej pracy. Panika Martina, kiedy odmawiał, jest całkiem zrozumiała. Policja żądała od niego jednak, by ani przez chwilę nie zdradził, że się boi, gdyż to mogłoby ostrzec przebiegłego majora.

Katusze pana Martina skończyły się wreszcie 31 grudnia 1921 roku, kiedy to po drobiazgowym śledztwie Armstrong został aresztowany pod zarzutem usiłowania zabójstwa. W chwili zatrzymania przy majorze znaleziono mały pakiecik, zawierający arsenik. Była to, jak twierdził zatrzymany, jedna dwudziesta część uncji arszeniku, którą kupił, by wytepić 19 korzeni mlecza w swym ogrodzie. Gdy przeszukano kancelarię majora, w jego biurku znaleziono paczuszkę z dalszymi dwiema uncjami arszeniku.

Kiedy Armstrong przebywał w areszcie, dokonano ekshumacji zwłok jego żony. Sekcję przeprowadził anatomopatolog, który w kilka lat później miał zdobyć wielką sławę i tytuł lordowski, doktor Bernard Spilsbury. W niektórych narządach znaleziono aż 3 i 1/2 grama arszeniku. 19 stycznia 1922 roku Armstrong został więc oskarżony również o zabójstwo swej żony.

Proces rozpoczął się 3 kwietnia tego roku przed sądem przysięgłych w Hereford i trwał dziesięć dni. Oskarżał prokurator generalny, sir Ernest Pollock, bronił zaś sir Henry Curtis-Bennet. Już sam udział dwóch arystokratów w rozprawie świadczy o tym, jaką wagę przywiązywano do tej sprawy i jakiego nabrała ona rozgłosu w sferach wymiaru sprawiedliwości.

Obrona dowodziła, że pani Armstrong popełniła samobójstwo jako osoba co najmniej niezrównowazona psychicznie. Oskarżyciel przedstawił jednak niezbite dowody, że nieszczęsna kobieta bynajmniej nie pragnęła śmierci. Wezwano mianowicie na świadka pielęgniarkę, która opiekowała się panią Armstrong podczas kilku ostatnich dni jej życia. Zeznanie wywarło ogromne wrażenie na ławie przysięgłych i na zgromadzonej tłumnie publiczności. Pielęgniarka mówiła drżącym ze wzruszenia głosem:

– Ta biedulka tak bardzo chciała żyć. Rano, w dniu swojej śmierci, powiedziała do mnie: „Ja nie umrę siostró, prawda? Mam przecież dla kogo żyć – dla mojego

męża i dzieci...”

Nie mniejsze wrażenie zrobiła postawa oskarżonego. Pewności siebie dodawała mu zapewne wieloletnia praca w sądzie pokoju.. W Hereford stawiono pięć do jednego za jego uniewinnieniem. Może tak by się stało, gdyby nie przewodniczący rozprawie sędzia Darling. Wysłuchał on wzruszających zeznań oskarżonego, który starannie dobierał słowa i modulował głos, a gdy na sali zapadła cisza i wszyscy byli pod wrażeniem tragicznego losu człowieka niewinnie oskarżonego o straszną zbrodnię, odchrząknął i zapytał znieca:

– Chwileczkę, panie Armstrong. Proszę raz jeszcze dokładnie opowiedzieć sądowi, jak to było z tym arsenikiem. Po co pan zadał sobie trud podzielenia porcji trucizny na dwadzieścia paczuszek, zamiast po prostu rozpylić ją bezpośrednio wokół wszystkich mleczy po kolei?

– Naprawdę nie umiem na to odpowiedzieć – odparł Armstrong, którego głos zaczął nagle drżeć. – Wydawało mi się, że jest to najwygodniejszy sposób.

Armstrong został uznany winnym i skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano 31 maja 1922 roku w więzieniu w Gloucester.

Adelaide BARTLETT

Edwin Bartlett ożenił się w roku 1875 w wieku 29 lat z 12-letnią Francuzką, Adelaide. Przez 11 lat pożycia, aż do roku 1886, uchodzili za szczęśliwą i dobraną parę. Lecz w dniu 1 stycznia Edwin Bartlett został znaleziony martwy w swym łóżku w londyńskiej dzielnicy Pimlico, gdzie państwo Bartlett zajmowali czteropokojowe mieszkanie. Jak wykazała sekcja, w żołądku Edwina znajdowała się duża ilość chloroformu.

Najbardziej podejrzaną osobą była, rzecz jasna, Adelaide. Policja rozpoczęła więc przesłuchania kobiety, podczas których pani Bartlett ujawniła dość dziwne szczegóły swego pożycia małżeńskiego ze zmarłym.

Otóż – według zeznań Adelaide – jej mąż miał szczególne poglądy na życie małżeńskie. Po raz pierwszy dowiedziała się o tym już w noc poślubną, jako że jej mąż bardzo lubił rozprawiać na ten temat. Uważał on mianowicie, że każdy mężczyzna powinien mieć prawo do dwóch żon o ściśle określonym, jeśli można się tak wyrazić, przeznaczeniu. Jedna z nich służyłaby do towarzystwa i z nią można by spędzać całe dnie, rozmawiać, bywać w towarzystwie. Druga żona natomiast, jak to niezbyt elegancko określał nieboszczyk Bartlett, byłaby „do użytku”.

Jak miała okazję przekonać się świeżo poślubiona żona Barletta, jej przypadła rola tej pierwszej żony. W noc poślubną pan młody, wyjaśnwszy jej swoje poglądy,

po prostu odwrócił się na drugi bok, a po chwili rozległo się donośne chrapanie. Tak też było przez prawie całe 11 lat ich pożycia. Adelaide nie stwierdziła jednak, by jej mąż czynił starania w celu zdobycia „drugiej żony”. Bardzo dużo czasu spędzał wraz z nią w domu, zgodnie ze swymi poglądami rozkoszując się jej towarzystwem, w nocy zaś smacznie pochrapywał u boku małżonki numer 1. Nie trzeba dodawać, że pani Bartlett, opowiadając to policji, spłonęła rumieńcem, zaś funkcjonariusze, choć przyzwyczajeni do różnych niezręcznych sytuacji, opuścili wzrok, by nie peszyć przesłuchiwaney i żeby w ich oczach nie wyczytała współczucia.

Nie były to czasy, w których poddano by panią Bartlett badaniu lekarskiemu, aby stwierdzić, czy jej zeznanie jest zgodne z prawdą. Wystarczający dowód wydawał się stanowić fakt, że państwo Bartlett mimo tak długiego pożycia nie mieli dzieci. Prowadzących śledztwo oficerów opadły wprawdzie pewne wątpliwości, gdy podczas przeszukania małżeńskiej sypialni państwa Bartlett odnaleźli w szufladce szafki nocnej zmarłego paczkę prezerwatyw. Jednakże zeznania Adelaide zostały nieoczekiwanie potwierdzone przez świadka, którego związki z państwem Bartlett wydawały się co najmniej dziwne.

Na komisariat policji zgłosił się mianowicie młody pastor metodysta, wielbny George Dyson. Poznał on państwa Bartlett przed ponad rokiem i niezwykle się z nimi zaprzyjaźnił. Ponieważ czuł się nieco samotny, a w ich domu był zawsze przyjmowany z radością, zaczął często bywać w mieszkaniu w Pimlico, gdzie po smakowitych posiłkach przyrządzanych przez Adelaide, odbył szereg pasjonujących rozmów z Edwinem na wiele różnych tematów, w tym również dotyczących instytucji małżeństwa. Edwin Bartlett wyznał po pewnym czasie zdumionemu pastorowi, jakie są jego poglądy na małżeństwo. To, co wielbny Dyson usłyszał od swego gospodarza, pokrywało się w najdrobniejszych szczegółach z zeznaniami Adelaide. Nie koniec jednak na tym.

Niedawno, przed około dwoma miesiącami, Edwin Bartlett wyznał pastorowi, że zapałał do niego tak ogromną sympatią, iż chciałby ofiarować mu coś na pamiątkę. Coś, co – jak powiedział – przypominałoby Dysonowi o ich przyjaźni długo po tym, jak on sam, Edwin, spocznie w grobie. Tym „czymś”, jak się okazało, miała być... Adelaide.

Pocziwemu pastorowi coś takiego nie mieściło się w głowie. Sam już nie wiedział, czy ma zerwać wszystkie stosunki z tym bezbożnikiem, za jakiego musiał chyba uznać Bartletta, czy modlić się o jego wyzdrowienie (moralne i psychiczne), czy też uczestniczyć dalej w tym szaleństwie. Adelaide jednak bardzo mu się podobała i to chyba zdecydowało, że przychodził nadal do domu Bartlettów i słuchał z lubością (choć zapewne również z wyrzutami sumienia), jak pan domu roztaczał przed nim wizje wspaniałej, wspólnej przyszłości ze swoją własną żoną, kiedy

zostanie już wdową. Wkrótce zakochał się rzeczywiście w Adelaide, która również ukazywała mu uczucie, nie kryjąc się z tym zbyt, bo po cóż miałyby to czynić?

Do zdrady małżeńskiej nie doszło, lecz nastąpiła rzecz znacznie bardziej osobliwa. Mianowicie pewnego wieczoru pan Bartlett uznał, że Adelaide i młody Dyson powinni już teraz zacząć, jak to określił, „przyzwyczajając się” do siebie nawzajem. Zażądał więc, by całowali się namiętnie przy każdej okazji i to na jego oczach. Wydawał się czerpać z tego widoku całkiem niemężowską przyjemność. Twierdził, że cieszy się bardzo, iż tak gorliwie przygotowują się do spełnienia jego ostatniej woli. Adelaide i pastor, pełni poczucia obowiązku oddawali się więc pieczytom na oczach pana Bartlett, przez co byli coraz bardziej w sobie zakochani. Młody Dyson, zupełnie zdezorientowany, lecz teraz utwierdzony w słuszności swego postępowania, pisywał nawet do przedmiotu swych uczuć i przyszłego spadku płomienne wiersze miłosne, które przedstawiono na procesie. Taktownie nie wspominał w nich jednakże o mężu pani Bartlett.

Zeznania wielbego Dysona nie wpłynęły jednak na przebieg śledztwa. Ponieważ stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Adelaide była jedyną osobą, która mogła podać panu Bartlett chloroform, o ile oczywiście nie wypił go sam, postawiono ją w stan oskarżenia. Proces rozpoczął się 12 kwietnia 1886 roku w londyńskim Old Bailey.

Prokurator udowodnił, że wielbny Dyson na trzy dni przed śmiercią Bartletta zakupił w kilku różnych aptekach w Putney i Wimbledonie większe ilości chloroformu. Przysięgli spojrzeli już na pastora łakomym wzrokiem, uznawszy go widać za współnika oskarżonej. Ta jednak, znów spłonawszy rumieńcem, wyjaśniła, że Dyson dokonał tego zakupu na jej prośbę i cały chloroform wręczył jej jeszcze tego samego dnia.

Oskarżona wyraźnie nie miała ochoty odpowiadać na następne pytanie, po co była jej potrzebna taka ilość chloroformu. Zmuszano ją jednak do udzielenia odpowiedzi. Otóż Edwin z niezrozumiałych powodów zmienił swe poglądy na małżeństwo i stwierdził, że jedna żona całkowicie mu wystarczy – i do towarzystwa, i do bardziej przyziemnych celów. Więcej nawet, nabrał takiego entuzjazmu do sypialnianych rozkoszy małżeńskich, że nieszczęsna Adelaide, teraz już bardzo zakochana w Dysonie, obawiała się iż kiedyś wreszcie nie zdoła się przed nim obronić. Postanowiła zatem zawsze mieć w zanadrzu chloroform, by uspić nim męża, gdy stanie się zbyt natarcywy. Wydaje się, że w owym czasie oboje, zarówno Adelaide, jak i wielbny Dyson, nie mogli już się doczekać momentu śmierci Bartletta. Cóż, można powiedzieć, że Edwin sam był sobie winien, roztaczając przed nimi tak upojne wizje.

Chloroform jako środek mający powstrzymać pana Bartletta przed zakusami na żonę spełniłby doskonale swe zadanie, gdyby Adelaide dyskretnie skropiła lekiem

chusteczkę i w odpowiednim momencie kilkakrotnie przesunęła ją pod rozdętymi pożądaniami mężowskimi nozdrzami. Zamiast stosować tak delikatne sposoby, Adelaide posunęła się, jak się zdaje, do metod bardziej radykalnych. Zawartość całej butelki chloroformu znalazła się bowiem owej sylwestrowej nocy w żołądku pana Bartlett.

Wszystko było jasne. Przynajmniej pozornie. W grę wchodziła wprawdzie możliwość, że pan Bartlett popełnił samobójstwo, by umożliwić pastorowi wejście w posiadanie spadku lub z innych powodów, lecz wydawało się oczywiste, że to Adelaide zabiła męża. W tym jednak miejscu natrafiono na poważny problem.

Nie zdołano mianowicie wyjaśnić, w jaki sposób tak wielka ilość chloroformu znalazła się w żołądku męża Adelaide. Chloroform jest płynem silnie żrącym, zaś ani w jamie ustnej, ani też w przełyku zmarłego nie znaleziono jednego nawet śladu oparzenia. W tej sytuacji nie wydawało się już dziwne, że sąsiedzi zza ściany nie słyszeli potwornego wrzasku, jaki musiałby towarzyszyć połykaniu przez pana Bartlett trucizny. Sposób, w jaki chloroform dotarł do jego żołądka, stanowi do dziś jedną z największych tajemnic kryminalistyki.

Przysięgli najwyraźniej podejrzewali Adelaide, ale 17 kwietnia przewodniczący, ogłaszając wyrok uniewinniający, stwierdził w uzasadnieniu, że brak jest dostatecznych dowodów na to, przez kogo i w jaki sposób chloroform został podany zmarłemu. Gdy mówił te słowa, w jego głosie pobrzmiwał prawdziwy żal.

Zaraz po zwolnieniu z aresztu Adelaide rzuciła się na szyję „spadkobiercy” swego męża. Wkrótce też, zgodnie z ostatnią wolą Edwina, pobrali się.

Sir Jamesowi Pagetowi, słynnemu współczesnemu chirurgowi, przypisuje się następującą uwagę, poczynioną po zakończeniu procesu Adelaide Bartlett (a trzeba pamiętać, że zgodnie z prawem angielskim osoba uniewinniona od jakiegoś zarzutu nie mogła ponownie odpowiadać za ten sam czyn, choćby przyznała się do jego popełnienia):

– Teraz, skoro ją już uniewinnili, powinna nam powiedzieć, jak to zrobiła. Dla dobra nauki...

Niestety, Adelaide Bartlett nie spełniła życzenia medyka.

Florence BRAVO

Sprawa ta, jedna z najgłośniejszych w epoce wiktoriańskiej spraw o morderstwo, rozpoczęła się w piątek, 21 kwietnia 1876 roku, kiedy to 30-letni adwokat, Charles Bravo, zmarł w męczarniach po krótkiej, trzydniowej chorobie. Ostatnim, jak się okazało posiłkiem, który był w stanie zjeść, była wtorkowa kolacja, złożona z ryby,

pieczonego jagnięcia oraz z pasty sardelowej na grzankach. W godzinę po posiłku dostał ataku bólów i wymiotów, które nie opuściły go aż do fatalnego piątku.

Charles Bravo był człowiekiem zamożnym. Mieszkał wraz z żoną w Balham przy Bedford Hill Road, w posiadłości o nazwie „The Priory”. Swą żonę Florence poślubił zaledwie pięć miesięcy wcześniej, 7 grudnia 1875. W chwili poznania swego przyszłego męża, Florence była wdową po kapitanie Aleksandrze Ricardo, grenadierze Gwardii Królewskiej, zmarłym w 1871 roku na chorobę alkoholową. Pozostawił on swej ładnej żonie majątek w wysokości 40 tysięcy funtów. Przez cały okres wdowieństwa Florence była kochanką 64-letniego (sama ukończyła 25 lat w 1871 roku) Jamesa Manby Gully’ego, znanego lekarza z Malvern, pioniera kuracji wodnej, frenologa, dramaturga oraz prywatnego lekarza takich sław literackich, jak Tennyson i Dickens.

Po oświadczeniach Charlesa Bravo Florence obiecała zerwać stosunki z lekarzem, o czym pisała mu 21 października 1875 roku: „... czyż muszę ci mówić, że napisałam do doktora, że już nigdy więcej nie będę mogła go ujrzeć; takie postępowanie jest pod każdym względem najwłaściwsze, cokolwiek się stanie, czy się pobierzemy, czy też nie...”.

Charles, który sam miał kochankę w Maidenhead, być może właśnie dlatego tolerancyjnie traktował potknięcia swej przyszłej żony. Słyszano kiedyś, jak powiedział do niej: „Całkowicie zadowolony jestem, jeśli uczynię cię moją żoną”. Cynik mógłby na to stwierdzić, że istotnie miał wszelkie powody do zadowolenia, bowiem zgodnie z ówczesnymi przepisami – w chwili zawarcia małżeństwa automatycznie przejmował cały majątek Florence. Plotki o jego prawdziwych pobudkach krążyły widać po okolicy, gdyż podczas miesiąca miodowego otrzymał sprośny list anonimowy, oskarżający go i to, że ożenił się z kochanką Gully’ego dla pieniędzy.

O ile Charles Bravo przyjął postawę tolerancyjną wobec minionych wyskoków żony, o tyle nie był w stanie polubić, czy choćby tylko zaakceptować pokojówki i damy do towarzystwa Florence, pani Jane Cannon Cox. Była to brzydka, 43-letnia wdowa, nosząca okulary. Miała trzech małych synków, których musiała utrzymywać po śmierci męża, czyli od roku 1876. Pani Cox dobrze знаła Josepha Bravo, ojca Charlesa, na długo przedtem, zanim poznała Florence. Starszy Bravo, który pochodził z Jamajki, był zaprzyjaźniony z panem Cox i do niego właśnie zwróciła się wdowa po powrocie z Jamajki do Londynu. Państwo Bravo znaleźli jej posadę guwernantki u pani Brooks w Tooting i tam właśnie, w 1871 roku, poznała dopiero co owdowiałą panią Ricardo, gdy ta przybyła do Brooksów w odwiedziny. Florence zatrudniła ją następnie u siebie.

Tak się złożyło, że niemal wszyscy zamieszani w tę sprawę mieli jakieś powiązania z Jamajką (nawet doktor Gully urodził się w Kingston na Jamajce). Dało

to asumpt do podejrzeń, szerzących się wśród publiczności na sali sądowej, że tragedia spowodowana była działaniem czarnej magii.

Po ślubie młoda para zamieszkała w posiadłości Charlesa, „The Priory”. Ich pożycie układało się nieźle, a wśród ciemniejszych jego stron można chyba wymienić skłonność Florence do poronień, jej pociąg do alkoholu, dość znaczny jak na wiktoriańską damę oraz: skapstwo Charlesa. Napisał raz do niej: „Moja najdroższa żono, tęsknię do ciebie strasznie i chętnie oddałbym nawet sto funtów, gdyby czasy nie były takie ciężkie, byś mogła być teraz ze mną...”

Tuż przed Wielkanocą, w kwietniu 1876 r. Florence poroniła po raz trzeci, spędziła więc święta w łóżku. Charles natomiast uskarżał się na ból zębów, dla uśmierzania którego natarł sobie dziąsła laudanum. We wtorek 18 kwietnia oboje czuli się już na tyle dobrze, że karetą udali się do Londynu. Florence powróciła następnie do domu sama, pozostawiając Charlesa w mieście, by mógł pójść na „wesoly lunch” (jak to sam określił) z kolegami. Wrócił około 7-ej wieczorem.

O godzinie 7.40 państwo Bravo wraz z panią Cox zasiedli do kolacji. Menu podane zostało na wstępie. Teraz warto tylko wspomnieć, że Charles popijał jedzenie burgundem, który nalewał sobie z karafki, natomiast obie panie – co stwierdzamy z przerażeniem i podziwem – wypiły do spółki prawie dwie butelki sherry.

O 10-tej wieczorem Charles nagle zachorował. Trzeba przyznać, że przez cały czas trwania jego choroby Florence, wspomagana dzielnie przez panią Cox, opiekowała się nim z największą troskliwością. Wezwała wielu specjalistów, którzy byli w równym stopniu zaniepokojeni krytycznym stanem Charlesa Bravo, jak i zakłopotani niezrozumiałą etiologią choroby. Wypytywany, czy nie zażywał żadnych leków, słabym głosem powiedział o swej kuracji przy pomocy laudanum.

– Laudanum nie tłumaczy pańskich objawów, panie Bravo – usłyszał ponure stwierdzenie londyńskiego specjalisty.

W piątek pan Bravo zmarł, a w sobotę 22 kwietnia wykonano sekcję zwłok w szpitalu św. Tomasza. Sekcja nie ujawniła żadnej choroby poza owrzodzeniem jelita grubego, co wskazywało na działanie czynnika drażniącego.

25 kwietnia odbyło się śledztwo przy drzwiach zamkniętych w domu państwa Bravo. Pani Cox zeznała wtedy, że Charles Bravo przyznał się jej (i tylko jej), że rozmyślnie zażył truciznę. „Pani Cox, zażyłem truciznę... Niech pani nic nie mówi Florence!” Anatomopatolog, profesor Redwood, oznajmił, że w treści żołądkowej Charlesa Bravo odkrył antymon. Mówił:

– Antymon mógł zostać podany tylko w jeden sposób – pod postacią emetyku, czyli środka wywołującego wymioty. Jest on rozpuszczalny w wodzie i pozbawiony smaku.

Przysięgli, wzmocniwszy się poczęstunkiem przygotowanym przez Florence

Bravo, wydali werdykt stwierdzający, że zmarły został otruty antymonem, brak jednak dostatecznych dowodów na to, w jaki sposób trucizna dostała się do jego przewodu pokarmowego.

Przez kilka następnych tygodni wokół tej sprawy narosło tyle plotek i podejrzeń, że prezes sądu zmuszony był unieważnić powyższy werdykt i zarządzić nowe śledztwo, które rozpoczęło się 11 lipca w Hotelu Bedford w Balham. Był to jakby proces Florence Bravo – lub tajemniczej pani Cox, jak kto woli.

Najpierw wezwano sędziów przysięgłych, by osobiście obejrzeni szczątki Charlesa Bravo. Ława przysięgłych odbyła zatem makabryczną wycieczkę na cmentarz, której kulminacyjnym momentem był bojaźliwy rzut oka przez szybką do wnętrza trumny. Jeden z przysięgłych opisał to później następująco: „Twarz zyskała ciemny odcień jak u mumii, a zęby były niemal całkowicie czarne”.

Podczas drugiego śledztwa ujawniono dawny romans pani Bravo z doktorem Gully, a nawet wezwano lekarza na świadka. Jego służący, George Griffith, który pracował u pani Bravo jako woźnica, kiedy jeszcze była panią Ricardo, zeznał, że w 1869 roku kupił na polecenie doktora Gully dwie uncje emetyku jako lekarstwo dla koni.

– Gorzko boleję nad swoją sytuacją – wyznał sądowi doktor Gully, zaprzeczając jednocześnie z całą stanowczością, jakoby współdziałał w spowodowaniu śmierci Charlesa Bravo.

Sytuacja doktora istotnie godna była ubolewania, gdyż pani Cox nieoczekiwanie uzupełniła swe zeznania dodając, że Bravo, kiedy zwierzał się jej, że zażył truciznę, powiedział również: „Zrobiłem to dla doktora Gully”.

– Miałam na uwadze nerwy pani Bravo – wyjaśniła pani Cox – i dlatego zataiłam słowa „dla doktora Gully” w moim pierwszym zeznaniu.

Pani Cox mówiła dalej o chorobliwej zazdrości Charlesa, co potwierdziła następnie sama Florence, dodając, że kiedyś uderzył ją nawet w ataku wściekłości, podejrzewając o kontynuowanie dawnego romansu.

Interesujące zeznanie złożył pan Brooks, dawny chlebodawca pani Cox. Ujawnił on mianowicie, że gdy w listopadzie ubiegłego roku gratulował Charlesowi Bravo zaręczyn z Florence, dżentelmen ów odparł: „A idź pan do diabła z tymi gratulacjami. Chodzi mi tylko o pieniądze”. Tym razem ława przysięgłych uznała, że Charles Bravo został zamordowany z premedytacją, lecz „brak jest wystarczających dowodów, by obciążyć winą jakąkolwiek osobę czy osoby”.

Zatem sprawa skończyła się pomyślnie dla Florence Bravo, która jednakże niedługo cieszyła się wolnością i swobodą. Zmarła bowiem 13 września 1878 roku w Southsea w wyniku alkoholizmu. Twierdzono, że zamordowała również kapitana Ricardo. Wydaje się to o tyle prawdopodobnie, że po jego śmierci odziedziczyła

ogromny majątek. Do drugiego zabójstwa mogła ją skłonić wiadomość, że Charles Bravo ożenił się z nią z podobnych pobudek, z jakich ona pozbyła się pierwszego męża. Inni, bardziej przychylni wobec Florence, twierdzili, że następujące po sobie poronienia, w połączeniu z koniecznością znoszenia nieumiarkowanego temperamentu seksualnego Charlesa Bravo, wytrąciły ją z równowagi psychicznej. Tak czy inaczej, powszechne było przekonanie, że to właśnie Florence Bravo zamordowała męża.

Mniejszość stanowili ci, którzy posądzali o zbrodnię panią Cox. Twierdzono, że mogła czuć się zagrożona przez Charlesa Bravo, którego skąpstwo wpływało na zmniejszanie się jej zarobków i podejrzewać, że ma on zamiar wyrzucić ją z „The Priory”. Wkrótce po ukończeniu drugiego śledztwa pani Cox powróciła na Jamajkę, gdzie przeżyła jeszcze wiele lat.

Kariera zawodowa doktora Gully istotnie skończyła się po jego wystąpieniu w czasie śledztwa. Jak to ponuro przepowiadał, pacjenci stracili zaufani do lekarza zamieszanego w niewyjaśnioną do końca sprawę morderstwa, czemu poniekąd trudno się dziwić. Jego współdziałanie w zabójstwie męża ex-kochanki wydaje się jednak w najwyższym stopniu nieprawdopodobne.

George CHAPMAN

Człowiek, o którym będzie mowa, popełniał swe zbrodnie pod nazwiskiem Chapman, jako taki był znany opinii publicznej i pod tym nazwiskiem figuruje w pitavalach. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało jednak inaczej, nie był też Anglikiem. George Chapman, morderca trzech kobiet w Anglii na przełomie XIX i XX wieku, nazywał się naprawdę Seweryn Kłosowski; był Polakiem.

Seweryn Kłosowski, syn Antoniego, urodził się w okolicach Koła 14 grudnia 1865 roku. Jego ojciec był prawdopodobnie drwalem, on zaś w piętnastym roku życia został pomocnikiem felczera. Pracował sześć lat, miał więc szansę zdobyć tytuł młodszego felczera, a wraz z nim intratne zajęcie. Nie wiadomo jednak, dlaczego tego nie dokonał. Podróżował po kraju jako wędrowny balwierz, zajmując się na równi goleniem bród, jak i upuszczaniem krwi czy innymi drobnymi operacjami. Przez pewien czas służył w wojsku carskim, pracował też w szpitalu w Pradze. Wreszcie, około roku 1883, wyemigrował do Anglii.

Kronikarze z ubolewaniem stwierdzają, że nie zdołano dowiedzieć się niczego więcej od Kłosowskiego-Chapmana o jego życiu w Polsce, nadmieniając, że zawiniła tu prawdopodobnie bariera językowa. Nieco więcej natomiast wiadomo o jego działalności na gościnniej ziemi brytyjskiej. Badano ją bardzo starannie, jako że nasz

rodak był jednym z najpoważniejszych kandydatów na słynnego Kubę Rozpruwacza.

Przybywszy do Londynu, Kłosowski znalazł pracę u fryzjera w dzielnicy Whitechapel. Był to może zbieg okoliczności, ale w czasie, gdy tam pracował, w najbliższej okolicy Rozpruwacz zabił kobietę.

Kłosowski ożenił się jeszcze w Polsce, teraz jednak uznał widać, że i tak nikt się nie dowie o tamtym związku. Ożenił się zatem po raz drugi z Polką, Łucją Baderską. Można sobie wyobrazić jego zaskoczenie, gdy nagle w Londynie zjawiła się jego prawowita żona, która zdołała go odszukać. Przez pewien czas obie panie mieszkały nawet razem. Nie wiemy, jak do tego doszło, ale wreszcie „polska” żona wyjechała i nic już nie mąciło nowego szczęścia małżeńskiego Kłosowskiego.

Państwo Kłosowscy wyjechali na dwa lata do Stanów Zjednoczonych. Powrócili osobno, gdyż pokłócili się, a chodziło o liczne kochanki Kłosowskiego. Łucja zatrzymała przy sobie ich dwoje dzieci.

W 1893 roku Kłosowski mieszkał przez pewien czas z dziewczyną nazwiskiem Annie Chapman. Także i ona porzuciła go po upływie roku, a Kłosowski po jej odejściu postanowił „pożyczyć” sobie jej nazwisko. Od tego czasu przedstawiał się jako George Chapman i zatajał swe polskie pochodzenie (co przy ogromnej wówczas niechęci Anglików do cudzoziemców można w pewnym stopniu zrozumieć). Zastanawiające jest natomiast, że trzecia w kolejności ofiara Kuby Rozpruwacza również nazywała się Annie Chapman, choć z kochanką Kłosowskiego nie miała nic wspólnego.

W 1895 roku Chapman-Kłosowski poznał swą pierwszą ofiarę, niejaką Mary Spinks. Była ona mężatką porzuconą przez męża z powodu swego pociągu do alkoholu. Chapmanowi fakt, że była pijaczką, najwyraźniej nie przeszkadzał. Przynajmniej na początku. Miała za to pewną sumę pieniędzy, którą Chapman wkrótce zużył na założenie własnego salonu fryzjerskiego w Hastings. Wprowadził nawet ciekawą innowację: zakupił pianino, na którym jego „żona” przygrywała, podczas gdy on golił klientów. „Muzyczny” salon Chapmana cieszył się ponoć ogromną popularnością w mieście.

W tym okresie miał miejsce wypadek, który wielu uważało potem za pierwszą próbę pozbycia się Mary Spinks. Chapman kupił mianowicie łódkę i odbywał nią przejażdżki wraz z „żoną”. Pewnego dnia łódka wywróciła się, zaś Chapman i pani Spinks zostali uratowani przez rybaków.

Po sześciu miesiącach Chapman z niewiadomych powodów sprzedał świetnie funkcjonujący salon w Hastings i powrócił do Londynu. Zmienił też zawód. Wydzierżawił gospodę „Pod Księciem Walii” na Bartholomew Square.

Wkrótce po powrocie do Londynu Mary Spinks nagle zachorowała. Nękały ją gwałtowne wymioty, zaś wezwanie lekarza nic nie pomogło (teraz wiemy, że nie

pomogło dlatego, iż Chapman nadal troskliwie „pielęgnował” chorą). Wreszcie Mary Spinks zmarła w dzień Bożego Narodzenia 1897 roku. Jej śmierć przypisano suchotom. Później dopiero wykryto, że w kwietniu tegoż roku Chapman zakupił w aptece środek wywołujący wymioty.

W kilka miesięcy po śmierci pani Spinks Chapman zaczął poszukiwać barmanki do swej gospody. Na jego ogłoszenie zgłosiła się córka farmera, Bessie Taylor, która poprzednio pracowała jako pokojówka. Nie minął rok, a Chapman „ożenił się” z nią. Wkrótce po ślubie zdrowie nieszczęsnej, czwartej już „pani Chapman”, znacznie się pogorszyło, choć nic nie wskazuje na to, by pan młody rozpoczął swą działalność tak szybko.

Chapman wydzierżawił kolejną gospodę, tym razem o nazwie „Pod Winnym Gronem”. Bessie Taylor w krótkich przerwach między licznymi chorobami usługiwała w barze, zaś „mąż” traktował ją coraz gorzej; kiedyś groził jej nawet rewolwerem.

Kolejną knajpą, wynajętą przez Chapmana, była „Monumentalna”. Nieszczęsna Bessie Taylor ledwo trzymała się na nogach za barem, aż wreszcie pewnego dnia do jej licznych dolegliwości dołączyły się gwałtowne wymioty i biegunka. Zmarła w męczarniach 13 lutego 1901 roku. Tym razem jako przyczynę zgonu podano „wycieńczenie rozstrojem żołądkowym”.

Trzecia ofiara Champana, Maud Marsh, również była najpierw barmanką w jego lokalu. Była córką robotnika z Croydon, a zanim rodzice pozwolili jej podjąć pracę, matka przybyła na „inspekcję”, by przekonać się, czy lokal jest przyzwoity. Wkrótce Chapman zaręczył się z dziewczyną, dając jej w prezencie złoty zegarek na łańcuszku. Maud długo jednak wahała się, zanim została jego kochanką. Radziła się nawet w tej sprawie matki, tłumacząc jej, że skoro i tak niedługo mają się pobrać, to nie ma to chyba znaczenia, kiedy zaczną sypiać ze sobą – przed ślubem, czy też po. Rodzice Maud bynajmniej nie byli tego samego zdania i bardzo niepokoiłi się o losy dziewczyny. Matka wielokrotnie namawiała ją do zerwania zaręczyn i powrotu do domu. Wszystko na nic. Wkrótce Maud poinformowała rodziców, że została żoną Chapmana „w kościele katolickim”. Mimo to rodzice Maud nie nabrali zaufania do zięcia, co miało go wreszcie doprowadzić do zguby.

W 1902 roku Maud Marsh zaczęła odczuwać te same dolegliwości, jakie poprzedziły śmierć Bessie Taylor. Umieszczono ją w szpitalu, gdzie stan jej uległ tak znacznej poprawie, że wkrótce została wypisana. Jak można przewidzieć, w domu znów poczuła się gorzej. Podczas choroby Maud Chapman zmienił miejsce zamieszkania, wydzierżawił bowiem gospodę „Pod Koroną”, zaledwie o kilka kroków od poprzedniej.

Matka Maud Marsh, zaniepokojona wieściami o złym stanie dziewczyny,

przyjechała z Croydon, by opiekować się nią. Mimo to Maud słabła z dnia na dzień. Jej matka nie podejrzewała jednak zięcia, dopóki przypadek nie uświadomił jej, że córka jest regularnie faszerowana jakąś trucizną. Chapman, jak przystało na kochającego małżonka, przygotował bowiem pewnego dnia dla Maud szklanekę brandy z wodą sodową. Tak się złożyło, że Maud nie miała ochoty na ów napój, wypili go zatem do spółki pani Marsh i pielęgniarka, która przychodziła robić chorej zastrzyki. Obie wkrótce zauważyły u siebie identyczne objawy. Pani Marsh, nie ufając widać lekarzowi Chapmana, który zdawał się niczego nie podejrzewać, wezwała własnego lekarza z Croydon. Zbadawszy Maud zawyrokował on, że jest to zatrucie arsenikiem.

Zanim jednak pani Marsh zdołała podjąć jakiegokolwiek kroki w celu zdemaskowania zięcia-truciciela, zaniepokojony wizytą obcego lekarza Chapman wpadł w panikę i do kolejnego posiłku Maud dosypał większą dawkę trucizny. Dziewczyna zmarła 22 października 1902 roku. Okazało się jednak, że lekarz z Croydon napisał do swego kolegi, który dotychczas leczył Maud Marsh, zwierając się mu ze swych podejrzeń. Odniosło to niespodziewany skutek. Lekarz Chapmana nagle odmówił podpisania aktu zgonu, domagając się wezwania policji. Przeprowadził również (nota bene bez zezwolenia) sekcję zwłok, podczas której znalazł, jak twierdził, duże dawki arsenu w narządach zmarłej.

Chapman został aresztowany 25 października 1902 roku pod zarzutem zabójstwa żony. Druga sekcja wykazała, że śmiertelną trucizną nie był arsenik, lecz antymon, specyfik jak się wydaje bardzo popularny w kręgach ówczesnych trucicieli.

Proces Chapmana rozpoczął się w Głównym Sądzie Kryminalnym w Londynie 16 marca 1903 roku. Obrońca zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych szans uratowania swego klienta. Proces trwał cztery dni, zaś podsumowanie sędziego stanowiło kontynuację mowy prokuratora. Nastawienie wobec Chapmana – zarówno przysięgłych, jak i publiczności – było wyjątkowo wrogie, do czego przyczyniał się zapewne fakt, że oskarżony był cudzoziemcem. Narada przysięgłych trwała zaledwie 11 minut. Chapman został uznany za winnego i skazany na śmierć. Gdy opuszczał salę, żegnały go gwizdy i obelgi publiczności. Stracono go 7 kwietnia 1903 roku.

W czasie procesu nie wyjaśniono, jakie były motywy zbrodni Chapmana-Kłosowskiego. Wielu uważało, że były to zabójstwa na tle seksualnym, co jednak wydaje się mało prawdopodobne, zważywszy, że z każdą ze swych kolejnych „żon” Chapman żył przez pewien czas. Zastanawia również sposób popełnienia zabójstw. Wszystkie jego ofiary cierpiały przed śmiercią, czasem przez kilka miesięcy. Mogłoby to wskazywać, że Chapman był sadystą, któremu sprawiało przyjemność obserwowanie powolnej śmierci. Nie ma na to jednak żadnych dowodów. Najprostsze wydaje się wyjaśnienie każdego z morderstw innymi motywami: Chapman mógł mieć

dość pijaństwa Mary Spinks, ciągłych chorób Bessie Taylor... Jedyne zabójstwo Maud Marsh jest na tyle niewytłumaczalne, że może sugerować wewnętrzną potrzebę zabijania u Chapmana.

Nie wiadomo, czy Polak Kłosowski, alias Chapman, istotnie był Kubą Rozpruwaczem. Jak wspomniano, był jednym z najczęściej wymienianych kandydatów. Znajdował się nawet wśród podejrzanych w roku 1888, kiedy Kuba Rozpruwacz grasował w Londynie. Nadinspektor Abberline, który prowadził śledztwo w sprawie Rozpruwacza, tak oto skomentował aresztowanie Chapmana:

„A więc złapaliście Rozpruwacza, co?” Za tą hipotezą przemawiają następujące fakty: Chapman mieszkał w Whitechapel w roku 1888, z zawodu był felczerem (a Kuba Rozpruwacz wykazał pewną znajomość anatomii), zgodnie z zeznaniem Łucji Baderskiej często spędzał w tamtych czasach całe noce poza domem, a wreszcie wyglądem zbliżony był do opisów tajemniczego mordercy.

Przeciwko tej teorii można przytoczyć jeden koronny argument: czy Rozpruwacz, zdecydowany sadysta, zadowoliliby się stosunkowo nudną i powolną metodą zabijania, jaką jest podawanie małych dawek trucizny?

Henri GIRARD

Poniższa historia jasno dowodzi, że amatorskie zajmowanie się jakąś dziedziną nauki nie zawsze ma na celu li tylko pogłębianie własnej wiedzy. Niekiedy taki amator wykorzystuje swe wiadomości w praktyce. Nie ma w tym nic złego, chyba że chodzi o amatora-toksykologa, który wiedzę wykorzystuje po to, by usuwać z tego świata swych bliźnich.

Toksykologiem-amatorem był Henri Girard, paryski bon vivant o starannie podkreślonych wąsach, które (choć może nie należy zdradzać tej tajemnicy) utrzymywały fason dzięki sporej porcji wosku. W młodości służył w armii francuskiej, w 10 pułku huzarów, skąd został, jak się dowiadujemy, niechlubnie usunięty. Nie znamy przyczyn, sądząc jednak po dalszej karierze świetnego Monsieur Girarda, można podejrzewać, że popełnił jakiś grubszy szwindel. Pojawił się więc w Paryżu w 1897 roku jako 22-letni, doskonale się zapowiadający młodzian. Zaraz też przystąpił do dzieła.

Zajmował się przede wszystkim oszustwami, które przynosiły mu spore dochody. Z rzadka przytrafiały mu się drobne niepowodzenia, jak na przykład zlikwidowanie oszukańczego towarzystwa ubezpieczeniowego o nazwie Crédit Général de France, które osobiście założył i prowadził przez kilka miesięcy w 1909 roku. Impreza ta kosztowała go 100 franków grzywny i wyrok pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Najczęściej jednak Girardowi nieźle się wiodło w „interesach”, lecz jego potrzeby znacznie przekraczały dochody. Utrzymywał bowiem, w osobnych apartamentach, trzy kochanki, z których żadna – i to dopiero dowodzi jego maestrii – nie miała pojęcia o istnieniu dwóch pozostałych. Panie kosztowały sporo, jeszcze więcej zaś upodobania samego Girarda – stroje oraz specjały kulinarne. Dlatego też Henri Girard nie mógł spocząć ani na chwilę. Był bardzo zajęty: interesy, wizyty u trzech pań i wreszcie ulubione hobby – toksykologia. Przy Avenue de Neuilly pod numerem 64, gdzie umieścił jedną ze swych kochanek, miał też Girard nieźle wyposażone laboratorium chemiczne.

Za czasów działalności pechowego Crédit Général de France poznał pewnego agenta ubezpieczeniowego nazwiskiem Louis Pernotte. Był to prostaczek, któremu wykształcony Girard niezwykle imponował. Pochlebiał mu fakt, że tak możny pan raczył się z nim zaprzyjaźnić. Przyjaźń ta mogłaby nas istotnie nieco zdziwić, tak bardzo poczciwy pan Pernotte nie pasował do Girarda, gdyby nie fakt, że zabiegając o jego względy toksykolog-amator miał już pewien plan. Przesiadywał w swym laboratorium dniami i nocami. Z oblicza jego można było wyczytać, że pełen jest zapału odkrywcy. Było tak aż do dnia, kiedy ostatecznie zdał sobie sprawę ze smutnego faktu, że nie istnieje trucizna całkowicie niewykrywalna. Ale prawdziwie wielki naukowiec nigdy nie rezygnuje. Tak więc Girard, bynajmniej nie zniechęcony, przygotował zamiast takiej trucizny hodowlę zarasków tyfusu.

Kilka tygodni wcześniej wykupił w różnych towarzystwach ubezpieczeniowych polisy na nazwisko swego przyjaciela, pana Pernotte. W wypadku jego śmierci suma ubezpieczenia wynosiłaby 316 tysięcy franków, a otrzymać ją miał sam Monsieur Girard. Na razie troskliwie doglądał swojej hodowli i czekał na sprzyjającą okazję.

Nadarzyła się ona w sierpniu 1912 roku. Państwo Pernotte z dwojgiem dzieci wybierali się na wycieczkę do Royan. Girard odwiedził swego przyjaciela na dzień przed planowanym wyjazdem, a pozostawszy na chwilę sam w pokoju, przelał zawartość niewielkiej probówki do karafki z wodą stojącej na stole. Była to jego hodowla duru brzuszego.

W Paryżu tego roku panowały w sierpniu ogromne upały, pan Girard mógł zatem mieć pewność, że karafka będzie jeszcze nie raz używana przed wyjazdem rodziny Pernotte. Jak się okazało, nie mylił się. Wkrótce po przybyciu do Royan wszyscy ciężko się rozchorowali. Czy jednak Girard popełnił jakiś błąd, czy też państwo Pernotte i ich dzieci mieli wyjątkowo silne organizmy, dość, że ku rozpaczycy toksykologa-amatora zaczęli powoli wracać do zdrowia.

Tak się złożyło, że sam pan Pernotte chorował najciężej i najdłużej. Girard wiązał z tym pewne nadzieje, o czym dowiadujemy się z jego dziennika. Znajdziemy w nim jeszcze kilka interesujących zapisów, na przykład pytanie: „Może Pernotte nie

wróci?”

Rekonwalescent powrócił jednak do Paryża po paru miesiącach. Doszło do spotkania, podczas którego Girard gorąco (choć, jak możemy przypuszczać, niezbyt szczerze) gratulował przyjacielowi cudownego wyzdrowienia. Pernotte wyglądał jednak nie najlepiej, co troskliwy przyjaciel natychmiast zauważył. Zmartwił się tym bardzo i obiecał znaleźć jakiś środek, który przywróciłby przyjacielowi dawne siły i zdrowie. Po tym spotkaniu znów zamknął się na parę godzin w swym laboratorium, rezygnując nawet z upojnych chwil w ramionach tamtejszej (jeśli można tak to ująć) kochanki.

Podczas następnej wizyty u rekonwalescenta Girard triumfalnym gestem wydobyl z kieszeni strzykawkę. Znalazł oto – mówił – doskonały środek, polecany przez najznakomitszych specjalistów, po prostu eliksir młodości. Biedny pan Pernotte ufał swemu przyjacielowi bezgranicznie i miał wielki szacunek dla jego wiedzy. Poniekąd słusznie, gdyż zastrzyk, jaki Girard zrobił mu w udo, miał istotnie niezwykle radykalne działanie. Następnego dnia Pernotte zmarł.

Lekarz domowy rodziny Pernotte, który wystawiał świadectwo zgonu, zdawał sobie sprawę z tego, że zmarły przebył niedawno ciężką chorobę. Dlatego też jako przyczynę śmierci, obok wycieńczenia, podał zator w wyniku przebytego tyfusu. Lekarz ten był całkowicie nieświadom faktu, że został również, podobnie jak zmarły pacjent, ubezpieczony na życie przez Monsieur Girarda, który, jak się zdaje, postanowił z wypróbowanego właśnie na osobie pana Pernotte sposobu zdobywania pieniędzy uczynić swe stałe zajęcie. Lekarz zmarł wkrótce potem – oczywiście na tyfus.

Upłynęło 5 lat, ale fakt, że nie mamy żadnych wiadomości o życiu Girarda w tym okresie, nie świadczy bynajmniej, że zarzucił swą działalność, tym bardziej że prosperował doskonale, wymienił nawet dwie spośród swych kochanek na nowe. Pozostała jedynie ta z pań, która mieszkała obok laboratorium. Girard lubił z nią rozmawiać na temat swej pracy naukowej, chełpiąc się, że oto poproszono go o stworzenie nowego gazu bojowego. Sprawa była najwyższej rangi, oczywiście – ściśle tajna. W rzeczywistości zajmował się właśnie przygotowaniem preparatu, który miał pomóc w zejściu z tego świata niejakiemu panu Duroux, który został właśnie nowym „przyjacielem” Girarda. Duroux, dla przyjaciół Mimiche, był osobnikiem niezbyt sprawnym umysłowo, już przez to więc doskonale nadawał się na ofiarę Girarda. Okazał się jednak całkowicie niezniszczalny.

Do laboratorium przy Avenue de Neuilly dostarczono na specjalne zamówienie paczką zawierającą pewien gatunek trujących grzybów. Girard robił niekończące się doświadczenia, aż wreszcie uznał widać, że wszystko zostało przygotowane, ubezpieczył bowiem nieszczęsnego Mimiche na wysokie sumy. Oto trzy kolejne

zapisy w dzienniku toksykologa.

10 maja – grzybki,

11 maja – grzybki,

14 maja – zaprosić Mimiche na obiad.

Mimiche, dumny z zaproszenia, przybył punktualnie, zginając się w ukłonach, całkowicie nieświadomy receptury potraw, jakie miał za chwilę spożywać. Służący został pouczony, by zmywał talerze Mimiche osobno, gdyż cierpi on na zakaźną chorobę.

Należy podziwiać przezorność pana Girarda, który zadbał o to, by ani okruszek zatrutego jedzenia nie dostał się w miejsce, gdzie mógłby zagrażać jemu samemu albo służbie. Dobrze to świadczy o naszym toksykologu; zabijał wyłącznie dla zysku.

I oto Girarda spotkała przykra niespodzianka. Mimiche, zjadłszy potrawę z grzybków, nie tylko nie umarł w krótkich, lecz strasznych męczarniach, ale nie miał nawet bóleści. Zaskoczony truciciel zapraszał jeszcze swego przyjaciela w ciągu kilku następnych dni – a to na drinka, to znów na lunch. Należy się spodziewać, że każdy napój i każda potrawa zawierały coraz większą dawkę śmiertelnych grzybków. Najwięcej trucizny zawierał zapewne kieliszek likieru Cassis, ostatni, którym poczęstował Girard pana Mimiche. Następnego dnia zapisał z nadzieją w swym dzienniku: „Mimiche ma spuchnięte nogi!” Jak się jednak wkrótce okazało, obrzęk stóp miał być jedynym objawem, na jaki Mimiche zwrócił uwagę, przy czym równie możliwe jest, że został wywołany na przykład ciasnym obuwem.

Wreszcie po paru dniach, gdy ów budzący pewne nadzieje obrzęk zniknął bez śladu, przygnębiony Girard uznał się za pokonanego. Przestał zapraszać Mimiche do domu, a nieszczęsny niedojda, zamiast dziękować Bogu za swe końskie zdrowie, martwił się i niepokoił, czym też mógł tak urazić swego przyjaciela, że ten nie chce się z nim więcej widzieć.

Ponieważ grzybki, których kilkanaście porcji pożarł z apetytem Mimiche, były rzeczywiście wyjątkowo trujące, Girard słusznie uznał, że musi po prostu poszukać mniej odpornej ofiary. Wkrótce jedna z jego kochanek wykupiła w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Phenix polisę ubezpieczeniową dla niejkiej pani Monin, wdowy. W wypadku jej śmierci ona też miała otrzymać ubezpieczenie. (Jak z tego widać, Girard ufał swym paniom bezgranicznie).

Niedługo potem Girard, który umiał być niezwykle czarujący dla dam, zaprosił panią Monin do siebie i poczęstował ją aperitifem. Nieszczęsna wdowa okazała się bardziej skłonna do współpracy niż Mimiche i po opuszczeniu domu Girarda zmarła po 15 minutach w pociągu, którym udawała się do domu. (Tym bardziej należy podziwiać niezwykłą wprost kondycję fizyczną głupkowatego Mimiche!) Ponieważ śmierć pani Monin nastąpiła zaledwie w kilka dni po wykupieniu polisy, towarzystwo

Phenix nabrało pewnych podejrzeń i wszczęło własne dochodzenie, o którego wynikach wkrótce poinformowało policję. Śledztwo ujawniło osobliwe hobby Girarda. Rewizja w jego laboratorium wykryła spore zapasy grzybków, a wizyty w kilku towarzystwach ubezpieczeniowych – fakt, że na liście przyszłych konsumentów tego przysmaku znajdowało się już ponad 20 osób, ubezpieczonych przez Girarda bądź przez jego przyjaciółki. Toksykolog-amator został aresztowany 21 sierpnia 1918.

W więzieniu Fresnes Girard oddał się eksperymentom innego rodzaju, tym razem z dziedziny psychologii. Pisywał mianowicie na beneficis lekarzy więziennych długie elaboraty na temat własnego charakteru: „Jestem człowiekiem dobrym... mam bardzo dobre serce... bardzo uczuciowy... zawsze gotów do niesienia pomocy, nawet ludziom obcym...”. Cóż, nic dodać, nic ująć.

W maju 1921 roku, na dwa tygodnie przed terminem rozpoczęcia procesu, Girard zdobył kolonię jakichś zarazków. Połknąwszy je, zmarł.

Martha MAREK

Dziewczynka, którą w 1906 roku podrzucano do jednego z wiedeńskich sierocińców, była zastraszoną, wychudzoną stworzeniem, które nie znało nawet swego imienia, a co dopiero nazwiska czy adresu. Niewiele potrafiła powiedzieć o sobie, gdy personel sierocińca odnalazł ją skuloną pod bramą. Miała około dwóch lat i z trudem wymawiała kilka niewyraźnych słów. Potem zaś, gdy nieco podrosła, nie pamiętała nic ze swej przeszłości.

Mała była ładna, co ujawniło się dopiero po dłuższym pobycie w sierocińcu. Dlatego też były spore szanse, że znajdzie dom i przybranych rodziców. Tak się też stało i choć dziewczynka nie trafiła najlepiej, jeśli chodzi o zamożność nowych rodziców, to przynajmniej zdobyła dom i ciepło rodzinne. W sierocińcu nadano małej imię Martha. Jej przybrani rodzice, uboga, bezdzietna para małżeńska z Wiednia, nosili nazwisko Löwenstein.

Przybrany ojciec Marthy Löwenstein wyemigrował do Ameryki w 1918 roku, gdy Martha miała prawdopodobnie około 14 lat, porzucając rodzinę. Ani jego żona, ani Martha nigdy nie otrzymały od niego żadnej wiadomości. Z chwilą jego wyjazdu ich sytuacja finansowa i tak już bardzo trudna, znacznie się pogorszyła. Pani Löwenstein marzyła o wykształceniu dla Marthy. Teraz stało się jasne, że dziewczynka musi zacząć zarabiać na siebie.

W wieku 15 lat Martha podjęła pracę w eleganckim salonie odzieży damskiej na „najlepszej” ulicy handlowej Wiednia, Kärntnerstrasse. Posadę w tak ekskluzywnym sklepie zawdzięczała przede wszystkim swej wyjątkowej urodzie i wdziękowi, bo

właścicielka magazynu dbała o estetykę tak wnętrza, jak i personelu.

Salon odwiedzany był głównie przez zamożne panie, którym niekiedy towarzyszyli panowie w charakterze – nazwijmy to – inwestorów. Czasem jednak pojawiali się także samotni panowie, poszukujący stosownego prezentu dla skrzętnie ukrywanej przed światem utrzymanki. Nie minęły nawet dwa miesiące, gdy jeden z takich klientów, bogaty starszy pan nazwiskiem Moritz Fritsch, zwrócił uwagę na urodę Marthy. Przychodził potem do sklepu wielokrotnie, by porozmawiać z młodą ekspedientką, a zazdrosne koleżanki prorokowały jej zawrotną karierę. Miały rację.

Jeszcze w tym samym roku 1919, w kilka miesięcy po przyjęciu Marthy do pracy w salonie, Fritsch zaproponował jej, by została jego wychowanką. Mimo młodego wieku Martha bez wątpienia zdawała sobie sprawę, co oznacza to eufemistyczne określenie. Nie wahała się jednak ani przez chwilę. Fritsch był bardzo bogaty, a jej nigdy nie starczało pieniędzy na to, co lubiła najbardziej: na piękne stroje. Wykazując przerażającą niewdzięczność, zerwała wszelkie kontakty ze swą przybraną matką i zamieszkała w okazałym domu Fritscha w wiedeńskiej dzielnicy bogaczy, Mödling. Starszy pan okazał się hojny i chętnie płacił za najbardziej nawet ekstrawaganckie zakupy. Dbął też o wykształcenie Marthy. Ukończyła szkołę dla panienek z dobrego domu w Anglii, wakacje spędzając na Riwierze. Zapytana o rodziców, wyjaśniała skromnie spuszczać wzrok, że wychowuje ją bogaty wujaszek. Od pierwszej nocy spędzonej w domu Fritscha była, rzecz jasna, jego kochanką. Nie wiemy jednak, czy stale dzieliła z nim łóżce, czy też wyróżniana była tym zaszczytem od czasu do czasu (starszy pan miał ponadto kilka innych, nieco starszych kochanek).

Należy wątpić, by Martha odwzajemniała uczucie Fritscha, jakim ją niewątpliwie darzył. Wydaje się raczej, sądząc po jej postępkach wobec przybranej matki, że była typem osoby uczuciowo chłodnej, niezdolnej do miłości i przywiązania. Ponieważ korzyści wynikające ze związku z Fritszem były ogromne, potrafiła zachowywać się tak, by starszy pan nie miał wątpiwości co do jej uczuć. Wreszcie osiągnęła swój cel. Fritsch, jako człowiek bezdzietny, postanowił ją właśnie uczynić swą główną spadkobierczynią. W rok później, gdy Martha mieszkała u niego już pięć lat, Moritz Fritsch zmarł w wieku 74 lat. Nie mamy dowodów, czy ulubiona wychowanka przyspieszyła nieco moment zgonu.

Tego zdania byli niektórzy spośród krewnych zmarłego, oburzeni jego zapisem testamentowym. Największa wściekłość ogarnęła jego byłą żonę, która miała dziedziczyć cały majątek na mocy poprzedniego testamentu. Domagała się nawet ekshumacji zwłok Fritscha, podejrzewając, że „ta przybłęda” otruła swego dobroczyńcę. Pozostali krewni zdołali ją jednak uspokoić i wychowanka odziedziczyła dom w Mödling oraz sporą sumę w gotówce. W kilka miesięcy później Martha poślubiła niejakiego Emila Marek, młodego studenta politechniki, z którym

nawiązała starannie ukrywany romans jeszcze za życia Moritza Fritscha. Jako Martha Marek znalazła się też potem w annałach kryminologii.

Pani Marek nabrała podczas ostatnich pięciu lat swego życia wyjątkowo ekstrawaganckich upodobań, przyzwyczajona do stałego dopływu gotówki z portfela hojnego „wujaszka”. Teraz jednak okazało się, że jej odziedziczony kapitał nie powiększa się sam, lecz wprost przeciwnie, maleje w zastraszającym tempie. Wkrótce Martha Marek nie miała ni grosza, co więcej – była już zadłużona.

Wtedy to wraz z mężem opracowała wprost niewiarygodny plan zdobycia gotówki. Polegać miał on na tym, że Emil Marek ubezpieczy się wysoko od nieszczęśliwego wypadku, po czym... rzeczywiście takiemu wypadkowi ulegnie.

Z początku towarzystwo ubezpieczeniowe odniosło się dość nieufnie do nowego klienta. Emil Marek był bardzo młody i nie posiadał własnego kapitału. Podejrzewano, że planuje jakieś oszustwo. Informacje, jakie uzyskali agenci ubezpieczeniowi w instytucie naukowym, którego studentem był Marek, skłoniły jednak towarzystwo do zawarcia ubezpieczenia. Ich klient był tam uważany za przyzwoitego i pracowitego młodego człowieka, a jego projekt elektryfikacji Burgenlandii wzbudził nawet zainteresowanie rządu austriackiego. Tak więc Emil Marek został w końcu ubezpieczony, przy czym należy sądzić, że prawdziwa sytuacja finansowa jego rzekomo zamożnej żony nie została ujawniona.

Po upływie pewnego – dość krótkiego – czasu (wierzyciele naglili i Martha nie mogła czekać dłużej) zainscenizowany został zdumiewający wypadek, który każe nam wątpić w zdrowie psychiczne Emila. Otóż Marek rąbał drzewo przy pomocy siekiery. Znalaziono go leżącego w kałuży krwi z niemal odciętą nogą. Po przewiezieniu go do szpitala stwierdzono, że konieczna jest amputacja nogi tuż pod kolanem. Ofiara Emila okazała się jednak niepotrzebna.

Badający ranę lekarz zauważył, że składają się na nią trzy położone obok siebie nacięcia. Wykluczało to nieszczęśliwy wypadek, tym bardziej że kąt, pod jakim zadano cios, wskazywał, że poszkodowany nie mógł go sobie zadać sam. Policja, poinformowana o tym przez towarzystwo ubezpieczeniowe, przyjęła, że Martha Marek okaleczyła męża za jego zgodą. Oboje oskarżeni zostali o próbę oszustwa. Wtedy to pani Marek przekupiła sanitariusza szpitalnego, który zeznał, że widział, jak lekarz powiększał ranę skalpelem. Oświadczenie oskarżające lekarza pani Marek opublikowała również w prasie, powodując tym nieco zamieszania. Policja zdołała jednak w końcu zmusić sanitariusza, by przyznał się, że został przekupiony. Państwo Marek stanęli przed sądem pod zarzutem usiłowania oszustwa i przekupstwa. Sąd uznał jednak, że dowody na potwierdzenie pierwszego z tych zarzutów są niewystarczające i państwo Marek skazani zostali na 4 miesiące więzienia za przekupienie sanitariusza. Zaliczono im czas spędzony w areszcie śledczym, salę

sądową opuścili więc jako wolni ludzie.

Pozostała nie wyjaśniona sprawa wypłaty odszkodowania za ów wątpliwy wypadek Emila. Policja, do której towarzystwo ubezpieczeniowe zwróciło się o radę, poradziła, by zastosowano drobny szantaż. Rozpuszczono mianowicie plotkę, że firma ta ma zamiar spowodować ekshumację zwłok Moritza Fritscha. Państwo Marek pospiesznie zgodzili się przyjąć w postaci odszkodowania niewielki tylko procent sumy ubezpieczenia, równowartość 3000 funtów angielskich. Kwota ta wystarczyła im zaledwie na pokrycie kosztów procesu.

Następne lata przyniosły państwu Marek dalsze niepowodzenia. Wreszcie dom odziedziczony po Fritschu został sprzedany, oni zaś wyjechali do Algieru, gdzie Emil planował rozkręcić interes. Po kilku latach powrócili jednak do Wiednia doszczętnie zrujnowani, za to z dwojgiem dzieci, których utrzymanie przekraczało ich możliwości. Wkrótce po powrocie Martha, niedawna wielka dama wiedeńska, zmuszona była handlować warzywami z ręcznego wózka, z którym obchodziła najuboższą dzielnicę miasta.

W lipcu 1932 roku Emil Marek zmarł na oddziale szpitalnym dla ubogich, utrzymywanym z datków dobroczynnych. Jako przyczynę zgonu podano gruźlicę, zaś okoliczności jego śmierci nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Nie wzbudziłyby może i naszych, gdyby nie fakt, że po miesiącu zmarła malutka córeczka pani Marek. Wówczas jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Drugie dziecko Marthy, nieco starszy synek, zniknęło pewnego dnia i Martha pozostała sama.

To właśnie było jej celem. Została dame de compagnie wiekowej krewnej swej przybranej matki, pani Löwenstein. Zamieszkała wraz z panią Susanne Löwenstein przy Kuppelweisergasse i troskliwie opiekowała się starszą damą. Wkrótce ta zmarła, a objawy, jakie poprzedzały jej zgon – utrata czucia w nogach i trudności w przetykaniu – dziwnie przypominały ostatnie chwile życia Emila. Martha, która teraz miała niewiele ponad 30 lat i nadal była bardzo piękna, odziedziczyła spory majątek po pani Löwenstein, ale wkrótce go wydała. Lata biedy nie nauczyły jej, jak widać, oszczędności.

By podreperować nieco swój budżet, wynajęła kilka pokoi w mieszkaniu, które również stanowiło część spadku. Jedną z jej lokatorek, niejaka pani Kittenberger, wkrótce zmarła, lecz Martha nie zarobiła wiele na jej śmierci. Kobieta była ubezpieczona zaledwie na sumę stanowiącą równowartość 300 funtów. Martha próbowała też innych oszustw ubezpieczeniowych, które jednak na ogół nie przynosiły spodziewanych zarobków.

Syn pani Kittenberger podejrzewał, że jego starsza wiekiem, ale wyjątkowo silna i zdrowa matka została otruta. Spowodował ekshumację zwłok, w których znaleziono związek talu. Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie: ekshumowano zwłoki

Emila i Ingeborg Marek (córkę Marthy), a także starej pani Löwenstein. Jak się okazało, wszyscy oni zginęli od tej samej trucizny. Dotarło nawet do pewnego aptekarza w dzielnicy Floridsdorf, u którego Martha zakupiła truciznę na szczury, zawierającą ten właśnie związek talu.

Policja zdołała też odszukać zaginionego synka Marthy. Okazało się, że matka umieściła go w internacie w dzielnicy Hietzing, gdzie często odwiedzała go i – ponieważ uskarżał się na żołądek – osobiście gotowała mu posiłki. Chłopiec został natychmiast umieszczony w szpitalu i życie jego zdołano uratować.

Wraz z przybyciem Hitlera w Austrii przywrócona została kara śmierci. Martha Marek została ścięta 6 grudnia 1938 roku.

Dorothea Nancy WADDINGHAM

Choć do Nancy Waddingham pensjonariusze prowadzonego przez nią domu opieki mówili „siostrę” i uważali ją za pielęgniarkę, jesteśmy skłonni wątpić w jej zawodowe kwalifikacje. Dowiedziawszy się kilku zaledwie szczegółów z życia pani Waddingham, przekonamy się, że instynkt nas nie zawiódł.

W chwili, gdy jej nazwisko trafiło na pierwsze strony gazet, pani Waddingham miała 36 lat. W życiu miała się różnych zawodów. Była robotnicą w fabryce, następnie strażniczką w domu pracy poprawczej w Burton-on-Trent, wreszcie złodziejką i oszustką. Miała na swym koncie kilka wyroków, które nie były jednak wysokie, tak jak i drobne bywały na ogół jej wykroczenia. Na wielkie wody zbrodni pani Waddingham miała dopiero wypłynąć.

Pani Waddingham była ponadto wdową po niejakiem Thomasie Leech, używała jednak panieńskiego nazwiska, czemu raczej trudno się dziwić, zważywszy, że „leech” w języku angielskim oznacza wyjątkowo niesympatyczne stworzenie, jakim jest pijawka. Była też matką kilkorga dzieci, których los nie interesował jej zupełnie, a wychowywali je krewni jej nieboszczyka męża.

Sprawa, która nas interesuje, rozpoczęła się w 1934 roku, kiedy to pani Waddingham postanowiła spróbować swych sił w dziedzinie dotąd nieznaney. Otworzyła mianowicie pensjonat dla ludzi starszych i niezamożnych, który był właściwie domem opieki. Mieścił się on w Nottingham, przy Devon Drive nr 32. Trudne zadanie prowadzenia zakładu byłoby może ponad siły pani Waddingham, gdyby nie wspierał jej kochanek, 39-letni Ronald Joseph Sullivan. Niewiele wiemy o tym osobniku. W I wojnie światowej zdobył medal za waleczność, teraz zaś krzątał się z dobrotliwym uśmiechem wokół domu przy Devon Drive, z poświęceniem wykonując większość ciężkich prac i budząc powszechne zdumienie w okolicy. Czym

było ono spowodowane? Tym, że pan Sullivan był wyjątkowo przystojny i nikt nie potrafił pojąć, jak mógł zakochać się w pani Waddingham. Jego uczucie, okazywane jej na każdym kroku, nie budziło wątpliwości. Jeśli wyjaśnimy, że natura nie obdarzyła pani Waddingham ani doskonałą figurą, ani wdziękiem, ani wreszcie intelektem, co ostatecznie mogłoby równoważyć wystające zęby i bezmyślny wyraz twarzy, zdumienie pensjonariuszy i sąsiadów wyda się całkiem zrozumiałe. Cóż, miłość podobno jest ślepa, o gustach zaś nie należy dyskutować. Przejdźmy zatem do konkretów.

Działalność domu opieki przy Devon Drive trwała już rok, gdy panią Waddingham spotkało wyróżnienie (miało się ono wprawdzie okazać dość przykre w konsekwencjach, lecz z początku kobieta z pewnością poczuła się uhonorowana). Mianowicie miejscowe Stowarzyszenie Pielęgniarskie wystąpiło do niej z prośbą o przyjęcie rekomendowanych przez nie pacjentek. Było to równoznaczne z akceptacją pracy pani Waddingham, która zresztą być może prowadziła swój pensjonat całkiem niezłe. Nie miała wprawdzie przygotowania medycznego, lecz potrafiła wykonywać zwyczajne zabiegi pielęgnacyjne przy swych często niedołącznych pensjonariuszach, o ile nie wymagali oni skomplikowanego leczenia. Tak więc w początkach stycznia do domu przy Devon Drive przywieziono dwie nowe pensjonariuszki: 89-letnią całkowicie zniedołączniałą panią Baguley, oraz jej córkę Adę, starą pannę w średnim wieku, cierpiącą na stwardnienie rozsiane, a więc również całkowicie bezradną, zwłaszcza że choroba jej była już bardzo zaawansowana. Zgodnie z umową panie Baguley miały spędzić w domu opieki pani Waddingham 3 tygodnie na próbę, by zorientować się, czy warunki im odpowiadają. Okres próbny rozpoczął się 12 stycznia, a po trzech tygodniach obie panie Baguley oświadczyły przedstawicielkom Stowarzyszenia Pielęgniarskiego, że są wręcz zachwycone opieką i pragną pozostać w tym uroczym pensjonacie do końca swoich dni. Należy przypuszczać, że „siostra” Waddingham traktowała rzecz prestiżowo, zdając sobie sprawę, że jeśli panie Baguley będą zadowolone, będzie mogła liczyć na następnych pacjentów, przysyłanych przez szacowną organizację. Prawdopodobnie władze Stowarzyszenia wiedziały doskonale, że pani Waddingham nie będzie wypadało odrzucić propozycji przyjęcia pań Baguley i w ten sposób inne zakłady tego typu, zrzeszone w Stowarzyszeniu, pozbywały się kłopotu w postaci wyjątkowo uciążliwych pacjentek.

Jak dalece panie Baguley były uciążliwe, przekonała się wkrótce boleśnie pani Waddingham. Dotąd nie miała wśród swych pensjonariuszy osób aż tak niedołącznych. Starsza pani Baguley była przynajmniej drobna i leciutka jak piórko, a więc przenoszenie jej nie sprawiało większych trudności. Przy tym starszka nie miała dużych wymagań i całe dni spędzała na szeptaniu modlitw.

Inaczej było z Adą Baguley. Kobieta nie była w stanie poruszać się samodzielnie,

a przy tym ważyła – bagatelka – 110 kg. „Siostra” Waddingham po raz pierwszy zrozumiała, że prowadzenie domu opieki to nie synekura. By pracować w tego typu zakładzie, trzeba mieć dużo sił i cierpliwości, a przede wszystkim coś na kształt „powołania”. Tego ostatniego pani Waddingham zdecydowanie brakowało. O tym, że nastawiona była wyłącznie na zarobek, świadczyć może jej pełna irytacji uwaga pod adresem pań Baguley, słyszana przez sąsiadkę:

– Te dwie cholerne baby płacą mi tylko 3 funty tygodniowo! W każdym szpitalu zażądano by od nich co najmniej po 5 gwinei na głowę. Powinny zresztą być w szpitalu, to jest dla nich najlepsze miejsce!

I pomyśleć, że nieszczęsna staruszka i jej niedołączna córka były zachwycone domem prowadzonym przez „siostrę” Waddingham.

Ada Baguley, która była całkowicie sprawna umysłowo, zauważyła widać rosnącą niechęć „siostry” i jej pomocnika do swej matki i siebie samej. Nie wiemy, czy nadal tak samo podobało się jej przy Devon Drive. Widziała jednak, że jej matka jest bardzo szczęśliwa i ten właśnie argument przytoczyła w swej rozmowie z adwokatem, która miała miejsce 4 maja. Rozmowa ta miała przypieczętować los pań Baguley.

Adwokat Ady Baguley był doświadczonym prawnikiem i mądrym człowiekiem. Wezwany przez swą klientkę, bardzo zaniepokoił się jej projektem. Ada Baguley prosiła go o sporządzenie nowego testamentu. Pragnąc poprawić swe stosunki z kierowniczką domu i zapewnić sobie i matce jak najlepsze warunki, postanowiła zapisać „siostrze” Waddingham cały swój majątek. Nie był on wbrew pozorom mały. Do masy spadkowej wchodził mały sklepik, który był własnością chorej kobiety, a także 1500 funtów gotówką, suma na owe czasy całkiem pokaźna. Adwokat robił, co mógł, by odwieść swą klientkę od tego ryzykownego zamiaru, nie zdołał jej jednak przekonać i wreszcie z ciężkim sercem sporządził stosowny dokument. Warunkiem otrzymania spadku była staranna i troskliwa dożywotnia opieka, jaką „siostra” Waddingham miała sprawować nad obiema paniami Baguley. O treści testamentu zawiadomiono, rzecz jasna, spadkobierczynię, która nie posiadała się z wdzięczności. Przypomnijmy: był 4 maja.

12 maja starsza pani Baguley zmarła. Zdrowie jej zaczęło się pogarszać od 6 maja, kiedy to z okazji srebrnego wesela pary królewskiej pensjonariusze domu potraktowani zostali uroczystym podwieczorkiem z łososiem z puszki jako głównym rarytasem. O dziwo, konserwa zaszkodziła tylko pani Baguley. Nie wzbudziło to jednak podejrzeń, jako że staruszka była najbardziej wiekową pensjonariuszką domu, a wiadomo przecież, jak delikatne żołądki mają bardzo starzy ludzie. Ada Baguley została więc sama, wierzyła jednak w moc swego testamentu.

Opieka była istotnie bez zarzutu aż do dnia 10 września. Po południu tego dnia Adę Baguley umieszczono w fotelu w ogrodzie i dostarczono jej książkę. Wkrótce

zjawiła się z wizytą jej znajoma, niejaka pani Briggs. Kobieta powitała ją radośnie, zachwycała się pięknymi kwiatami, jakie otrzymała w prezencie, w ogóle była w tak dobrej formie, jak to było tylko możliwe w jej stanie zdrowia. W kilka godzin później, o drugiej nad ranem 11 września, Ada Baguley popadła w śpiączkę poprzedzoną majaczeniami. Żyła jeszcze cztery godziny.

Jej śmierć zaskoczyła wprawdzie lekarza, który nie spodziewał się tak szybkiego zgonu pacjentki, tym bardziej że ostatnio czuła się nieco lepiej, nie podejrzewając jednak niczego złego, wystawił świadectwo zgonu, w którym jako przyczynę podał wylew krwi do mózgu.

Teraz „siostra” Waddingham przystąpiła do działania. Zmarła była – o czym wszyscy wiedzieli – zwolenniczką kremacji zwłok, co znacznie ułatwiłoby kierownicze domu uzyskanie zezwolenia na dokonanie kremacji, gdyby nie wykazywała przy tym takiej nadgorliwości i pośpiechu.

Pani Waddingham przedstawiła Naczelnemu Lekarzowi miasta Nottingham (którego zgoda była wymagana) list, napisany rzekomo przez Sullivana i podpisany przez Adę Baguley (w rzeczywistości podpis – niewyraźna linia – został prawdopodobnie sfabrykowany przez samą „siostrę” Waddingham). List ten zaadresowany był do lekarza zmarłej i nie zdążono go jakoby dostarczyć wcześniej. Wyrażone w nim było pragnienie, by po śmierci autorki jej ciało poddano kremacji „z przyczyn higienicznych”. Następne zdania wzbudziły pewną nieufność u czytających list urzędników: „Jest także moim życzeniem pozostać do końca życia pod opieką drogiej siostry Waddingham. Zgodnie z moją ostatnią wolą, proszę nie zawiadamiać krewnych o mojej śmierci”.

Nie dziwi nas chyba reakcja Lekarza Naczelnego, doktora Cyrila Banksa. Zamiast kremacji zarządził on natychmiastową sekcję zwłok Ady Baguley. Wykryto w nich obecność ponad trzech gramów morfiny. Uznano teraz za konieczną ekshumację ciała starszej pani Baguley. I w tym wypadku stwierdzono morfinę „w ilości znacznie przewyższającej dawkę leczniczą”, jak czytamy w protokole sekcji.

Dorothea Waddingham i Ronald Sullivan stanęli razem przed sądem 24 lutego 1936 roku pod zarzutem dokonania zabójstwa Ady Baguley. Wkrótce jednak sędzia prowadzący rozprawę zarządził natychmiastowe zwolnienie Sullivana z powodu braku dowodów jego udziału w przestępstwie. Pani Waddingham twierdziła natomiast, że lekarz Ady Baguley w ręczył jej kiedyś tabletki przeznaczone dla chorej, które z całą pewnością zawierały morfinę. Lekarz stanowczo temu zaprzeczył. Przysięgli uwierzyli owemu lekarzowi i prokuratorowi, który twierdził, że panie Baguley otrzymały leki przeznaczone dla innych pensjonariuszy.

Dorothea Waddingham została stracona dnia 16 kwietnia 1936 roku. Przed śmiercią napisała list do Sullivana, prosząc, by nie bał się o jej los.

Dr Arthur W. WAITE

Clara Peck, panna z tak zwanego dobrego (i bardzo zamożnego) domu, w dzieciństwie bawiła się często z synkiem sąsiadów, małym Arthurem Waite. Zniknął on potem z Rapid Falls w stanie Michigan (by kształcić się i robić karierę, jak zapewniali jego rodzice) i dziewczyna nie słyszała nic o jego losach, dopóki nie pojawił się znów po kilkunastu latach jako przystojny, czarujący, młody lekarz. Podbicie serc wszystkich bez wyjątku panien w okolicy (nie mówiąc o ich mamach) zajęło mu zaledwie kilka tygodni i gdyby „polowanie” na niego trwało dłużej, dziewczęta zapewne poobrażałyby się na siebie wzajemnie. Wkrótce jednak ogłoszono, że młody doktor Arthur W. Waite zaręczył się ze swą pierwszą miłością z dzieciństwa, panną Clarą Peck. Uroczysta i wystawna ceremonia zaślubin miała miejsce we wrześniu 1915 roku.

Nie wiemy, czy Waite, wybierając sobie żonę, istotnie kierował się sentymentem eto towarzyszeki dziecinnych zabaw. Jego późniejsze postępowanie nakazuje nam raczej podejrzewać nieco inny motyw.

Wspomnieliśmy już, że panna Peck pochodziła z bardzo zamożnej rodziny. Otrzymała duży posag, a więc Waite niewątpliwie nieźle zarobił na ożenku. Ale mylilibyśmy się sądząc, że był to jeszcze jeden przypadek zapewnienia sobie wygodnego życia przez małżeństwo z posażną panną. Doktor Waite miał znacznie większe ambicje i bogate plany. Jak bowiem wskazuje całe jego dalsze postępowanie, umyślił sobie wymordować po kolei teściów, jak też i wszystkich członków rodziny żony, których śmierć mogłaby mu przynieść jakiś majątek. A trzeba dodać, że rodzina nowej pani Waite była liczna i w testamencie każdego wujka czy ciotki znajdował się spory zapis dla Clary, która – jak się to szczęśliwie dla Waite’a złożyło – była jedyną latoroślą płci żeńskiej w rodzinie i przez to ulubienicą wszystkich.

Waite na swą pierwszą ofiarę wybrał ciotkę Clary, Catherine Peck. Kobieta znajdowała się „pod ręką”, mieszkała bowiem w Nowym Jorku, dokąd państwo młodzi udali się po ślubie. Lubiła też najwidoczniej męża swej bratanicy, bywała bowiem często w ich domu przy Riverside Road.

Arthur Waite nie miał, rzecz jasna, zamiaru wisieć za swe zbrodnie, dlatego też usiłował początkowo pozbyć się zamożnej ciotki metodami, które nie wzbudziłyby niczyich podejrzeń. Pamiętajmy, że był lekarzem. Przynosił więc do domu próbki z najróżniejszymi zarazkami. Raz był to tyfus, kiedy indziej ospa, wreszcie z pozoru tylko niewinne, a w tamtych czasach bardzo groźne zapalenie płuc. Czy jednak ciocia okazała się wyjątkowo odporna, czy też zarazki były zwietrzałe, dość że upływały

tygodnie i nic się nie działo. Połknąwszy kolejną porcję jakiejś straszliwej zarazy, ciocia udawała się do swego domu, by po kilku dniach znów się pojawić – cała, zdrowa i w doskonałym humorze. Wkrótce Waite zrozumiał, że – przynajmniej w tym przypadku – tak zwane „naturalne przyczyny zgonu” nie wchodzi w grę.

Jego następnym krokiem było potraktowanie cioteczki mielonym szkłem, które zgodnie z jego wiedzą powinno było zrobić straszne rzeczy z jej przewodem pokarmowym. (Trzeba uczciwie przyznać, że w tym wypadku skłonni bylibyśmy zgodzić się z tą opinią.) Ciocia Clary okazała się jednak osobą wyjątkową, bez trudu strawiła szkło i nawet nie skarżyła się na bóle. Ostatnim, desperackim już krokiem młodego pana doktora było wsypanie cioci do kawy sporej porcji arszeniku. Jak widzimy, zrezygnował już zupełnie ze zgonu z przyczyn naturalnych.

Nie miał jednak szczęścia. Trudno zrozumieć, jakim cudem Catherine Peck nie poczuła najmniejszych dolegliwości, zjadłszy porcję trucizny wystarczającą do zabicia kilku zdrowych koni. A jednak tak właśnie się stało i wreszcie Waite uznał się za pokonanego. Darował życie cioci i skoncentrował się na następnej ofierze.

Na marginesie warto zauważyć, że chociaż dotąd Waite wydaje się nam trucicielem wyjątkowo nieudolnym, to jednak debiutował w tym fachu i widać musiał nabrać nieco doświadczenia. Następnym razem poszło mu znacznie lepiej. Kochający zięć zaprosił mianowicie do Nowego Jorku na dłuższą wizytę matkę swej żony. Pani Peck chętnie opuściła rodzinne Rapid Falls, by z bliska przyjrzeć się szczęściu rodzinnemu ukochanej córki.

Nie miała, niestety, czasu na dłuższe obserwacje. W trzy dni po przybyciu na miejsce, zdrowa dotąd i całkiem jeszcze młoda teściowa zmarła mimo troskliwej opieki zięcia-lekarza. Waite bez trudu uzyskał zgodę na kremację jej zwłok, co było, jak twierdził, ostatnim życzeniem zmarłej. Kremacji dokonano w błyskawicznym tempie, co jest jedyną poszlaką wskazującą na to, że przyczyna śmierci była inna, niż podano w świadectwie zgonu. Ponieważ teściowa zmarła bardzo szybko po przyjeździe, możemy stąd wnosić, że tym razem zastosowana została duża dawka silnej trucizny (najprawdopodobniej arszeniku) dobrej jakości.

Mąż zmarłej zawiadomiony został o śmierci żony dopiero po ceremonii kremacji. Zdumiony i zrozpaczony przyjechał do Nowego Jorku, by dowiedzieć się szczegółów nagłej i niespodziewanej tragedii. Jak można przypuszczać, Waite niezwykle ucieszył się z wizyty teścia. W ten sposób, mając go na miejscu, mógł spokojnie zająć się powiększaniem majątku swej żony o dalszy, tym razem bardzo wysoki spadek.

Pan Peck wkrótce po przybyciu do Nowego Jorku zaczął wprawdzie lekko niedomagać, w sumie jednak okazał się niewiele mniej odporny od swej siostry, znanej nam już niezniszczalnej Catherine. Zięć powrócił do swej dawnej metody i znów przynosił ze szpitala tajemnicze próbówki. Powinien był przewidzieć, że

końskie zdrowie może być cechą rodzinną, ale z drugiej strony nie chciał ryzykować otrucia arsenikiem, bo ktoś mógłby się zacząć dziwić, dlaczego oboje małżonkowie zmarli tak szybko, znalazłszy się w jego gościnnym domu.

Pan Peck łykał więc nieświadomie zarazki tyfusu, zapalenia płuc i innych chorób, czego efektem okazał się jednak tylko lekki kaszel i duszności. Wtedy Waite postanowił umiejętnie pracować nad tymi właśnie objawami, by przekształcić je w prawdziwe, najzupełniej naturalne zapalenie płuc. Imał się różnych sposobów. Niektóre z nich były dość komiczne i choćby dlatego zasługują na przytoczenie.

Otóż przybywszy do Nowego Jorku pan Peck zajął jeden z pokoi gościnnych. Co wieczór, zanim starszy pan udał się na spoczynek, zięć wślizgiwał się do jego sypialni i obficie zwilżał wodą materac w łóżku teścia. Dzięki temu pan Peck sypiał na wilgotnym prześcieradle, co – jak wiadomo – nie służy nikomu, a tym bardziej osobie starszej i pokaszującej. Pan Peck skarżył się nawet na wilgoć panującą w domu przy Riverside Road, na co jego córka kręciła głową ze zdumieniem, lecz innych skutków tej „kuracji” wciąż nie było. Wtedy Waite postanowił pokazać teściowi Nowy Jork i okolice i woził starszego pana otwartym samochodem w wietrzne dni, rozwijając przy tym największą możliwą prędkość. Gdy jednak wbrew oczekiwaniom krzepki staruszek przeżył i te przejażdżki (nie miał nawet bólu głowy), Waite spróbował połączyć obie metody. Od tej chwili samochodowe spacery poprzedzone były dokładnym nawilżaniem siedzenia samochodu tam, gdzie miał usiąść teść. Przez kilka dni Waite z nadzieją czekał na efekty, ale na próżno.

Pomyśl, by pan Peck zmarł na zapalenie płuc, bardzo widać spodobał się przedsiębiorczemu sieciowi. Doktor znalazł więc jeszcze jeden sposób „wzmocnienia” stosowanej terapii. Przeczytawszy gdzieś, że wdychanie chloru zmniejsza odporność organizmu na zarazki, pracowicie rozpylał ten gaz w sypialni teścia. Niestety, też na próżno.

Wreszcie Waite zmęczył się tymi pracochłonnymi, a nie przynoszącymi efektów metodami. Raz jeszcze uciekł się do dobrze znanego specyfiku i po prostu otrul starszego pana arsenikiem. Tym razem wszystko poszło doskonale (oczywiście, z punktu widzenia truciciela) i pan Peck zmarł. Wnosić stąd należy, że arsenik zastosowany do otrucia jego siostry był wyjątkowo zwietrzały.

Waite nie ryzykował już kremacji zwłok, zwłaszcza że zaprotestowała jego żona. (Clara nie podejrzewała zresztą męża o mordowanie jej rodziców.) Życzeniem starszego pana zawsze było, by po śmierci jego zwłoki spoczęły na cmentarzu w Rapid Falls i córka była zdecydowana spełnić wolę ojca. By jednak zabezpieczyć się choćby w części przed jakimkolwiek badaniem zwłok, Waite polecił je zabalsamować. Spodziewał się, że w ten sposób „przygotowany” do pogrzebu pan Peck zostanie natychmiast pochowany. Tak się jednak nie stało. Peck chciał, że Clara

miała brata imieniem Percy, który żywił do jej męża żywiołową niechęć. Uczucie to, połączone z dziwnymi okolicznościami śmierci obojga rodziców podczas wizyty u Waite'a, sprawiło, że Percy poprosił miejscowych lekarzy o przeprowadzenie sekcji włók. Bez trudu stwierdzono ogromną ilość arszeniku. Wiadomość ta szybko dotarła do Waite'a, który natychmiast zadzwonił do swej „drogiej przyjaciółki”, Catherine Peck prosząc ją o radę w sprawie samobójstwa. Nie wyjaśnił przy tym, dlaczego rozważa możliwość targnięcia się na swe życie. Ciocia Catherine zrobiła, rzecz jasna, co tylko było w jej mocy, by odwieść swego pupila od tego strasznego zamiaru. Następnego dnia Arthur Waite został aresztowany.

Sprawa trafiła na pierwsze strony gazet, a wścibscy dziennikarze wkrótce wykryli kilka szczegółów z życia Waite'a, o których jego żona nie miała najmniejszego pojęcia. Przypomnijmy, że straciła go z oczu w młodości, i potem – wiedziała o nim tylko to, co sam o sobie opowiadał. Okazało się mianowicie, że rodzice kilkakrotnie cudem zdołali uratować go przed więzieniem, które groziło mu za kradzieże i oszustwa. Także za kradzież został usunięty z uczelni, zaś tytuł lekarza „zdobył”, fałszując świadectwa. Przez 6 lat pracował w Afryce i ubiegał się o rękę pewnej bogatej panny; gdy mu się nie powiodło, wrócił, przywożąc znacznie więcej gotówki, niż mógł zarobić, biorąc pod uwagę jego pobory.

Waite próbował różnych sposobów wykręcenia się od zarzutu morderstwa: oferował 1000 dolarów służącej, by odwołała obciążające go zeznania, oraz 9000 osobnikowi, który balsamował zwłoki pana Peck. Człowiek ten przyjął łapówkę i przysięgał przed sądem, że płyn do balsamowania zawierał arszenik. Wkrótce udowodniono mu, że kłamie. Waite symulował też obłąd: ze śmiechem opowiedział przebieg swych zbrodni i twierdził, że połowa jego duszy pochodzi ze starożytnego Egiptu. Choć jednak obrona powołała biegłych, którzy twierdzili, że Waite jest niepoczytalny, ława przysięgłych uznała go winnym i został stracony pod koniec maja 1917 roku. Sekcja wykazała, że miał niezwykle duże serce, co poniekąd dowodzi, że istotnie jest to tylko mięsień, nie zaś siedlisko uczuć.

Zbrodniarze dla pieniędzy

Eugene ARAM

Cofnijmy się teraz aż do osiemnastego wieku. W 1704 roku w rodzinie ogrodnika urodził się Eugene Aram. Jego ojciec był prostym człowiekiem, lecz i fachowcem w swojej dziedzinie. Zatrudniony był u sir Edwarda Blacketta w Newby w hrabstwie Yorkshire, a w wolnych chwilach pisywał podobno wiersze i to niezłe. Talent poetycki odziedziczył po nim syn. Eugene nie ukończył wprawdzie żadnej szkoły – nie były to czasy, w których ogrodnicy posyłałoby synów do szkół – lecz, co niezwykle, kształcił się sam. Musiał przy tym wykazać sporo zapału i uporu, a także zdolności, skoro wkrótce po dojściu do dojrzałości został nauczycielem w szkole, dziś powiedzielibyśmy podstawowej, w Gauthwaite w hrabstwie Yorkshire. Nawet jeżeli przyjąć, że nie wymagano wtedy od nauczyciela tak niskiego szczebla zbyt wielkich kwalifikacji, to należy jednak wyrazić uznanie dla syna ogrodnika, który własnymi siłami osiągnął tak znaczny awans społeczny. Wydawać by się mogło, że dostawszy się do „wyższych sfer”, będzie usilnie zabiegał o to, by nie stracić swej pozycji. Tak też było, ale tylko połowicznie.

Aram ożenił się młodo z niejaką Anną Spence, z którą miał siedmioro dzieci. Rodzina nie mieściła się już w dawnym domu, przeniósł się więc do Knaresborough, gdzie objął takie samo stanowisko w miejscowej szkole i zamieszkał w nowej posiadłości. Jego byli uczniowie z tamtych lat wspominali go potem jako nauczyciela surowego i srogiego, gorąco oddanego wiedzy i wierze chrześcijańskiej. Takiej właśnie postawy można się było spodziewać po samouku.

W rzeczywistości Aram nie był bynajmniej postacią tak świetlaną, jak to się wydawało jego uczniom. W wolnych chwilach zajmował się bowiem złodziejstwem i paserstwem. Wysmagawszy różgą nieszczęsnego ucznia, któremu zdarzyło się popełnić jakieś straszliwe szkolne przewinienie i palnawszy przy tym stosowną, umoralniającą przemowę, Aram udawał się na targ, gdzie przybyłemu w celu zakupu

konia kmiotkowi zρέcznie wyciągał z sakiewki uciūłane grosze; czy teū innego dnia – niepostrzeūenie Őciagał ze sznura suszącą się bieliznę.

Nie moūna nawet usprawiedliwiac zachowania nauczyciela skłonnosciami do kleptomanii. Dowodem na to, Őe swą pozaszkolną działalnoŐć traktował jako drugi zawód, moūe być fakt, Őe posiadał wspólnika, niejakiego Williama Housemana, który zawodowo zajmował się czesaniem lnu, był więc drobnym rzemieŐlnikiem. Dobrana para działała razem przez około dziesięć lat i to działała tak sprytnie, Őe nigdy nie padło na nich najmniejsze podejrzenie.

Specjalizowali się, jak wspomniano, w drobnych kradziejach i paserstwie. Gdy jednak pewnego wieczoru stanęli przed szansą zdobycia 200 funtów, sumy w owych czasach astronomicznej, pokusa okazała się na tyle silna, Őe posunęli się do zabójstwa.

Jak stwierdził Aram po latach, Daniel Clark, ofiara mordu, sam sobie był winien. Według słów zabójcy – ten „ospowany, chuderławy jākąła”, z zawodu szewc, był na tyle głupi, Őe nosił przy sobie pieniądze, stanowiące część posagu jego żony, właŐnie owe 200 funtów. Kronikarze nie zanotowali, czy Clark miał zamiar zainwestować jakoŐ te pieniądze, ale rzeczywicie popełnił bład, przychodząc do gospody i chwalać się Housemanowi swą zamoūnoŐcią. Cóż, przy piwie takie rzeczy mi owi się bez oporów. Houseman natychmiast wezwał Arama i dalej pili juū we trójkę. Kto płacił, nie wiadomo. Nie wiemy teū, w którym momencie Aram i Houseman obmyŐlili plan morderstwa, doŐć Őe kiedy tuū przed północą na chwiejnych nogach opuszczali gospodę, Aram miał juū przy sobie spory młotek. OkolicznoŐci sprzyjały sprawcom. Clark był zdecydowanie najbardziej pijany z całej trójki, zaŐ o ciemne, odludne miejsce nie było trudno w Knaresborough w osiemnastym wieku. Toteū juū po kilku minutach cios w głowę zmiaūdził czaszkę nieszczęsnego Daniela Clarka. Był to dzieŐ 7 lutego 1744 roku.

Dwaj kompani szybko odnaleūli zawiniątko z pieniędzmi, podzielili się nimi, po czym zawlekli zwłoki ofiary do jaskini Őw. Roberta pod Knaresborough, gdzie Őłożone wpóū umieŐcili pod kamieniem. Przez jaskinię przepływała rzeka Nidd, moūna więc sādzić, Őe zabójcy liczyli na to, iū fale dokoŐczą z czasem dzieła zacierania Őladów.

Nie wiemy, czy Aram przestraszył się swego czynu, czy teū skorzystał z okazji, by uciec od swej licznej rodziny. Potem twierdził, Őe postanowił zniknąć, gdyū widziano go tego wieczoru z Clarkiem. Jeszcze tej samej nocy opuŐcił potajemnie Knaresborough. Nie trzeba chyba dodawać, Őe nie poūegnał się z żoną i dziećmi. Houseman, być moūe mniej nerwowy, pozostał i jak się kazało, zrobił słusznie. Przesłuchiwano go wprawdzie kilkakrotnie, ale z powodu braku zwłok Clarka o nic nie został oskarūony.

Aram udał się najpierw do Nottingham, zaś w roku 1745 do Londynu, gdzie bawił się wesoło aż dwanaście lat. Nie zapominajmy, że uciekając z Knaresborough miał ze sobą 109 funtów. Mogło to wystarczyć na wiele lat życia. Nie wiemy zresztą, czy w Londynie nie „dorabiał sobie” kradzieżami.

Nie wiadomo również, czy brak pieniędzy, czy też może pragnienie powrotu do życia akademickiego skłoniło Arama do szukania, po raz drugi w życiu, posady nauczycielskiej. Otrzymał ją zresztą bez trudu w miejscowości King's Lynn w hrabstwie Norfolk. Można nawet powiedzieć, że znów i to po tak długiej przerwie (był rok 1757) awansował w hierarchii społecznej. Tym razem został bowiem nauczycielem łaciny w szkole średniej. Nasuwa się przypuszczenie, że nie tylko hulanki stanowiły treść jego życia przez owe 13 lat. Czyżby dalej pogłębiał swoją wiedzę?

Interesującym szczegółem jest informacja o wysokości pensji, jaką otrzymywał Aram jako nauczyciel. Jego pobory w King's Lynn wynosiły 20 funtów rocznie! Widać więc teraz, jak ogromny łup zagarnęli mordercy Daniela Clarka.

W Knaresborough przez te wszystkie lata nie zapomniano jednak tajemniczej sprawy zniknięcia Clarka i niejasnej roli Housemana i Arama, który w dodatku przepadł bez śladu. I oto w lipcu 1758 roku, po czternastu latach od zabójstwa, mieszkaniec Knaresborough, który przyjechał do King's Lynn w odwiedziny do krewnych, rozpoznał w gimnazjalnym łacinniku właśnie Arama, głównego podejrzanego sprzed lat. Aram zaprzeczył jednak, jakoby kiedykolwiek był w tamtych stronach i na razie sprawa przycichła.

Jednakże dwa miesiące później w Knaresborough odnaleziono szkielet mężczyzny. Podejrzewając, że mogą to być szczątki Daniela Clarka, wezwano na przesłuchanie Williama Housemana. Dlaczego tym razem, po tylu latach, przyznał się do zabójstwa i wskazał Arama jako współnika, nie wiadomo. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że odnaleziony szkielet, jak się okazało, nie miał nic wspólnego ze sprawą. Houseman, skoro zaczął już mówić, zaprowadził sędziów do jaskini i wskazał im miejsce ukrycia zwłok. Spod kamienia wydobyto szczątki Daniela Clarka.

Wieść o przyznaniu się Housemana i o winie Arama obiegła Knaresborough lotem błyskawicy.

Natychmiast też zgłosił się ów człowiek, który spotkał Arama w King's Lynn. Nadal był przekonany, że rozpoznał dawnego sąsiada. Dwaj konstable przywieźli poszukiwanego bryczką do Knaresborough.

Na to spotkanie wyszli chyba wszyscy mieszkańcy miasta. Ujrzawszy Arama, tłum zafalował, rozległ się głuchy pomruk. Lincz wisiał w powietrzu. Nie doszło do tego jednak. Miała za to miejsce inna charakterystyczna scena.

Mieszkańcy miasta odsuwali się w milczeniu, gdy do pojmanego zbliżała się jego

porzucona przed 14 laty żona, otoczona przez siedmioro dzieci. Na ich widok Aram uśmiechnął się, podszedł i zapytał lekko:

– No, jak wam się wiedzie?

Houseman został głównym świadkiem oskarżenia, dzięki czemu uniknął odpowiedzialności karnej. Aram natomiast spędził prawie rok w areszcie w mieście York, oczekując na proces. I znów obudziła się w nim dusza badacza, bo przez cały ten czas studiował stare księgi, przygotowując swą obronę. Szczególnie pilnie czytywał ponoć dzieło zatytułowane „Monasticon Eboracense”, traktujące o żywotach świętych i ich relikwiach. Linię obrony Aram ujawnił podczas procesu. Podpierając się dowodami naukowymi lub pseudonaukowymi twierdził mianowicie, że szkielet znaleziony w jaskini to szczątki jakiegoś świętego czy pustelnika, pogrzebanego w tym miejscu setki lat wcześniej.

Nie zdołał jednak zasiać wątpliwości u sędziów. Uznany winnym morderstwa, skazany został na śmierć przez powieszenie. W nocy poprzedzającej egzekucję usiłował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły. Gdy go wleczono na szubienicę, był już nieprzytomny. Wyrok musiał jednak być wykonany w taki sposób, jaki określił sąd. Eugene Arama powieszono więc nieprzytomnego, w 1759 roku, piętnaście lat po zabójstwie, w Tyburn Field na przedmieściach Yorku. Kronikarze skrzętnie odnotowali, że ciało Arama pozostawiono następnie wiszące na szubienicy w pobliskim lesie, zaś czaszkę ofiarowano Szkole Lekarskiej.

Jak to się często zdarza w przypadku głośnych zbrodniarzy, również Aram doczekał się poematu na swoją cześć. Napisał go siedemdziesiąt lat później poeta Thomas Hood. Strofy tego popularnego wśród mieszczaństwa angielskiego poematu, zatytułowanego „Sen Eugene Arama”, recytował często na wiktoriańskich wieczorkach muzycznych inny zatwardziały zbrodniarz, Henry Wainwright.

William BURKE i William HARE

Wiliam Burke urodził się około 1792 roku w County Tyrone w Irlandii, w rodzinie farmera. Był kolejno piekarzem, szewcem, tkaczem i milicjantem straży miejskiej. Pokłóciwszy się z rodziną, wyjechał do Szkocji. Tam spotkał prostytutkę, Helen McDougal, która tak mu się spodobała, że zabrał ją ze sobą na włóczęgę po południowej Szkocji. Osiedli wreszcie w Edynburgu, gdzie zarabiali na nędzne życie łataniem starych, znalezionych na śmietniku butów i sprzedawaniem ich za grosze. Burke był niskim, krępy męczyzną o zaokrąglonych ramionach.

Nic natomiast nie wiadomo o życiu Wiliama Hare, zanim został współnikiem Burke'go. Stanowił on przeciwieństwo fizyczne swego kolegi, był wysoki i chudy.

Burke i Hare poznali się w 1826 roku i tak przypadli sobie do gustu, że wkrótce zamieszkali razem w pensjonacie niejakiego Loga w Panners Close. Po śmierci Loga Hare został kochankiem jego „żony”, Maggie Laird.

Jak to często bywa, czysty przypadek podsunął im pomysł na zdobywanie pieniędzy i doprowadził do zajęcia się szczególnym „interese”, jakim było mordowanie ludzi. Otóż pewnego ranka Maggie Laird wykryła, że jeden z lokatorów, góral zwany Starym Donaldem, zmarł w nocy w swoim pokoju. Problem polegał na tym, że nieszczęśnik od dawna już zalegał z opłatą za pokój, a przy zwłokach nie znaleziono ani centa.

Wtedy to Hare przypomniał sobie, że miejscowa szkoła lekarska chętnie płaci za dostarczone zwłoki. Dokonywanie sekcji zwłok, nawet w celach naukowych czy dydaktycznych, było bowiem w owym czasie procederem nielegalnym, co czyniło te szczególne pomoce naukowe „towarem” wyjątkowo trudnym do zdobycia. Braki te skutecznie uzupełniał czarny rynek. W Edynburgu kradzieże zwłok tuż po pogrzebie były tak rozpowszechnione, że krewni zmarłego na zmianę pilnowali grobu przez kilka dni. Jeśli grób nie był pilnowany, zwłoki najczęściej trafiały na stół sekcyjny w ciągu najwyżej dwudziestu czterech godzin.

Czwórka współników – Burke, Hare i ich „żony” – postanowiła więc w ten właśnie sposób odzyskać czynsz, stracony bezpowrotnie wraz ze śmiercią Starego Donalda. Jego trumnę wypełniono drewnem, ciało zaś sprzedano niejakiemu doktorowi Knox, który nieoficjalnie zajmował się anatomią i kształcił studentów w swym domu przy Surgeon’s Square nr 10 (jak można sądzić z nazwy placu – Chirurgiczny – zamieszkiwało tam wielu lekarzy, trudniących się podobnym zajęciem). Dr Knox zapłacił za zwłoki 7 funtów 10 szylingów, a zatem zysk przedsiębiorczej czwórki, po odliczeniu zaległego czynszu, wyniósł 4 funty.

Po dokonaniu tak udanej transakcji Burke i Hare doszli do oczywistego wniosku, że handel zwłokami jest zajęciem znacznie bardziej dochodowym niż łatanie starych kapci. Niestety, profesja ta była też stokroć bardziej niebezpieczna, gdyż początkującym groziło nie tylko zatrzymanie przez władze, ale i zemsta konkurencji.

Perspektywa wysokich zarobków nęciła ich jednak, a więc dyskusja na temat handlu zwłokami ciągnęła się przez kilka tygodni. Wtedy to zachorował na febrę inny lokator pensjonatu, znany jako Joe Żebrak. Choroba jego stanowiła poważną niedogodność, bo odstraszała innych lokatorów, czy to już mieszkających w pensjonacie, czy szukających pokoju. Pensjonatowi groziło bankructwo, gdyż wszyscy obawiali się chorób zakaźnych, które w tamtych, czasach najczęściej kończyły się śmiercią. Burke i Hare, ratując pensjonat przed upadkiem, a jednocześnie zapewniając sobie dodatkowy zarobek, przyspieszyli nieco śmierć nieszczęśnika, dusząc go poduszką. Tym razem doktor Knox zapłacił im aż 10 funtów w złocie,

prawdopodobnie jako stałym dostawcom.

Burke i Hare wraz z „żonami” zdecydowali w lutym 1828 roku, że ten sposób zdobywania pieniędzy jest wart stosowania. 11 lutego zwabili do pensjonatu niejaką Abigail Simpson, która trudniła się obnośną sprzedażą pumeksu i soli. Spoili ją do nieprzytomności ogromnymi ilościami whisky, uznając zapewne, że warto zainwestować, skoro zysk jest pewny. Czy jednak nie byli jeszcze zupełnie zdecydowani na morderstwo, czy też może w ostatniej chwili zabrakło im odwagi, dość że Abigail przeżyła noc, a od rana pijaństwo zaczęło się od nowa. Wreszcie wyprawili ją na tamten świat, przy czym Hare dusił ją poduszką, zaś Burke przytrzymał jej nogi, którymi – choć bardzo pijana – wymachiwała, by się uwolnić. Doktor Knox nie zadawał żadnych, niedyskretnych pytań i natychmiast zapłacił 10 funtów.

Kolejną ofiarą była stara, zniszczona prostytutka nazwiskiem Mary Haldane. Żadne szczegóły dotyczące tego morderstwa, nie zachowały się, więcej natomiast wiadomo o następnym. Otóż 9 kwietnia 1828 roku Burke zauważył w gospodzie dwie młode, ładne prostytutki. Nawiązał z nimi rozmowę. Były to: Mary Peterson i Janey Brown, które zalewały robaka po nocy spędzonej w areszcie. Burke namówił je, by poszły z nim na dalszy ciąg libacji do domu jego brata, Constantine’a, przy Gibbs Close w Canongate. Gdy jednak Burke pocieszał przygnębioną Mary, nieoczekiwanie do domu wpadła jego „żona”, Helen McDougal, która urządziła tak gwałtowną scenę zazdrości, że przestraszona Janey uciekła, pozostawiając przyjaciółkę. Nie wiadomo, czy Burke poradziłby sobie z dwiema kobietami, z których jedną należało uspokoić, a drugą zamordować. Na szczęście przyszedł Hare i wkrótce Helen została ugłaskana, zaś Mary Peterson uduszona. Janey Brown kilkakrotnie przychodziła, szukając przyjaciółki, lecz poinformowano ją, że Mary już dawno wyszła.

Dr Knox bez dyskusji zakupił zwłoki. Wprawdzie jeden ze studentów rozpoznał w zmarłej dziewczynę, która kiedyś była jego utrzymanką, lecz nie miało to żadnych konsekwencji. Jeśli nawet doktor Knox podejrzewał, jakimi metodami „złodzieje zwłok” zdobywają swój makabryczny towar, nic nie mówił.

Następną ofiarą była niezidentyfikowana kobieta, ludzki wrak, którą państwo Hare zamordowali bez pomocy Burke’go. Potem miało miejsce jeszcze jedno podobne zabójstwo, tym razem dokonane przez obydwu współników.

Mary Haldane, ich druga ofiara, miała niedorozwiniętą córkę. Dziewczyna pewnego dnia podeszła do Hare’a na ulicy, pytając, gdzie jest jej matka. Hare zaproponował, że zabierze ją do matki; dotrzymał słowa, dziewczyna bowiem trafiła wkrótce na Surgeon’s Square.

W kilka dni później Burke wybrał się na poszukiwanie kolejnej ofiary. Tym razem postanowił zwabić jakiegoś starego pijaka, został jednakże zaczepiony na ulicy

przez żebraczkę, której towarzyszył niemy wnuczek. Kobietę udusił rękami, chłopcu zaś złamał kark na własnym kolanie.

Podczas transportu zwłok tej pary miało miejsce zdarzenie o posmaku makabreski. Otóż oszczędni współnicy wynajęli bardzo starego konia, by przewieźć zwłoki umieszczone w dużej skrzyni po śledziach. Nagle, pośrodku ruchliwego rynku Grassmarket, koń zatrzymał się. Nie pomogły ani razy, ani groźby. Powoli tworzył się zator, lada chwila mogli pojawić się strażnicy, a koń nie ruszał z miejsca. Wreszcie zdesperowani współnicy musieli wynająć tragarza, który przewiózł skrzynię na wózku. Ponieśli więc dodatkowe wydatki, a doktor Knox zapłacił tym razem zaledwie 16 funtów za obydwa trupy.

W tym czasie rozpoczęły się kłótnie między dwiema paniami. Maggie Laird, jak się wydaje, nie lubiła Helen McDougal i nie ufała jej, wystąpiła więc z propozycją, by sprzedać ją doktorowi Knoxowi. Burke pospiesznie wywiózł swą przyjaciółkę do znajomych w Falkirk. Gdy jednak wrócili, wrogość zapłonęła na nowo, wystąpiły również nieporozumienia między Burke'm i Hare'm. Hare zamordował mianowicie pewną sprzątaczkę uliczną pod nieobecność współnika i nie chciał podzielić się z nim zyskiem. Wreszcie Burke i Helen McDougal wyprowadzili się z pensjonatu Logi i zamieszkali na Gibbs Close, u kuzyna Helen nazwiskiem Groggan.

Zaprosili kuzynkę Helen, Anne McDougal, do Edynburga, proponując jej mieszkanie i pomoc w znalezieniu pracy. Dziewczyna nigdy nie powróciła do rodzinnego Falkirk i wszelki ślad po niej zaginął. Burke nie brał jednak udziału w tym zabójstwie, być może lubił ją.

Nie wiemy, jak wiele zabójstw nastąpiło potem, nie istnieją bowiem akta sprawy, a współcześni autorzy piszący o niej podają różne liczby. W każdym – razie Grogganowi zapłacono sówite wynagrodzenie, by wyniósł się z domu, gdzie od tej pory Burke i Helen McDougal kontynuowali swój proceder we dwoje, podczas gdy – jak należy sądzić – Hare i Maggie Laird prowadzili konkurencyjny interes w pensjonacie.

Następną ofiarą, jaką Burke zwabił na Gibbs Close, był pewien niedorozwinięty osobnik, znany w całym Edynburgu jako Głupi Jamie. Przed śmiercią stoczył zaciętą walkę z mordercą. Podejrzenia doktora Knoxa musiały się teraz zmienić w absolutną pewność, milczał jednak i nadal zaprzeczał, gdy jego studenci twierdzili, że rozpoznają Głupiego Jamie.

Ostatnie morderstwo miało miejsce w nocy 31 października 1828 roku. Burke spotkał w sklepie żebraczkę, wdowę Docherty i zaprosił ją do siebie, twierdząc, że jego matka była z domu Docherty. Wkrótce żebraczka była już pijana do nieprzytomności, a wieczorem, gdy przyszedł Hare, została zamordowana. Upřednio Burke przekonał dwoje żebraków, którzy mieszkali w jego domu, by na jedną noc

przenieśli się do pensjonatu Loga. Gdy ludzie ci, nazwiskiem Grey, powrócili na Gibbs Close następnego dnia, Burke popełnił niewybaczalny błąd, pozostawiając ich samych w domu. Niewiele czasu upłynęło, zanim znaleźli zwłoki. Gdy wybiegali, by zawiadomić policję, spotkali przed domem Helen McDougal. Ta natychmiast poznała po wyrazie ich twarzy, że wiedzą o wszystkim. Padła na kolana błagając ich, by nie zawiadamiali policji. Pojawiła się pani Hare i wspólnie uprosiły Greyów, by poszli z nimi do gospody, gdzie pertraktacje trwały nadal. W międzyczasie asystent doktora Knoxa przybył ze skrzynią po herbacie, by zabrać zwłoki. Zapłacił za nie tylko 5 funtów.

Greyowie opowiedzieli jednak o swym znalezisku policji, co spowodowało, że oficer nazwiskiem Ferguson złożył wizytę na Gibbs Close. Zastał całą czwórkę w stanie kompletnego upojenia alkoholowego. Oskarżenie Greyów wydawało mu się bzdurne, zaczął jednak przepytować towarzystwo. Okazało się, że każde z nich podaje inną godzinę, o której wdowa Docherty miała rzekomo opuścić dom. Wzbudziło to podejrzenie Fergusona. Wkrótce odkryto w domu stare łachmany i krew.

Proces rozpoczął się 24 grudnia 1828 roku w Edynburgu. Burke przyznał się natychmiast, a jego wyznanie zostało opublikowane w miejscowej gazecie, budząc zrozumiałą sensację. Hare wydał współwinnych, dzięki czemu w ogóle nie stanął przed sądem. Helen McDougal twierdziła, że nie wiedziała o niczym; została zwolniona. Doktor Knox nie został nawet wezwany na świadka. Z całej czwórki tylko Burke został skazany na śmierć.

Powieszono go 28 stycznia 1829 roku. Tłum na placu osiągnął rekordowe rozmiary.

Istnieją pewne dane, by przypuszczać, że Hare zmarł wiele lat później w Londynie jako ślepy żebrak. Nie wiadomo natomiast, co się stało z obiema kobietami. A szkoła doktora Knoxa na Surgeon's Square długo jeszcze kontynuowała swą działalność naukową.

Louisa MERRIFIELD

Jak się za chwilą okaże, niniejsza sprawa może stanowić ostrzeżenie dla starszych, samotnych, zamożnych dam. Drogie Panie, jeśli nawet uważacie, że wasza nowa pomoc domowa wykonuje swe obowiązki bez zarzutu, nie zapisujcie jej całego swego majątku po zaledwie trzech tygodniach znajomości. Istnieje przecież tyle innych sposobów okazania wdzięczności i uznania, równie stosownych, a o ileż mniej niebezpiecznych dla ofiarodawczyni! A jeśli już musicie zmienić testament, to powstrzymajcie się przynajmniej przez pewien czas, zanim poinformujecie nową

gosposię o tym fakcie...

46-letnia Louisa Merrifield była – jak byśmy dziś powiedzieli – zawodową pomocą domową. Przeszła przez wszystkie szczeble tej trudnej kariery zawodowej, poczynając od stanowiska skromnej podkuchennej, którą wszyscy mogli się wysługiwać, aż po dumnego tyrana, postrach całej służby – gospodynię. Zamażpójście nie przerwało, jak to się często zdarza, jej kariery, gdyż za każdym razem, pamiętając widać o możliwościach zatrudnienia, wybierała na męża ogrodnika. Odpowiedni mąż to połowa sukcesu, zaś para małżeńska: gosposia i ogrodnik, gwarantuje pełną opiekę nad domem i tacy ludzie są niezwykle poszukiwani przez zamożnych obywateli Wielkiej Brytanii.

Pewne zdziwienie może wywołać sformułowanie „za każdym razem” w odniesieniu do wyboru męża przez panią Merrifield. Wyjaśnienie jest proste: zawodowa gosposia trzykrotnie wychodziła za mąż. Gdy poznała swego trzeciego męża, pod którego nazwiskiem znalazła się następnie w annałach kryminologii, zdążyła już dwukrotnie zostać wdową. A mówi się, że praca na świeżym powietrzu, jaką przecież wykonują ogrodnicy, gwarantuje długowieczność... Nie podejrzewamy bynajmniej pani Merrifield o pozbycie się dwóch poprzednich mężów. Wydaje się natomiast, sądząc po wieku trzeciego (pan Merrifield miał 74 lata), że wybierała mężczyzn dużo starszych od siebie.

Poślubiwszy Alfreda Edwarda Merrifielda, pani Louisa zaczęła rozglądać się za nową posadą. Miała doskonałe referencje z poprzednich domów, podobnie jak jej nowy mąż, nie obawiała się więc, że pozostanie bez pracy. Przeglądając ogłoszenia w gazetach, a był rok 1953 i rynek pracy pomocy domowych w Anglii gwałtownie malał, ogłoszenia zaś potencjalnych chlebodawców zaczynały przybierać błagalny ton – natrafiła na anons niejkiej pani Ricketts, starej owdowiałej damy, która oferowała doskonałe warunki dla gosposi i ogrodnika. Pani Merrifield, jako osoba doświadczona, wiedziała, że praca u starszej, samotnej pani jest znacznie lżejsza niż na przykład u małżeństwa po trzydziestce z czworgiem dzieci. Odpisała więc w imieniu własnym i małżonka na anons i wkrótce odwiedziła panią Ricketts.

Pani Sarah Ann Ricketts miała 79 lat i nie najlepsze doświadczenia ze służbą. Gdy więc zapoznała się z referencjami nowych kandydatów i przyjrzała się pani Merrifield, która była osobą całym swym wyglądem budzącą zaufanie, bez wahania przyjęła oboje małżonków. 12 marca 1953 roku zamieszkali oni w domku swej nowej chlebodawczyni, zwanym Homestead, przy Devonshire Road w Blackpool. Warunki, jakie obiecywała pani Ricketts w swym ogłoszeniu, istotnie okazały się doskonałe. Małżonkowie otrzymali do swej wyłącznej dyspozycji dwa obszerne pokoje, ogród był niewielki i łatwy do utrzymania, a stara dama nie urządzała wystawnych przyjęć co dwa dni i była wyjątkowo mało kapryśna jak na osobę wiekową i zamożną.

Państwo Merrifield nie zawiedli się więc na swej nowej chlebobawczyni, a to samo można powiedzieć o niej samej. Była wprost zachwycona ich pracą. Ogród z dnia na dzień przybrał zadbane wygląd, dom był nieskazitelnie czysty, a posiłki, gotowane przez panią Merrifield, podawane punktualnie, smaczne i dostosowane do wieku pani Ricketts. Przy tym Louisa Merrifield nie wykazywała najmniejszych skłonności do pobierania tak zwanego „koszykowego”, sama dbała o oszczędne gospodarowanie funduszami swej pani, była osobą energiczną i co najważniejsze – chętnie słuchała opowieści pani Ricketts o jej młodości. Starsza pani, która kilka już lat żyła samotnie, najbardziej chyba potrzebowała wdzięcznego słuchacza. Zamieszczając swe ogłoszenie, z pewnością nie liczyła na to, że ów słuchacz okaże się osobą tak sympatyczną i dobrze wychowaną.

Przypominamy – Louisa Merrifield i jej małżonek podjęli pracę u pani Ricketts dnia 12 marca. Upłynęły niecałe trzy tygodnie, gdy ich chlebobawczyni, uśmiechając się tajemniczo, wezwała na radę swego adwokata. Doświadczony prawnik protestował gorąco, usiłując wpłynąć na zmianę jej decyzji. Pani Ricketts była jednak osobą upartą. Po jego wyjściu wezwała do siebie gospodynię doskonałą i jej męża, i oznajmiła im z triumfującym wyrazem twarzy, że oto po jej śmierci odziedziczą cały jej majątek. Właśnie dokonała stosownej zmiany testamentu. Dodała przy tym sporo ciepłych słów na temat ich nienagannego wypełniania obowiązków. Nie trzeba chyba mówić, że zaskoczenie i wdzięczność państwa Merrifield nie miały granic i sprawiły starej damie ogromną przyjemność. Było to dnia 31 marca.

W sobotę 11 kwietnia pani Merrifield spotkała podczas zakupów swą znajomą, niejaką panią Brewer. Obie panie nie widziały się od dawna, naturalne więc jest, że natychmiast podzieliły się informacjami o sobie i swoich bliskich. Wysłuchawszy nieuważnie niezbyt rewelacyjnych wiadomości pani Brewer, Louisa Merrifield powiedziała, promieniejąc z dumy:

– Proszę sobie wyobrazić, jak nam się powiodło! Zamieszkaliśmy z Alfredem (to mój nowy mąż, wie pani) u pewnej starszej damy. Przpracowaliśmy u niej zaledwie miesiąc, gdy biedulka umarła. I niech pani tylko pomyśli: okazało się, że zapisała nam swój dom, wart cztery tysiące funtów! Nie mówiąc już o biżuterii i pieniądzach! Do końca życia nam to wystarczy...

Pani Brewer najpierw straciła głos z wrażenia, a gdy go odzyskała, zaczęła gratulować swej znajomej, choć w głębi duszy zżerała ją zazdrość. Taki szczęśliwy traf! No, tak, niektórym wiedzie się, a inni – tak jak ona – całe życie muszą harować i nigdy nic nie będą mieli... Było to, jako się rzekło, 11 kwietnia. Pani Ricketts była wtedy jak najbardziej żywa i cieszyła się dobrym zdrowiem (biorąc oczywiście pod uwagę jej wiek).

W poniedziałek 13 kwietnia starą damę odwiedził jej lekarz, doktor Wood. Nie

został bynajmniej wezwany z powodu nagłego pogorszenia stanu swej pacjentki. Przychodził po prostu co poniedziałek i po dokładnym badaniu częstotliwość był herbata jako dobry znajomy. Tym razem znalazł panią Ricketts w wyjątkowo dobrym zdrowiu, co pacjentka skłonna była przypisywać doskonałej opiece swej nowej gosposi. Zamieniwszy jeszcze kilka słów na temat powiększających się kłopotów ze służbą, doktor Wood opuścił Homestead. W kilka zaledwie godzin po jego odejściu pani Ricketts już nie żyła.

Według słów jej gospodyni idealnej, zmarła o godzinie 3.15 nad ranem dnia 14 kwietnia, we wtorek. Pani Merrifield opowiadała, szlochając:

– Było kwadrans po trzeciej, gdy obudził mnie jakiś hałas. Natychmiast pobiegłam do sypialni biednej pani. Leżała na podłodze; widać upadła, kiedy usiłowała wstać. Podniosłam ją – biedulka była taka leciutka – i położyłam na łóżku. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała, że jest mi bardzo wdzięczna. To były jej ostatnie słowa... Trzymałam ją za rękę, gdy wydała ostatnie tchnienie...

Historia, trzeba przyznać, wzruszająca. Po wysłuchaniu jej, tłumnie zgromadzone służące z okolicy – one bowiem stanowiły, obok policji, główne audytorium pani Merrifield owego wtorkowego ranka – zaczęły podejrzenie głośno pociągać nosami. Po chwili jedynym człowiekiem, który nie płakał, był przybyły, jak w każdym przypadku gwałtownej śmierci, sierżant z pobliskiego komisariatu.

Ocierając zapłakane oczy, pani Merrifield udała się do przedsiębiorstwa pogrzebowego. Interesowała się jednak nie tyle usługami oferowanymi przez ową firmę w zakresie wystawnego pochówku, ani nawet cenami owych usług, co kremacją zwłok. Chodziło jej mianowicie o to, by dokonano jej natychmiast. Gdy urzędnik poinformował ją, że byłoby to sprzeczne z przepisami, wydawała się bardzo zawiedziona.

Wiadomość o nagłej śmierci pani Ricketts szybko dotarła do doktora Wooda. Ponieważ nic nie wskazywało, by stan zdrowia jego pacjentki mógł pogorszyć się w ciągu kilku godzin, lekarz skontaktował się z policją. Gdy na komisariat przybył jeszcze jej adwokat z informacją o niedawnej zmianie testamentu, a także przedsiębiorca pogrzebowy, którego zaniepokoiły żądania pani Merrifield, postanowiono przeprowadzić sekcję. Kiedy wezwany anatomopatolog wkładał gumowe rękawice, pani Merrifield omawiała właśnie z kierownikiem zespołu wokalnoinstrumentalnego Armii Zbawienia wykonanie stosownego utworu żałobnego przed domem zmarłej.

Sekcja potwierdziła podejrzenia – przyczyną zgonu pani Ricketts było otrucie tak zwanym żółtym fosforem, trującą substancją wchodzącą w skład niektórych typów trutek na szczury. Wizyta w okolicznych aptekach dowiodła wkrótce, że taki właśnie typ trucizny zakupiła niedawno pani Merrifield. Opakowania z resztką preparatu nie

odnaleziono wprawdzie ani w domu, ani w ogrodzie zmarłej, za to przeszukanie torebki gospodyni przyniosło nieoczekiwany rezultat w postaci zwykłej łyżeczki do herbaty, pokrytej ziarnistą, słodkawą w smaku substancją. Jak stwierdził później biegły podczas rozprawy, osad taki powstałby w przypadku mieszania fosforu z rumem. Pani Merrifield przyznała, że wieczorem 13 kwietnia zaproponowała swej chlebobawczyni „kilka kropelek rumu”. Na prośbę prokuratora przysięgli z namaszczaniem nachylali się nad kieliszkiem, w którym zmieszano truciznę z rumem, by stwierdzić, że nie sposób zauważyć zmiany zapachu tej mieszanki, bo intensywny aromat rumu skutecznie pokrywa wszelkie obce zapachy. Obrona utrzymywała, że pani Ricketts zmarła z przyczyn naturalnych, a mianowicie na marskość wątroby, co jednak mimo powołania biegłego, który wyciągnął takie właśnie wnioski, nie zrobiło wrażenia na przysięgłych.

Oskarżyciel zapytał panią Merrifield, dlaczego nie wezwała lekarza do swej umierającej chlebobawczyni. Gospodyni idealna odrzekła:

– No, cóż, trzecia rano to nie najlepsza pora na bieganie po ulicach...

Pani Louisa Merrifield została uznana winną zabójstwa pani Ricketts, i skazana na śmierć. Apelacja została odrzucona i egzekucja odbyła się 18 września 1953 roku.

Warto też wspomnieć o nieszczęsnym i jak się wydaje zupełnie zdezorientowanym panu Merrifield. Został oskarżony o zabójstwo wraz ze swą małżonką, przysięgli jednak nie zdołali osiągnąć jednomyślności co do jego winy. Zanim odbyła się druga rozprawa, prokurator odstąpił od oskarżenia i gdy tylko stosowny dokument dotarł do naczelnika więzienia Strangeways, ogrodnik został zwolniony.

Jean Baptiste TROPPMANN

Jean Baptiste Troppmann jest z pewnością jedną z najbardziej ponurych postaci leksykonu morderców. Choć daleko mu do rekordów, jeśli chodzi o ilość ofiar (zabił „zaledwie” osiem osób), to jednak zarówno pobudki jego czynu, jak i sposób działania muszą budzić odrazę. Sprawa Troppmanna zyskała w swoim czasie ogromny, całkiem zresztą zrozumiały rozgłos i zapewne dzięki temu posiadamy sporo wiadomości o jego życiu i charakterze.

Troppmann urodził się w 1849 roku w Alzacji, w ubogiej, wielodzietnej rodzinie. Jego ojciec prowadził warsztat mechaniczny. Lubił swoją pracę, a w wolnych chwilach zajmował się z powodzeniem wynalazczością, lecz nigdy nie zdołał zgromadzić skromnego choćby majątku. Jak należy sądzić, ubóstwo i przeciwności losu uczyniły zeń człowieka zgorzkniałego i ponuraka.

Jean Baptiste był najmłodszym synem państwa Troppmann i jak to często bywa, ulubieńcem matki. Uwielbiany i rozpieszczany przez nią, wyrósł w końcu na homoseksualistę. Ojciec bił go regularnie za „słaby charakter”, zaś bracia i siostry nienawidzili serdecznie, boleśnie widać odczuwając ciągłe faworyzowanie go przez matkę. Od najmłodszych lat był nałogowym kłamcą, co również można przypisać jego szczególnej pozycji w rodzinie. Warto dodać jeden jeszcze szczegół: otóż Jean Baptiste odziedziczył po ojcu monstrualnych rozmiarów dłonie. Cecha ta utrzymywała się chyba w rodzinie przez wiele pokoleń i jak twierdzili później dziennikarze, jej właśnie ród ten zawdzięczał swe nazwisko, które istotnie można uznać za francuskie określenie „za dużo dłoni” w zmienionej postaci.

Gdy Jean Baptiste znalazł się w szkole, jego widoczna już wtedy odmienność i posepny charakter wkrótce uczyniły go idealnym celem dla klasowych prześmiewców. Chłopak z początku znosił wszystko; gdy jednak okazało się, że atakowany, potrafi wpaść w straszliwą wściekłość i nie panuje nad sobą, żarty ustały i młodego Troppmanna starannie unikano. Jeszcze w szkole narzucił sobie surowy reżim treningów i wkrótce zdobył niezwykłą siłę fizyczną.

Po ukończeniu szkoły, w wieku 14 lat, Jean Baptiste podjął pracę w warsztacie ojca. Tam też z początku znęcano się nad nim i naigrawano, w czym przewodził jego brat, Edward. Prześladowania skończyły się, gdy pewnego dnia Jean Baptiste bez uprzedzenia zmasakrował twarz brata młotkiem..

Chłopak był powszechnie nielubiany w okolicy, do czego z pewnością przyczyniało się jego zbrojenie. Jedyłą osobą, która akceptowała go w pełni i którą on kochał nad życie, była matka. Wspomnijmy o jedynym pozytywnym epizodzie w życiu Troppmanna, jakim było uratowanie życia pewnemu robotnikowi w warsztacie. Było to możliwe dzięki spostrzegawczości, szybkiemu refleksowi i sile fizycznej chłopaka, który w porę zauważył i zdołał podtrzymać ciężkie imadło, spadające wprost na głowę kolegi. Czyn ten przyniósł mu nawet chwilową popularność i sympatię w okolicy, nie wydaje się jednak, by mu na tym zależało.

Zaczął w największej tajemnicy zgłębiać tajniki chemii. Nie było, oczywiście, żadnego powodu, by czynić to w tajemnicy, lecz Troppmann, który rozczytywał się w powieściach będących mieszaniną horroru i mistycyzmu, uwielbiał wszelkie sekrety. Badał też właściwości różnych trucizn i sam stworzył taką, którą – nie wiemy, na jakiej podstawie – uważał za całkowicie niewykrywalną.

W 1868 roku Troppmann senior zdołał sprzedać kilka maszyn swej konstrukcji pewnej fabryce w Paryżu. Jean został wysłany, by pomóc w ich instalacji. Jak opowiadali później ludzie, którzy wówczas zetknęli się z nim, był ogarnięty obsesją wzbogacenia się za wszelką cenę.

W pięć miesięcy potem Jean Baptiste znów zawiózł maszyny swego ojca, tym

razem do Roubaix. Tam poznał człowieka nazwiskiem Jean Kinck, również Alzacyjny, który miał wkrótce zostać jego pierwszą ofiarą. Kinck, businessman, miał sporo pieniędzy, którymi na swoje nieszczęście lubił się chwalić.

Troppmann uznał, że oto nadarza się niepowtarzalna okazja. Zdobywając pieniądze Kincka, stałby się człowiekiem zamożnym i mógłby, o czym marzył, wyjechać do Ameryki (jak nie trudno się domyśleć, planował zostać milionerem). Podsuwał więc Kinckowi coraz to nowe pomysły wspólnych interesów. Chodziło o to, by businessman powierzył mu swą fortunę. Kinck był jednak człowiekiem ostrożnym. Za każdym razem, gdy Troppmann proponował mu góry złota, dokładnie badał całą sprawę i odrzucał po kolei wszystkie oferty. Wreszcie Troppmann zdołał wymyślić fantastyczną opowieść o bogatych złożach cennych metali, na jakie miał rzekomo trafić w górnym biegu Renu. Tym razem Kinck dał się nabrać i wyruszył z gotówką i kilkoma czekami in blanco na umówione spotkanie z Troppmannem w Bolliwiller w Alzacji. (Podczas procesu Troppmann utrzymywał, że chodziło o sprzedaż prasy do bicia fałszywych monet; prawdopodobnie chciał zdyskredytować swą ofiarę, by jego własna wina wydała się mniejsza.)

Troppmann i Kinck spotkali się w Alzacji. Podczas wspólnego posiłku nieszczęsny businessman został otruty specyfiką pomysłu Troppmanna, a jego ciało trafiło pod stertę kamieni w starej fosie pomiędzy Guebwiller i Bolliwiller. Morderca zabrał wszystkie pieniądze swej ofiary, piechotą udał się do swego domu w Cernay i rzucił matce na kolana banknot stufrankowy, mówiąc: „Weź, będziesz miała na życie”. Nie dawała mu jednak spokoju myśl, że wdowa po Kincku przejmie całą pozostałą fortunę zamordowanego.

Wieczorem 26 sierpnia 1869 roku, w dzień po zabójstwie, Troppmann napisał do pani Kinck do Roubaix. Informował ją, że mąż skaleczył się w rękę, nie może więc pisać i prosi o przesłanie 5000 franków. Kobieta uwierzyła mu i wkrótce Troppmann zjawił się na poczcie w Guebwiller, by odebrać pieniądze. Podawał się za Jeana Kincka, lecz urzędnik pocztowy odmówił wydania przekazu. Tym samym jego ostrożność przypieczętowała los rodziny zamordowanego.

Troppmann spróbował raz jeszcze. Pojechał do Roubaix i wyjaśnił pani Kinck, że wkrótce ona i jej mąż zdobędą miliony. Na jego prośbę kobieta wysłała do Guebwiller swego najstarszego syna, Gustave'a, by ten odebrał pieniądze na poczcie. Nieufny urzędnik nie dał jednak wiary także i chłopcu, zwłaszcza że upoważnienie pani Kinck wydało mu się podejrzanym (kobieta była analfabatką i jej podpis składał się z trzech krzyżyków). Gustave pojechał więc do Paryża na umówione spotkanie z Troppmannem, który kazał mu napisać do matki, by przyjechała natychmiast z całą rodziną. Następnie Gustave został zadźgany w pokoju w Pantin pod Paryżem, a jego zwłoki zakopane w pobliżu. Szczególne okrucieństwo, z jakim zbrodnia ta została

dokonana, może sugerować, że Troppmann był sadystą, lub że kierował się innym jeszcze, poza chęcią zysku, motywem natury seksualnej.

Pani Kinck była w dziewiątym miesiącu ciąży. Mimo to zabrała swoich pięcioro pozostałych dzieci i wyruszyła do Paryża na spotkanie z synem i – jak sądziła – z mężem. Troppmann spóźnił się na dworzec. Kopał bowiem właśnie obszerny grób w Pantin dla wdowy i dzieci swej pierwszej ofiary. Pani Kinck pojechała do Hotel de Fer du Nord, gdzie miał się zatrzymać jej mąż, i odczuła ogromną ulgę dowiedziawszy się, że Jean Kinck istotnie tam zamieszkał. Od zabicia Kincka Troppmann posługiwał się bowiem jego nazwiskiem. Pani Kinck wróciła więc na dworzec, by tam oczekiwać męża. Zjawił się wreszcie Troppmann i zabrał kobietę z pięciorgiem dzieci do Pantin, gdzie – jak twierdził – mieszka jej mąż.

W pewnym momencie wjechali na pusty odcinek drogi wiodący przez pola. Tam Troppmann pod jakimś pretekstem zatrzymał dorożkę i namówił kobietę, by wysiadła z dwójką najmłodszych dzieci. Pomógł jej nawet zejść po stopniach, bo kobiecie w tak zaawansowanej ciąży nie było łatwo się poruszać. Dwadzieścia minut później powrócił do dorożki sam i zabrał czekającą tam trójkę dzieci, po czym zapłacił za kurs i odesłał dorożkę.

Następnego ranka – było to w poniedziałek 20 września 1869 roku – przechodzący drogą robotnik nazwiskiem Langlois zauważył kałużę krwi. Sprowadził pomoc i narzędzia. Podnieceni mężczyźni zaczęli kopać w miejscu, gdzie ziemia wydawała się świeżo naruszona. Wkrótce odkryto zwłoki kobiety i pięciorga dzieci, chwilę potem także i grób Gustave'a. Okrucieństwo, z jakim dokonano zbrodni, znów dowodzi, że Troppmann był sadystą: brzuch dwuletniej dziewczynki został rozpruty, a reszta zwłok dosłownie posiekana łopatą. W grobie znajdowały się też szklane kulki, monety, parówka, kawałki chleba i lalka.

Na płaszczyku jednej z ofiar, chłopca imieniem Emile, widniała naszywka z adresem krawca z Roubaix. Dzięki temu zwłoki zostały szybko zidentyfikowane.

Odkrycie wywołało sensację na skalę całego kraju. Tłumy udawały się do Pantin, by obejrzeć miejsce makabrycznej zbrodni. Uruchomiono dodatkowe pociągi, a sprzedawcy napojów i kanapek zarabiali krocie.

Troppmann pojechał do Hawru w zamiarze ucieczki do Ameryki. Tam, w portowym barze, zwrócił uwagę żandarma, który zresztą podejrzewał go najwyżej o tzw. lepkie palce. Ponieważ, jak twierdził, nie posiadał żadnych dokumentów, zabrano go na posterunek. W drodze usiłował uciec, wskakując do wody. Wyłowiono go jednak, a gdy policja znalazła przy nim dokumenty Kincka, pojęła, jaką zwierzynę upolowała.

Troppmann został przewieziony do Paryża, gdzie na dworcu St. Lazare oczekiwały go ogromne tłumy. Z trudem zdołano uniknąć linczu. Troppmann

zidentyfikował ciała w kostnicy, utrzymywał jednak, że sprawcą jest sam Kinck, który rzekomo z pomocą syna Gustave'a miał wymordować swą rodzinę, zastawszy żonę w łóżku z kochankiem, co jednak od razu wydało się mało prawdopodobne z uwagi na jej stan. Gdy pokazano mu zmasakrowane zwłoki Gustave'a, wykrzyknął: „A to świnia! Zabił też i syna!” 24 listopada znaleziono ciało Kincka i ostatnia linia obrony tym samym upadła.

W areszcie Troppmann nadal rozważał sposoby zabicia majątku. Planował ponoć masową sprzedaż swej podobizny. „Jestem sławny...” – mawiał z upodobaniem.

Proces rozpoczął się 28 grudnia 1869 roku. Obrońca usiłował sugerować istnienie współników, dowody rzeczowe świadczyły jednak przeciwko tej hipotezie. 19 stycznia 1870 roku Troppmann został skazany na śmierć.

Już w wigilię egzekucji pod miejscem straceń zgromadził się ogromny tłum. Troppmann wrywał się jak szalony, gdy prowadzono go na szafot. Zdołał nawet ugryźć kata, zanim spadło na jego szyję ostrze gilotyny. W ostatniej chwili próbował bezskutecznie wykręcić głowę.

Arnold WALDER

Arnold Walder, który w wieku 22 lat popełnił podwójne morderstwo, jest jedną z najdziwniejszych, a zarazem najzabawniejszych postaci naszego Leksykonu, choć to ostatnie stwierdzenie może się wydawać paradoksalne. Chyba jednak poczucie humoru chroni przed dokonywaniem zabójstw, skoro tylko jeden spośród naszych bohaterów okazał się być nim obdarzony.

Walder urodził się w Szwajcarii, w miejscowości Einsiedeln, w bardzo ubogiej rodzinie. Miał pięcioro rodzeństwa, lecz żadna inna latorośl Walderów nie dorastała mu do pięt, jeśli chodzi o przedsiębiorczość. Należy przypuszczać, że mały i zwinny Arnold często popełniał drobne kradzieże w okolicy, nie został jednak nigdy złapany, co dowodzi, że już w dzieciństwie nie brakowało mu sprytu. Gdy miał 12 lat, zmarł jego ojciec, pozostawiając wdowę i dzieci bez złamanego grosza. Nie wiemy, czy nieszczęśnicy przeżyliby choćby rok, gdyby nie Arnold. Ukradł on niewielki, ręczny wózek, umieścił na nim cały skromny dobytek rodziny oraz swych braci i siostrę, po czym polecił swej umęczonej matce ciągnięcie tego szczególnego zaprzęgu. Kobieta ufała bezgranicznie najstarszemu synowi, posłusznie wypełniła więc jego polecenie. Arnold pomagał jej pchać wózek, a gdy przejeżdżali przez miasteczka, zbierał pieniądze, grając na harmonijce ustnej.

Dotarli wreszcie do Hawru. Miasto to, duży port, musiało wydawać się małemu Arnoldowi nieprzebraną kopalnią różnych możliwości. Początkowo zarabiał z

poświęceniem na utrzymanie rodziny, potem jednak – co stwierdzamy ze smutkiem – zmęczył się rolą jedyne go żywiciela i pewnego dnia po prostu porzucił matkę i rodzeństwo, udając się do Paryża.

Na następne 10 lat jego życia złożyła się praca w wielu zawodach. Był kolejno boyem hotelowym, pomocnikiem golarza, komiwojażerem zatrudnionym u handlarza win, tkaczem, robotnikiem niewykwalifikowanym i wreszcie sprzedawcą w aptece (czy może raczej drogerii, gdyż w owych czasach leki i perfumy sprzedawano w tych samych sklepach) u niejakiego Pierre'a Legrange'a przy Place Beauvau. Ponieważ podczas pobytu w Paryżu nabył upodobania tak do eleganckich strojów, jak i pięknych kobiet, a jak wiadomo, są to raczej kosztowne hobby, „dorabiał sobie” do skromnej na ogół pensji kradnąc, co się dało i gdzie się dało.

Nie inaczej było też w ostatnim miejscu pracy, czyli w drogerii Legrange'a. Osiągał tu niezłe dodatkowe „zarobki”, podkradając buteleczki różnych pachnideł z magazynu swego pryncypała i sprzedając je za pół ceny.

Jak przed laty Hawr, tak teraz Ameryka wydała mu się jedynym miejscem na ziemi, gdzie naprawdę można zdobyć majątek. Był jednak pewien problem. Walder po prostu nie miał pieniędzy na podróż. Zdawał sobie sprawę, że z kradzieży perfum nie zdoła szybko zgromadzić odpowiedniej sumy, zwłaszcza że nie miał przecież zamiaru rezygnować z wyżej wspomnianych uciech. Zresztą, sądząc z tego, co o nim wiemy, wątpić należy, by oszczędzanie leżało w jego naturze. Wpadł wkrótce na znacznie lepszy i szybszy sposób zdobycia odpowiedniej sumy.

W niedzielę 5 października 1879 roku w drogerii Legrange'a pracowały tylko trzy osoby. (Nie znaczy to, by ta placówka handlowa pełniła ostry dyżur; większość sklepów otwarta była także w niedzielę, jeśli tylko właściciel mógł mieć nadzieję na wystarczający utarg.) Za ladą stali Legrange oraz jego młody subiekt, Arnold Walder, na zapleczu krzątała się służąca Legrange'a, Zelig Gaillot. Od godziny dwunastej do czwartej po południu liczni klienci widzieli w sklepie zarówno właściciela, jak i jego pomocnika. Natomiast od czwartej do ósmej, kiedy to drogerię zamykano, klientów obsługiwał już tylko sam Walder, który promiennie uśmiechał się zza lady i biegał po żądane leki.

Pracował sam z bardzo prostej przyczyny: pryncypał i służąca leżeli już martwi w piwnicy, dokąd zeszli, by przynieść do sklepu zapas wody mineralnej. Obojgu zmiażdżono czaszki. Sprawca posłużył się najprawdopodobniej tłuczkiem od moździerza aptekarskiego, który znaleziono w pobliżu zwłok ze śladami krwi i przyklepionymi włosami. O godzinie dwudziestej drogeria została zamknięta, a zwłoki odkrył dopiero Emanuel Fleuty, który przybył następnego dnia rano do pracy (Legrange zatrudniał go jako „chłopca do wszystkiego”). Walder zniknął, rozpoczęto więc intensywne poszukiwania, jako że od początku nie ulegało wątpliwości, kto jest

mordercą.

Nad sklepem znajdowało się mieszkanie Legrange'a i jego rodziny (żona i troje dzieci drogisty przebywały u rodziny pod Paryżem). W sypialni Legrange'a odkryto jeszcze jeden dowód winy Waldera, zakrwawioną koszulę z haftowanym wymyślnie monogramem „AW” (Walder uwielbiał takie szczegóły). Najwyraźniej morderca przebrał się w jedną z koszul swej ofiary (z całą pewnością o wiele za dużą). Mieszkanie Legrange'a zostało ponadto obrabowane, a na łup Waldera złożyły się następujące przedmioty: 1500 franków, złoty zegarek, złota spinka do krawata z perłą, rewolwer, kilka buteleczek perfum, skrzynka zawierająca trucizny oraz... trzy flanelowe kaftaniki. Czyżby sprawcy było zimno?

Zdołano ustalić, że człowiek o powierzchowności Waldera (jak się za chwilę przekonamy, dość charakterystycznej) udał się ostatnim nocnym pociągiem do Hawru..

Od licznych kochanek poszukiwanego policja dowiedziała się, że Walder planował wyjechać do Ameryki. W związku z tym obstawiono port i przeczesywano hotele – niestety, bezskutecznie. Poszukiwania miała ułatwić dostarczona przez jedną z wyżej wspomnianych pańienek fotografia Waldera, którą policja natychmiast powieliła i wkrótce podobizna poszukiwanego obiegła całą Francję, Anglię i Stany Zjednoczone. Wraz z fotografią rozesłano szczegółowy opis Waldera, wymieniający nie tylko cechy takie, jak wzrost poszukiwanego (niewiele ponad 160 cm), jego obwisłe powieki, rzadką bródkę w kształcie podkowy i nieproporcjonalnie wielkie stopy, ale i damski pierścionek z granatem (Walder miał go zawsze na palcu), spinki do mankietów ozdobione motywem głowy jakiegoś zwierzęcia, koronkowe chusteczki z monogramem (innych nie uznawał), elegancki czarny surdut z jedwabnymi wyłogami oraz papierośnicę w kształcie rogu myśliwskiego. Jakim cudem człowiek tak wyglądający i przyozdobiony takim strojem nie został złapany na pierwszym rogu ulicy, pozostanie tajemnicą.

W kilka dni po morderstwie pani Legrange, sprowadzona pośpiesznie ze wsi, otrzymała list pisany ręką Waldera. Morderca pisał „Pani mąż i dziewczyna stawiali mi opór, musiałem więc zabić ich. Teraz tego żałuję i obiecuję najsolenniejsze, że jeśli kiedykolwiek uda mi się zdobyć majątek, naprawię zło, jakie wyrządziłem. Ale za życie nie ma wystarczającego zadośćuczynienia”. List nosił stempel pocztowy Hawru, więc raz jeszcze przeprowadzono staranne przeszukanie całego praktycznie miasta: statków i łodzi, hoteli i domów prywatnych. Waldera jednakże nie znaleziono. Okazało się później, że natychmiast po wysłaniu tego listu Walder wsiadł w pociąg i najspokojniej w świecie powrócił do Paryża, gdzie zatrzymał się na jedną noc w hotelu Bony jako A. Walter, lat 32, komiwojażer. Następnego dnia rano wyjechał do Evreux, gdzie odwiedził miejscową drogerię i próbował sprzedać jej właścicielowi

dwa flakoniki perfum o zapachu geranium (należące, oczywiście, do zamordowanego pryncypała). Transakcja nie doszła do skutku, po czym Walder po prostu zniknął. Nikt już nie widział go wyjeżdżającego z Evreux, nie zauważono go też w żadnym z innych miast.

Mamy natomiast pewność, że Walder porzucił swe plany wyjazdu do Ameryki. Zniknąwszy bowiem z Evreux, poświęcił się prowadzeniu osobliwej korespondencji z policją. Co kilka tygodni znajdowano mianowicie dramatyczne listy w butelkach wyławianych ze wszystkich chyba rzek Francji. Wkrótce znano już Waldera w całej Francji jako „Diabła w Butelce”.

Komunikat nr 1 wyłowiony został z Sekwany w miejscowości Mantel i brzmiał: „Popełniłem samobójstwo. Lepsze to niż gilotyna. Walder”.

Przeszukano rzekę wzdłuż jej biegu, przeczesano nabrzeżne zarośla – bez rezultatu. Wtedy pojawił się komunikat nr 2, a butelkę tym razem wyłowiono z kanału pod Versoul:

„Mam zamiar utopić się, by uniknąć gilotyny. Walder.”

Z kanału wydobyto wiele najdziwniejszych przedmiotów, jednakże nie było wśród nich zwłok poszukiwanego zabójcy.

Komunikat nr 3 wydobyto z butelki leżącej na brzegu rzeki pod Lillebonne. Głosił on:

„Ktokolwiek znajdzie tę butelkę, będzie wiedział, że Walder rzucił się do rzeki z mostu Saint-Pieres.”

Oczywiście, nie było to prawdą. Kiedy więc w Palavas wyłowiono następną butelkę („Szanowna Pani, Szanowny Panie, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, kładę kres swemu żywotowi. Walder”), dla wszystkich stało się już jasne, że nieuchwytny morderca po prostu bawi się z policją w ciuciubabkę i bynajmniej nie zamierza popełnić samobójstwa. Wygląda na to, że nawet owe wyrzuty sumienia, o których pisał, nie dręczyły go zbyt mocno. Mimo to za każdym razem przeszukiwano kolejną rzekę, bowiem nie można było mieć pewności, czy Walder tym razem istotnie nie popełnił zapowiadanego samobójstwa. Poszukiwania przerywano, gdy tylko gdzie indziej, w drugim końcu Francji, pojawiała się następna butelka. Miejskowa policja oddychała wtedy z ulgą i radośnie przekazywała pałeczkę kolegom.

Trudno się dziwić, że nieuchwytność i listy Waldera doprowadzały policję do szału. Ukrywający się na wolności groźny przestępca to plama na honorze każdej policji na całym świecie. Co dopiero, gdy zbrodniarz ten ośmiela się przekomarzać z poszukującymi go władzami!

Walder nie został nigdy schwytyany. Nie opuścił jednak Francji, o czym policja wiedziała doskonale. Informował ją o tym... sam Walder.

Po kilku miesiącach butelki przestały się pojawiać. Prowadzący śledztwo zaczęli

już podejrzewać, że Walder w jakiś sposób zdołał opuścić Francję, gdy pewnego dnia komisarz policji paryskiej, który prowadził sprawę zabójstwa Legrange'a i jego służącej, otrzymał pewien list. Nadawcą był Arnold Walder, list wysłano z Paryża. Była to dokładnie pierwsza rocznica morderstwa w drogerii i oto Walder wysłał poszukującemu go człowiekowi zawiadomienie o zmianie adresu. Przy pomocy takich właśnie karteczek członkowie wyższych sfer zawiadamiali swych przyjaciół i znajomych o przeprowadzce czy wyjeździe na wakacje. Możemy sobie wyobrazić, że komisarz, przeczytawszy list Waldera, z trudem uniknął apopleksji. Nie był to jednak koniec jego męczarni: oto przez długie jeszcze lata, co roku, dokładnie w rocznicę morderstwa w drogerii, policja paryska otrzymywała identyczne zawiadomienie od nieuchwytnego przestępcy, w dodatku za każdym razem wysyłane z któregoś ze stołecznych urzędów pocztowych, czasem o kilka kroków od siedziby komendy policji. Podajemy pełny tekst tego zawiadomienia:

„Walder-Proteus

Były Subiekt Drogerii Nieboszczyka Legrange'a ma zaszczyt zawiadomić, że przeprowadza się na Ulicę Ucieczki nr 0 w Paryżu”.

Przypomnijmy, że Proteus, bóstwo greckie, posiadał zdolność przybierania najróżnorodniejszych postaci...

Najlepiej zniknąć samemu

Fritz SAFFRAN i Erich KIPNIK

Fritz Saffran był młodym i powszechnie lubianym kierownikiem – jak byśmy dziś powiedzieli – dużego sklepu meblowego firmy „Platz i Spółka” w mieście zwanym wówczas Rastenburg, czyli w dzisiejszym Kętrzynie. (Rzecz dzieje się bowiem w dawnych Prusach Wschodnich w 1930 roku.) Wyglądało na to, że sklep pod sprawnym kierownictwem Saffrana prosperuje znakomicie i to w warunkach ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego. Były to jednak pozory, w rzeczywistości stał bowiem na granicy bankructwa, a winę za to ponosił właśnie kierownik. Chcąc zapewne zwabić jak najwięcej klientów, Saffran oferował sprzedaż ratalną na bardzo korzystnych warunkach. Zapewniało to dużą ilość transakcji, lecz nie przynosiło gotówki, zwłaszcza że klienci Saffrana, jak się dowiadujemy, dość niechętnie płacili raty. Nieszczęsny kierownik, który odpowiadał materialnie za powierzony mu sklep, chwycił się różnych sposobów zaradzenia złu, między innymi zaciągając pożyczki na lichwiarski procent. Miało to ten efekt, że wkrótce nie tylko sklep, ale i on sam był zadłużony po uszy. Wierzyciele naciskali, a i srogi pan Platz (zresztą teść Saffrana, który ożenił się z córką właściciela firmy, co miało mu zapewne pomóc w karierze) przebąkiwał, że nic nie pomogą rodzinne koneksje.

I oto pewnego dnia Saffran, jak zwykle studiując poranną gazetę, zauważył w niej notatkę o zbrodni niejakiego Kurta Tetznera, który usiłował wyłudzić sumę ubezpieczenia na życie, pozorując własną śmierć w płonącym samochodzie. Kierownik sklepu meblowego stwierdził, że z pewnymi modyfikacjami sposób ten mocna idealnie zastosować w jego własnej sytuacji, przystąpił zatem do działania.

Saffran miał kochankę, niejaką Ellę Augustin, która była kasjerką w jego sklepie. Romans ten utrzymywany był w ścisłej tajemnicy. Wszyscy wiedzieli, że Ella podkochuje się w kierowniku, lecz nikt z personelu nie miał pojęcia, że uczucie to jest odwzajemniane. Ella nie była ładna, miała natomiast silny charakter i określano ją

mianem „awanturnicy”. Bez oporów zgodziła się zostać współniczką Saffrana. Na trzeciego współnika wybrano głównego księgowego nazwiskiem Erich Kipnik, choć nie wiemy, jakich argumentów użył Saffran, by namówić go do uczestnictwa w zbrodni.

Modyfikacja sposobu Tetznera polegać miała na tym, że zwłoki – rzekomo ciało samego Saffrana – miały zostać spalone w sklepie. Było to niezwykle dogodne, jako że przy okazji spłonąłby towar i rachunki. (Jak wiemy, ta metoda bywa i dziś często stosowana przez kierowników, którym przytrafi się manko; na szczęście, nie widzą oni na ogół potrzeby umieszczania w sklepie zwłok ludzkich...). Rzekoma śmierć Saffrana była konieczna, bo tym samym pozbywał się on również i swych prywatnych długów.

Wspólnicy znaleźli opuszczoną chatkę w Puszczy Piskiej, gdzie Ella przesiadywała wieczorami, czekając na powrót mężczyzny z „polowania”. Tak bowiem można określić działalność Saffrana i Kipnika, którzy grasowali po okolicy samochodem, szukając odpowiedniej ofiary. Pewnego wieczoru zabrali ze sobą Ellę, której widać niezbyt odpowiadało samotne czekanie w lesie.

Wtedy to znaleźli pierwszego „kandydata”, który poprosił ich o podwiezienie w okolice wsi Sorkwity. Ledwo samochód ruszył, Kipnik zaczął bić nieznanego w głowę pałką. Tu jednak okazało się, że na tego typu „akcje” nie należy zabierać kobiet, nawet tych o pozornie „silnych nerwach”. Ella wpadła w histerię i zdenerwowani wspólnicy wypuścili swą ofiarę.

Nie wiemy, ilu jeszcze przypadkowych „autostopowiczów” cudem uniknęło strasznego losu. Podczas procesu Saffran opowiedział o człowieku, który – zabrany do samochodu – zdążył wyznać swym niedoszłym mordercom, że ma liczną rodzinę – sześcioro dzieci. Podobno podwieźli go na miejsce, nawet nie tknąwszy. Ponieważ jednak ta historyjka pochodzi od głównego oskarżonego, radzimy traktować ją z rezerwą.

Wreszcie 12 września 1930 roku, jadąc wieczorem którąś z wiejskich dróg, Saffran i Kipnik natrafili na idealnego kandydata. Osobnik ten, jak się później okazało 25-letni Friedrich Dahl, na swoje nieszczęście poinformował podczas jazdy uczynnego kierowcę i jego przyjaciela, że od pewnego czasu jest bezrobotny i włóczy się po okolicy, szukając pracy.

Nie wiemy, jak przebiegały dalsze wypadki. Saffran i Kipnik oskarżali się wzajemnie podczas procesu, nie zdołano zatem ustalić, który z nich zadał śmiertelny cios Dahlowi. Zaczął prawdopodobnie Kipnik, jeszcze podczas jazdy, dość że wkrótce połowa planu była wykonana.

Ciało Dahla zostało schowane w piwnicy opuszczonej chatki. Drugi etap akcji przewidziano bowiem dopiero na 15 września, kiedy to wspólnicy przewieźli zwłoki

do Kętrzyna i umieścili je na zapleczu sklepu. Następnie całe wnętrze sklepu zostało dokładnie oblane benzyną (zużyto do tego celu 100 litrów!) i podpalone. Budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Mimo późnej godziny na piętrach pracowało jeszcze 30 osób, które cudem uratowano z pożaru. Gdy wokół płonącego sklepu zgromadził się tłum, nagle z płomieni wybiegł Kipnik (który uprzednio przez nikogo nie zauważony dostał się do sklepu przez sąsiadujące z drzwiami okno). Stosownie osmalony i zdenerwowany, opowiadał, że Saffran, zauważywszy płomień wewnątrz sklepu, wbiegł do środka, chcąc ratować księgi rachunkowe. On sam, Kipnik, pobiegł za szefem i zdołał jeszcze zauważyć, jak ten chwieje się i pada. Gdy zgliszczka ostygła, w sklepie znaleziono niemal całkowicie zwęglone zwłoki. Nikt nie podejrzewał nawet, że cała sprawa mogła mieć inny przebieg, choć niewiele wcześniej Saffran ubezpieczył się wysoko na życie. Niewątpliwie zaważył tu fakt, że Kipnik doskonale odegrał swą rolę.

Sprawiedliwości miało się jednak stać zadość i to dzięki niewiarygodnie głupiemu błędowi morderców. Oto dwa dni po pożarze Ella Augustin zamówiła samochód z kierowcą, by – jak twierdziła – udać się do chorej matki do Królewca. Szofer, osobnik nazwiskiem Reck, podjechał pod dom Elli o godzinie trzeciej nad ranem i z najwyższym zdumieniem zobaczył, że wraz z Ellą do samochodu wsiada... Saffran (kierownik sklepu meblowego był postacią znaną w całym Kętrzynie, a o jego tragicznej śmierci wiedzieli wszyscy w okolicy). Mimo to Reck ruszył w drogę. Nie był, jak się można domyślać, orłem intelektu, skoro dopiero po ujechaniu kilkunastu kilometrów doszedł do oczywistego wniosku, że coś tu się nie zgadza. Bojąc się widać o swoją skórę (a podejrzenie o udział w przestępstwie istotnie mu groziło), zatrzymał samochód i kategorycznie zażądał, by Saffran wysiadł. Rzekomy nieboszczyk potulnie opuścił samochód, a Reck widział jeszcze, jak wolnym krokiem odchodzi w kierunku najbliższej wioski.

Wydawałoby się, że szofer powinien natychmiast zawiadomić policję. Czy jednak bał się uczynić, czy też jeszcze nie dotarło doń, że dysponuje dowodami przestępstwa, dość że nie zgłosił się na posterunek, lecz zaczął opowiadać o dziwnym zdarzeniu znajomym. Wśród nich znalazł się wreszcie ktoś rozsądny i wkrótce rozpoczęto poszukiwania Saffrana i Elli Augustin, która wysiadła z samochodu wraz z kierownikiem i również zniknęła.

Jak się okazało, Saffran udał się do Berlina, gdzie zatrzymał się u ubożego stolarza, kuzyna Elli. Planował ukraść dokumenty swego gospodarza i pojechać do Hamburga, gdzie mógł wsiąść na statek do Brazylii. Zdawał sobie widać sprawę z tego, że może być poszukiwany, postanowił bowiem unikać dużych dworców, gdzie – jak sądził – prowadzona będzie obserwacja. Poszedł więc piechotą do Spandau. Trzeba przyznać, że wybrał najgorsze z możliwych miejsc. Na dworcu zauważył go

bowiem i rozpoznał jego dawny kolega z wojska, który właśnie w Spandau czekał tego dnia na pociąg. Ponieważ gazety opublikowały właśnie list gończy, człowiek ten natychmiast zawiadomił policję. Saffran popijał właśnie kawę w poczekalni na dworcu w Wittemberdze, gdzie miał przesiadkę do Hamburga, gdy do budynku wkroczyła policja. Rzekomy nieboszczyk został aresztowany.

Dopiero teraz przeprowadzono dokładne badanie zwłok znalezionych w spalonym sklepie. Wyszło na jaw, że człowiek ten został spalony mniej więcej dwa dni po śmierci, a co więcej – że ciało przebywało w ziemi przez owe dwa dni. Pierwsza myśl, jaka nasunęła się prowadzącemu śledztwo, doprowadziła do przeszukania okolicznych cmentarzy. Sądzono bowiem, że Saffran, Kipnik i panna Augustin wykopali jakieś zwłoki. Ponieważ jednak żaden grób nie nosił śladów naruszenia, postanowiono uciec się do dość oryginalnego sposobu ustalenia tożsamości zabitego, a mianowicie opublikowano rysunek przedstawiający jego uzębienie (jedyny fragment zwłok, jaki nadawał się do identyfikacji) w czasopiśmie stomatologicznym, wraz z wezwaniem o pomoc, skierowanym do dentystów. Okazało się, że Dahl istotnie leczył sobie zęby. Wkrótce zgłosił się jego dentysta i w ten sposób ciało zostało zidentyfikowane. Nie ulegało zatem wątpliwości, że trójka współników powinna odpowiadać za zabójstwo.

Stanęli oni przed sądem w Bartoszycach dnia 23 marca 1931 roku. Oskarżono również o współudział nieszczęsnego szofera Recka, który jednak został uniewinniony gdyż, zarówno jego ociężałość umysłowa, jak i szczerść zeznań nie budziły wątpliwości. Natomiast Saffran i Kipnik, choć przyznali się do zaplanowania i wykonania zbrodni, przez cały czas trwania rozprawy usiłowali zrzucić winę na siebie nawzajem (jak wspomnieliśmy, do końca nie ustalono stopnia winy każdego z nich). Jak donoszą sprawozdawcy sądowi, wyjątkowo nieprzyjemny moment miał miejsce, gdy na sali pojawiła się wdowa po zamordowanym Friedrichu Dahlu. Saffran i Kipnik zaczęli natychmiast przekrzykiwać się, składając pod jej adresem głośne błagania o wybaczenie. Było to tak niesmaczne, że wreszcie prokurator warknął: „Dość tego teatru!”. Oskarżonych uciszono. Ella Augustin, powodowana zapewne miłością do Saffrana, do końca twierdziła, że mordercą jest Kipnik. Ten zaś, ponieważ słusznie, utrzymywał, że jest z gruntu porządnym człowiekiem i do zbrodni namówiony został przez Saffrana, który tym samym zrujnował mu życie.

Obaj zostali skazani na śmierć, karę zamieniono jednak na dożywotnie więzienie. Biorąc pod uwagę późniejsze wydarzenia na terenie Prus Wschodnich, można przypuszczać, że nie odbyli jej do końca. Ella Augustin została skazana na 5 lat pozbawienia wolności.

Kurt Erich TETZNER

Kurt Erich Tetzner był prekursorem na skalę europejską sposobu pozorowania własnej śmierci przez podpalenie samochodu, w którym rzekomy nieboszczyk umieszcza zwłoki zamordowanego przez siebie przygodnego pasażera.

Pewną modyfikację tej metody stanowiła zbrodnia naszych znajomych z Prus Wschodnich, Saffrana i Kipnika.

Nie mamy wielu wiadomości o życiu Tetznera przed popełnieniem zabójstwa. Wszystko wskazuje jednak na to, że był on osobnikiem uczuciowo chłodnym, bezwzględny i powodowany wyłącznie chęcią zysku. W aktach zachowała się informacja o „korzystnym” posunięciu Tetznera, które miało miejsce na krótko przed zabójstwem, a które przyniosło mu spory zysk. Warto chyba przytoczyć tę historię.

Otóż teściowa Tetznera chorowała na raka. „Kochający” zięć odradzał jej jednak poddanie się operacji, posługując się znanymi argumentami znachorów i ignorantów, które przyczyniły się już do śmierci wielu pacjentów obawiających się operacji wtedy, gdy mogła ich ona uratować. Starsza pani uległa namowom zięcia i zrezygnowała z udania się do szpitala. Wtedy Tetzner szybko ubezpieczył teściową na życie na sumę 10 tysięcy marek, po czym zupełnie zmienił front. Jak przedtem gorąco odradzał operację, tak teraz równie gorąco namawiał starszą panią na poddanie się zabiegowi. Ta zmiana przekonań o 180 stopni była prawdopodobnie spowodowana trzeźwą oceną sytuacji: minęło w końcu parę miesięcy, choroba nowotworowa rozwinęła się już zapewne tak, że operacja nic już nie pomoże, raczej przyspieszy śmierć teściowej, a odszkodowanie przecież czeka. Nieszczęsna kobieta znów dała się przekonać. Zgodnie z przewidywaniami Tetznera było już jednak za późno i starsza pani zmarła w trzy dni po operacji. Zięć niezwłocznie odebrał sumę ubezpieczenia.

Łatwość, z jaką zdobył poważną kwotę, najwyraźniej natchnęła Tetznera myślą, że w ten lub podobny sposób mógłby z powodzeniem zarabiać na życie, nie trudząc się zbytnio. Niestety, w rodzinie nie było już żadnej ciotki chorej na raka, a zamordowanie jakiegoś kuzyna wydało się widać Tetznerowi zbyt ryzykowne. To samo dotyczyło znajomych, których nagła śmierć w połączeniu z faktem, że to on właśnie wykupił ubezpieczenie, mogłaby wzbudzić podejrzenia.

Szukanie nowego sposobu zajęło Tetznerowi zaledwie dwa czy trzy miesiące. Wreszcie postanowił upozorować własną śmierć. Odszkodowanie otrzymałaby wówczas jego żona, a nikt nie podejrzewałby przecież, że zginął celowo, by zapewnić jej dostatnie życie. Taki plan wymagał wtajemniczenia żony, co też Tetzner uczynił. Kobieta, która nie wiedziała nic o udziale męża w śmierci jej matki, chętnie przystała na jego propozycję. Wiele wspólnych wieczorów w zaciszu domowym państwo

Tetzner spędzili, dyskutując nad szczegółami planu. Pani Tetzner zaproponowała najpierw wykopanie zwłok ze świeżego grobu na jakimś cmentarzu (a właśnie sposób zdobycia ciała mającego później odegrać rolę Tetznera był przedmiotem najgorętszych dyskusji). Jednak jej mąż wyśmiał ten pomysł. Jak słusznie twierdził, na miejscu rzekomego wypadku musi być „dużo krwi i to świeżej”. Nie było innego wyjścia, Tetzner musiał znaleźć odpowiednią ofiarę i jej zwłoki umieścić w swym samochodzie. Zdecydował bowiem, że wypadek samochodowy będzie najlepszym sposobem upozorowania własnej śmierci. Jeśli samochód zostanie podpalony, ze zwłok pozostanie niewiele, a szczątki te rozpozna zrozpaczona małżonka.

Tetzner zaczął więc poszukiwać owego „towarzysza podróży”. Najpierw dał ogłoszenie do gazety: „Komiwojażer odbywający liczne podróże po całym kraju własnym samochodem osobowym poszukuje towarzysza i zmiennika”. W odpowiedzi na ten anons Tetzner otrzymał kilka ofert, lecz tylko jeden z kandydatów odpowiadał jego wymaganiom: samotny, młody (a więc w wieku Tetznera), podobnej budowy i wzrostu. Kandydat ów został już prawie „zaangażowany”, lecz w ostatniej chwili wycofał się, jakby wiedziony przecuciem, które – o czym później miał się dowiedzieć – uratowało mu życie. Zachowanie i wypowiedzi Tetznera wydały mu się bowiem dziwne – przyszły chlebodawca spoglądał nań dość łakomie i nie miał pojęcia o branży, w której rzekomo pracował.

Tak więc Tetzner rozpoczął „polowanie” na bocznych drogach. Jeździł wieczorami, szukając „autostopowiczów” zupełnie tak samo, jak w kilka miesięcy potem Saffran i Kipnik. Pewnego dnia był o krok od powodzenia, zabrał bowiem do samochodu pewnego mechanika nazwiskiem Alois Ortner, który wydał mu się idealnym kandydatem. Ponieważ Tetzner podróżował samotnie, musiał zatrzymać samochód przed przystąpieniem do kolejnego punktu „programu”. Korzystając z tego, że pasażer jest mechanikiem – o czym dowiedział się z rozmowy – poprosił go o sprawdzenie, czy z samochodu nie wycieka olej. Było to o tyle rozsądne, że walka z przyszłą ofiarą wewnątrz samochodu mogła skończyć się źle dla Tetznera z powodu ciasnoty, należało więc wywabić ofiarę na zewnątrz. Sytuacja zaś, w której ofiara leży pod samochodem, słusznie wydała się Tetznerowi wprost idealna.

Ortner, wdzięczny za podwiezienie, ochoczo wlaź pod samochód, nie znalazł jednak miejsca przecieku. Gdy usiłował wstać i właśnie wyczołgał się spod pojazdu, otrzymał pierwszy cios młotkiem, który Tetzner w międzyczasie wy dobył z bagażnika. Wydawałoby się, że przy tak nierównych szansach los Ortnera jest przesądzony. Mechanik bronił się jednak dzielnie, a w pewnym momencie, wytrąciwszy Tetznerowi młotek z ręki, zaczął nawet zdobywać przewagę. Wtedy to niedoszły morderca wskoczył do samochodu i pospiesznie odjechał. W chwilę później Ortner padł nieprzytomny.

Zakrwawiony, z licznymi obrażeniami, zdołał wreszcie dotrzeć na policję w pobliskim Ingolstadt. Tu jednak spotkał go srogi zawód. Nie uwierzono w jego dramatyczną opowieść, a nawet aresztowano go, podejrzewając, iż próbował zatrzymać jakiś przejeżdżający samochód i obrabować jego pasażerów. Na usprawiedliwienie policjantów z Ingolstadt trzeba dodać, że istotnie grasował wówczas na tamtym terenie rabuś zatrzymujący samochody. Cóż, po pewnym czasie Ortnera trzeba było przeprosić, wypuścić, a nawet wypłacić mu odszkodowanie za straty moralne. Zeznawał on później na procesie Tetznera.

W nocy 25 listopada 1929 roku Tetzner zabrał do samochodu wędrownego robotnika sezonowego. Tym razem kandydat był naprawdę idealny: miał 21 lat, był zupełnie samotny, a w dodatku nie wyglądał na siłacza (po przygodzie z Ortnerem Tetzner miał się już na baczności). Chłopak był w dodatku lekko ubrany i skarżył się na przejmujący chłód, co stanowiło wprost wymarzony pretekst do zatrzymania samochodu. „Zaraz dam ci coś do przykrycia” – mruknął zabójca, po czym istotnie owinał swego pasażera płaszczem krępując mu ramiona i udusił przy pomocy sznura, który zawsze trzymał pod ręką, udając się na „polowanie”. Następnie umieścił ciało na podłodze i ruszył w dalszą drogę, szukając miejsca do podpalenia samochodu. Trafił pod miejscowość Ettershausen w Bawarii. Okolice była o tej porze zupełnie wyludniona, a do miasta było niedaleko. Tetzner nie chciał przemęczać się długim spacerem na najbliższy dworzec, zależało mu też na szybkim zniknięciu z miejsca „wypadku”. Ostrożnie, nie zamierzając ryzykować własnym życiem, wjechał na przydrożne drzewo, po czym oblał samochód benzyną z przygotowanego kanistra, dla większego efektu otworzył wlew paliwa (co było zresztą poważnym błędem) i rzucił w kierunku pojazdu palącą się zapalkę. Natychmiast buchnęły płomienie, a Tetzner nie czekając na dalszy rozwój wypadków ruszył w drogę.

Płonący samochód widoczny był z oddali, wkrótce też na miejsce przybyła straż pożarna i policja, Ogień został ugaszony i przystąpiono do badania zwłok znajdujących się na siedzeniu kierowcy. Wkrótce ustalono, kto był właścicielem pojazdu. Wezwano żonę Tetznera, delikatnie uprzedzając ją, że mąż miał dość przykry wypadek. Kobieta wiedziała, co ją czeka, widok był jednak tak okropny, że zemdląca, co – choć było efektem niezamierzonym – znakomicie powiększyło wiarygodność jej późniejszego zeznania: w tragicznie zmarłym rozpoznała swego ukochanego męża. (Warto wspomnieć, że ubezpieczenie, jakie zawarł tuż przed wypadkiem, miało przynieść jej ponad 20 tysięcy marek.)

Towarzystwo ubezpieczeniowe, jak to się często zdarza w przypadkach nagłej śmierci któregoś z klientów, zwłaszcza tych, którzy zawarli ubezpieczenie niedawno, i to na wysoką sumę, przeprowadziło jednak własne śledztwo. Pewne szczegóły wydały się podejrzane, jak na przykład brak korka od wlewu paliwa, a może i

niezachwiana pewność, z jaką pani Tetzner rozpoznała zwłoki męża mimo ich niemal całkowitego zwęglenia. Dlatego też podjęto dokładną obserwację poczyną „wdowy”, co doprowadziło w końcu do klęski Tetznera w wyniku jego niewybaczalnego błędu.

Otóż pani Tetzner nie miała telefonu w mieszkaniu, co było okolicznością korzystną dla śledzących ją detektywów. Wykryli oni mianowicie, że wkrótce po wypadku „wdowa” dwukrotnie była proszona do telefonu do sąsiadów, co dotąd nigdy się nie zdarzało. Bez trudu stwierdzono, że jej rozmówcą był niejaki pan Stranelli, który dzwonił ze Strasburga. Okazało się, że nikt nie słyszał o znajomym pani Tetzner, który nosiłby to nazwisko i mieszkał w tym właśnie mieście. Skontaktowano się zatem z policją francuską, choć bowiem sam telefon niczego jeszcze nie dowodził, należało sprawdzić tożsamość tajemniczego rozmówcy. Okazał się nim być Tetzner, który zatrzymał się w jednym z miejscowych hoteli pod nazwiskiem Stranelli i ciekaw rozwoju wypadków po swej „śmierci”, nie wytrzymał i skontaktował się z żoną.

Zabójca został aresztowany i przewieziony do Niemiec. Podczas pierwszego przesłuchania popełnił kolejny błąd, przyznając się do zabójstwa z premedytacją. Po pięciu miesiącach aresztu zmienił swe zeznania: utrzymywał teraz, że przejechał nieznanego, po czym postanowił wykorzystać jego zwłoki, by wyłudzić odszkodowanie. Gdyby przyjęto tę wersję, Tetzner mógłby liczyć na znacznie niższy wymiar kary. Opamiętał się jednak zbyt późno. Choć bowiem biegli występujący na rozprawie, która odbyła się w początkach 1931 roku w Ratyzbonie, uznali taką wersję przebiegu wypadku za możliwą, poprzednie przyznanie się do winy przeważało na jego niekorzyść. Stracony został w Ratyzbonie 2 maja 1931 roku, a przed śmiercią opowiedział prawdziwy przebieg zabójstwa.

Ofiary Tetznera nigdy nie zidentyfikowano.

Kochające dzieci

Mary BLANDY

Mary Blandy urodziła się w 1720 roku w miejscowości Henley-on-Thames. Jej ojciec był więzionym, i zamożnym adwokatem, ona sama zaś ładną i sympatyczną dziewczyną. Jeśli dodać do tego jeszcze, że jej posag wynosił około 10 tysięcy funtów, można było się spodziewać, że Mary szybko i korzystnie wyjdzie za mąż, gdy tylko osiągnie odpowiedni po temu wiek.

Tak się jednak nie stało. Kandydatów było wprawdzie wielu, wszyscy jednak zostali odrzuceni i to nie przez Mary, która nie była chyba osobą kapryśną, lecz przez jej ojca. Mecenas Blandy miał bowiem, jak się zdaje, dość wygórowane ambicje, jeśli chodzi o karierę małżeńską córki, co doprowadziło do tego, że ładna, miła i bogata Mary została starą panną: w tamtych czasach wiek 26 lat był już poważnie zaawansowany, a szansę na zamążpójście malały z każdym dniem.

W tym właśnie momencie w życie Mary wkroczył nie byle kto, a mianowicie arystokrata William Henry Cranstoun, piąty syn szkockiego para. Chłubił się koneksjami z najlepszymi rodzinami Anglii, lecz była to chyba jego jedyna zaleta. Nie był przystojny, był niski, piegowaty i niezgrabny. Nie grzeszył również zamożnością, był poważnie zadłużony, a ponieważ w kolejce do tytułu i majątku wyprzedzało go czterech starszych braci, nie miał najlepszych widoków na przyszłość.

Mary jednak zakochała się w nim natychmiast, zmęczona być może tak długim wyczekiwaniem na męża. Polubiła go także ogromnie matka dziewczyny i dzięki jej protekcji spędził sześć miesięcy w domu państwa Blandy w Henie, co było dlań niewątpliwie korzystne ze względów finansowych.

Ojciec Mary odnosił się do konkurenta dość zyczliwie, dopóki nie dotarła do jego uszu wiadomość, skrzętnie dotychczas ukrywana, o pewnej drobnej przeszkodzie, uniemożliwiającej jego małżeństwo z Mary: Cranstoun był już żonaty. Wprawdzie od dawna nie żył z żoną i rozповідаł, że była tylko jego kochanką, lecz z prawnego

punktu widzenia jego stan cywilny nie ulegał wątpliwości. Porzucona pani Cranstoun wystąpiła wreszcie do sądu przeciwko swemu mężowi i wygrała sprawę, zyskując jeśli nie pieniądze na utrzymanie, to przynajmniej nadzieję na ich zdobycie.

Przy okazji historia małżeństwa Cranstouna zyskała rozgłos, a gdy pan Blandy dowiedział się o niej, chciał wyrzucić oszukańczego konkurenta ze swego domu. Powstrzymały go jednak Mary i jej matka, które nie straciły wiary w uczciwość zamiarów ich lokatora. W dodatku pani Blandy wkrótce potem ciężko zachorowała, co okazało się okolicznością szczęśliwą dla Cranstouna, gdyż domagała się jego nieustannej obecności przy swym łożu. Tak więc, mimo niechęci teścia in spe, kandydat do ręki Mary zapewnił sobie wikt i opierunek na następne pół roku.

Niestety, w 1749 roku pani Blandy zmarła (nie ma żadnych powodów, by przypuszczać, że jej śmierć nie została spowodowana przyczynami naturalnymi) i wtedy dopiero pan Blandy zaczął otwarcie okazywać Cranstounowi swą niechęć. Wkrótce też niefortunny kandydat na męża Mary zmuszony był opuścić domu w Henley. Nie został jednak wygnany przez krewkiego adwokata, lecz aresztowany, gdyż nie płacił alimentów swej żonie.

Zwolniono go wkrótce, ale do Henley już nie powrócił. Odwiedzał jednak często „narzeczoną”, a spotykali się na ogół potajemnie, by uniknąć gniewu pana Blandy. Podczas jednego z tych spotkań Cranstoun opowiedział Mary o proszku miłosnym, jaki umiał przyrządzać pewien szkocki zielarz. Proszek ten miał wpłynąć na pana Blandy, by ten odnosił się bardziej przyjaźnie do ukochanej córki. Mary wysypała nieco proszku do herbaty ojca, który rzeczywiście stał się jakby bardziej życzliwy wobec Cranstouna. Ta cudowna zmiana nie trwała jednak długo.

Mniej więcej w tym samym czasie Mary odkryła, że Cranstoun utrzymuje w Londynie kochankę. Wydaje się, że nieszczęsna panna Blandy była osobą wyjątkowo łagodną i potulną, gdyż natychmiast wybaczyła narzeczonemu również i to, gdy tylko zapewnił ją, że bez zwłoki zerwie tę znajomość. Nie sprawdzała nawet, czy rzeczywiście tak zrobił.

Ujawnienie jego londyńskich uciech musiało widać zdenerwować Cranstouna, gdyż stanowiło kolejną przeszkodę w zdobyciu ręki – i posagu – Mary Blandy. Winiąc za swe niepowodzenia przede wszystkim, a może wyłącznie pana Blandy, który teraz szalał z wściekłości na samą wzmiankę o nim, Cranstoun zaczął namawiać Mary, by otruła ojca. Możliwe zresztą, że sam zaczął przysyłać jej truciznę, twierdząc, że jest to kolejna porcja „proszku miłosnego”. To ostatnie tłumaczenie wydaje się bardziej prawdopodobne, gdyż na podstawie tego, co wiemy o charakterze Mary, trudno przypuszczać, by z premedytacją podawała ojcu truciznę. Dalsze wypadki zdają się jednak wskazywać, że w którymś momencie zorientowała się, jakie działanie ma czarodziejski proszek i bynajmniej nie powstrzymało jej to przed stosowaniem go.

Truczna przybyła wraz ze sznurem koralu, w pudełeczku z napisem „Proszek do czyszczenia koralu”. Był to czerwiec 1751 roku. Wkrótce pan Blandy zaczął chorować.

Na nieszczęście dla Mary trucie ojca nie szło gładko. Można sądzić, że głównym tego powodem była jej wyjątkowa nieudolność w roli trucicielki. Oto kilka przykładów.

Pewnego dnia pan Blandy wypił zaledwie pół szklanki herbaty zawierającej truciznę. Resztę wypił służący, który poważnie się rozchorował. Truciciel znający się na rzeczy zadbałby o to, by nie zdarzały się takie przypadki. O jeszcze większej nieostrożności Mary świadczy sprawa z owsianką. Pan Blandy miał poważny nawrót choroby po zjedzeniu kilku łyżek zupy. I tym razem Mary nie przedsięwzięła oczywistego środka ostrożności, jakim byłoby wylanie pozostałej owsianki. Na zawartość talerza połakomiła się z kolei kucharka i wkrótce również zwijała się w bólach. Wreszcie pokojówka Susan nabrała podejrzeń, że zupa była zatruta. Talerz z resztką owsianki na dnie stał ciągle w kuchni! Susan zjadła parę łyżek, po których chorowała kilka dni. Gdy nieco wydobrzała, zaniósła talerz wraz z resztkami do apteki, gdzie przeprowadzono analizę. Otrzymawszy wyniki, poinformowała w tajemnicy pana Blandy, że córka usiłuje go otruć. Zdołała nawet zauważyć, jak Mary wsypywała coś do posiłku.

Pan Blandy przyjął tę hiobową wieść nadspodziewanie dobrze, ale wkrótce dał córce do zrozumienia, że ją podejrzewa. Mary wpadła w panikę. Pobieгла do kuchni, niosąc wszystkie listy od Cranstouna oraz resztkę „miłosnego proszku” i na oczach kucharki wrzuciła to wszystko do ognia. Nie poczekała jednak, aż ogień strawi dowody winy. Po jej wyjściu kucharka wydobyła z płomieni nienaruszone pudełeczko z trucizną.

Tymczasem stan pana Blandy pogarszał się gwałtownie. Wezwano lekarza z Reading, który zbadawszy chorego, natychmiast wygłosił opinię, że chodzi tu o otrucie. Poinformowany o sytuacji przez uczynną i również poszkodowaną służbę, przeprowadził z Mary poważną rozmowę, ostrzegając ją, że jeśli ojciec umrze, sytuacja jej będzie co najmniej niejasna. Mary wpadła w jeszcze większą panikę, a to, co zrobiła, świadczy o jej niewiarygodnej głupocie. Napisała mianowicie do Cranstouna, ostrzegając go i prosząc, by spalił wszystkie jej listy, stanowiące niezaprzeczalne dowody jej winy. Opisała przy tym sytuację, w jakiej się znalazła, tak otwarcie. Cóż jednak nastąpiło dalej? Otóż Mary, zamiast pofatygować się osobiście na pocztę, by wysłać list, dała go komuś ze służby. Zbrodnia Mary była, oczywiście, już od dłuższego czasu głównym tematem dyskutowanym w pokojach dla służby, tak że nawet najędźniejszy parobek doskonale znał wszystkie szczegóły. Nic więc dziwnego, że list Mary nigdy nie dotarł do Cranstouna, a nawet na pocztę. Służący,

nie wiedząc, do kogo powinien się udać, odniósł go aptekarzowi, który badał najpierw resztki owsianki, a potem proszek uratowany przez kucharkę z płomieni. Stwierdził w obu próbkach zawartość dużej dawki arszeniku, co zgadzało się z opinią specjalisty z Reading.

Jak można sądzić ze stosunku pana Blandy do córki, był on człowiekiem zarozumiałym, egoistą i głupcem. Jednakże ostatnie chwile życia w znacznym stopniu go rehabilitują. Wezwał mianowicie Mary, powiedział jej, że wie o truciznie i wybacza, ostrzegając jedynie, by miała się na baczności przed Cranstounem. Wkrótce potem, w środę 14 sierpnia 1751 roku, zmarł.

Mary Blandy została aresztowana pod zarzutem spowodowania jego śmierci przez otrucie arszenikiem. Jakby dopiero teraz pojęła, co się stało, usiłowała bronić się, zrzucając winę na Cranstouna, co jednak nie udało się, choć wielu wierzyło w jej niewinność. Stała przed sądem przysięgłych w Oxford.

Prokurator wezwał na świadków dwie służące, których zeznania poważnie obciążły Mary, lecz wywołały przeciwny od zamierzonego skutek w postaci gwałtownego wzrostu sympatii do oskarżonej wśród przysięgłych i publiczności. Obie bowiem wykazywały tak wiele niechęci i złośliwości wobec Mary, że ze współczuciem rozważano, jak straszne musiało być jej życie wśród osób tak nieżyczliwych.

Obrona powołała szereg świadków, którzy opowiadali o łagodności Mary i o jej serdecznych stosunkach z ojcem. Sama oskarżona utrzymywała, że do końca była przekonana, iż podaje ojcu „proszek miłosny”, mający na celu zmianę jego stosunku do Cranstouna. Przysięgli nie dali jednak wiary temu twierdzeniu i po pięciominutowej naradzie jednogłośnie uznali Mary winną zarzucanego jej czynu. Nieudolna trucicielka została skazana na śmierć i stracona w 1752 roku.

Drugi główny bohater tej sprawy, William Cranstoun, zdołał zbiec za granicę przed rozpoczęciem procesu. Zmarł wkrótce potem w nędzy.

Warto jeszcze wspomnieć, że podczas rozprawy wyszło na jaw, iż cały majątek pana Blandy wynosił zaledwie 4 tysiące funtów, zaś owe 10 tysięcy, które miała otrzymać Mary w posagu, było tworem wyobraźni jej ojca, czy też może sposobem zwabienia odpowiedniego kandydata na męża.

Lizzie BORDEN

Amatorzy telewizyjnych „kryminałów” pamiętają być może emitowany wiele lat temu film o Lizzie Borden, której sprawa, nigdy nie wyjaśniona do końca, wzbudziła w swoim czasie wielkie zainteresowanie. Autorzy wspomnianego filmu nie mieli

wątpliwości co do winy Lizzie Borden, jednakże w annałach kryminologii sprawa ta figuruje jako nie rozwiązana.

Na początek nakreślmy w kilku słowach postać głównej bohaterki. W chwili, gdy doszło do zbrodni, Lizzie Borden miała 32 lata i była panną, a ponieważ rzecz działa się w 1892 roku, możemy nazwać ją starą panną. Mieszkała w małym miasteczku w stanie Massachussets i przejawiała pewne talenty artystyczne: malowała ponoć piękne obrazki na porcelanie. Ponadto interesowała się sztuką i odwiedzała galerie w Waszyngtonie. Udzielała się też społecznie, nauczyła w szkółce niedzielnej, była sekretarzem miejscowego stowarzyszenia chrześcijańskiego, członkinią klubu hodowców kwiatów i owoców, wreszcie prezeską Chrześcijańskiej Unii Abstynentek.

Ojciec Lizzie, 69-letni bankier Andrew Jackson Borden, był człowiekiem dość zamożnym, a przy tym bardzo oszczędnym. Zajmował skromny, piętrowy budynek przy Second Street w Fall River w Massachussets. Była to wąska kamieniczka, stojąca tuż przy ulicy, w szeregu podobnych domów. Rodzina Bordenów zajmowała ją od dwudziestu lat.

Wraz z panem Borden mieszkała tam jego druga żona (pierwsza, matka Lizzie, zmarła przed kilku laty) oraz dwie córki. Pani Abby Borden miała 42 lata i była zaledwie rok starsza od jednej z córek swego męża, Emmy, zaś o dziesięć lat od Lizzie. Obie panny Borden nie wyszły za mąż i mieszkały przez całe życie z ojcem. Gdy ten po śmierci ich matki sprowadził do domu nową żonę, natychmiast zaczęły się konflikty.

Emma i Lizzie uwielbiały matkę, a ponowny ożenek ojca odczuły jako zdradę jej pamięci. Możemy zatem wyobrazić sobie, jaką niechęć żywiły do macochy, jeśli w sześć lat po tym, jak Abby Borden zamieszkała przy Second Street, córki jej męża z uporem zwracały się do niej „pani Borden”.

3 sierpnia 1892 w domu przy Second Street zjawił się gość – brat pierwszej pani Borden, a więc wuj Emmy i Lizzie, niejaki John Vinnicum Morse. Miał on pozostać w Fall River przez kilka miesięcy. „Dziewczęta” – jak nazywano Emmę i Lizzie siłą przyzwyczajenia – przyjęły go radośnie, lecz pan i pani domu nie byli nawet w stanie zejść do salonu na powitanie gościa. Oboje chorowali od kilku dni na żołądek, co objawiało się bólami i wymiotami. Później stwierdzono, że w końcu lipca Lizzie Borden zakupiła w aptece większą ilość kwasu pruskiego, co mogło, choć nie musiało mieć związku z chorobą jej ojca i macochy.

O godzinie 9-iej rano dnia 4 sierpnia Lizzie samotnie zjadła śniadanie przy kuchennym stole, gdyż Emma pojechała do przyjaciół do oddalonego o 15 mil Fairhaven. Śniadanie było zresztą wyjątkowo skromne, Lizzie poprosiła tylko o filiżankę kawy, tłumacząc służącej, Bridget Sullivan, że upał odbiera jej apetyt. (Lizzie jadła zazwyczaj bardzo obfite śniadania). Tego ranka pan Borden poczuł się

znacznie lepiej, wyszedł więc z domu, by załatwić szereg spraw, zaniedbanych w czasie choroby. Wuj Morse po śniadaniu udał się na poranną przechadzkę, zaś pani Borden, również czując się lepiej, zarządziła domowe porządki i wydała służącej Bridget Sullivan polecenie umycia okien.

Dziewczyna posłusznie, choć zapewne niezbyt chętnie (tego dnia panował istotnie wyjątkowy upał) zajęła się oknami. O 10.45 przerwała pracę, usłyszawszy dzwonek do drzwi. W domu Bordenów panował zwyczaj starannego zamykania i ryglowania drzwi wejściowych nawet w dzień, służąca musiała zatem otworzyć swemu chlebodawcy. Pan Borden, osłabiony jeszcze po chorobie, był zgrzany i zmęczony, postanowił zatem położyć się na kanapie w salonie na parterze, by nieco się zdrzemnąć. Bridget Sullivan, zamknawszy drzwi za swym panem, powróciła do mycia okien. Zanim jednak wyszła z hallu, ujrzała u szczytu schodów Lizzie Borden, która spojrzawszy na ojca zachichotała cicho. Pan Borden spytał o swą żonę, córka zaś poinformowała go, że Abby wyszła, otrzymawszy wiadomość o chorobie przyjaciółki. Służącej wydało się to raczej dziwne, nie słyszała bowiem, by ktokolwiek wychodził z domu. Pobiegnęła jednak do swej pracy, nie zastanawiając się nad tym dłużej.

Na szczęście dom Bordenów nie miał wielu okien, a więc już o wpół do dwunastej Bridget ukończyła mycie. W domu panowała cisza, a ponieważ sądziła, że jej pani wyszła, nie groziły jej chwilowo inne obowiązki. Postanowiła więc położyć się na pół godziny w swoim pokoiku na poddaszu. Zdążyła już zapaść w drzemkę, gdy o 11.45 obudził ją krzyk panny Lizzie:

– Bridget! Zejdź szybko na dół! Ktoś zabił ojca!

Lizzie wysłała służącą po doktora Bowena, mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Lekarz był w domu i zgodził się przyjść natychmiast. Wraz z nim do domu Bordenów wbiegła sąsiadka, niejaka pani Churchill, którą Bridget spotkała po drodze. Ta właśnie kobieta miała w ciągu paru minut odkryć drugie zwłoki. Ciało pani Borden znajdowało się w nie używanym pokoju gościnnym na piętrze.

Obojgu Bordenom zadano potworne ciosy w głowę przy pomocy narzędzia przypominającego siekiere (nie znaleziono jej nigdy). Sądząc z ułożenia zwłok, oboje spali prawdopodobnie w chwili, gdy padł pierwszy cios.

Ich twarze zostały niemal posiekane na kawałki, rysów nie można było rozpoznać.

Przeprowadzono staranne badanie zwłok, ówczesna wiedza medyczna, choć znacznie skromniejsza od obecnej, pozwoliła jednak na ustalenie, że zabójstw dokonano w odstępie około półtorej godziny. Nieszczęsny pan Borden był już zatem wdowcem, gdy powrócił do domu tego przedpołudnia, pani Borden zginęła bowiem pierwsza.

W sprawie tej było bardzo niewielu podejrzanych. Już 11 sierpnia – a fakt, że upłynął tydzień od zbrodni, można tłumaczyć niewiarą policji w możliwość tak strasznego czynu – Lizzie Borden została aresztowana pod zarzutem zabójstwa ojca i macochy. Za jej winą przemawiało wiele obciążających okoliczności.

Przede wszystkim znany był powszechnie wrogi stosunek Lizzie do rodziców. Nie byłoby to wystarczającą podstawą do aresztowania, lecz zeznania Lizzie, od pierwszego dnia traktowanej jako główna podejrzana, zawierały wiele sprzeczności i niejasności. Przede wszystkim nie udało się odnaleźć przyjaciółki pani Borden, która właśnie tego ranka miała wysłać liścik z prośbą o odwiedzin i opiekę w chorobie, bo tak się akurat złożyło, że wszystkie przyjaciółki zamordowanej były zupełnie zdrowe. Co więcej, przesłuchiwana kilkakrotnie Lizzie za każdym razem udzielała innej odpowiedzi na pytanie, gdzie znajdowała się tuż przed odkryciem zwłok: „odpoczywałam w stodole”, „byłam w stodole przez pół godziny”, „byłam w stodole przez 10 minut”, „szukałam kawałka żelaza w stodole”, „szukałam ciężarka do wędki”, „byłam w stodole, kiedy usłyszałam dziwne odgłosy, jakby drapanie”... Twierdziła dalej, że to właśnie owe odgłosy skłoniły ją do wejścia do domu, gdzie znalazła zwłoki ojca, choć poprzedniego dnia utrzymywała, że zbrodnię odkryła zupełnie przypadkowo. Wyszło też na jaw, że Lizzie następnego dnia po tragedii spaliła jedną ze swych sukien. Nasuwało się zatem przypuszczenie, że przebrała się przed i po dokonaniu morderstwa, a zaplamioną krwią odzież ukryła do chwili, gdy policja opuściła dom. Lekarze twierdzili stanowczo, że ubranie zabójcy musiało być zalane krwią, ponieważ potworne ciosy sprawiały, iż krew rozpryskiwała się na wszystkie strony.

Na spokojnej, cichej uliczce bez trudu zauważa się obcego człowieka. Nikt z sąsiadów nie widział tego ranka, by ktoś obcy wchodził do domu Bordenów czy też go opuszczał. Choć człowiek taki mógł, rzecz jasna, zostać przeoczony, stanowiło to jednak argument na niekorzyść Lizzie.

Najbardziej może obciążający był fakt, że na 24 godziny przed zbrodnią Lizzie Borden nagle odkryła w sobie zdolności jasnovidzenia. Oto poprzedniego dnia przy śniadaniu ponurym głosem przepowiedziała straszny koniec dla całej swej rodziny. Policja uznała, że przepowiednia ta sprawdziła się zdecydowanie zbyt szybko.

Proces Lizzie Borden rozpoczął się 1 czerwca 1883 roku w New Bedford w stanie Massachusetts. Rozprawie przewodniczył Prezes Sądu Najwyższego Mason, co dowodzi, jaki rozgłos zdobyła ta sprawa. W procesie uczestniczyło też wiele innych znakomitości, wśród nich George Robinson, były gubernator stanu, który bronił oskarżonej.

Robinson prowadził obronę ze swadą i sprytem. Zdołał wydobyć z Bridget Sullivan informację, iż kuchenne wejście do domu mogło być otwarte owego

fatalnego ranka i na tej podstawie stworzył całkiem zgrabną teorię, iż zabójstwo popełnił jakiś włóczęga o morderczych skłonnościach. Ponadto Robinson opierał się na fakcie, iż w domu nie znaleziono siekiery, która mogłaby stanowić narzędzie zbrodni. Było to, co prawda, niezupełnie ściśle, jako że na półce przy kuchennym piecu odkryto osmalone ostrze siekiery, której drewniany trzonek został prawdopodobnie wypalony, jakby siekiere wrzucono do ognia w całości, po czym wyjęto z pieca żelazną część. Cóż, z drugiej strony ostrze to mogło leżeć tam od lat. Nie próbowano ustalić, czy ta właśnie siekiera mogła być narzędziem zbrodni. Nie wiemy jednak, czy przy ówczesnym stanie wiedzy było to niemożliwe, czy też po prostu zaniedbano tej czynności. Robinson uzasadniał dziwne przepowiednie Lizzie Borden nastrojem, wywołanym – jak to się zwykło określać – „przypadłościami kobiecymi”. W ostatnich zdaniach swego przemówienia powiedział:

– Panowie przysięgli! Przyjmijmy na chwilę, że moja klientka istotnie popełniła odrażający czyn, jaki jej się tu zarzuca. W takim razie musiałaby być diabłem wcielonym. Spójrzcie na nią, panowie! Czy ona wygląda jak szatan?

Z ławy oskarżonych wychylała się w stronę sędziów przysięgłych Lizzie Borden – niewysoka, pulchna, o wytwornych manierach, z pince-nez na nosie, o długich, zręcznych palcach. 13 czerwca wydano wyrok uniewinniający i panna Lizzie została zwolniona.

Do końca życia mieszkała wraz z siostrą Emmą w tym samym domu przy Second Street. Obie kobiety odziedziczyły po ojcu około pół miliona dolarów, było to więc życie dostatnie. Lizzie Borden zmarła w 1944 roku w Fall River. Warto wspomnieć, że przez drugą połowę życia używała bardziej stosownego zdrobnienia, Lisbeth.

O zbrodni Lizzie Borden krążyły wierszyki i piosenki. Opinia publiczna przekonana była o jej winie, choć niektórzy podejrzewali doktora Bowena, inni zaś wuja Morse, który tuż po odkryciu zbrodni miał z apetytem zajadać gruszki w ogrodzie, nie zwracając uwagi na straszne sceny, jakie rozgrywały się w domu.

Sidney Harry FOX

31-letni Sidney Fox był – jak to się często zdarza w przypadku homoseksualistów, a takie właśnie skłonności przejawiał – bardzo silnie związany uczuciowo ze swą matką, 63-letnią Rosaline. Świadczyć o tym może fakt, że niemal całe swoje życie spędził przy jej boku, aż do 23 października 1929 roku, kiedy to ją zamordował.

Matka i syn otrzymywali razem rentę w wysokości 18 szylingów tygodniowo. Sidney wyprocesował od swego kraju 8 szylingów za wątpliwą „ranę odniesioną w

wojnie”, zaś pani Fox otrzymywała 10 szylingów jako rentę po starszym synu, zabitym podczas działań wojennych we Francji w 1917 roku. Suma 18 szylingów z trudem wystarczałyby na nędzną wegetację, lecz pani Fox i jej syn wydawali ją niemal w całości na... bilety kolejowe.

Nie rozstając się ani na chwilę, przez ponad dziesięć lat podróżowali po całej Anglii, dbając jedynie o to, by nigdy nie zatrzymywać się po raz drugi w tym samym hotelu. Rachunki hotelowe płacili bowiem czekami bez żadnej wartości, które zdobywał Sidney. Należy przypuszczać, że był całkiem, zręcznym kieszonkowcem, skoro zdołał ukraść wystarczającą ich ilość. Z konieczności często zmieniali miejsce pobytu, nie zatrzymując się w jednym hotelu dłużej niż tydzień czy dwa. Krótkie rozstanie matki z synem miało miejsce w roku 1927, gdy Sidney trafił do więzienia, a panią Fox umieszczono w przytułku. Pozbawiona opieki syna, który swymi oszustwami i fałszerstwami „zarabiał” na ich życie, była zupełnie bezradna i nie miała ani grosza, gdyż pieniędzmi dysponował wyłącznie Sidney.

Sprawa, która zaprowadziła Sidneya do więzienia, wiąże się w pewien sposób z jego późniejszym przestępstwem. Otóż w jednym z hotelików, gdzie Fox i jego matka zatrzymali się na kilka dni, poznali niejaką panią Morse, zamożną mężatkę, znudzoną życiem małżeńskim i poszukującą przygód. Gdy Sidney zauważył, że pani Morse zwróciła na niego uwagę, nawiązał z nią romans wbrew swym naturalnym skłonnościom homoseksualnym. Pani Morse, zapewne po to, by wydać się bardziej atrakcyjną, przystrajała się ogromnymi ilościami biżuterii. Aby uzyskać do niej dostęp, Sidney musiał zdobyć zaufanie kobiety, a więc zostać jej kochankiem. Zanim jednakże zdołał ukraść biżuterię z pokoju pani Morse, doszło do przykrej sceny z jej mężem, który – poinformowany przez jakiegoś „życzliwego” znajomego – osobiście pojawił się w hotelu, by sprawdzić, jak to jest naprawdę z wiernością jego żony. Fox został następnie wymieniony w pozwie rozwodowym pana Morse jako współwinny (wraz z jego małżonką) rozkładu ich pożycia.

Fox planował kradzież biżuterii, lecz nagle wpadł mu do głowy jeszcze lepszy pomysł. Ubezpieczył damę swego serca na wypadek śmierci, a suma ubezpieczenia – 6 tysięcy funtów – miała zostać wypłacona właśnie jemu. Wkrótce potem pani Morse obudziła się pewnej nocy w swym pokoju hotelowym na wpół uduszona i stwierdziła ze zdumieniem, że kurek od gazu, którym pokój był ogrzewany, jest odkręcony. Sidney Fox miał wyjątkowe szczęście, że stanął przed sądem tylko za kradzież pierścionków i naszyjników pani Morse, które pospiesznie usunął z jej pokoju, prawdopodobnie wtedy, gdy wśliznął się, by odkręcić gaz. Zakrawa na cud, że nikt, nawet sama pani Morse, nie powiązał „nieszczęśliwego wypadku” z polisą ubezpieczeniową.

Sidney Fox opuścił więzienie w marcu 1929 roku. Natychmiast udał się do

przytułku, w którym umieszczono jego matkę i zabrał ją stamtąd, twierdząc, że teraz już będzie miała odpowiednią opiekę. Ponownie wyruszyli w swą nie kończącą się podróż po Anglii.

11 kwietnia matka Foxa sporządziła testament, zapisując mu wszystko, co posiadała (pomysł podsunął jej, rzecz jasna, Sidney). Gest ten, aczkolwiek szlachetny, wydawał się raczej niepotrzebny, jako że pani Fox rzadko miewała w majątku więcej niż 5 szylingów i kilka starych sukien. Sidney uznał to jednak za konieczną, dodatkową gwarancję otrzymania sumy ubezpieczenia. 1 maja wykupił dla matki identyczną polisę ubezpieczeniową, jaką przedtem otrzymała pani Morse. Polisa miała wygasnąć 23 października tegoż roku o północy. Opłacenie dłuższego okresu ubezpieczenia przekraczało widać możliwości finansowe Foxa, może też wydawało mu się niepotrzebne. Urzędnik towarzystwa ubezpieczeniowego przypomniał sobie później Foxa i swoją z nim rozmowę. Klient był wyjątkowo dociekliwy, a przy tym rzucało się w oczy, że zupełnie się nie zna na przepisach.

– Pytał mnie, co rozumie się pod pojęciem wypadku, a także o parę innych rzeczy. Ale przede wszystkim, chciał wiedzieć, jakie wydarzenia uważane są za wypadek – zeznał później ów urzędnik dodając, że udzielił wyczerpujących informacji. Nie podejrzewał wtedy niczego, gdyż wielu klientów chce wiedzieć, za co płacą pieniądze.

Matka i syn podjęli swą wędrówkę po angielskich hotelach. Nie ma sensu wymieniać ich po kolei, wystarczy powiedzieć, że 16 października przybyli do nieznanego im dotąd hoteliku o szumnej nazwie Metropol w Margate, w hrabstwie Kent. Nie mieli ze sobą żadnego bagażu, co zazwyczaj u doświadczonych hotelarzy budzi podejrzenia, że gość zamierza się wynieść chyłkiem po kilku dniach, nie płacąc rachunku. Sidney Fox miał jednak wprawę w usypianiu czujności obsługi hotelowej. Podobnie jak wielokrotnie przedtem wyjaśnił, że ich bagaż wysłany został wcześniej wagonem bagażowym i prawdopodobnie przez pomyłkę trafił pod zły adres. Następnego dnia mimochodem wspomniał w recepcji, że odnaleziono już ich kufry w innym mieście i że w najbliższym czasie zostaną one przysłane do Margate. Fox miał przy sobie niewielką sumę w gotówce, płacił więc w ciągu kilku pierwszych dni za posiłki w hotelowej restauracji, zamiast dopisywać ich cenę do rachunku. Metoda ta niezmiennie budziła zaufanie hotelarzy.

23 października, gdy do wygaśnięcia polisy ubezpieczeniowej brakowało już tylko kilku godzin. Sidney wraz z matką zjadł kolację w hotelu. Potem kupił jeszcze pół butelki porto, wyjaśniając barmanowi, że jego matka czuje się nieco przeziębiona, napije się więc dla rozgrzewki przed snem. Matka i syn zajmowali osobne pokoje na samym końcu korytarza na drugim piętrze hotelu. Po kolacji każde z nich udało się – jak później twierdził Fox – do swego pokoju.

O godzinie 23.40 Fox wybiegł ze swego pokoju i biegnąc w stronę schodów, głośnym krzykiem alarmował, że w pokoju jego matki pali się. Zbiegł już ze schodów, gdy natknął się na mieszkającego na tym samym piętrze komiwojażera. Ten zrozumiał ze słów roztrzęsionego Foxa tylko „pożar” i „moja mamusia”, po czym natychmiast pobiegł w kierunku pokoju zajmowanego przez panią Fox. Nie wahając się ani chwili, wszedł do pokoju, z którego wydobywały się kłęby czarnego dymu i wkrótce wychynął stamtąd, trzymając na rękach bezwładne ciało starszej pani, odziane tylko w gorset nie pierwszej świeżości. Personel hotelowy, który zdążył się już tłumnie zgromadzić pod drzwiami pokoju, bez trudu ugasił pożar. Palił się fotel, a dym pochodził głównie z tłącego się fragmentu dywanu.

Panią Fox ułożono na łóżku w pokoju Sidneya. Nie dawała znaków życia, a wezwany lekarz natychmiast stwierdził zgon. Gdy poinformowano go o okolicznościach śmierci pani Fox, uznał, że zgon spowodowany został uduszeniem dymem oraz szokiem, co zważywszy wiek starszej pani i jej nie najlepszy stan zdrowia, wydawało się całkiem prawdopodobne. 30 października pani Fox została pochowana w swym rodzinnym mieście Great Fransham w hrabstwie Norfolk, a podczas całej tej smutnej uroczystości słychać było rozpaczliwe szlochanie jej syna.

Sidney Fox był prawdopodobnie przekonany, że jego plan powiódł się doskonale i że pozostaje mu już tylko czekać na wypłatę sumy ubezpieczenia. Nikt bowiem nie poinformował go, że towarzystwo ubezpieczeniowe bynajmniej nie musi akceptować przyczyny zgonu podanej przez przypadkowego lekarza i że w obronie swych interesów ma prawo przeprowadzić własne śledztwo. Tak właśnie stało się w przypadku śmierci pani Fox.

Podejrzenia wzbudziła przede wszystkim data i godzina śmierci pani Fox – na dwadzieścia minut przed wygaśnięciem ubezpieczenia. Może gdyby syn wcześniej się zdecydował...

Detektywi zatrudnieni przez towarzystwo ubezpieczeniowe zbadali dokładnie pokój, w którym nastąpił wypadek. Ich uwagę zwrócił fragment dywanu pomiędzy gazowym piecem, który miał spowodować pożar, a fotelem, w którym siedziała pani Fox. Wokół dywan był niemal doszczętnie spalony, zniszczeniu uległ też prawie cały fotel. Przeprowadzono następnie doświadczenia, które miały wykazać, czy iskra z pieca mogła spowodować pożar tak znacznych rozmiarów. Detektywi doszli do wniosku, że było to zupełnie niemożliwe. Podczas doświadczeń na dywanie powstawały tylko małe, okrągłe ślady, po czym iskra gasła. Dopiero gdy polano dywan przed piecem benzyną, rozmiar zniszczeń był podobny. Co więcej, w miejscu, gdzie rozlana była benzyna, dywan nie płonął.

W tej sytuacji towarzystwo ubezpieczeniowe powiadomiło o swych podejrzeniach policję. 9 listopada ciało pani Fox zostało ekshumowane. Sekcję przeprowadzał sir

Bernard Spilsbury. Doszedł on do wniosku, że przyczyną zgonu było uduszenie. Na wewnętrznej powierzchni krtani znalazł bowiem charakterystyczny krwiak, natomiast w płucach nie było sadzy, a więc w chwili, gdy wybuchł pożar, pani Fox już nie oddychała. Śmierć nieszczęsnej kobiety nastąpiła zatem wcześniej. W tej sytuacji Sidney Fox został aresztowany pod zarzutem zabójstwa matki.

Obrońca zażądał ponownej sekcji zwłok, którą mieli przeprowadzić wyznaczeni lekarze sądowi. Z powodu posuniętego rozkładu nie byli oni już w stanie stwierdzić istnienia owego krwiaka na krtani, który stanowił jeden z koronnych dowodów oskarżenia. Przynęgli musieli więc polegać na słowach sir Bernarda Spilsbury.

Sidney Fox, spytany przez oskarżyciela, dlaczego stwierdziwszy pożar w pokoju matki zamknął drzwi i uciekł, odparł:

– Nie chciałem, żeby dym rozprzestrzenił się po całym hotelu.

Constance KENT

O panu Samuelu Savile Kent, człowieku zamożnym i powszechnie szanowanym, szeptano, że jest nieślubnym synem księcia Kentu, ojca królowej Wiktorii. Jeśli nawet tak było, pan Kent nie usiłował wykorzystywać swych arystokratycznych koligacji, by ułatwić sobie życie. Pracował jako zastępca nadzorcy przemysłowego i do wszystkiego doszedł własnymi siłami.

W 1853 roku pan Kent owdowiał. Jego żona osierociła dwoje dzieci: 10-letnią Constance i 9-letniego Williama. Dziećmi opiekowała się guwernantka, niejaka panna Pratt, która po upływie 15 miesięcy od śmierci pani Kent zajęła wreszcie jej miejsce u boku swego chlebobawcy. Wydaje się, że dokonał on słusznego wyboru, bo nowa pani Kent była troskliwa i serdeczna dla dzieci oraz bardzo kochała swego męża.

W 1860 roku pani Kent miała już troje własnych dzieci, z których najstarsze, synek imieniem Francis, miał 4 lata. Wydawało się, że państwo Kent wraz z dziećmi żyją bardzo szczęśliwie, a w domu panuje atmosfera miłości i ciepła, której stworzenie przypisywano drugiej pani Kent.

Młodszy dziećmi opiekowała się teraz Elizabeth Gough. Sypiała ona w pokoju dziecięcym, by w razie potrzeby zająć się maluchami również w nocy. Rankiem 30 czerwca, obudziwszy się przypadkowo (było jeszcze bardzo wcześnie), panna Gough stwierdziła, że mały Francis zniknął ze swego łóżeczka. Nie było jednakże powodu do niepokoju, bowiem pani Kent często zabierała któregoś z dzieci do własnej sypialni, by pobawić się z nim. Elizabeth zasnęła więc spokojnie, nie usiłując odszukać małego.

Gdy obudziła się ponownie, chłopca nadal nie było w łóżeczku. Elizabeth Gough wstała, ubrała się i już miała się zająć młodszymi dziećmi, gdy do pokoju zajrzała ich

matka. Już po kilku słowach stało się jasne, że nie wie, gdzie znajduje się mały Francis.

Gorączkowo przeszukano cały dom od piwnic aż po strych – bez rezultatu. Nietrudno wyobrazić sobie rozpacz pani Kent, która już widziała swego synka w rękach jakichś zbirów. Rzeczywistość okazała się jednak znacznie bardziej tragiczna.

Zwłoki małego Francisca znaleziono w nie używanej od lat szopie, do której wejście niemal całkowicie zarośnięte było krzakami i fakt, że ktoś ze służby tam zajrzał, dowodzi, iż uprzednio wyczerpano wszystkie inne możliwości. Sprawdzone jednak i to ostatnie miejsce, skąd wkrótce dał się słyszeć śmiertelny krzyk przerażenia.

Był to rzeczywiście koszmarny widok. Głowa chłopca została niemal oddzielona od tułowia, a w lewym boku widniała ogromna, głęboka rana. Wokół nie znaleziono żadnych śladów, które mogłyby wskazywać na sprawcę. Stwierdzono jedynie, że chłopiec został zabity w nocy, co praktycznie zawężyło krąg podejrzanych do mieszkańców domu.

Podczas rozprawy u koronera wydano werdykt: „morderstwo dokonane przez osobę lub osoby nieznane”. Śledztwo trwało zatem dalej.

Nietrudno się domyśleć, że główną podejrzaną była od samego początku nieszczęsna opiekunka dziecka, Elizabeth Gough. Była osobą obcą, a więc ją właśnie najłatwiej było oskarżyć o zbrodnię. Nikomu bowiem nie mieściło się w głowie, by tego potwornego czynu mógł się dopuścić członek tak szanowanej rodziny. Któżby zresztą miał to zrobić: rodzona matka?, ojciec? O pozostałych dzieciach państwa Kent nawet nie wspomiano.

Ponadto panna Gough – czemu nie mogła zaprzeczyć – istotnie dopuściła się karygodnego zaniedbania swych obowiązków. Jako opiekunka, której jedynym zadaniem było pilnowanie młodszych dzieci, powinna była spać tak czujnie, by usłyszeć, że ktoś zabiera z łóżeczka małego Francisca. Elizabeth Gough została zatem aresztowana.

Zwolniono ją po kilku dniach z braku dowodów. Wtedy to bezradna lokalna policja postanowiła wezwać Scotland Yard. Gdy ze stolicy przybył niejaki inspektor Whicher, sprawa przybrała nieoczekiwany i sensacyjny obrót.

Nie minął jeszcze tydzień od przybycia londyńskiego inspektora, gdy w miasteczku lotem błyskawicy rozeszła się hiobowa wieść: aresztowano 16-letnią wówczas, najstarszą córkę pana Kent, Constance. Zarzucano jej zamordowanie przyrodniego brata.

Na oficjalne przesłuchanie, podczas którego miał zostać wydany werdykt, czy Constance stanie przed sądem za zabójstwo, przybyły tłumy ciekawskich. Inspektor Whicher przystąpił do przedstawiania świadków, których zeznania skłoniły go do

zatrzymania 16-letniej dziewczyny.

Pokojówka Kentów zeznała, że zaginęła jedna z koszul nocnych panny Constance. Szukano jej wszędzie, lecz bezskutecznie. Inspektor Whicher dowodził, że koszula była tak zakrwawiona, iż dziewczyna znalazła jakiś sposób, by się jej pozbyć. W poniedziałek rano, gdy odkryto już nieobecność małego Francisa, lecz nie znaleziono jeszcze jego zwłok, praczka przychodząca raz w tygodniu zabrała kosz pełen brudnej bielizny, przeznaczonej do uprania. Pokojówka Kentów zeznała, że panna Constance kręciła się przez cały ranek wokół tego kosza i dwukrotnie wysyłała ją do kuchni z jakimś poleceniem. Miała więc, zdaniem inspektora, okazję, by wyjąć z brudów inną koszulę, którą nosiła wcześniej i ułożyć ją na swym łóżku w miejsce owej rzekomo zakrwawionej, aby całkowity brak nocnego stroju w jej sypialni nie wzbudził podejrzeń. Wyjęcie koszuli z kosza z brudną bielizną miało też tę dobrą stronę, że stwarzało możliwość oskarżenia praczki o kradzież brakującej koszuli, co też się stało.

Zeznawały też dwie koleżanki szkolne Constance, opowiadając o zwierzeniach, jakie przed nimi czyniła. Constance miała wielokrotnie mówić, iż jest nieszczęśliwa w domu, w którym rządzi macocha, choć nigdy nie mogła zarzucić nic konkretnego ani drugiej żonie swego ojca, ani swemu przyrodniemu rodzeństwu.

Dowody przeciwko Constance Kent uznano za niewystarczające i policja musiała kontynuować śledztwo. Ponownie aresztowano Elizabeth Gough, tym razem opierając się prawdopodobnie na plotkach, jakie krążyły po okolicy. Otóż nieszczęsna opiekunka miała być kochanką pana Kenta. Wszechwiedzące plotkarki z okolicy opowiadały o nocnych randkach w pokoju dzieciennym, znaleźli się nawet tacy, którzy „na własne oczy” widzieli pana Kenta w niedwuznaczonej sytuacji z przystojną opiekunką. Dwójka młodszych dzieci sypiała mocno, nie stanowiła zatem dla występnych kochanków zagrożenia, lecz mały Francis miał lekki sen i często budził się w nocy. Zdaniem plotkarek, owej fatalnej nocy chłopiec miał obudzić się nagle i ujrzeć Elizabeth Gough w objęciach swego ojca. Wprawdzie i tak nie rozumiałby, co widzi, lecz tamci uznali widać, że Francis może przypadkiem zdradzić ich przed panią Kent, uciekli się zatem do zabójstwa. Taka wersja wydarzeń zakładała co najmniej współudział w zbrodni samego pana Kenta, który jednakże nie został aresztowany. Zresztą także i Elizabeth Gough wkrótce znów znalazła się na wolności, plotki bowiem nie znalazły żadnego potwierdzenia w faktach. Nieszczęsna dziewczyna, której ta sprawa uniemożliwiła zdobycie następnej posady, wyjechała wkrótce w nieznane i nikt już nie usiłował jej oskarżać.

Rodzina Kentów musiała zatem żyć w cieniu owej nie wyjaśnionej zbrodni. Możemy się domyślać, że nie było to łatwe. Państwo Kent byli wprawdzie przekonani i nieustannie dawali temu wyraz, że sprawcą był jakiś włóczęga, który zdołał dostać

się do domu. Nie podejrzewali więc siebie nawzajem, co uczyniłoby ich dalsze, wspólne życie niemożliwym, lecz spojżenia i szeptów sąsiadów wkrótce dały im się we znaki. Pan Kent sprzedał więc dom i przeniósł się wraz z rodziną aż do Walii w nadziei, że tam nikt nie skojarzy go z tą sprawą.

Constance nie pojechała z rodzicami. Stanowczo oznajmiła, że postanowiła wstąpić do klasztoru. Wkrótce znalazła się we Francji, gdzie spędziła następne trzy lata w odosobnieniu. W 1863 roku powróciła do Anglii, gdzie przez dwa lata oddawała się samotnym rekolekcjom w kościele w Brighton.

Od zamordowania małego Francisa minęło już pięć lat, gdy oto 27 kwietnia 1865 roku Times opublikował sensacyjny artykuł. Sprawa znów znalazła się na ustach wszystkich.

Otóż 25 kwietnia do sądu londyńskiego przybyła – jak podkreślał dziennik – z własnej i nie przymuszonej woli Constance Kent w towarzystwie swego spowiednika, wikarego kościoła w Brighton, wielbego Wagnera. Oświadczyła, iż pragnie złożyć zeznania w sprawie śmierci swego przyrodniego brata. W pierwszym zdaniu przyznała się do winy.

Wyznanie Constance Kent trafiło do prasy za pośrednictwem lekarza policyjnego, który natychmiast po złożeniu przez nią zeznań przystąpił do badania jej stanu psychicznego. Polegało ono między innymi na dokładnym wypytywaniu ją o szczegóły. Lekarz pisał:

„Na kilka dni przed dokonaniem morderstwa Constance Kent wyjęła brzytwę z zielonego pudranka, które stało na komodzie w sypialni jej ojca. Ukryła ją w szapie ze świecą i zapalkami, zabranymi z kuchni... Fatalnej nocy, około trzeciej nad ranem, zabrała dziecko z jego łóżeczka i zaniósła do szopy... Twierdzi, że nie sądziła, iż będzie tyle krwi... Wbiła brzytwę w lewy bok chłopca... mocno szarpnęła... Nie ruszał się już. Postanowiła odciąć głowę, lecz świeca wypaliła się, pozostawiła więc zwłoki w takim stanie, w jakim je znaleziono. Wróciła do domu. Ukryła zakrwawioną koszulę, następnego dnia spaliła ją w swoim pokoju, popiół zaś starannie zebrała z paleniska i przeniosła do kuchni. Nową koszulę wyjęła z koszyka z brudną bielizną. Jeśli chodzi o motyw zbrodni, panna Kent nie jest w stanie jasno go sprecyzować. Bardzo szanowała swą macochę, lecz nie kochała jej. Każda lekceważąca uwaga, poczyniona przez panią Kent o kimkolwiek z „pierwszej” rodziny, głęboko ją raniła i na długo zapadała w pamięć... Już dawno postanowiła zemścić się za uwłaczanie dobremu imieniu swej matki... Małego Francisa lubiła, zaś do zabójstwa skłonił ją wyłącznie fakt, że chłopiec był synem jej macochy... Podczas badania, o czym poinformowałem jej obrońcę, nie zdradzała objawów niepoczytalności. Jednakże z powodu swych właściwości psychicznych może, jak sądzę, popaść w obłąd wskutek długotrwałego uwięzienia w odosobnieniu...”

Constance Kent została skazana na śmierć, lecz z powodu jej młodego wieku i dobrowolnego (choć spóźnionego) przyznania się do winy, wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie. Została zwolniona w 1885 roku jako kobieta 41-letnia. Obawy lekarza nie potwierdziły się: Constance Kent nie popadła w obłąd. Natychmiast po zwolnieniu udała się do klasztoru, gdzie pędziła życie mniszki w całkowitym odosobnieniu.

Pauline Yvonne PARKER

Po południu dnia 23 czerwca 1954 roku do cichej, mało uczęszczanej herbaciarni, położonej w pobliżu parku w Canterbury w Nowej Zelandii, wbiegły dwie zadyszane dziewczynki. Płacząc i śmiejąc się na przemian, drżąc na całym ciele, usiłowały coś powiedzieć zdumionemu kelnerowi. Gdy wreszcie zrozumiał o co chodzi, bez wahania sięgnął po telefon, a jego ręka drżała również. Otóż dziewczynki twierdziły, że matka jednej z nich leży poważnie ranna na parkowej alejce.

Policja bez trudu odnalazła ciało kobiety, leżące w poprzek parkowej alejki. Pani Honora Mary Parker nie żyła już, a jej głowa została straszliwie zmasakrowana. Nie było nic dziwnego w tym, że jej córka Pauline Yvonne Parker, lat 16, wraz ze swą o rok młodszą przyjaciółką ze szkoły, Juliet Hulme, wpadły w histerię, ujrawszy widok, który nawet doświadczonych policjantów przyprawiał o mdłości. Dziewczynki zostały więc potraktowane bardzo łagodnie. Chociaż policja pragnęła przesłuchać je jak najszybciej, sądząc, że mogły one widzieć sprawcę, odczekano kilka godzin, aż Pauline i Juliet uspokoiły się nieco i lekarz pozwolił na rozmowę z nimi.

Policjanci liczyli na jakiś, choćby powierzchowny opis sprawcy zbrodni. Z oględzin lekarskich wynikało, że pani Parker zmarła tuż przed przybyciem na miejsce lekarza, a zatem Pauline i Juliet mogły zauważyć coś, co doprowadziłoby do zabójcy. Ale zeznania dziewczynek wprawiły inspektorów w zdumienie.

Otóż miały one, wraz z matką Pauline, iść właśnie do sklepu, kiedy nagle kobieta poślizgnęła się czy potknęła i upadła, uderzając głową o ziemię.

– Byłyśmy przerażone – mówiła drżącym głosem córka zabitej. – Kiedy mama upadła, głowa zaczęła jej tak dziwnie podskakiwać, za każdym razem uderzając w kamienne obramowanie trawnika. Kiedy tak podskakiwała i uderzała, wokół robiło się coraz więcej krwi. Wreszcie uciekłyśmy, żeby sprowadzić pomoc. Trzeba było przytrzymać głowę mamy, żeby przestała się ruszać, ale myśmy się bały. Chciałyśmy wezwać kogoś dorosłego i silniejszego. Dlatego pobiegłyśmy do herbaciarni.

Historyjka ta, choć wstrząsająca, była jednak w tak oczywisty sposób nieprawdziwa, że postanowiono obie dziewczynki przesłuchać raz jeszcze.

Pozostawiono je na chwilę same w pokoju, a detektywi, którzy przysłuchiwali się dotychczasowym zeznaniom, zgromadzili się w sąsiednim pomieszczeniu, by przedyskutować dalszy tok postępowania. Choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, musieli przyjąć, że dwie nastolatki są w jakiś sposób zamieszane w zabójstwo pani Parker. Lecz nawet wtedy żaden z policjantów nie odważył się sugerować tego, co za chwilę zostało ujawnione.

Ponowne przesłuchanie rozpoczęto od córki zabitej, Pauline. Przesłuchiwał ją detektyw Brown. Gdy mała nadal trzymała się swego absurdałnego opowiadania, oficer powiedział:

– Posłuchaj, Pauline. Mamy podstawy przypuszczać, że ty i Juliet jesteście zamieszane w zabójstwo twojej matki. To, co mówisz, jest zupełnie nieprawdopodobne. Twoja matka nie zmarła w ten sposób. Wiecie coś i niepotrzebnie to ukrywacie. My i tak dowiemy się prawdy. Kto napadł na twoją matkę?

Czy detektyw Brown spodziewał się takiej odpowiedzi? Cichym głosem, z oczami wbitymi w podłogę Pauline odparła:

- Ja.
- Dlaczego to zrobiłaś?
- Na to pytanie nie odpowiem.
- Kiedy postanowiłaś zamordować matkę?
- Kilka dni temu.

Usłyszawszy o zeznaniu Pauline, również Juliet Hulme przyznała się do udziału w zbrodni. Tak jak jej przyjaciółka, odmawiała odpowiedzi na pytanie o motyw, jakie nią kierowały. Obie dziewczynki zostały aresztowane, przeszukano ich domy oraz przesłuchano rodzinę i koleżanki. Wkrótce owe tak starannie ukrywane motywy zabójstwa wyszły na jaw.

Otóż Pauline i Juliet przyjaźniły się już od kilku lat. Siedziały w jednej ławce i jak to często bywa z „najlepszymi przyjaciółkami” w tym wieku, starały się każdą wolną chwilę spędzać razem. Początkowo rodzice obydwu nie mieli nic przeciwko przyjaźni. Obie dziewczynki pochodziły z tak zwanych „dobrych” domów, a ich spotkania nie przeszkadzały w nauce. Małe nawet uczyły się razem i osiągały dobre wyniki. Ostatnio jednak najpierw jedna, potem druga matka zauważyły coś, co wprawiło je w ogromne zaniepokojenie.

Przyjaźń „do grobowej deski” Pauline i Juliet zaczęła bowiem przeradzać się w dość niebezpieczną... miłość. Dziewczynki wykazywały wyraźne skłonności lesbijskie, kilkakrotnie rodzice przyłapali je nawet na dość jednoznacznych „zabawach”. Nie wiemy już teraz, czy to pani Parker odwiedziła panią Hulme, by przeprowadzić poważną rozmowę na temat córek obydwu, czy też było odwrotnie. W każdym razie rozmowa taka odbyła się i rodzice Pauline i Juliet zgodnie postanowili,

że należy doprowadzić do zakończenia tej niebezpiecznej przyjaźni. Dziewczynki boleśnie odczuły drastyczne ograniczenie swobody, a pewnie i „kazania” prawione przez oburzone matki. Za złamanie zakazu widywania się z przyjaciółką groziły kary, z których główną i najczęściej stosowaną był „areszt domowy”. Dziewczynki potrafiły jednak zawsze wymknąć się jakoś z domu, a ich spotkania, z chwilą gdy stały się nielegalne, zyskały znacznie – jak to bywa – na atrakcyjności.

Można przypuszczać, że bardziej surowa z matek była pani Parker. Być może dwuznaczny związek jej córki w większym stopniu obrażał jej moralność, ale tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że to właśnie Pauline, nie Juliet, uznała zachowanie matki za „natrętne wtrącanie się” i zaczęła poszukiwać jakiegoś radykalnego wyjścia z sytuacji.

Podczas przeszukania w mieszkaniu Pauline znaleziono pamiętnik dziewczynki, przemyślnie ukryty z całkiem zrozumiałych względów.

Ostatnie kilka stron zawierało ponure rozważania, jakie zapewne znaleźć można w wielu pamiętnikach nastolatków buntujących się przeciw swym rodzicom. Tym razem wyznania te brzmiały przerażająco już choćby tylko dlatego, że ich autorka wprowadziła swe marzenia w czyn. Przytoczmy kilka fragmentów:

„13 luty. Dlaczego matka nie mogłaby umrzeć? Przecież każdego dnia umierają setki, tysiące ludzi. Więc dlaczego nie ona, a także nie ojciec?”

Zwróćmy uwagę na datę. A więc już w lutym Pauline myślała o śmierci matki. Jak się przekonamy, w czerwcu powstał konkretny plan:

„20 czerwca. Dyskutowaliśmy dziś nad naszym planem zabicia matki. Opracowaliśmy dalsze szczegóły. Chciałabym, żeby wyglądało to na śmierć naturalną albo wypadek. To pierwsze byłoby lepsze, ale trudniejsze. Nie wiem, czy nam się uda. W ostateczności zdecydujemy się na wypadek...”

23 czerwca, w dniu zbrodni, zapis brzmi:

„Dziś w nocy czułam się bardzo podniecona, jak przed Gwiazdką, kiedy czeka się na prezenty. Ale nie miałam miłych snów.”

Narzędziem zbrodni (jak widać, nieletnie morderczynie jednak „zdecydowały się na wypadek”) była cegła włożona w pończochę. Dziewczynki nie zadały sobie nawet tyle trudu, by ukryć gdzieś pokrwawione zawiniątko i znaleziono je przy zwłokach. Cóż, plan nie był jednak tak dokładnie opracowany.

Protokół sekcji zwłok pani Parker jako przyczynę zgonu podaje pęknięcie czaszki z wgnieceniem odłamów kostnych do mózgu. Ogółem głowa zamordowanej nosiła ślady 45 ciosów, z których część została zadana z ogromną siłą. Rany znajdowały się też na szyi oraz na jednym z palców prawej dłoni. Prawdopodobnie nieszczęsna kobieta usiłowała osłaniać się przed ciosami córki (ustalono bowiem, że to Pauline posługiwała się cegłą, Juliet zaś przytrzymywała ofiarę).

Juliet Hulme, przyznawszy się do udziału w morderstwie, wyznała przesłuchującemu ją oficerowi:

– Nie potrafię powiedzieć, czy rzeczywiście planowałyśmy to zrobić. To prawda, że często rozmawiałyśmy o tym, ale nie sądziłam, że zabójstwo dojdzie do skutku. Dopiero po zadaniu pierwszego ciosu zrozumiałam, że teraz nie mamy już innego wyjścia i musimy ją zabić.

Proces nieletnich morderczyń odbył się w Christchurch. Ku oburzeniu licznie zgromadzonej publiczności Pauline i Juliet były jak najdalsze od okazywania skruchy. Przez cały czas procesu trzymały się za ręce, niekiedy całowały się nawet, wywołując tym pełne oburzenia okrzyki na sali i napomnienia ze strony wysokiego sądu. Oskarżone nie okazywały żadnych innych uczuć poza wzajemną miłością nawet wtedy, gdy na sali sądowej mówiono o najbardziej drastycznych szczegółach ich zbrodni. Wyjaśniła to do pewnego stopnia Juliet Hulme w swych zeznaniach, złożonych podczas procesu:

– Nas prawo nie dotyczy – rzekła z przekonaniem w głosie. – Jesteśmy ponad to wszystko...

Jak się okazało, obie panienki uważały się za osoby genialne, stojące ponad prawem z racji swych niezwykłych walorów umysłowych.

Podczas procesu ujawniono szczegóły ich dziwnego związku. Pauline i Juliet pisywały do siebie długie listy miłosne, w których występowały jako różne postacie historyczne, bądź legendarne. Juliet najczęściej grała rolę króla Karola II, władcy kraju o nazwie Borownia oraz jego kochanki, pięknej Deborah. Pauline najbardziej upodobała sobie postać niejakiego Lancelota Trelawney, rycerza kornwalijskiego. Listy przesyłane były erotyzmem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do charakteru „przyjaźni” oskarżonych. Wyszło na jaw, że dziewczynki miały na swym koncie również pewne eksperymenty seksualne, przy czym występowały przy takich okazjach jako postacie będące wytworami ich wyobraźni.

Podczas procesu wysuwano przypuszczenia co do niepoczytalności oskarżonych, oparte prawdopodobnie na ich zdumiewającej obojętności wobec zbrodni, jaką popełniły. Zabójstwo pani Parker wzbudziło jednak tak wielkie i powszechne oburzenie, spotkało się z tak żywiołowym potępieniem, że przysięgli nie znaleźli żadnych okoliczności łagodzących. Pauline i Juliet zostały uznane za winne zarzucanego im czynu.

Opinia publiczna żądała kary śmierci. Nieczęsto jednak zdarza się, by powieszono osoby tak młode, w dodatku dziewczęta. Dlatego ostatecznie wydany wyrok skazywał je na „umieszczenie w więzieniu na okres tak długi, jak się to będzie podobać Jej Królewskiej Mości”...

Philip STANSFIELD

Historia, którą teraz opiszemy, wydarzyła się w 1687 roku i stanowi doskonałą ilustrację umysłowości tamtych czasów. W zachowanych aktach sądowych, obok szczegółów zbrodni i śledztwa, znajdujemy zanotowane z równą powagą wiadomości o wydarzeniach nadprzyrodzonych, jakie towarzyszyły sprawie. Przedstawiamy je tu wiernie, gdyż one właśnie decydują o tym, że zbrodnia dokonana przez Philipa Stansfielda dziś jeszcze może budzić zainteresowanie.

Philip Stansfield był starszym synem Sir Jamesa Stansfielda, którego posiadłość znajdowała się w New Milns (dziś miejscowość ta nosi nazwę Amisfield). Jako pierworodny, Philip miał odziedziczyć cały majątek po śmierci ojca. Tak by się zapewne stało, gdyby nie przykra skłonność młodego panicza do alkoholu i – jak to określono w aktach – rozwiązłego życia. Ojcowie na ogół niechętnie patrzą na tego typu wybryki synów, zwłaszcza jeśli rzecz dzieje się wśród staroangielskiej arystokracji. Należy sądzić, że Sir James próbował różnych sposobów nawrócenia syna na drogę cnoty, a gdy wszystko zawiodło, zdecydował się na krok ostateczny. Spełnił mianowicie wielokrotnie powtarzaną w gniewie groźbę, której młody Philip nigdy zapewne nie traktował zbyt serio – wydziedziczył swego pierworodnego, zapisując wszystko młodszemu synowi. Pamiętajmy przy tym, że spadek obejmował nie tylko majątek, ale i tytuł szlachecki, który zgodnie z prawem dziedziczył tylko najstarszy syn.

Jak się można było spodziewać, ukarany w ten sposób Philip bynajmniej nie zmienił swego postępowania, by odzyskać ojcowską przychylność. Uznawszy widać, że i tak nie ma się już o co starać, hulał dalej ze zdwojoną energią, okrywając hańbą całą rodzinę. Sir James stracił zaś ostatnią broń przeciwko synowi i prawdopodobnie zaczął się go obawiać.

Philip dawał mu po temu wyraźne powody: kilkakrotnie słyszano, jak przeklinał ojca i wróżył mu straszny koniec (była to w owych czasach rzecz niesłychana i dowód najwyższego lekceważenia rodzica), a gdy patrzył na ojca, po plecach starego lorda przebiegał dreszcz. Dlatego też Sir James starał się unikać spotkań z synem sam na sam, a ilekroć miał spędzić z nim noc pod jednym dachem – zwłaszcza gdy młodszy brat Philipa był nieobecny – starał się zapewnić sobie towarzystwo, a przez to i ochronę.

W wigilię tragedii, 21 listopada 1687 roku, Sir James wrócił późno do domu. Przyczyna staje się jasna, gdy dowiemy się, że tej nocy w posiadłości – poza służącymi miał być tylko Philip Stansfield i jego nieszczęsny ojciec. Sir James przeciągał więc chwilę powrotu. Zdołał też namówić pewnego pastora, nazwiskiem

John Bell, by spędził noc w jego posiadłości.

Nieszczęsny Sir James czuł się zapewne nieco bezpieczniej wiedząc, że w pobliżu śpi pastor, który w razie niebezpieczeństwa pomoże mu lub pomoc sprowadzi. Niestety, jak się miało wkrótce okazać, duchowny zupełnie nie nadawał się do roli obrońcy.

W środku nocy wielebnego pastora obudził hałas i kilka rozpaczliwych krzyków. Zamiast jednak biec na ratunek wołającemu, Bell pospiesznie zaryglował drzwi swego pokoju. Tłumaczył później władzom, że był przekonany, iż po domu grasują złe duchy. Nie potrafił jednakże wyjaśnić, w jaki sposób najlepiej nawet zaryglowane drzwi miałyby go uchronić przed owymi duchami, które jak wiadomo, przenikają nawet przez ściany... Nie sposób dziś ustalić, czy wielebny Bell był aż tak naiwny, czy też po prostu stchórzył. Wkrótce hałasy ucichły i nic już nie mąciło snu pastorowi.

Następnego ranka do drzwi pokoju Bella rozległo się pukanie. Ponieważ było już jasno, pastor odważył się otworzyć i ujrzał Philipa Stansfielda. Poszukiwał on – jak twierdził – ojca w ważnej sprawie. Sypialnia Sir Jamesa była pusta, Philip więc sądził, że jest on w pokoju Bella. Gdy Bell oświadczył, że nie widział pana domu od poprzedniego wieczoru, Philip wycofał się przepaszając za najście. Wspomniał jeszcze, że szukał ojca „nad wodą”.

Ciało Sir Jamesa znaleziono wkrótce w sadzawce na terenie parku, przez co ta ostatnia uwaga Philipa nabiera szczególnego znaczenia. Usłyszawszy o strasznym odkryciu, wielebny Bell znów zamknął się w swoim pokoju drżąc na całym ciełe. Zachowane dokumenty nie wspominają, w jaki sposób zdołano go stamtąd wywabić. Wyrażał później wielokrotnie opinię, że zbrodni dokonały owe złe duchy, które tak hałasowały w nocy.

Philip doprowadził do szybkiego pogrzebu ojca, nie pozwalając nikomu na zbadanie ciała. Po okolicy krążyły jednak widocznie różne plotki (wiele osób wiedziało o niechęci, jaką pierworodny syn Sir Jamesa żywił do swego ojca), bowiem władze postanowiły dokonać ekshumacji zwłok. Ówczesna wiedza medyczna nie stała jeszcze na zbyt wysokim poziomie, zdołano jednak bez trudu stwierdzić, że Sir James bynajmniej nie utonął, wpadając przypadkiem do sadzawki podczas nocnego spaceru po parku. Wyraźne ślady na szyi dowodziły niezbicie, że stary lord został uduszony.

Chociaż podejrzenia kierowały się przede wszystkim ku Philipowi, traktowano go ciągle jako okrytego żałobą i złamanego nieszczęściem kochającego syna zmarłego. Dlatego też – a była to moralna powinność pierworodnego – poproszono go o pomoc przy ponownym wkładaniu zwłok ojca do trumny. Czytając ten fragment akt, nie wierzymy własnym oczom: oto, w chwili, gdy Philip dotknął ciała ojca, ze zwłok nagle popłynęła żywa, czerwona krew... Prerażony syn uciekł z pokoju. Władze nie miały już teraz wątpliwości co do winy Philipa. Jak stwierdzono później w wyroku,

to, czego świadkami byli urzędnicy umieszczający ciało w trumnie, było „zwykłym sposobem, w jaki Bóg ujawnia mordercę”. Philip został zatem zatrzymany pod strażą.

Trzeba pamiętać, że lordowska rodzina stanowiła w owych czasach najwyższą władzę dla okolicznej ludności i nikt nie odważyłby się podejrzewać żadnego z jej członków. Dopiero aresztowanie Philipa ośmieliło nieco służbę i mieszkańców pobliskiej wioski.

Okazało się, że Philip nie działał sam. Informatorami władz było dwoje małych pastuszków mieszkających w chatce niejakiego Thompsona, który służył u Sir Jamesa jako jeden z „dochodzących” ogrodników. Dzieci, chłopiec i dziewczynka w wieku około 10 lat, leżały już na swych pościeliach, gdy nagle do chaty przybył niezwykle gość, Philip Stansfield. Było to na kilka godzin przed śmiercią Sir Jamesa. Jak należy sądzić, na widok tak możnego pana dzieci skuliły się jeszcze bardziej ze strachu pod derką i nikt jakoś nie zwrócił uwagi, że nie śpią. Dzięki temu były w stanie opowiedzieć treść rozmowy Philipa z Thompsonem i obecną tam również Janet Johnston, określoną później w aktach jako „kobieta lekkiego prowadzenia”.

Philip skarżył się na złe traktowanie i szykany ze strony ojca, po czym szybko przeszedł do rzeczy. Zaproponował Thompsonowi i Janet Johnston sporą sumę za pomoc w zamordowaniu starszego pana. Propozycja została przyjęta bardzo chętnie, jeśli nie z entuzjazmem, ale też oferowana suma musiała im wydawać się majątkiem. Następnie Philip wraz ze współnikami opuścił chatkę. Dzieci tak były przerażone, że nie mogły zasnąć, dzięki czemu po pewnym czasie usłyszały jeszcze komentarz Thompsona, gdy ten powrócił z Janet Johnston: „dzieło dokonane”. Z ich dalszej rozmowy dzieci wywnioskowały, że Philip stał na straży przed drzwiami pokoju Sir Jamesa, gdy oni mordowali starego lorda. Thompson i Janet Johnston również zostali zatrzymani, lecz sądzeni byli osobno. Oboje zostali skazani na śmierć.

Philip miał pecha, bo rozprawie przewodniczył Sir George Mackenzie, który już wcześniej zdobył przydomek „wieszającego sędziego”. Wygłosił on płomienne przemówienie podsumowujące, skierowane do sędziów przysięgłych, uniesiony retoryką wzywał do postawienia ich samych przed sądem, jeśli uznają oskarżonego za niewinnego. Przysięgli i tak prawdopodobnie nie mieli wątpliwości co do winy Philipa Stansfielda, a wyrok wydany przez sędziego Mackenzie łatwy był do przewidzenia: kara śmierci przez powieszenie. Sędzia uznał jednak za stosowne orzec pewne kary dodatkowe, które raz jeszcze przypomną nam, że rzecz działa się w XVII wieku. Philipa skazano również na wycięcie języka za namawianie służących do przeklinania króla oraz za przeklinanie własnego ojca. Kara ta, rzecz jasna, miała zostać wykonana przed powieszeniem. (Tej samej „operacji” poddano również przed śmiercią Janet Johnston i Thompsona.) Sędzia orzekł również konfiskatę wszystkich ziem i majątków należących do oskarżonego (spadek po Sir Jamesie przypadł jego

młodszemu synowi na mocy testamentu).

Na tym jednak nie kończy się jeszcze sprawa Philipa Stansfielda. Mamy bowiem do dyspozycji dokładny opis przebiegu egzekucji, który współczesnym posłużył jako jeszcze jeden dowód winy skazańca. Otóż podczas egzekucji pętla na jego szyi rozwiązała się i Philip opadł na kolana na szafocie. W przeciwieństwie do późniejszego prawa amerykańskiego, w myśl którego w takich przypadkach ułaskawiano skazanego, w Anglii wyrok był nieodwołalny. Kat udusił zatem Philipa Stansfielda własnymi rękami, co kronikarze uznali natychmiast za znak boży, że oto zbrodniarza spotkał ten sam los, co jego ofiarę. Zapewne po to, by jeszcze bardziej poszerzyć tę analogię, ktoś zabrał ciało Philipa i wrzucił je do pobliskiej sadzawki.

...i „kochający” dzieci

Albert FISH

W latach trzydziestych, gdy sprawa Alberta Fisha nabrała ogromnego rozgłosu, specjaliści uważali ją za przypadek niezwykle, zaś w literaturze z dziedziny psychopatologii i psychiatrii nie opisano dotąd żadnego przypadku, który mógłby się równać historii Fisha pod względem zaawansowania perwersji seksualnej. Dr Frederick Wertham, który jako ekspert sądowy badał stan psychiczny Fisha, poświęcił mu całą książkę. Dzięki niemu wiemy bardzo dużo o dzieciństwie i młodości zbrodniarza, niewiele natomiast o jego zbrodniach. Fish stanął bowiem przed sądem pod zarzutem jednego tylko zabójstwa. Dr Wertham pisze jednak o swym przekonaniu, opartym o rozmowy z Fishem, że popełnił on co najmniej 15 morderstw. Jego ofiarami zawsze były dzieci.

Zajmijmy się najpierw przypadkiem, który doprowadził do ujęcia i skazania Fisha. Otóż 3 czerwca 1928 roku Albert Fish, wówczas 58-letni malarz pokojowy, zapukał rankiem do drzwi domu niejakich państwa Budd, których syn, Edward, zamieścił właśnie w nowojorskiej prasie ogłoszenie, chcąc tą drogą znaleźć pracę. Fish przedstawił się jako Frank Howard i zaproponował chłopcu posadę pomocnika w swej firmie odnawiania mieszkań. Warunki wydały się Edwardowi atrakcyjne, przystąpiono więc do omawiania szczegółów.

Nie wiemy, czy Fish istotnie miał zamiar zatrudnić młodego Budda, własnej firmy w każdym razie nie posiadał. Być może rzeczywiście poszukiwał pomocnika, zmienił jednak plany w chwili, gdy do pokoju zajrzała 10-letnia siostra Edwarda, Grace. Dziewczynka była bardzo ładna i dobrze wychowana. Usiadła grzecznie w kącie i uśmiechając się do gościa, przysłuchiwała się naradzie rodzinnej, w której uczestniczyli także rodzice: pierwsza praca syna nie była dla nich sprawą obojętną. Po chwili zmieniono temat. „Frank Howard” zaczął zachwycać się małą Grace, co sprawiło przyjemność zarówno jej rodzicom, jak i samej dziewczynce. Zaczęła

gawędzić z Fishem, on zaś wynosił pod niebiosa jej rezolucję. Na pierwszy rzut oka widać było, że lubi dzieci i umie z nimi rozmawiać.

I tak od rozmów o pracy Fish przeszedł do opowiadania państwu Budd o dzieciach swojej siostry, „uroczych urwisach” – jak się wyraził, z których jeden, starszy, obchodzi właśnie dziś urodziny. Z tej okazji jego siostra (której Fish nigdy nie posiadał) urządza dla kilkorga dzieci małe przyjęcie.

– Chętnie zaprosiłbym kochaną Grace na podwieczorek – powiedział Fish. – Będą same miłe dzieci, a moja siostra bardzo się ucieszy. Potem osobiście odwiozę małą do domu – zapewniał, gdy rodzice wyraźnie się zawahali.

Państwo Budd znaleźli się w dość trudnej sytuacji. Z jednej strony nie bardzo mieli ochotę powierzać swą najmłodszą latorośl człowiekowi bądź co bądź zupełnie obcemu, o którym wiedzieli tylko to, co sam im powiedział, z drugiej jednak strony człowiek ten robił niezwykle sympatyczne wrażenie, tak szczerze zachwycał się Grace, a i ona, zazwyczaj nieśmiała wobec obcych, traktowała go już jak członka rodziny. A wreszcie, co nie było bez znaczenia, człowiek ten oferował ich synowi doskonałe warunki pracy i wysokie wynagrodzenie.

Jeśli nie pozwolą Grace pójść z nim na to przyjęcie, może się obrazić i Edward straci taką doskonałą okazję.

Państwo Budd wyrazili wreszcie zgodę na udział Grace w przyjęciu u siostry „Franka Howarda”. Nie podejrzewali, że do końca życia nie będą mogli sobie tego darować.

Fish, z podskakującą z radości Grace, udał się na nowojorski dworzec centralny, skąd pojechali do miasteczka o nazwie Greenburgh. Gdy wysiadali, Fish zapomniał zabrać z przedziału teczki ze swymi „narzędziami” i prawdziwymi dokumentami. Gdyby została ona znaleziona, szybko doprowadziłaby na jego ślad. Ale mała Grace zauważyła, że kochany „wujek” nie ma teczki, zawróciła i przyniosła mu ją. Znajdował się w niej między innymi ogromny nóż.

Fish zabrał Grace do pustego domku w Greenburgh, zwanego Wistaria Cottage. Pozostawił małą na parterze, wyjaśniając, że czeka ją miła niespodzianka, sam zaś poszedł do pokoju na piętrze, gdzie rozebrał się do naga. Następnie zawołał Grace.

Stanąwszy w drzwiach pokoju, Grace, której zdumienie szybko przerodziło się w przerażenie, zaczęła głośno wzywać pomocy. Na próżno. To, co nastąpiło, doprawdy było koszmarem.

Fish udusił małą. Następnie odciął jej głowę, którą potem zakopał gdzieś jako nieprzydatną, zaś ciało przeciął na dwie części i starannie zapakowane zabrał do swego mieszkania. Kawałki ciała gotował i żywił się nimi przez dziewięć dni. Wyznał potem, że przez cały ten czas odczuwał wielkie podniecenie seksualne.

Z zachowania Fisha widać wyraźnie, że kierowało nim chwilami jakby

wewnętrzne pragnienie wpadnięcia w ręce sprawiedliwości. Po sześciu latach, 11 listopada 1934 roku, wysłał mianowicie list do państwa Budd. Przyznawał się w nim do zabicia małej Grace i zjedzenia jej ciała, podkreślał jednakże z całą stanowczością, że nie zgwałcił dziewczynki, ani nie zbezcześcił jej zwłok. Samo napisanie takiego listu było ogromną nieostrożnością, a w dodatku wysłał go w kopercie z nadrukiem pewnej firmy malarskiej i dekoratorskiej, która łatwo mogła go zdradzić. Dr Wertham twierdzi, że Fish doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Miesiąc później, 13 grudnia 1934 roku, Fish został aresztowany. Natychmiast przyznał się do zabicia Grace Budd i bez oporów złożył obszernie zeznania. Wtedy to właśnie doktorowi Werthamowi powierzono zbadanie stanu psychicznego zabójcy, gdyż nie ulegało wątpliwości, że wykazuje on poważne odchylenia od normy.

Oto dane, jakie zdołał zgromadzić w trakcie swych badań dr Wertham. Fish urodził się około 1870 roku w rodzinie, w której występowały przypadki chorób psychicznych, możliwe więc, że był dziedzicznie obciążony. Gdy miał 5 lat, został umieszczony w sierocińcu; w wieku lat 15 ukończył szkołę i z niewiadomych powodów zmienił imię Hamilton na Albert. Najpierw pracował w sklepie spożywczym, potem został malarzem pokojowym i dekoratorem, w którym to zawodzie pozostał przez całe życie.

W 1898 roku Fish ożenił się z młodszą od siebie o dziewięć lat dziewczyną, z którą miał sześcioro dzieci. „Zawsze lubiłem dzieci” – wyznał w czasie śledztwa. Dwadzieścia lat później jego żona uciekła z lokatorem. Fish nadal opiekował się dziećmi, a także „ożenił się” jeszcze trzykrotnie. Nigdy nie uzyskał rozwodu z pierwszą żoną nie starał się też o to, następne „małżeństwa” były więc nieważne z prawnego punktu widzenia.

„Życie seksualne Fisha było wyjątkowo patologiczne” – pisze dr Wertham. Gdy miał 5 lat, wychowawczynie w sierocińcu, prawdopodobnie również osoba o patologicznych skłonnościach, lubowała się w biciu go różgą po obnażonym ciele. Często dostawał takie „lanie” i wkrótce polubił je. Przeglądając podręczniki, trudno znaleźć rodzaj perwersji, któremu nie oddawałby się z upodobaniem. Eksperymentował przy tym wiele, wynajdując coraz to nowe formy zaspokojenia seksualnego. Ograniczmy się tu do odnotowania, że miał zwyczaj wbijać sobie długie igły w ciało tam, gdzie skóra jest najbardziej delikatna i unerwiona. Wykonano zdjęcia rentgenowskie, które ujawniły obecność w ciele Fisha 27 takich igieł, z których kilka przedziewiało do tego stopnia, że pozostały z nich jedynie maleńkie kawałki. Fish próbował też wbijać sobie igły pod paznokcie, uznał jednak – jak wyjaśnił – że było to zbyt bolesne.

Podobnych doświadczeń dokonywał Fish na swych ofiarach – dzieciach. Przyznał się, że przez całe życie „polował” na dzieci i uwiódł co najmniej sto, zarówno

dziewcząt, jak i chłopców. Jako malarz często pracował w piwnicach i w pustych, nie zamieszkanym jeszcze domach, nie miał więc trudności ze znalezieniem odludnego miejsca, gdzie mógłby sprowadzać swe ofiary. Równie łatwo przychodziło mu wyszukiwanie ofiar, bo dzieci garnęły się do niego, zwabione jego sympatycznym wyglądem i zachowaniem.

Chronologicznie rzecz ujmując, ostatnim „wynalazkiem” Fisha były marzenia o kanibalizmie, które wkrótce – jak to widzimy na przykładzie nieszczęsnej Grace Budd – zrealizował ku swemu zadowoleniu.

Choroba Fisha obejmowała też pewne elementy manii religijnej. Uważał on mianowicie, że jest człowiekiem świętym, a swym zabójstwem przypisywał charakter rytualny: „Musiałem składać dzieci w ofierze, by oczyścić się ze swych grzechów...” – wyznał. Torturowania dzieci, w tym także kastrowania małych chłopców dopuszczał się – jak twierdził – na polecenie jakiejś wyższej siły.

Wobec powyższych informacji nie ulega wątpliwości, że Fish był osobnikiem całkowicie niepoczytalnym i nie odpowiadał za swoje czyny. Mimo to wydano nań jednogłośnie wyrok śmierci, który był wyrazem oburzenia i odrazy, jaką musieli odczuwać wobec niego przysięgli i sędziowie. Wyrok został wykonany.

Niejakie zdziwienie może budzić fakt, że człowiek ten zdołał przeżyć 64 lata, oddając się bez zahamowań swym perwersyjnym praktykom i nigdy nie zwrócono na niego uwagi. Otóż tak nie było. Fish wielokrotnie był aresztowany, między innymi za kradzież. Spędził też kiedyś 90 dni w więzieniu za wysyłanie nieprzyzwoitych listów. Dwukrotnie otrzymał wyrok z zawieszeniem za nieudolne fałszerstwa czeków. Jego kontakty z wymiarem sprawiedliwości były więc dość częste.

Jak to się stało, że nikt nie zauważył, że ma do czynienia z człowiekiem psychicznie chorym, niebezpiecznym dla otoczenia? Możliwym tłumaczeniem to przeoczenie faktem, że Fish najczęściej stawał przed sądem za przestępstwa nie mające związku z jego sadomasochistycznymi skłonnościami. I oto dowiadujemy się ze zdumieniem i przerażeniem, że Fish dwukrotnie przebywał na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. Został skierowany tam przez sąd, po raz pierwszy w 1930 roku, a więc w dwa lata po zabójstwie Grace Budd. W opinii, podpisanej przez specjalistów, czytamy: „Niekiedy wykazuje oznaki zaburzeń psychicznych”. Podczas drugiego pobytu w szpitalu stwierdzono u niego wprowadzenie sadyzmu, lecz badań nie kontynuowano i został wypisany. Trzeba stwierdzić, że psychiatrzy owego szpitala dopuścili się wyjątkowo karygodnego błędów w sztuce lekarskiej.

Nie dysponujemy, niestety, fotografią Alberta Fisha. Musi więc nam wystarczyć opis podany przez doktora Werthama „Z wyglądu był łagodnym i nieszkodliwym starszym człowiekiem. Gdybyście szukali kogoś, komu moglibyście powierzyć z czystym sumieniem własne dzieci, spośród setek ludzi wybralibyście właśnie jego...”

Denise LABBE

Panna Denise Labbe, ładna Paryżanka, z zawodu sekretarka, miała 29 lat, wesołe usposobienie, niezwykle bogate życie erotyczne oraz dwuletnią córeczkę. Mała Catherine, zwana przez matkę pieszczotliwie Cathy, była owocem romansu Denise z pewnym młodym lekarzem, który – podobnie jak wszyscy inni kochankowie, a było ich wielu – zniknął z życia panny Labbe szybko i bez śladu. Można by się spodziewać, że Denise traktować będzie Catherine jak kulę u nogi, która przeszkadza w wesołym życiu, że wręcz postara się umieścić dziecko w sierocińcu. Tak się jednak nie stało. Denise bardzo kochała małą i opiekowała się nią jak tylko mogła.

Ograniczała nawet swe spotkania z następcami ojca Cathy, żeby więcej czasu poświęcać dziecku. Wkrótce stwierdziła, że nie zdoła zapewnić córeczce należytej opieki, bo całe dni musiała przecież spędzać w pracy. Zaczęła więc szukać godnej zaufania osoby, która zgodziłaby się przyjąć do siebie Cathy za odpowiednią opłatą. Matka odwiedzała małą po południu i zabierała do siebie we wszystkie wolne dni.

Wreszcie Denise umieściła Cathy u niejkiej pani Laurent, zamieszkałej w Agly pod Paryżem. Opiekunka była osobą w średnim wieku, była pielęgniarką, co gwarantowało dobrą opiekę, a także posiadaczką sporego ogrodu, gdzie mała mogła całymi dniami bawić się z dziećmi sąsiadów. Denise Labbe przyjęła dodatkową pracę, by móc opłacić pobyt małej Cathy u pani Laurent. Odwiedzała też córeczkę bardzo często i pół roku później opiekunka opowiadała wysokiemu sądowi o wielkim uczuciu, jakim panna Labbe darzyła dziecko: Denise stanęła bowiem przed sądem oskarżona o zamordowanie swej córki.

Opętanie – bo chyba tylko tym staroświeckim słowem określić można koszmara, który doprowadził do śmierci małej Cathy – rozpoczęło się 1 maja 1954 roku. Tego bowiem dnia Denise Labbe poznała kadeta Jacquesa Algarrona. W Cafe Glacier przy placu przed ratuszem w Rennes odbywały się tańce. Denise rzadko opuszczała takie imprezy i wszystko wskazuje na to, że większość swych kochanków poznawała w takich właśnie okolicznościach. Później przez długie lata miała gorzko żałować, że nie zainteresowała się kimś innym. Cóż, Algarron był niewątpliwie mężczyzną bardzo atrakcyjnym.

Algarron, młodszy od Denise o 4 lata, był podporucznikiem w Szkole Artylerii w

Chalons-sur-Marne, gdzie wykładał matematykę. Był – jak z rozrzewnieniem pisze w swym sprawozdaniu z sali sądowej pewna reporterka z pisma kobiecego – nie tylko niezwykle uzdolnionym matematykiem oraz człowiekiem wykształconym i obytym, lecz także, może przede wszystkim mężczyzną wyjątkowo przystojnym i czarującym. Trudno się zatem dziwić nieszczęsnej Denise, że była zachwycona okazywanym jej zainteresowaniem. Bez wahania umówiła się z nim na następne spotkanie i wkrótce została jego kochanką. Z każdym dniem była w nim bardziej zakochana, coraz bardziej też jej imponował. Przekonała się, że ma do czynienia z człowiekiem niezwykłym.

Istotnie, Algarron w pełni zasługiwał na takie określenie. Nie ograniczając się do zagadnień matematycznych, studiował też pilnie filozofię, zwłaszcza zaś prace niemieckiego filozofa Nietzschego, którego teorii był szczerym i gorącym wyznawcą. Szczególnie przypadła mu do gustu koncepcja nadczłowieka, ta sama, którą niewiele wcześniej tak się zachwycił Adolf Hitler...

Jacques Algarron był człowiekiem wybitnie inteligentnym. Nie ograniczył się zatem do przyjęcia poglądów Nietzschego, lecz na ich podstawie wykształcił stopniowo własną teorię – teorię „Super-pary”. Miał to być najwyższy związek między kobietą i mężczyzną, którzy dzięki temu stawali się nadludźmi. Istotą tego związku miała być miłość, bezgraniczne oddanie i podporządkowanie, a także pogarda dla wszelkich „przyziemnych” wartości, jak na przykład życie ludzkie (oczywiście, w odniesieniu do „zwykłych”, a więc gorszych ludzi). Podczas kolejnych spotkań Algarron wykładał zasłuchanej Denise Labbe swą teorię, ona zaś, choć nic właściwie nie rozumiała, chłoneła każde jego słowo, zwłaszcza że oznajmił jej, iż widzi w niej swą przyszłą „superpartnerkę”.

Jedną z cech „super-pary” miało być wzajemne, absolutne oddanie i podporządkowanie. Na początek jednak Algarron żądał tego tylko od swej kochanki, sam zaś ograniczał się do łaskawego przyjmowania hołdów. Poinformował ją, że konieczne są jeszcze pewne zabiegi „wychowawcze”, by zrobić z niej odpowiednią „super-kobietę”. Wychowywał więc Denise pracowicie. Ona zaś, coraz bardziej zakochana, zgadzała się na każde poniżenie, żeby tylko nie utracić przedmiotu swej miłości (a groźbą odejścia Algarron posługiwał się niezwykle umiejętnie). Przed sądem Denise mówiła ze wstydem o swym pobycie nad morzem w towarzystwie kochanka:

– Byłam tak zaślepiona, że dumą napawało mnie pokazywanie publicznie blizn...
– owe blizny na plecach były wynikiem seansów chłosty, przy pomocy której Algarron sprawdzał stopień oddania swej „super-partnerki”.

Przypuszczenie, że kadet Algarron wykazywał zdecydowane skłonności sadystyczne, potwierdza się, gdy dalej czytamy skrętnie zaprotokołowane zeznanie

nieszczęsnej Denise. Otóż romans przyszłej „super-pary” trwał już trzy miesiące, gdy Algarron powiedział (jechali właśnie taksówką):

– By stworzyć idealną parę, najwyższą formę współżycia, mężczyzna i kobieta muszą być zdolni do popełnienia najstraszliwszej nawet zbrodni dla siebie nawzajem.
– Po tym górnolotnym wstępie dodał – ...nawet gdyby chodziło o zamordowanie taksówkarza.

Nieszczęsny taksówkarz zapewne nie usłyszał tych wynurzeń swego pasażera. Nie miał się zresztą czego obawiać, bo myśl o mordzie na Bogu ducha winnym szoferze stanowiła tylko przykład. Algarron miał już gotowy całkiem inny plan.

29 sierpnia 1954 roku Jacques Algarron spytał Denise Labbe, czy zdecydowałyby się zabić swą córkę Cathy (która nazywała go już wujkiem) na dowód swego absolutnego oddania nie tylko jemu, lecz i teorii „super-pary”. W pierwszej chwili Denise odparła bez wahania twierdząco, nie spodziewając się zapewne, że kochanek naprawdę tego od niej zażąda. Od tego jednak dnia zabójstwo małej Cathy stało się jedynym tematem rozmów „super-pary”, a każde ich spotkanie kończyło się tak samo: Algarron stawiał ultimatum – „jeśli jej nie zabijesz, nie ujrysz mnie więcej” – zaś nieszczęsna Denise, szlochając, przysięgała, że spełni jego żądanie. Zwlekała jednak, powodowana czy to miłością do dziecka, czy też obawą przed konsekwencjami planowanej zbrodni. Algarron zaś na zmianę szantażował ją zerwaniem i zapewniał o swym dozgonnym uczuciu, by wymusić jej posłuszeństwo. Wtedy też, choć widywali się codziennie, zaczął pisywać do Denise długie listy, które charakteryzował zarówno kwiecisty styl, jak i erotyzm, świadczący zresztą o tym, że Algarron znał nie tylko Nietzschego, bo całą symbolikę seksualną czerpał z prac Freuda. Nieszczęsna Denise rozumiała z nich tylko jedno: jeśli nie zabije Cathy, straci ukochanego. Należy przy tym wspomnieć, że ostrożny „nad-człowiek” nigdy nie pisał, czego żąda, by listy nie stanowiły dowodów jego współudziału.

21 września Denise podjęła pierwszą próbę zabicia Cathy: chciała wyrzucić małą przez okno trzeciego piętra. Okazało się jednak, że nie jest w stanie tego zrobić. Tydzień później wrzuciła córkę do kanału w Angly, natychmiast jednak uratowała ją sama. Przez cały czas między kochankami trwała ożywiona korespondencja, która doprowadziła Denise do podjęcia kolejnej próby zabicia córki w dniu 16 października, kiedy to wrzuciła małą do rzeki przepływającej w pobliżu domu pani Laurent. Tym razem dziecko uratowane zostało przez sąsiadów, którzy usłyszeli jego krzyk. Algarron był jednak nieubłagany: tylko śmierć małej Cathy powstrzyma go od porzucenia jej matki.

W poniedziałek 8 listopada 1954 Denise Labbe wrzuciła córkę do wypełnionej wodą wanny. Tym razem mała Catherine, która właśnie skończyła 2,5 roku, nie została już w ostatniej chwili uratowana. Denise stała się dzieciobójczynią.

Jakaż była jej rozpacz, gdy powiadomiony o tym Algarron stwierdził:

– Jestem bardzo rozczarowany. Teraz, kiedy to się już stało, nic mnie to nie obchodzi.

Rozpoczęcie śledztwa spowodowała pani Laurent, której niedawne nieszczęśliwe wypadki małej Cathy wydały się podejrzane. Wkrótce okazało się, że brzeg wanny był zbyt wysoki, by mała mogła się nań wdrapać. Przesłuchiwano Denise, która – zaniepokojona rozwojem wypadków – zwróciła się o radę do swego przyrodniego brata, prawnika Jeana Dussera. Ten poradził jej, by zgłosiła się na policję i przyznała do nieumyślnego utopienia córki. Mimo zapewnień Denise, że zemdląca wyciągając dziecko z wody i dlatego nie zdołała go uratować, została aresztowana pod zarzutem morderstwa. Po dwóch miesiącach, 24 stycznia 1955 roku, przedstawiono jej także zarzut usiłowania zabójstwa córki w trzech poprzednich wypadkach.

Wtedy to Denise zaczęła oskarżać swego kochanka, który zresztą przestał się interesować jej losem. Na dowód prawdziwości swych oskarżeń przedstawiła jego listy, w których jednak nie było żadnych konkretów. Mimo to Algarron został aresztowany. Zapewniał sędziego śledczego, M. Baera, o swej niewinności, a podczas konfrontacji z rozhisteryzowaną Denise powiedział tylko chłodno: „Ta dziewczyna oszalała”. Jego celę zdobiły duże fotografie dzieci, które miał ze swymi poprzednimi kochankami, co miało dowodzić jego przyjaznego stosunku do dzieci. Jednak Denise trwała przy swych oskarżeniach i zdołała widać przekonać sędziego, skoro 30 maja 1955 roku Algarron stanął wraz z nią przed sądem, oskarżony o podżeganie do zbrodni. Nadal wyśmiewał jednak zarzuty swej byłej kochanki. Spytany o znaczenie obciążających go listów do Denise, wyjaśnił:

– Owszem, robiłem pewne aluzje, ale ograniczałem się do abstrakcji, ona zaś chciała zrobić coś konkretnego.

Nieprzyjemny moment przeżył Algarron podczas zeznań jednej ze swych kochanek. Wezwana przez obrońcę, by zaprzeczyła sadystycznym skłonnościom oskarżonego, powiedziała bez wahania:

– Kiedyś powiedział mi, że dwoje kochających się ludzi powinno wzajemnie zadawać sobie cierpienia. „Wybacz, ja jestem normalna” – odparłam. Wkrótce potem zerwał ze mną.

Nie miała też wątpliwości co do winy Algarrona opiekunka Cathy, pani Laurent. Stojąc za barierką dla świadków, zwróciła się w stronę oskarżonego, krzyżąc: „Zwierzę! Zwierzę!” Została usunięta z sali. Okazało się jednak, że wysoki sąd podzielił jej poglądy.

Prokurator żądał kary śmierci dla Denise i dożywotniego więzienia dla Algarrona. Przysięgli dopatrzyli się jednak pewnych okoliczności łagodzących w przypadku panny Labbe, wzięli też pod uwagę jej przyznanie się do winy. Została skazana na

dożywotnie więzienie, Algarron zaś – jako podżegacz – otrzymał 20 lat ciężkich robót.

Jeanne WEBER

Nie dysponujemy bliższymi danymi na temat życia Jeanne Weber przed jej pierwszą zbrodnią. Wiemy jedynie, że w 1905 roku była mężatką i mieszkała przy Passage Goutte d'Or w Paryżu. Z jej trojga dzieci żyło tylko jedno, 7-letni Marcel. Pozostała dwójka zmarła, nie wiemy jednak, czy matka maczała w tym palce.

2 marca 1905 roku bratowa Jeanne Weber wybrała się do miejscowej pralni, która dla gospodyń domowych była wówczas nie tylko zakładem usługowym, ale i miejscem spotkań towarzyskich. Ponieważ kobieta przewidywała, że wróci dopiero za kilka godzin, zostawiła pod opieką Jeanne 18-miesięczną Georgette. Ledwo jednak zdążyła przywitać się ze znajomymi, spotkanymi w pralni, do zakładu wbiegła zdyszana sąsiadka.

– Niech pani natychmiast biegnie do domu! – zawołała od drzwi. – Georgette jest chora! Cała zsiniała i dusi się.

Przerażona matka natychmiast udała się do mieszkania, gdzie w otoczeniu sąsiadek Jeanne trzymała małą Georgette na rękach. Po kilku chwilach stan dziecka zaczął się jednak poprawiać. Zanim upłynął kwadrans, Georgette wydawała się już całkiem zdrowa. Wtedy jej matka, którą w końcu nie tylko plotki zwabiły do pralni, powróciła tam. Gdy po trzech godzinach zjawiała się w domu, Georgette już nie żyła. Na szyi dziecka widać było wyraźne sine plamy, ale wezwany lekarz przypisał zgon konwulsjom.

11 marca, a więc po niespełna dziesięciu dniach, ta sama kobieta znów poprosiła Jeanne Weber o opiekę nad innym swym dzieckiem, 2-letnią Suzanne, sama zaś udała się z mężem (bratem Jeanne) z wizytą do znajomych. Powrócili w samą porę, by być świadkami śmierci Suzanne w wyniku „konwulsji”. Dziecko zmarło w kilka minut po ich powrocie. Również i ten przypadek nie wzbudził podejrzeń.

Głupota ludzka jest zupełnie niewiarygodna. 25 marca ta sama kobieta, która w ciągu ostatnich tygodni straciła już dwoje dzieci, pozostawionych pod opieką Jeanne Weber, znów postanowiła skorzystać z jej uprzejmości. Tym razem chodziło o najmłodsze dziecko, 7-miesięczną Germaine. Gdy tylko Jeanne Weber została sama z małą, dał się słyszeć straszny płacz dziecka. Zaniepokojone sąsiadki zaczęły pukać do drzwi, a gdy im otworzono, ujrzały małą Germaine zsiniałą, dziecko dusiło się. Jeanne Weber, twierdząc, że ma coś do załatwienia, wyszła z mieszkania (tym razem pilnowała niemowlęcia w mieszkaniu bratowej), wróciła jednak następnego dnia, by

spytać o samopoczucie małej. I znów matka, korzystając z obecności Jeanne, wybiegła na chwilę na targ. Gdy wróciła, Germaine była już martwa. Wezwany lekarz podał dyfteryt jako przyczynę zgonu.

Przypomnijmy – w ciągu niespełna miesiąca jedna i ta sama kobieta straciła trójkę dzieci. Wszystkie zmarły, będąc pod opieką Jeanne Weber. Żadne z nich nie było przedtem chore. A jednak bratowa Jeanne nie wyciągnęła z tego oczywistych wniosków.

Trzy dni później, 28 marca, dokładnie w dzień pogrzebu małej Germaine, w identyczny sposób stracił życie własny synek Jeanne Weber, 7-letni Marcel. Nadal jednak nikt nie podejrzewał o nic jego matki.

5 kwietnia Jeanne Weber zaprosiła dwie swoje bratowe na obiad. Jedną z nich była owa nieszczęsna matka, która ostatnio straciła wszystkie swe dzieci. Druga bratowa przyprowadziła natomiast ze sobą swego 10-let-niego synka, imieniem Maurice. Po obiedzie Jeanne namówiła obie kobiety, by korzystając z wolnej chwili, udały się na pobliski targ. Obiecała starannie opiekować się chłopcem. Gdy bratowe wróciły, Maurice wił się w konwulsjach.

Druga bratowa Jeanne Weber miała znacznie więcej zdrowego rozsądku. Ujrawszy swe dziecko w takim stanie, oskarżyła Jeanne o próbę uduszenia go. Ta zaprzeczała, rzecz jasna i to z ogromnym oburzeniem. Pomiędzy kobietami doszło prawie do rękoczynów.

Maurice'a zdołano uratować dzięki natychmiastowej interwencji lekarza. Podczas reanimacji medyk szpitala Bretonneau zauważył jednak ślady palców na szyi chłopca, o czym nie omieszkał powiadomić jego matki.

Energiczna kobieta, nie bacząc na więzy rodzinne, natychmiast złożyła doniesienie w miejscowym posterunku policji o usiłowaniu zabójstwa. Jeanne Weber została aresztowana i 29 stycznia 1906 roku stanęła przed sądem przysięgłych Departamentu Sekwany. Z pozoru sprawa wydawała się jasna, okazało się jednak, że morderczyni miała wyjątkowe szczęście.

Policja posiadała pisemny protokół obdukcji małego Maurice'a, sporządzony przez lekarza, który ratował dziecko. Zgodnie jednak z procedurą, mały zbadany został ponownie po kilku dniach przez oficjalnego biegłego sądowego, niejakiego doktora Thoinot. Ten nie znalazł jednak (co jest całkiem zrozumiałe) żadnych śladów duszenia i sporządził stosowną opinię. Wygłosił ją potem podczas rozprawy, co uratowało oskarżoną i tym samym – jak się miało okazać – skazało na śmierć dwoje następnych dzieci. Przysięgli uwierzyli bowiem zdaniu biegłego i Jeanne Weber została uniewinniona.

Natychmiast po zwolnieniu z aresztu kobieta powróciła do domu, gdzie jednak czekała ją przykra niespodzianka. Okazało się mianowicie, że jej mąż wyprowadził

się z domu, nie chcąc mieć do czynienia z morderczynią; nie wątpił bowiem o jej winie. Tego samego zdania byli też sąsiedzi Jeanne, którzy na każdym kroku dawali jej to boleśnie odczuć. Kobieta nie miała innego wyjścia, jak tylko zniknąć z domu. Nie mamy żadnych wiadomości o jej życiu w ciągu następnych 15 miesięcy, nie wiemy też, czy w tym czasie zamordowała jakieś dziecko.

Kolejna zbrodnia, co do której posiadamy pewne informacje, miała miejsce 16 kwietnia 1907 roku.

Mniej więcej na miesiąc przed tą datą Jeanne Weber została kochanką zamożnego właściciela ziemskiego nazwiskiem Bavouzet. Mieszkał on w wiosce Chambon pod Villedieu nad rzeką Indre, dokąd wkrótce sprowadził Jeanne. Kobieta spędziła tam zaledwie tydzień, gdy – właśnie 16 kwietnia – synek Bavouzeta, Auguste, zmarł na „konwulsje”. Dziecko znaleziono z charakterystycznymi granatowymi sińcami na szyi. Wygląd zwłok wzbudził wprawdzie pewne podejrzenia miejscowego lekarza, wydano jednak – choć z ociąganiem – zezwolenie na pogrzeb dziecka. Jeanne Weber nadal mieszkała w domu kochanka, wydawało się więc, że tym razem powiodło się jej doskonale.

Nie wiemy, czy 12-letnia córeczka Bavouzeta uświadomiła sobie nagle, że gdzieś widziała twarz nowej kochanki ojca, czy też rzeczywiście zupełnie przypadkowo przeglądała stare numery pisemka „Le Petit Parisien” sprzed mniej więcej dwóch lat. Nagle natrafiła na wielkie zdjęcie Jeanne Weber i artykuł o dzieciobójczyni. Mała pokazała natychmiast gazetę ojcu i wkrótce dokonano ekshumacji zwłok małego Auguste’a. Miejscowy lekarz przeprowadził starannie sekcję i uznał, że chłopiec został uduszony. Jeanne Weber ponownie aresztowano pod zarzutem zabójstwa dziecka. Morderczyni nie opuszczało jednak owo niewiarygodne szczęście, dzięki któremu została poprzednio uniewinniona. Oto znów wezwano doktora Thoinot, który – całkiem zresztą bezinteresownie, nie znał bowiem Jeanne Weber osobiście – po raz drugi uratował ją od gilotyny. Wyśmiał mianowicie opinię miejscowego lekarza, przypisując zgon Auguste’a... atakowi gorączki. Między medykami rozgorzał spór. Wezwano więc innych specjalistów z Paryża, którzy poparli doktora Thoinot. Ich połączone autorytety znów przeważyły szalę na korzyść Jeanne Weber. Choć wydaje się to niewiarygodne, kobieta znów znalazła się na wolności.

Tym razem dała się zauważyć zmiana w nastawieniu opinii publicznej do uniewinnionej morderczyni: jak przedtem tłumy domagały się natychmiastowego jej uśmiercenia, tak teraz w Paryżu witano ją entuzjastycznie jako nieszczęśnicę, prześladowaną przez wyjątkowo pechowe zbiegi okoliczności.

Nie miała też trudności ze znalezieniem posady. Jeden z jej sympatyków (mamy tu na myśli ludzi przekonanych o jej niewinności) natychmiast zaproponował jej pracę w charakterze... opiekunki małych pacjentów w prowadzonym przez siebie

sanatorium pod Paryżem. Jeanne Weber nie mogła trafić lepiej.

Już po tygodniu przyłapano ją przy łóżku jednego z podopiecznych. Przytrzymując wyrywającego się z całych sił chłopca, ścisnęła rękami jego gardło. Dziecko z trudem zdołano odratować, lecz policja nie dowiedziała się o tym fakcie. Jeanne Weber uprzejmie poproszono tylko o zmianę pracy.

Kobieta wróciła znów do Paryża, gdzie natychmiast odwiedziła komendę policji i szefowi Surete, Hamardowi, z własnej woli przyznała się do zamordowania swych trzech bratanic. Doświadczony skądinąd policjant popełnił jednak błąd. (Trzeba przyznać, że w tej sprawie aż roi się od błędów). Uznał bowiem, że Jeanne Weber jest niewinna, lecz obłąkana, skoro przyznaje się do nie popełnionych czynów i znalazł dla niej miejsce w szpitalu psychiatrycznym w Nanterre. Ponieważ nie była pacjentką przymusową, ani niebezpieczną dla otoczenia (cóż, przyznawanie się do zbrodni, których się nie popełniło, to tylko niewinna forma szaleństwa), miała pełną swobodę opuszczania szpitala. Pewnego dnia wyszła za bramę, by już więcej nie powrócić.

Trafiła do Lay-St-Remy pod Toul, gdzie wkrótce została kochanką innego człowieka przekonanego o jej niewinności, niejakiego Joly. (Był on, na swoje szczęście, bezdzietny). Ten jednak wkrótce znudził się nią i po prostu przegnał ze swego domu. Jeanne utrzymywała się przez pewien czas z prostytutki, oferując swe usługi kolejarzom pracującym w Toul, a następnie związała się z człowiekiem nazwiskiem Boucherry.

Wraz z kochankiem wędrowała po Francji, by wreszcie zatrzymać się w gospodzie, prowadzonej przez małżeństwo Poirot. Poszukiwali oni służącej i Jeanne Weber, przez nikogo nie rozpoznana, wkrótce podjęła się tej pracy. Państwo Poirot mieli dwoje dzieci.

Po tygodniu Jeanne Weber poprosiła Poirotów, by pozwolili starszemu chłopcu nocować w jej pokoju, gdyż „mąż” często wraca pijany wieczorem i bije ją, nie robi tego jednak przy dziecku. Już pierwszej nocy z jej pokoju dały się nagle słyszeć krzyki małego. O dziesiątej wieczorem Poirot wyważył wreszcie drzwi, by ujrzeć swe dziecko martwe, w kałuży krwi. Tym razem morderczyni nie wystarczyło duszenie. W podnieceniu zmasakrowała chłopca i nawet w obecności ojca nadal zadawała straszliwe ciosy, choć dziecko już nie żyło. Poirot z trudem zdołał ją przytrzymać do przybycia policji. Wkrótce odkryto, że „pani Boucherry” jest w rzeczywistości ową Jeanne Weber, którą dwukrotnie uniewinniono od zarzutu zabójstwa.

Tym razem nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że kobieta jest niepoczytalna. Wyrokiem sądu umieszczono ją w zakładzie zamkniętym w Mareville, gdzie bezustannie podejmowała próby uduszenia się własnymi rękami. Za którymś razem użyła przemyślanej pętli ze sznura... Pochowano ją bez krzyża, na miejscowym cmentarzu.

Czarna magia

Mary BATEMAN

Panięskie nazwisko tej oszustki i złodziejki brzmiało Mary Harker. Urodziła się w 1768 roku w rodzinie farmera spod Thirsk. Już w bardzo wczesnej młodości zaczęła zdradzać niepokojące skłonności do kradzieży. Za każdym razem, gdy jej drobne kradzieże wyszły na jaw, zwalniano ją, po czym znajdowała jakoś nową pracę i wszystko zaczynało się od nowa. Przepracowała w ten sposób kilka lat w różnych domach w miastach York i Leeds, aż wreszcie poznała niejakiego Johna Batemana, kołodzieja, i wyszła za niego, zanim zdążył się zorientować, że będzie miał złodziejkę za żonę.

Wkrótce też zaczęła sprawiać mu wiele kłopotów swym postępowaniem. Kradła wprawdzie drobne przedmioty i nigdy nie usiłowała popełnić przestępstwa na większą skalę, ale też niemal zawsze była przyłapywana na kradzieży. Nieszczęsny Bateman musiał potem, czerwony ze wstydu, usprawiedliwiać żonę przed rozjuszonymi poszkodowanymi i płacić za jej wybryki.

Z biegiem czasu tego typu działalność przestała wystarczać przedsiębiorczej kobiecie. Zaczęła więc praktykować jako wróżka, co było bezpieczniejsze i na pewno bardziej intratne. Charakterystyczne jest przy tym, że zdobywszy ofiarę, nie wypuszczała jej z rąk, dopóki nie wydostała od niej ostatniego grosza. Była całkowicie pozbawiona litości. W archiwach zachowało się kilka przykładów. I tak pewnego razu zwróciła się do Mary Bateman dziewczyna, którą porzucił ukochany, ponieważ zaszła w ciążę. Błagała o spowodowanie przy pomocy magii, by chłopak się z nią ożenił. „Wiedźma z Yorkshire” – bo tak ochrzczono ją podczas późniejszego procesu – sprzedała najpierw nieszczęsnej dziewczynie za kilka gwinei talizman, który miał spowodować, że ukochany wróci do niej. Zorientowawszy się jednak, że „klientka” ma jeszcze pieniądze, nie wypuściła okazji z rąk i w krótkim czasie wyłudziła od niej wszystkie oszczędności. Wreszcie wykonała nielegalny zabieg

przerywania ciąży, którego dziewczynaomal nie przypłaciła życiem. Wprawdzie, jak na ironię, wtedy właśnie jej ukochany, którego ogarnęły wyrzuty sumienia, ożenił się z nią mimo wszystko, a więc „czary” Mary Bateman odniosły pożądaný skutek, lecz nieszczęsna zmarła wkrótce potem, nigdy nie odzyskawszy w pełni zdrowia po „operacji”. Umierając, rozpaczła podobno, żałując, że zwróciła się do wróżki.

Kiedy indziej niejaki Stead zwrócił się do Mary Bateman z prośbą o radę w sprawach swych wierzycieli. Ta za odpowiednią opłatą poradziła mu, by porzucił żonę i kilkumiesięczne dziecko i zaciągnął się do armii. Panu Stead niezbyt odpowiadał ten pomysł, Mary Bateman użyła jednak wszelkich podstępów i sztuczek, by go na to namówić. Wydaje się przy tym, iż na równi z chęcią zysku kierowała się patologicznym pragnieniem zniszczenia swej ofiary. Gdy bowiem zdołała przekonać Steada, nawiązała znajomość z jego żoną i ostrzegęła ją, że mąż zamierza uciec z kochanką. Pobrała też od niej pewną kwotę za odwrócenie złego losu przy pomocy czarów. Gdy Stead znalazł się już w koszarach, jego żona zmuszona była żyć z datków towarzystwa dobroczynnego, nie miała bowiem żadnych środków na utrzymanie. Mary Bateman nie zadowolila się jednak tym, co dotąd otrzymała od obojga małżonków i na ogół udawało się jej wyciągnąć od nieszczęsnej kobiety również i te marne grosze. Dziecko Steadów zmarło w strasznych warunkach, w jakie wpędziły rodzinę kontakty z „wiedźmą”.

Oddając się tak intratnemu zajęciu, jakim było wróżbiarstwo, Mary Bateman nie zrezygnowała jednak z dawnych upodobań. I tak kronikarze z oburzeniem opisują wypadek z prosięciem, które zagarnęła drogą podstępu. Usłyszawszy mianowicie, jak pewien człowiek zamawia u rzeźnika prosię, podając adres, pod który ma zostać dostarczone, szybko pobiegła pod jego dom i czekała tam na chłopca od rzeźnika. Gdy pojawił się, dźwigając zamówione prosię, podała się za kucharkę klienta, natarła posłańcowi uszu za rzekome spóźnienie i odebrała mu prosię. Chłopak nie miał wątpliwości, że prosię trafiło pod odpowiedni adres. Wszystko wydało się dopiero wtedy, gdy po kilku godzinach do rzeźnika przybiegł rozgniewany prawowity właściciel prosięcia, pytając, dlaczego nie zostało dostarczone. Nieszczęsny chłopiec na posyłki straciłby prawdopodobnie pracę, gdyby nie to, że klient zauważył Mary Bateman w pobliżu w chwili, gdy składał zamówienie, a przypadkiem wiedział o niej to i owo. Udał się więc niezwłocznie do jej domku, gdzie zastał... piekące się swoje własne prosię! Mary Bateman miała jednakże tym razem szczęście, człowiek ten bowiem ulitował się nad nią, nie wystąpił na drogę sądową i przyjął od niej zwrot pieniędzy za ukradzione prosię. Gdyby stało się inaczej, Mary Bateman może nigdy nie znalazłaby się w doborowym towarzystwie morderców.

John Bateman wstąpił do wojska. Być może nie mógł już wytrzymać ani sytuacji, w jakiej znalazł się przez żonę, ani powszechnego potępienia ze strony sąsiadów.

Mary zaczęła jeździć za nim po całym kraju, zaś wszędzie tam, gdzie oddziały stacjonowały dłużej, oddawała się z upodobaniem wróżbiarstwu, oszukując przy tym i kradnąc, jak się dało i gdzie się dało. Jej ulubionym i prawdopodobnie niezwykle skutecznym sposobem było przekonywanie naiwnych klientów, iż nieszczęścia, jakie im grożą, można odsunąć zaszywając złoto lub papierowe pieniądze w materac czy rąbek spódnicy, czyniąc z nich w ten sposób talizman. Podczas owego ceremonialnego zaszywania wystarczył już tylko nieznaczny ruch ręki; w każdym razie można było mieć pewność, że cokolwiek zostało zaszyte, nie posiadało to żadnej wartości. Ponieważ zaś Mary Bateman z całą stanowczością przestrzegała, iż kosztowności nie wolno w żadnym wypadku wyjąć z ukrycia, zapewniła sobie tym samym całkowitą bezkarność i niezły zarobek, tym bardziej że pobierała od swych ofiar dodatkowe, tym razem oficjalne „opłaty za usługi”.

Wiedźma z Yorkshire wykazywała wiele sprytu. Stworzyła postać „panny Blythe”, czarownicy ze Scarborough, która miała posiadać ogromną wiedzę w dziedzinie magii i astrologii. W ten sposób zrzucała z siebie odpowiedzialność za ewentualne „pomyłki” we wróżbach oraz unikała pytań klientów, na które nie umiałyby od razu udzielić odpowiedzi. Twierdziła bowiem, że sama jest tylko pośredniczką „panny Blythe” i ściśle wykonuje przysyłane jej instrukcje.

Ta właśnie „panna Blythe” została wkrótce rodzinnym doradcą pary małżeńskiej nazwiskiem Perigo. Zastanawia przy tym ludzka naiwność, żeby nie powiedzieć – głupota. Pani Perigo była bowiem ciotką nieszczęsnej pani Stead, której życie Mary Bateman zdołała całkowicie zrujnować kilka lat wcześniej.

Pani Perigo zwróciła się do wróżki, gdyż cierpiała na silne bóle i uważała, że są one wynikiem rzuconego na nią przez kogoś uroku. Mary Bateman natychmiast uznała, że sprawa jest poważna, a zatem konieczna jest pomoc „panny Blythe”. W ten sposób rozpoczęła się długa seria oszustw, w wyniku których od grudnia 1806 do kwietnia 1807 wiedźma z Yorkshire zdołała wyłudzić od państwa Perigo 70 funtów w złocie oraz różne przedmioty, których lista jest imponująca – poczynając od 60 funtów masła, poprzez inne produkty żywnościowe, alkohole, odzież, aż po stopy bielizny pościelowej. Nie trzeba mówić, że wszystko to pobierała „panna Blythe” jako zapłatę za ratowanie rodziny przed nieszczęściem.

Kontakty z państwem Perigo były chyba najbardziej dochodową imprezą Mary Bateman. Nie wiadomo więc, dlaczego postanowiła w końcu ich otruć. Być może ich zasoby finansowe wyczerpywały się już, nic bowiem nie wskazuje na to, by naiwni nieszczęśnicy stracili do niej zaufanie.

Plan otrucia państwa Perigo został starannie opracowany. „Panna Blythe” wysłała ze Scarborough szereg listów, ostrzegających przed straszliwymi wypadkami, jakie grozić miały łatwowiernym małżonkom. Zapobiec nieszczęściu można było tylko w

sposób, który „panna Blythe” łaskawie zgodziła się podać za odpowiednią opłatą. Otóż państwo Perigo mieli przez tydzień nie wychodzić z domu i co wieczór jeść pudding przyrządzany z dodatkiem pewnych sproszkowanych substancji magicznych; na każdy dzień otrzymali oddzielną paczuszkę. Gdyby po zjedzeniu puddingu poczuli się źle, co mogło nastąpić w wyniku działania tajemniczych, wrogich im sił, antidotum stanowić miał miód z garnka również przysłanego przez „pannę Blythe”.

Państwo Perigo spożyli pierwszy pudding w poniedziałek 11 maja 1807 roku. Przez cały tydzień nie odczuwali żadnych dolegliwości, oboje natomiast poważnie się rozchorowali po zjedzeniu puddingu sobotniego (nic dziwnego, zawierał on bowiem chlorek rtęci). Pełni zaufania do „panny Blythe”, sięgnęli natychmiast po garnek z miodem, który z kolei zawierał arsenik. Pan Perigo miał tyle zdrowego rozsądku, że zjadł tylko jedną łyżkę miodu, którego smak wydał mu się dziwny, a mimo to jego wargi nabrały czarnego zabarwienia i chorował przez kilka dni. Jego nieszczęsna małżonka zjadła natomiast tyle miodu, ile zaleciła „panna Blythe”. Wkrótce zmarła. Mary Bateman wyjaśniła, że widocznie pani Perigo nie stosowała się ściśle do instrukcji „panny Blythe”, przez co spowodowała niebezpieczeństwo na życie i zdrowie obu „wrózek”, to jest „panny Blythe” i jej „pośredniczki”. Dla odwrócenia uroku zażądała od nieszczęsnego wdowca niektórych ubrań zmarłej. Ten był na tyle naiwny, że pospiesznie spełnił jej prośbę.

Nie wiemy, co skłoniło pana Perigo do rozprucia niektórych schowków, w których Mary Bateman zaszyła poprzednio złoto jako talizman. Ostrzegano go przecież, że grozi to strasznymi nieszczęściami. Uczynił to jednak i wtedy właśnie stracił zaufanie do wróżki; w miejsce złota i pieniędzy znalazł tam bowiem, jakbyśmy dziś powiedzieli, złom i makulaturę.

Mary Bateman została aresztowana. Jej proces wywołał ogromną sensację i zgromadził nieprzebrane tłumy widzów. Została skazana na śmierć przez powieszenie. Nawet w więzieniu, w oczekiwaniu na egzekucję, nie zaprzestała oszustw. Gdy prowadzono ją na szubienicę, trzymała w ramionach niemowlę wyłudzone od jednej ze współwięźniarek, w przekonaniu, że uchroni ją to przed wykonaniem wyroku. Tak się jednak nie stało, choć do ostatniej chwili twierdziła, że jest niewinna.

Po śmierci zwłoki Mary Bateman wystawiono na widok publiczny, zaś pieniądze z opłat za to szczególne widowisko przeznaczono na cele dobroczynne. Była to ogromna suma, gdyż tysiące osób przybyło z całego kraju, by ją obejrzeć. Następnie zdarto skórę z morderczyni i sprzedawano w małych kawałkach jako talizmany...

Zabójstwo w Lower Quinton

Najdziwniejszą bodaj ze spraw w naszym Leksykonie jest ta właśnie, z pogranicza kryminologii i czarnej magii. Dlatego warto na samym początku podać dokładną datę zabójstwa w Lower Quinton: miało ono miejsce 14 lutego 1945 roku.

Tego właśnie dnia, o zmierzchu, pewien pastuszek dokonał makabrycznego odkrycia na stokach góry Meon pod miejscowością Lower Quinton w Warwickshire w Wielkiej Brytanii. Miejscowi funkcjonariusze policji nie czuli się widać na siłach prowadzić śledztwa, bowiem w kilka godzin później do Lower Quinton przybyła policja z Warwick, a już następnego dnia wezwano Scotland Yard. Trudno się temu dziwić, zważywszy na to, jaki widok ukazał się oczom policjantów.

Pod okazałym dębem, stojącym na sporej polanie spoczywały zwłoki 74-letniego Charlesa Waltona, ogrodnika, który zarabiał na życie przycinając żywopłoty w okolicznych zagrodach i wykonując inne drobne prace. Miał zwyczaj chodzić od domu do domu w nadziei na zarobek, nosił też ze sobą wszystkie swe narzędzia, wśród których znajdowały się grabie do siana – przedmiot okazałych rozmiarów o długich, stalowych zębach. Bez trudu stwierdzono, że te właśnie grabie posłużyły tajemniczemu mordercy jako narzędzie zbrodni. Były one wbite w ciało nieszczęsnego ogrodnika z taką siłą, że wręcz przygwoździły go do ziemi. Jak podają akta sprawy, z pozoru niewinne narzędzie wbiło się w ziemię pod zwłokami na głębokość 15 centymetrów, zaś do ich usunięcia, a tym samym uwolnienia ciała potrzeba było dwóch krzepkich policjantów. Wydawało się, że grabie wbiła jakaś nadludzka siła.

Wszystko wskazywało na to, że starzec bronił się zawzięcie przed mającym go spotkać ciosem. Jego dłonie i ramiona nosiły ślady głębokich zadrapań, najprawdopodobniej powstałych w walce o życie. Nie było w tym nic niezwykłego. Uwagę funkcjonariuszy zwróciło natomiast co innego. Oto na szyi Waltona ostrym nożem wycięto znak krzyża. Cięcia były głębokie i robiły wrażenie, jakby wykonała je pewna i zdecydowana ręka, choć krzyż nie był idealnie równy. Ponieważ jednak nie zdarza się na ogół, by zabójca wykonywał pionowe nacięcia na szyi ofiary, uznano więc, iż znak ten ma znaczenie symboliczne.

Z ramienia Scotland Yardu śledztwo prowadził nadinspektor Robert Fabian, człowiek zrównoważony i trzeźwo myślący. Choć sprawa wyglądała co najmniej dziwnie, nie zaniechał przesłuchania okolicznych mieszkańców, czy przynajmniej prób ich przesłuchania. Oto bowiem wkrótce okazało się, że cała wieś – rzecz niesłychana w takiej sytuacji – przejawia żywiołową niechęć do rozprawiania o tej sprawie. Na ogół, zwłaszcza w małych miejscowościach, gdzie życie toczy się leniwie

i monotonnie, zabójstwo stanowi sensację, a każdy z mieszkańców ma własną teorię co do osoby sprawcy. Ale zacni skądinąd obywatele Lower Quinton jakby nabrali wody w usta, wzruszali tylko ponuro ramionami.

Kilka osób – a podejrzewamy tu wiejskie plotkarki – złamało jednak zмовę milczenia. Lecz to, czego dowiedział się w ten sposób nadinspektor Fabian, nie na wiele mu się przydało. Po paru dniach krążenia po wsi zdołał zanotować wzmianki i sugestie tak niejasne, że wręcz zaczynał wątpić, by mogły się one odnosić do starego ogrodnika, przybitego grabiami do ziemi. Patrząc, jak to się mówi, „spode łba”, mieszkańcy Lower Quinton ponurym głosem mówili o urokach, złym spojrzeniu i „znakach”, jakie rzekomo od pewnego czasu pojawiać się miały w okolicy.

Któryś z zacnych włościń, zagadnięty o zabójstwo starego Waltona, pozornie bez związku wspominał o złych zbiorach, jakie w zeszłym roku zaskoczyły rolników „pomimo dobrej pogody”. Kilku innych w tym samym kontekście informowało policjanta o jałowce, rzekomo całkiem zdrowej, którą na dwa dni przed zabójstwem znaleźć miano w rowie, zdychającą „bez najmniejszej przyczyny”. Wreszcie ktoś wygadał się na temat dziwnej i podejrzanej umiejętności zamordowanego ogrodnika: podobno znał on język zwierząt oraz roślin i porozumiewał się z nimi – by tak rzec – za plecami ich prawowitych właścicieli. Wyraźnie sugerowano, że zagadkowa śmierć jałowki mogła być karą za niesubordynację. Nie było tylko jasne, czy nieposłuszeństwem zgrzeszyło zwierzę, czy też – co bardziej prawdopodobne – jego właściciel.

Nietrudno chyba wyobrazić sobie, jak poczuł się nadinspektor Fabian po wysłuchaniu tych rewelacji. Uznawszy widać, że sprawa przerasta jego możliwości, postąpił niezwykle rozsądnie. Poprosił mianowicie o pomoc pewnego staruszka-księdza, mieszkającego w okolicy od co najmniej pół wieku. To, czego z kolei dowiedział się od swego osobliwego „eksperta”, zdumiało go jeszcze bardziej.

Oto w roku 1875, a więc siedemdziesiąt lat wcześniej, w pobliskiej wiosce miało miejsce bardzo podobne zabójstwo. Wtedy zresztą sprawca został ujęty. Był nim tak zwany wiejski idiota, nieodłączny chyba element folkloru wiejskiego z nie tak jeszcze odległej przeszłości. Osobnik ów przygwoździł do ziemi przy użyciu grabi niejaką Ann Turner, ponieważ przekonany był, że w ten sposób uwalnia świat od czarownicy. Wiedząc już, czego szukać, nadinspektor Fabian sięgnął do literatury fachowej. Oto w dziele pod tytułem „Warwickshire”, pióra Clive’a Hollanda, zamieszczono fragment zeznania zabójcy z 1875 roku:

„Przybiłem Ann Turner do ziemi grabiami, żeby nigdy już nie wstała. Potem wziąłem nóż ogrodniczy i rozciąłem jej gardło w kształcie krzyża.”

W zaroślach w pobliżu miejsca znalezienia zwłok Charlesa Waltona (wracamy do roku 1945) natrafiono na inne z jego narzędzi: był to zakrwawiony nóż ogrodniczy.

Zachęcony tym źródłowym odkryciem, nadinspektor Fabian studiował inne dzieła traktujące o historii regionu. Jakież było jego zdumienie, gdy w książce „Folklor, obyczaje i zabobony kraju Szekspira”, autorstwa J. Harvey Blooma, natrafił na nazwisko samego Charlesa Waltona. Bloom przytaczał mianowicie opowieść z gatunku „dreszczowiec” o pewnym duchu, nawiedzającym okolice Lower Quinton. Rzecz działa się w 1886 roku. Wtedy to 15-letni podówczas Charles Walton, parobek pracujący u jednego z gospodarzy, miał widzieć dziewięć razy pod rząd ducha ogromnego, czarnego psa. Pojawienie się tej zjawy zwiastowało jakoby śmierć. Gdy brytan ukazał się małemu Charlesowi po raz dziewiąty, przepowiednia sprawdziła się: następnego dnia zmarła siostra chłopca.

Nadinspektor Fabian miał więc już jasny, acz niezupełnie go satysfakcjonujący obraz sprawy. Oto Walton od najmłodszych lat wykazywał nadprzyrodzone zdolności, które z biegiem czasu rozwinął na szkodę mieszkańców Lower Quinton. W końcu ktoś musiał być odpowiedzialny za marne zbiory i tajemniczą śmierć jałówki. Zginął zatem tak, jak powinni ginąć źli czarownicy, przybity do ziemi, ze znakiem krzyża wyciętym na gardle.

Jednak nadinspektor był człowiekiem trzeźwo myślącym i światopogląd miał na wskroś materialistyczny. To, czego dowiedział się z lektury, mogło stanowić najwyżej motyw zabójstwa, ale pozostawał przecież całkiem realny sprawca, którego należało ujawnić i pochwyć.

Fabian nie miał wątpliwości, że zabójstwa dokonał człowiek z krwi i kości. Poprosił o pomoc specjalistów z dziedzin nie mających zgoła nic wspólnego z czarną magią, lotników i saperów. Wykonano szereg zdjęć lotniczych okolicy w nadziei natrafienia na jakiś niezwykle element krajobrazu. Przeszukano ogromny obszar przy pomocy wykrywaczy min, licząc na odnalezienie niepozornego przedmiotu, jakim był zegarek nieszczęsnego Waltona, w taniej, metalowej kopercie, jedyna rzecz, jakiej brakowało wśród drobiazgów należących do zamordowanego. Niestety tym razem technika przegrała sromotnie z siłami nadprzyrodzonymi – żmudne poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Trzeba zresztą uczciwie przyznać, że nadinspektor Fabian nie oczekiwał cudów. Liczył po prostu, że na zegarku sprawca zbrodni pozostawił odciski swych palców.

Wreszcie doświadczony funkcjonariusz Scotland Yardu musiał uznać się za pokonanego. Opuszczał jednak Lower Quinton z przykrym uczuciem, że w zabójstwie domniemanego czarownika brała udział co najmniej połowa mieszkańców wioski. Przyznać trzeba, że świadomość tego faktu działa dość przygnębiająco, zważywszy – o czym przypominamy raz jeszcze – że Charles Walton zginął w 1945 roku.

Sprawa zabójstwa w Lower Quinton zyskała ogromny i całkiem zrozumiały rozgłos, nawet poza granicami Wielkiej Brytanii. W pięć lat później, w roku 1950,

wioskę odwiedziła nawet amerykańska specjalistka w dziedzinie religii pierwotnych, słynna Margaret Mead. Po zakończeniu wizyty i dokładnym przestudiowaniu dokumentacji wyraziła głębokie przekonanie, że istotnie śmierć Waltona związana była z czarną magią.

Sprawca, czy może raczej sprawcy zabójstwa starego ogrodnika, który umiał rozmawiać ze zwierzętami, nie zostali ujawnieni.